

Z E S Z Y T P I A T Y

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

P. M. 807 A

P. 12.056

ZESZYTY HISTORYCZNE

V

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom XCV

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

Z E S Z Y T P I Ą T Y

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

Podajemy do wiadomości Czytelników „Zeszytów Historycznych”, że ukazują się one dwa razy do roku: w styczniu i w sierpniu. *Cena pojedynczego egzemplarza wynosi F. 15 (dol. 3,-; 22/-)*. Prenumeratorzy KULTURY korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych” otrzymują dwa „Zeszyty” w cenie jednego.

Prenumeratorzy KULTURY mogą zgłaszać abonament „Zeszytów Historycznych” bezpośrednio w redakcji KULTURY albo u przedstawicieli.

DOKUMENTY

DRUGA PODRÓŻ MIKOŁAJCZYKA DO MOSKWY

(Stenogram z 154 posiedzenia Rady Narodowej R.P., odbytego w dniu 27 października 1944 r. w Londynie).

P. prof. Grabski: Otwieram posiedzenie Rady Narodowej. Witam Pana Premiera, który przyszedł, aby się z nami podzielić swym *exposé* o pobycie w Moskwie, witam Panów Ministrów i wszystkich członków Rady Narodowej.

Posiedzenie nasze jest ściśle tajne!

P. Mikołajczyk: Wysoka Rado! Składając sprawozdanie Wysockiej Radzie z drugiej podróży do Moskwy nie będę wchodził w szczegółowe i chronologiczne przedstawianie rozmów i konferencji moskiewskich. Ograniczę się natomiast do syntetycznego przedstawienia sytuacji, jaka się zarysowała na tle tych rozmów i konferencji. Wspomnę tylko, że na ich całość złożyły się:

12.X. Konferencja — moja i ministra spraw zagranicznych Romera — z ministrem Edenem oraz ambasadorem brytyjskim w Moskwie.

13.X. Rano — rozmowa z ambasadorem amerykańskim w Moskwie Harrimanem. Tegoż dnia delegacja nasza złożyła wizytę u Mołotowa. Później odbyła się rozmowa ministra Romera z Edenem. Dalej — tego samego dnia wieczorem — miała miejsce wspólna konferencja, w której wzięli udział: ze strony sowieckiej Stalin, Mołotow i Gusiew, ze strony brytyjskiej Churchill, Eden i Clark-Kerr, ze strony amerykańskiej ambasador Harri-man w roli obserwatora, oraz z naszej strony minister Romer, profesor Grabski i ja.

14.X. Dwie nasze rozmowy z Churchillem i Edenem i oprócz tego późnym wieczorem jedna konferencja z Edenem.

15.X. Rozmowa z Churchillem i Edenem i tegoż dnia — rozmowa profesora Grabskiego z Mołotowem.

16.X. Rozmowa ministra Romera z Harrimanem, rozmowa nasza z Edenem w ambasadzie brytyjskiej i tegoż dnia — dwie rozmowy z Churchillem i Edenem.

17.X. Rozmowa z Edenem, oraz moja prywatna rozmowa z Bierutem.

18.X. Rozmowa moja i ministra Romera z ambasadorem Harrimanem, moja rozmowa ze Stalinem, oraz moja ostatnia rozmowa tegoż dnia z Churchillem i Edenem.

19.X. Wizyta pożegnalna u Mołotowa.

Drugi wyjazd do Moskwy nie doprowadził do ułożenia stosunków polsko-sowieckich. Tym niemniej doprowadził do wyjaśnienia sytuacji i wyświetlenia wielu rzeczy, jakkolwiek niewątpliwie — nie wszystkich. W chwili wyjazdu, tak na gruncie międzynarodowym jak i wśród Polaków, panowało przekonanie, że jest to ostatnia szansa ułożenia stosunków polsko-sowieckich przed zakończeniem wojny. Do wytworzenia tego przekonania przyczyniło się dodatkowo podkreślenie przez Churchilla, że jednym z głównym celów jego wyjazdu jest załatwienie sprawy polskiej. Być może, że ten cel zostanie rzeczywiście osiągnięty. W tej chwili istnieje — przynajmniej teoretycznie i ograniczona w czasie — możliwość ponownego wyjazdu do Moskwy, względnie nawet na teren Lubelski, bez uprzedniego akceptowania wszystkich tych warunków, które nam stawiano, gdyśmy po raz pierwszy opuszczali Moskwę. Nieosiągnięcie tego celu będzie niepowodzeniem zarówno naszym, jak i premiera Churchilla. Będziemy musieli wtedy bardzo baczyć, aby w opinii publicznej świata niezadowolnienie sporu nie zostało całkowicie zapisane na naszą odpowiedzialność.

Po naszym powrocie na gruncie polskim wystąpiła pewna ulga, spowodowana oparciem się naciskowi, jaki był na nas wywierany w Moskwie. Przyznaję, że wolałbym jednak nie korzystać z tej ulgi, a może nawet i uznania u uczciwych Polaków i móc powrócić z załatwieniem sporu polsko-sowieckiego. Jak bowiem Państwo się przekonają, sytuacja w której się znajdujemy i konsekwencje jakie za tym idą, wcale nie dają pola do zaspakania narodowej dumy, a tym mniej — popularności osobistej.

W czasie konferencji, do pewnego jej momentu, stosunki polsko-angielskie doznawały takiego naprężenia, że groziły zerwaniem. Wyrównanie ich w końcowych etapach konferencji należy zapisać na korzyść, gdyż zdają sobie Państwo sprawę, jakie konsekwencje w naszej sytuacji miałyby odmienny obrót wyda-

rzeń. Nie ludzę się, że na tym odcinku przeżyjemy jeszcze wiele ciężkich chwil. Nie sądzę jednak, by w tej chwili z tej strony groziło nam bezpośrednio niebezpieczeństwo całkowitego zepsucia polsko-brytyjskich stosunków.

Wydaje mi się, że sytuację w jakiej znaleźliśmy się w Moskwie objaśni nam najlepiej sposób, w jaki postawił sprawę Stalin zaraz na pierwszej konferencji, po zreferowaniu przeze mnie zasad naszego memorandum.

Stalin powiedział, że memorandum polskie ma dwa ważne defekty. Pierwszym jest ignorowanie Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a drugim — że nie przynosi ono odpowiedzi na zagadnienie uregulowania granic wschodnich Polski na podstawie linii Curzona. Nie można ułożyć i nawiązać stosunków ze Związkiem Sowieckim inaczej, jak przez uznanie tej linii, jako podstawy granicy polsko-sowieckiej.

Jak z tego wynika, Związek Sowiecki stoi bezkompromisowo na gruncie linii Curzona.

Dwukrotnie podnosiłem tę sprawę wobec marszałka Stalina. Podkreślałem, że przyjaźni dwóch narodów nie można budować na krzywdzie jednego z nich i że Rosja przez rezygnację ze swych żądań do naszych ziem wschodnich ma dziś okazję pozyskania na zawsze uczuć narodu polskiego. Powoływałem się na liczne rzesze polskich żołnierzy, które pragną powrócić do swych domów rodzinnych na ziemiach wschodnich. Wytaczałem wszystkie argumenty polityczne, gospodarcze i historyczne.

Stalin obstawał przy swoim. Mówił, że nie może krzywdzić Ukraińców i Białorusinów; że przez przyjęcie linii Curzona pragnie usunąć raz na zawsze przedmiot tarć między Polską a Rosją, Ukrainą i Białorusią; że nie chce podziału Polski, lecz nie może się zgodzić na podział Ukrainy i Białorusi; że linia Curzona to nie wymysł sowiecki, lecz że wymyślono ją przeciw Sowietom w złej dla nich koniunkturze, a one dziś na to się zgadzają; że dalej — zgadzają się na to obecnie również W. Brytania i Ameryka, zgadza się Komitet Wyzwolenia Narodowego i zgadza się naród polski, poza emigracją, a emigracji za naród uważać nie można.

Stalin przeciwny był również odkładaniu decyzji granicznych na po-wojnie przez przyjęcie obecnie linii Curzona jako tymczasowej linii demarkacyjnej. Moskwa chce już teraz przesądzić sprawę swych granic zachodnich. Kieruje się ona tu niewątpliwie chęcią uniknięcia komplikacji w tej dziedzinie na terenie międzynarodowym w powojennym okresie. Konieczność przesądzenia *już teraz* granic polsko-sowieckich Stalin uzasadniał motywami gospodarczymi, a mianowicie koniecznością włączenia w so-

wiecki system ekonomiczny ziem na wschód od linii Curzona. W związku z tym dopuszczał on możliwość poprawek granicznych tylko w bardzo niewielkim zakresie — nie przekraczającym kilku kilometrów.

Bezkompromisowe okazało się stanowisko Stalina również na punkcie Lwowa i zagłębia naftowego. Dotyczy to także stanowiska Mołotowa, z którym profesor Grabski przeprowadził rozmowy, przedstawiając, że w interesie stosunków polsko-sowieckich oraz w obopólnym interesie rozwiązania zagadnienia ukraińskiego leży rezygnacja Rosji ze Lwowa, a Polski — z Ukraińców.

Dodam tu, iż niektórzy członkowie Komitetu Lubelskiego dawali do zrozumienia zagranicznym korespondentom w Moskwie, że na temat Lwowa potrafią ułożyć się z rządem sowieckim. Powołałem się i na to na konferencji z Churchillem i Stalinem. Ze strony sowieckiej zaprzeczono jednak stanowczo tej wersji. Być może, że chodzi tu o pogłoski tendencyjnie puszczane przez członków Komitetu z myślą wzmocnienia ich pozycji w kraju, któremu — jak to stwierdzał również szereg dziennikarzy na podstawie poczynionych obserwacji w Lublinie — leży głęboko na sercu los Lwowa i Wilna.

W każdym razie w dyskusjach z czynnikami sowieckimi w sprawie linii Curzona natrafiałem na zupełnie zdecydowany opór z ich strony. Mało tego; gdy oświadczyłem, że wielkie mocarstwa, mając siłę, mogą oczywiście wiele rzeczy narzucić swym ofiarom, lecz ofiara musi mieć prawo protestu i dochodzenia swych praw na konferencji pokojowej, oraz gdy przedłożyłem swój projekt protestu na ten wypadek — i to zostało odrzucone, jako uniemożliwiające osiągnięcie porozumienia.

Taka jest, niestety, naga rzeczywistość.

Nie lepiej przedstawiało się stanowisko brytyjskie. Niemała część moich rozmów moskiewskich była poświęcona — dramatycznym nieraz — rozmowom z Churchillem i Edenem na temat linii Curzona. Nacisk na rezygnację z naszych ziem wschodnich był wielki. Churchill argumentował, że brak naszej zgody na tego rodzaju załatwienie graniczne będzie aktem samobójczym nie tylko dla Rządu Polskiego, który zawiśnie w próżni, lecz również dla naszego narodu i jego niepodległości. W jednej z rozmów Churchill mówił, że chwila obecna jest krytyczną dla Polski, która tego rodzaju okazji może więcej nie mieć. Ubolewał, iż nie uznaliśmy dawniej linii Curzona, gdyż w takim wypadku nie byłoby dziś Komitetu. On zdaje sobie sprawę, do czego zdolni są ci ludzie i że zostawienie w ich rękach decyzji na ziemiach Polski grozi wojną domową, co wobec posiadania przez Komitet armii czerwonej za jego plecami, czyni walkę beznadziejną. Od-

bierał wszelkie złudzenia na liczenie na zaangażowanie się zbrojne W. Brytanii przeciw Rosji po naszej stronie. Szaleństwem nazywał wyrachowania generała Andersa, że najpierw pobije się Niemców, a potem Rosjan. Podkreślał, że stosunki brytyjsko-sowieckie nigdy jeszcze nie były tak dobre. Podnosił konieczność załatwienia już teraz spraw granicznych, wyrażając przekonanie, że jeśli to się załatwi, wówczas wszystko inne łatwo pójdzie, a w szczególności, że Rosjanie wycofają poparcie dla Komitetu, a ambasadorowie W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych znajdą się u boku nowego Rządu Polskiego na naszych ziemiach. Jeżeli przepuścicie ten moment — mówił Churchill — wszystko będzie stracone.

Ta argumentacja, wykładana zresztą w sposób bardzo bezwzględny, ma oczywiście pewne uzasadnienie. Przy nieulożeniu stosunków z Rosją komuniści będą starali się ułożyć je przemocą, łamiąc w sposób coraz bardziej bezwzględny ośrodki oporu w kraju. Bierut w rozmowie ze mną wyraźnie o tym wspomniał.

Troska o Polskę, której — jak mówił Churchill — grozi zniszczenie w razie niedojścia do porozumienia z Rosją, nie była jednak na pewno jedynym motywem brytyjskiego nacisku na nas. Mówiłem kiedyś na tym miejscu, że nierozsądnie postępują ci Polacy, którzy cieszą się z tarć między Rosją a państwami anglo-amerykańskimi. Państwom tym zależy bowiem bardzo na harmonijnym ułożeniu stosunków z Sowietami, za co gotowe są zapłacić każdą niemal cenę. Wynika stąd niebezpieczeństwo usuwania tarć kosztem Polski, która w politycznej strategii Anglii i Ameryki nie jest pozycją najważniejszą. Nacisk brytyjski wywierany na Polskę w Moskwie był zapewne refleksem pomyślnego — jak twierdzili Anglicy — załatwienia spraw spornych z Rosją na innych odcinkach.

Ponadto, w Moskwie działały również konsekwencje konferencji Teherańskiej, która, jak wiemy, odbyła się w atmosferze znacznej uległości W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, obawiających się wtedy, że jeżeli żądania Rosji nie zostaną zaspokojone, wówczas może się ona porozumieć z Niemcami. Można powiedzieć, że w Moskwie Sowiety przedstawiły do zapłaty weksel, otrzymany w Teheranie. Sytuacja stała się jasna w chwili, gdy na pierwszej zbiorowej konferencji odwołałem się do stanowiska mocarstw anglo-amerykańskich, a Mołotow oświadczył, że przeciw w Teheranie W. Brytanii i Stany Zjednoczone zgodziły się na linię Curzona.

Niestety, koniunktura obecna nie jest taką, w której decydowałaby słuszność, sprawiedliwość, względy na zasady. Decydującym czynnikiem jest siła i fakt posiadania przez Rosję tere-

nów, których się domaga. Jest to rzeczywistość smutna. Niepolsób nie widzieć pierwszej prawdy, ujawnionej w Moskwie, że w sprawie naszych granic wschodnich stoimy w obliczu wspólnego frontu wielkich mocarstw. Żadne z nich w obronie naszych praw na wschodzie palcem nie ruszy. Nie ruszy nim również przeważająca część opinii tych krajów. To jest oczywiście wielki i najpoważniejszy minus rzeczywistości, odkrytej przez konferencję moskiewską.

Ujawniły się na niej i pewne plusy. Na ich czele kroczy stosunek mocarstw do naszej granicy zachodniej. Stanowisko Rosji jest tu zupełnie wyraźne. Popiera ona znaną Państwu koncepcję Polski z granicą na Odrze, ze Szczecinem, Opolem, Gdańskiem i Prusami Wschodnimi, z wyłączeniem Królewca. Rosja gotowa nam przyznać również prawo okupacji Niemiec polskimi wojskami na ustalonym obszarze. Stanowisko W. Brytanii zostało sprecyzowane już w pierwszym dniu obrad, kiedy powiedziałem, że ciągle słyszę o projektach rozbioru Polski — pierwszego alianta, a nic nie słyszę o tego rodzaju projektach w stosunku do wroga numer 1 — Niemiec. Churchill wypowiedział się na to całkiem wyraźnie — co zostało później bardziej formalnie potwierdzone — za przyznaniem Polsce na zachodzie granic na Odrze ze Śląskiem Opolskim i Szczecinem, oraz Prus Wschodnich bez Królewca. W późniejszych rozmowach Churchill rozwodził się nad wspianą przyszłością, jaka otworzy się przed Polską w takich granicach, twierdząc, że byłoby szaleństwem odrzucić tę możliwość. Zaznaczyły się pewne tendencje do przesunięcia na nas odpowiedzialności za decyzje, dotyczące ziem zachodnich, które to decyzje, jak wiemy, nie cieszą się popularnością w opinii brytyjskiej. Jeśli wziąć pod uwagę to nastawienie opinii po obu stronach Oceanu, oraz podkreślony przez Churchilla fakt, że wypowiedzenie się W. Brytanii za okrojeniem Rzeszy zwiększy jej opór — mówię oczywiście o publicznym wypowiedzeniu się w tym wypadku — a tym samym zwiększy i straty Sprzymierzonych w tej wojnie, to wówczas, przy całym zawodzie, jaki może w nas wzbudzać stanowisko brytyjskie wobec naszych granic wschodnich, będziemy musieli docenić gotowość Churchilla związania się w sprawie naszych granic zachodnich, a to zwłaszcza że to zagadnienie miało być ujęte w publicznej deklaracji obydwóch państw, określającej i gwarantującej te tereny dla Polski z warunkiem usunięcia stamtąd Niemców.

Jasną jest rzeczą, że nie wystarczy zapewnienie państwu granic, jeśli w ich ramach naród nie będzie mógł się rządzić sam, lecz będzie musiał znosić jawną czy zamaskowaną niewolę.

Dla Polski zagadnieniem równie ważnym, jak sprawa gra-

nic, jest sprawa jej niepodległości, to jest rządzenia się w oparciu o własną wolę, a nie o wolę agentów obcych.

Zagadnienie to było również przedmiotem rozmów z Rosjanami i Brytyjczykami.

Jeżeli idzie o stanowisko brytyjskie w tej mierze, to można by je streścić w ten sposób, że w wypadku naszej zgody na linię Curzona, W. Brytania byłaby gotowa udzielić poparcia jedynie dla rządu prawdziwie reprezentującego wolę narodu, a nie z większością ludzi z Komitetu. Potwierdził to wczoraj raz jeszcze w rozmowie z nami premier Churchill, mówiąc, że zakomunikował to w ostatniej rozmowie Stalinowi, o co go prosiłem przed opuszczeniem Moskwy. W tym przedmiocie zaznaczyła się w toku rozmów moskiewskich dość znaczna ewolucja stanowiska brytyjskiego. Na pierwszej bowiem wspólnej konferencji Churchill próbował postawić zagadnienie rządu w Polsce na gruncie złania się rządu londyńskiego z Komitetem. Z miejsca zaprotestowałem przeciw temu, mówiąc, że dążeniem naszym jest sięgnąć dalej — oprzeć rząd na podstawie 5 stronnictw. Niewątpliwie, również Stany Zjednoczone udzieliłyby poparcia dla takiego rządu, co wyraziłoby się także w pomocy gospodarczej na rzecz odbudowy Polski.

Zaznaczę tutaj w nawiasie, że pewnym drobnym plusem konferencji moskiewskiej na odcinku przyszłej struktury rządu polskiego było złe wrażenie, jakie na Brytyjczykach zrobili ludzie z Komitetu, a zwłaszcza Osóbka-Morawski. Już poprzednio wspomniałem, że Churchill ocenia w czarnych kolorach przyszłość Polski pod rządami Komitetu. Churchill mówił mi również, że nie chciałby mieć za swoimi plecami takiego fanatyka jak Morawski i że nie zazdrości nam, iż musimy mieć do czynienia z tego rodzaju ludźmi.

Oczywiście, ważniejsze od stanowiska brytyjskiego w tym względzie, jest stanowisko sowieckie. Starłem się je wyjaśnić w rozmowie w cztery oczy z marszałkiem Stalinem. Jest niewątpliwe, że Sowiety zaangażowane są prestiżowo w Komitecie, co w razie dojścia do rozmów każe Moskwie obstawać przy etykiecie Komitetowej. Jeżeli jednak idzie o meritum sprawy, to mam podstawy sądzić, że Stalin poparłby rząd reprezentujący *rzeczywiście* pięć stronnictw. Mówię *rzeczywiście*, gdyż zastrzegłem się wyraźnie, że nie mogę uważać za rzeczników stronnictw ludzi z Komitetu, ani z Krajowej Rady Narodowej.

Stalin uznał słuszność tej koncepcji. Kategoriecznie twierdził, że w jego intencjach nie leży komunizacja Polski ani interwencja w jej sprawy wewnętrzne, że Polska będzie państwem kapitalistycznym, opartym o prywatną własność, a nie państwem

komunistycznym. Co do samodzielności polityki zagranicznej, to podobnie jak w rozmowach sierpniowych, Stalin twierdził, że nasza polityka musi być samodzielna, lecz nie może kierować się wrogością do Rosji. Kładł nacisk na żywotność niebezpieczeństwa niemieckiego, przed którym trzeba się zabezpieczyć. Polska — mówił — musi mieć silną armię i — jak podkreślał — musi współpracować nie tylko z Rosją, lecz również z państwami Zachodu — włączając w to i sojusze wojskowe — oraz z sąsiadami, do których zaliczył również Węgry, które też się zwrócą przeciw Niemcom. Stalin ocenił pozytywnie tę część naszego memorandum, która dotyczy współpracy polsko-sowieckiej w wojnie i po wojnie. Dodam, że na pierwszej zbiorowej konferencji podkreśliłem konieczność wycofania wojsk sowieckich z Polski z chwilą zakończenia działań wojennych. Stalin przeciwko temu nie demonstrował. Jedynie Churchill zwrócił uwagę na zagadnienie zapewnienia łączności między Rosją i wojskami sowieckimi okupującymi Rzeszę.

Moja ostatnia rozmowa ze Stalinem odbyła się w atmosferze przyjaznej. Stalin podkreślił, że zarówno droga do Moskwy, celem kontynuowania rozmów, jak i do Polski, celem przekonania się na miejscu o panującej tam sytuacji, stoi nadal otworem. Stanowisko to odbiega od stanowiska Stalina w czasie poprzedniej konferencji, kiedy to mój wyjazd do Polski uzależniony był od uprzedniego porozumienia polsko-sowieckiego. Wystąpiła również różnica w stosunku Stalina do naszej Konstytucji. Kiedy na pierwszej konferencji zbiorowej Churchill podniósł tę sprawę, Stalin określił ją jako nasze wewnętrzne zagadnienie, na dłuższą metę do rozwiązania przez samych Polaków.

Przed ostatnią rozmową ze Stalinem przeprowadziłem w jednej z kawiarni moskiewskich prywatną rozmowę z Bierutem. Już wtedy było wiadome, że konferencja moskiewska nie doprowadzi do żadnych decyzji w sprawach polskich i że, aby je powziąć, będę musiał powrócić do Londynu. Jasne było też, że konferencja da materiał dla tych decyzji w formie wyjaśnienia sytuacji. Uważałem więc, że nie mogę nie wyjaśnić jej bez reszty, a więc również na odcinku Komitetowym.

Muszę tu zaznaczyć, że propaganda mogła stworzyć fałszywy pogląd na pozycję Komitetu w toku obrad moskiewskich. Pisano o ostentacyjnym witaniu i żegnaniu jego przedstawicieli na lotnisku moskiewskim, podczas gdy nas witano i żegnano skromnie. Propaganda nadała też rozgłos udziałowi delegatów Komitetu w konferencji z Churchillem i Stalinem, oraz — oczekiwaniom na rozmowy z nami. Były to jednak tylko dekoracje. W

czasie całej konferencji moskiewskiej Komitet pozostawał raczej w cieniu, a kilka prób wydobycia go z niego na forum konferencji z nami zostało przez nas utraconych. Rezultat był taki, że nawet cenzura sowiecka wstrzymała niektóre doniesienia korespondentów zagranicznych o naszych konferencjach z czynnikami sowieckimi i brytyjskimi, aby w ten sposób nie pogłębiać cienia, w jakim Komitet się znalazł.

Bierut nie ukrywał trudności politycznych i gospodarczych, na jakie natrafia Komitet w Polsce. Skarzyli się zresztą z tego powodu jeszcze wcześniej przed Anglikami, przedstawiając im jako akt oskarżenia instrukcje czynników krajowych dla ludności, zalecające sabotowanie akcji Komitetu. Anglicy pokazali nam tę instrukcję. Zalecała ona sabotowanie działalności Komitetu w różnych dziedzinach życia. Jednocześnie jednak przestrzegwała przed czynami, które mogłyby być poczytane za akt wrogi wobec armii sowieckiej.

Bierut skarżył się zwłaszcza na sabotowanie poboru i strzelanie do nich jak do kaczek. Mówił, że w ostatnim miesiącu zastrzelono przeszło pięćdziesięciu oficerów i poborowych, że zmobilizowane oddziały wyprowadzali oficerowie w lasy itp. Mówił, że w Lublinie ogłoszono stan wyjątkowy, aby zapobiec powstaniu, które chciano urządzić dla poparcia moich rozmów moskiewskich. Później dowiedziałem się, że chodzi tu nie o powstanie, lecz o demonstrację pod hasłem: „Puśćcie nam Mikołajczyka”. Afisze z tym hasłem pokryły mury Lublina.

Mimo trudności, na jakie Komitet natrafia, nie można nie doceniać, że jest on na miejscu i coraz głębiej wchodzi w teren. Przed niedocenianiem tego momentu przestrzegał mnie zwłaszcza ambasador zarówno brytyjski, jak i amerykański. Również Bierut twierdził, że czas działa na rzecz Komitetu. Oceniał sytuację w ten sposób, że stronnictwa są dziś podzielone: część stoi za Komitetem, część za nami, lecz z biegiem czasu nasza część będzie coraz bardziej malała. W tym stanie rzeczy — mówił — nie może się zgodzić, aby w przyszłym rządzie ludziom z Komitetu przypadła tylko jedna piąta miejsc, a cztery piąte ludziom z Londynu. Wyjaśniłem, że tu nie o ludzi chodzi, bo my dysponujemy ludźmi z Londynu, ludźmi, którzy dopiero kilka miesięcy temu przyszli do Londynu z kraju, ludźmi z kraju, spod okupacji niemieckiej, których możemy wyciągnąć, ludźmi z terenu Polski oczyszczonej z Niemców. Podkreśliłem, że w pierwszym rządzie jednak chodzi o zasadę, to jest o rząd rzeczywistych stronnictw, a nie narzuconych przez Komitet przedstawicieli.

Wydaje mi się, że jeśli Kreml uzna tę zasadę, a na taką możliwość zdawały się wskazywać rozmowy ze Stalinem, wów-

czas Bierut pójdzie za jego głosem. Dowodem, że chorągiewka Komitetu tak się kręci jak wiatr z Kremla zawieje, było stanowisko Bieruta w sprawie Konstytucji i ewentualności mojego wyjazdu do kraju. Bierut nalegał, abym przekonał się na własne oczy, jak rzeczy w Polsce stoją, zapewniając, że będę korzystał z pełnej swobody politycznego działania. W sprawie Konstytucji zaś, zamiast — jak poprzednio — twierdzić, iż nie może być absolutnie innej podstawy jak Konstytucja z 1921 roku, stawiał tę sprawę słabiej, a nawet wspominał o możliwości wydania wspólnej deklaracji konstytucyjnej.

Reasumując więc wyniki konferencji moskiewskiej, stoi przed nami obraz następujący:

Mamy przed sobą nagą rzeczywistość. Bez uznania linii Curzona i uszanowania — raczej formalnego, jak sędzę, niż merytorycznego — prestiżu sowieckiego w sprawie Komitetu Wyzwolenia Narodowego, nie ma możliwości ułożenia stosunków polsko-sowieckich. Co gorsza, w sprawie granicy wschodniej mamy przeciw sobie wspólny front anglo-sowiecki, przy biernym, jak dotąd, stanowisku Stanów Zjednoczonych. Do tego trzeba nam się będzie ustosunkować. Nie mam przy tym wrażenia, by Sowietom bardzo zależało na definitywnym związaniu się w sprawie stosunków z Polską. Są oni tu pod naciskiem angielskim, który dąży do ułożenia stosunków polsko-sowieckich, jakkolwiek muszę stwierdzić, że atmosfera w czasie tego pobytu i zachowanie się prasy sowieckiej w tym okresie były znacznie lepsze, aniżeli za naszego poprzedniego pobytu.

Nie jest oczywiście obojętną rzeczą, że:

1. W sprawie granic Polski na północy i zachodzie istnieje realna możliwość — w razie naszej zgody na linię Curzona — uzyskania formalnego zobowiązania i gwarancji ze strony W. Brytanii i Sowietów przyznania Polsce następujących terytoriów: Prus Wschodnich z wyłączeniem rejonu Królewca, Gdańska, Pomorza Szczecińskiego po Odrę i dalej na południe wzdłuż Odry, oraz całego Śląska. Stanowisko Stanów Zjednoczonych w tej sprawie wymagałoby jeszcze wyjaśnienia.

2. W razie osiągnięcia porozumienia i wyłonienia nowego Rządu Polskiego, Rząd Polski objąłby administrację państwa, oraz rząd sowiecki podpisałby ze swej strony zobowiązanie nieingerencji w wewnętrzne sprawy polskie.

3. Zaistniałyby warunki do podpisania z rządem sowieckim traktatu przyjaźni i wzajemnej pomocy oraz umów dotyczących opcji, zwrotu mienia, zwolnienia aresztowanych itd.

4. Zaistniałyby możliwości przedłużenia i rewizji polsko-

brytyjskiego układu o wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 r. do czasu trwania traktatu anglo-sowieckiego z 26 maja 1942 r., zawartego na lat dwadzieścia.

Wszystko to nie są rzeczy drobne, zwłaszcza, gdyby zaistniały one przed uwolnieniem reszty Polski i rozpoczęciem szerokich represji, spowodowanych niepowodzeniami Komitetu, które grożą nowym rozlewem krwi i konsekwencjami, których końca dziś przewidzieć nie można.

Przedstawiłem Państwu faktyczny stan rzeczy.

Oświadczam, że żadnego zobowiązania na siebie nie wzięłem, zdając sobie sprawę zarówno z odpowiedzialności, jak i z konieczności wspólnych decyzji wszystkich, od których zależy przecież przyszłość naszego państwa i jego niepodległość.

Rozważą Państwo sytuację w swych sumieniach, z całym poczuciem odpowiedzialności, i swą radą i opinią wskażą drogę, jaką należy wybrać w tej decydującej i historycznej dla Polski chwili.

P. Grabski: Pan Premier oświadczył gotowość dania odpowiedzi na zapytania, jakie będą do niego kierowane. W tej chwili więc otwieram tę część naszych obrad i proszę Panów o kierowanie zapytań do przedstawiciela Rządu.

P. Szydłowski: Pytania, które pragnę postawić, wynikają z głębokiej troski o gruntowne poznanie i rozważenie rzeczywistego stanu faktycznego, co jest niezbędne dla powzięcia i wypowiedzenia właściwego i trafnego sądu. Nie chciałbym też, aby przez kogokolwiek pytania te potraktowane zostały, jako zajęcie takiego czy innego merytorycznego stanowiska.

1) Czy i jakich gwarancji Stalin jest gotów udzielić Polsce i jej sojusznikom co do respektowania naszej pełnej niepodległości w wypadku zawarcia porozumienia z Rządem Polskim?

2) Czy w związku z uwalnianiem terytorium polskiego spod zaboru niemieckiego przez wojska sowieckie odpowiedzialność za bezpieczeństwo wojskowe i policyjne na terenach polskich przeszłyby na władze polskie, czy pozostałyby w rękach wojsk sowieckich i ewentualnie na jak długo? Jakie przyrzeczenia strona sowiecka gotowa była udzielić w sprawie wykonania swego zobowiązania w wypadku pierwszej ewentualności, względnie zabezpieczenia praw obywateli polskich w drugim wypadku?

3) Czy na podstawie dwukrotnych rozmów w Moskwie i stanu faktycznego na terytoriach polskich, zajętych przez wojska rosyjskie, Rząd Polski widzi możliwość faktycznego sprawowa-

nia swych praw zwierzchnich przed opuszczeniem terytorium polskiego przez wojska sowieckie?

4) Czy państwa anglosaskie, po zawarciu nowego układu pomiędzy Polską i Rosją, zobowiązują się udzielić gwarancji w sprawie statutu terytorialnego Polski oraz jej pełnej niepodległości i jak praktycznie wyobrażają sobie wykonanie tej gwarancji?

5) Czy i w jakim stopniu wyjazd polskiej delegacji był uzgodniony z premierem Churchillem przed jego udaniem się do Moskwy, względnie pod jakimi warunkami Pan Premier gotów był podjąć ten wyjazd (chodzi o ostatnią rozmowę z premierem Churchillem w Londynie)? Czy — przed wyjazdem do Moskwy premiera Churchilla — rząd brytyjski zobowiązał się stać na stanowisku memorandum Rządu Polskiego i w jakim stopniu ministrowie brytyjscy udzielili swego poparcia delegacji polskiej w czasie jej rozmów w Moskwie?

P. Grabski: Czy Pan Premier zechce odpowiedzieć na wszystkie pytania razem, czy też osobno?

P. premier Mikołajczyk: Wolę odpowiedzieć na wszystkie.

P. Rybiński: Ja chciałem zadać krótkie pytanie. Podobno była umowa w sprawie przesiedlania naszej ludności, umowa ta miała być zawarta z Komitetem i przesiedlanie tej ludności już się rozpoczęło. Czy sprawa ta była poruszona przez Pana Premiera w rozmowach ze Stalinem i jak się ona przedstawia?

P. Kuśnierz: Czy Pan Premier w rozmowie ze Stalinem poruszył sprawę położenia naszej ludności pod okupacją i kwestię wywożenia tej ludności w głąb Rosji? Czy prawdą jest, że ludność polska została wywieziona do obozu w Kałudze?

P. Józwiak: Pan Premier wspominał w swym *exposé* o konferencji w Teheranie. Czy prawdą jest, że Stany Zjednoczone zgodziły się na konferencji w Teheranie na linię Curzona?

P. Scherer: Jak przedstawia się zaangażowanie prestiżowe Stalina w Komitecie Wyzwolenia, jak daleko to prestiżowe zaangażowanie się może sięgać? Przypuśćmy, że nastąpiłoby zawarcie układu między Polską i Rosją; jak Wielka Brytania wyobraża sobie stan faktyczny ułożenia się wzajemnych stosunków, zanim wojska sowieckie wyjdą z Polski, co Wielka Brytania o tym mówi?

P. Beloński: Pan Premier nam powiedział, że w pewnym momencie w Moskwie była taka sytuacja, że groziło zerwanie stosunków polsko-brytyjskich. Czy można się dowiedzieć przy jakiej okazji ta sytuacja nastąpiła i szczegółów tej rozmowy, bo ta rzecz naświetliłaby nam konferencję w Moskwie?

Drugie pytanie. Chodzi o podział Ukrainy i Białorusi — Stalin powiedział, że nie może się zgodzić, aby to nastąpiło. Jeżeli Stalin zajmuje takie stanowisko, czy nie było prób przekonania go, że należałoby aby sobie zabrał tych Ukraińców i Białorusinów, którzy by chcieli optować na rzecz Związku, a zostawił tereny Polsce?

Wreszcie trzecie. W związku z rozmową z Bierutem Pan Premier powiedział, że Bierut obecnie nie obstaje przy uznaniu konstytucji z 1921 r. i skłonny jest mówić o konstytucji z 1935 r. i padło nawet powiedzenie, że można stworzyć nową wspólną deklarację, czy byłaby to deklaracja podobna do konstytucji z 1935 r., czy też pośrednia między 1935-1921?

Pan Premier mówił również o tym, że stosunek Stalina podczas ostatniej konferencji był cieplejszy, aniżeli podczas rozmów w sierpniu i że sprawa wyjazdu Pana Premiera do Polski była przyjaźniej postawiona. Chciałem zapytać, czy Pan Premier wyobraża sobie ten wyjazd do Polski przed nawiązaniem stosunków z Rosją, czy też po?

P. Kiersnowski: Czy w związku z wizytą Pana Premiera w Moskwie były próby ulżenia doli ludności naszej zarówno po tej, jak i tamtej stronie linii Curzona? Mówię tu o pomocy zarówno materialnej, jak i pocztowej, w ogóle o przełamaniu tego chińskiego muru, jakim ta ludność jest odgrodzona od świata.

P. Ciołkosz: Chciałem zapytać Pana Premiera, czy Rząd nadal traktuje memorandum z dnia 21 sierpnia wraz z uwagami, w jakie zaopatrzyły to memorandum czynniki krajowe, za ostateczną granicę ustępstw? Drugie — czy Rząd Polski był intymowany o treści decyzji powziętych na konferencji w Teheranie, czy Rząd Polski o to pytał?

P. Grabski: Nikt więcej się do pytań nie zgłasza, proszę zatem Pana Premiera o odpowiedź.

P. Mikołajczyk: Jeżeli chodzi o pytanie, czy w związku z uwalnianiem terytorium polskiego spod zaboru niemieckiego przez wojska sowieckie odpowiedzialność za bezpieczeństwo wojskowe i policyjne na terenach polskich przeszłaby na władze pol-

skie, odpowiem, że mam wrażenie, iż Panowie odpowiedź na to znajdują w umowie między Rządem Sowieckim a Komitetem, której treść jest taka, jak umowa sowiecko-czechosłowacka.

Pytanie: Czy i jakich gwarancji Stalin jest gotów udzielić Polsce i jej sojusznikom co do respektowania naszej pełnej niepodległości w wypadku zawarcia porozumienia z Rządem Polskim? Ta rzecz miała być uwidoczniiona zarówno w publicznej deklaracji, jak i oczywiście w układzie polsko-sowieckim, który byłby zawarty i podpisany.

Jeżeli chodzi o pytanie, czy na podstawie dwukrotnych rozmów w Moskwie i stanu faktycznego na terytoriach polskich, zajętych przez wojska sowieckie, Rząd Polski widzi możliwość faktycznego sprawowania swych praw zwierzchnich przed opuszczeniem terytorium polskiego przez wojska sowieckie, odpowiem, że osobiście przekonywuje mnie o takiej możliwości następujący fakt. Jeżeli 3 miesiące temu zupełnie była nieznaną sytuacja w Polsce i wyglądała sytuacja raczej tak, że każdy kto tam się uda nie będzie miał żadnych warunków bezpieczeństwa i możliwości działania, to obecnie zarówno z rozmów z dziennikarzami, jak i tego co głosi Komitet, iż napotyka na silny opór narodu przeciwko Komitetowi skierowany, uważam, iż Rząd opierając się właśnie na tym oporze narodu miałby możliwości działania.

P. Ciołkosz: Czy też: Rząd miałby możliwości organizowania tego oporu.

P. Mikołajczyk: Ten opór przekształciłby się w poparcie dla Rządu. Drobny przykład, charakteryzujący te rzeczy. Na ostatniej wizycie u Stalina, Witos, Żymierski i Morawski przedstawili taki stan rzeczy. Przyjeżdżają na wiece i chłopci ich wygwizdują. Jeżeli jest możliwość wygwizdywania, to coś znaczy. Na zapytanie dlaczego odszedł Jedliński, wojewoda lwowski, padła odpowiedź, że „wyrzuciliśmy go, bo zadeklarował, że będzie z nami pracował, a pracował z rządem”. To samo z Witosem, który nie przeprowadził reformy rolnej. Fakt, że całe oddziały żołnierzy zmobilizowanych są wyprowadzane w lasy świadczy o tym, jak dalece opór istnieje i świadczy o zachowaniu się naszej ludności. Z drugiej strony fakt, że dzisiaj publicznie mówią i piszą o tym sabotowaniu ich zarządzeń, świadczy jednakże, że bez wielkiego i gwałtownego terroru nie są w stanie kraju opanować. Twierdząc więc, że ten opór przekuty na poparcie dla pracy Rządu Polskiego jest dzisiaj większą niż trzy miesiące temu gwarancją, bo wtedy nie było żadnych sprawdzianów możliwości takiego sprawowania

władzy w państwie polskim. To nie znaczy, że to jest absolutna gwarancja, albo że to miałyby być *à la longue*, tym niemniej muszę powiedzieć, że odpowiedź moja na pytanie trzecie jest — raczej tak.

Czwarte pytanie dotyczy kwestii wyjazdu. Mam wrażenie, że ono by nas za daleko zaprowadziło, dlatego na nie nie odpowiem.

Jak się zachowali Brytyjczycy w Moskwie — Panowie usłyszeli z mojego sprawozdania.

Jeżeli chodzi o zagadnienie przesiedleń — mówiłem o przesiedlaniach i mówiłem o aresztowaniach na terenie Polski, zaraz na pierwszej konferencji, wprost w obecności wszystkich, wprost w oczy Stalinowi. W pierwszym wypadku, kiedy o tym mówiłem — odpowiadano, że oczywiście dzieją się rzeczy i dobre i złe; w drugim wypadku Stalin zamilczał i w ogóle na to nie odpowiedział; w innym wypadku powiedział: gdyby były rzeczy ułożone, to z pewnością te fakty by się nie powtarzały.

Co do umów i przesiedleń, to sytuacja wygląda w ten sposób, że o ile mi wiadomo, bo potrafiłem się dowiedzieć, jest ten wypadek, o którym wiadomość przyniósł nasz telegram: z Wileńszczyzny wywieziono 12 tysięcy ludzi do Kaługi; inny wypadek o zabieraniu na prace ze Lwowa do Donbasu.

Wiem, że napłynęła do Moskwy duża ilość wniosków Polaków w Rosji o powrót na terytoria już uwolnione. Odpowiedź Związku Patriotów miała być taka — za ścisłość nie ręczę — że ponieważ wojna trwa, wysiłek wojenny w pracy jest absolutnie potrzebny, dlatego w tej chwili nie należy ruszać z miejsca.

Co do kwestii ludzi aresztowanych, to w projekcie deklaracji, która miała być ogłoszona, był również i ten ustęp, który mówił o zwolnieniu aresztowanych.

Padło pytanie, czy St. Zjednoczone w Teheranie zgodziły się na linię Curzona. Tak twierdził Mołotow na konferencji moskiewskiej; zaprzeczenia ze strony obecnych nie było. Zwróciłem się do prezydenta Roosevelta o wyjaśnienie tej sprawy.

P. Schwarzbart: A był zastępca amerykański na konferencji?

P. Mikołajczyk: Tak, ale jako obserwator, nie zabierający głosu. Osobiście ambasador amerykański w rozmowie ze mną twierdził, że to na konferencji w Teheranie nie było ustalone.

Co do wprowadzenia merytorycznie czy prestiżowo zagadnień Komitetu, to z tego, co mówił Churchill ze Stalinem i co ja mówiłem ze Stalinem osobiście, wynikałoby, że odpowiedź jest na pierwszej konferencji. Stalin zarzucał, że ignorujemy taki

fakt, jak istnienie Komitetu, z którym rząd sowiecki zawarł umowę. Odpowiedziałem, że tak, owszem, ignorujemy, a w pewnym stopniu nie ignorujemy. Ignorujemy, jeżeli chodzi o fakt uznawania Komitetu, boć przecież i rząd sowiecki nie uznaje Rządu Polskiego, który zorganizował opór Polaków, armię, lotnictwo, wojsko, który walkę prowadzi od 1939 r., skąd więc my byśmy mieli uznawać fakt istnienia Komitetu. Odpowiedź wtedy padła ze strony Stalina, że „owszem, uznajemy Rząd Polski i jego dorobek, chodzi tylko o kompromis i doprowadzenie do jednego mianownika, bo nie może być dwóch rządów w jednym państwie”. Powiedziałem następnie Stalinowi, że jeżeli chodzi o ten odcinek gdzie nie ignorujemy istnienia Komitetu, to wtedy, kiedy mówimy w naszym memorandum, że gotowi jesteśmy, przy rekonstrukcji Rządu, wprowadzić piątą partię, P.P.R., a przecież ta partia jest jedyną, wyłączną podstawą istnienia całego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Pyta p. Beloński o stosunki polsko-brytyjskie. Oczywiście naprężyły się one, kiedy odmówiłem zgody na linię Curzona, co do której rząd angielski, nie po raz pierwszy zresztą, już zabrał głos nawet publicznie. Być może, że to było w uniesieniu, ale wtedy padło wyraźne stwierdzenie, że w takim razie przestaną Brytyjczycy uznawać Rząd Polski i będą zmuszeni uznać Komitet Wyzwolenia Narodowego.

P. Schwarzbart: Padło takie powiedzenie?

P. Mikołajczyk: Jak mówię, mogło to być powiedziane w uniesieniu, być może, że to była groźba. Odpowiedź moja była przypomnieniem tego samego odcinka rozmów w Londynie, kiedy na zarzut, że pragniemy siedzieć w Londynie, odpowiedziałem, że w tej chwili wolałbym być na terenie Polski, okupowanym przez Niemców i zginąć z rąk niemieckich, niż być w obecności ambasadora angielskiego powieszonym przez Rosjan.

Co do zagadnienia ukraińskiego, wymiany ludności — to to zagadnienie jest zawarte w naszym memorandum. Tym niemniej, była tu także wymiana zdań ze Stalinem, który oświadczył: „p. Mikołajczyk chce zabierać tereny ukraińskie, a więc okazuje się, że jest imperialistą, a nie docenia i ignoruje fakt istnienia półtora miliona żołnierzy ukraińskich w Armii Czerwonej”. Odpowiedziałem, że owszem, uznaję bohaterstwo półtora miliona Ukraińców w Armii Czerwonej, ale jako Polak muszę podkreślić, że od 1 września 1939 r. w walce z Niemcami zginęło definitywnie przeszło 5 milionów Polaków.

P. Schwarzbart: 3 miliony Ukraińców jest w armii niemieckiej...

P. Mikołajczyk: Była także rozmowa na ten temat.

Co do kwestii Bieruta i Konstytucji — wcale nie łudzę się co do tego, że postawienie sprawy przez p. Bieruta w tej chwili w czymkolwiek zmienia sytuację. Powiedziałem mu: panie, pan chyba nie wierzy na serio, że na podstawie konstytucji z 1921 r. może pan wydedukować swoją kandydaturę! Ale kiedy mówią oni, że można ustalić wspólną deklarację konstytucyjną, która by była programem wspólnym do czasu uchwalenia konstytucji przez pierwszy sejm niepodległy, to chcą w dalszym ciągu uzyskać to, na czym nam zależy, to jest drogę legalizmu. Ale podkreśleniem różnicy w sposobie stawiania i w tonie, która wpływa z tego, co Stalin powiedział na konferencji, że zagadnienie konstytucji nie powinno tu stanowić przeszkody, bo na dłuższą metę między Polakami sprawa będzie rozwiązana, jako odgłos tego, było stanowisko Bieruta.

Co do kwestii materialnej pomocy dla Polaków w Rosji — sprawa wygląda w ten sposób, że materialna pomoc i prawo o jej zabieganie zostało w Rosji postawione w ten sposób, że zajmuje się tym Komitet.

P. Kiersnowski: Ale na terenach polskich, na Wileńszczyźnie, we Lwowie itd.

P. Mikołajczyk: No, właśnie.

P. Kiersnowski: Związek Patriotów zajmuje się tylko Polakami w Rosji.

P. Mikołajczyk: Są tam jednak reprezentacje, które odbywają swoje posiedzenia itd. Tutaj to zagadnienie dla nas nie było możliwe do załatwienia w żadnej formie, bez wchodzenia w kontakt z Komitetem. Wiem, bo mówił mi o tym ambasador Harriman, że zwracano się do niego ze strony Komitetu z prośbą o gwałtowną pomoc, szczególnie środki medyczne, ze względu — ale to już na terenie Lubelszczyzny — panowania tam rzekomo chorób zakaźnych na bardzo dużą skalę i brak jakichkolwiek środków medycznych. Ze strony p. Bieruta, było wyraźne przyznanie, że z jednej strony Lubelszczyzna jest odcięta od węgla, stąd zagadnienie ruszenia jakiegokolwiek przemysłu stoi, a z drugiej strony środki komunikacyjne są zniszczone i w pierwszym rzędzie muszą być używane dla dostaw dla Armii Czerwonej tak,

że — jak mówi — należy przypuszczać, iż w ciągu 2 miesięcy nastąpi brak wszelkich środków żywnościowych na terenie tej części Polski.

Jeżeli chodzi o zapytanie ostatnie, zagadnienie memorandum, to stwierdzam, że przedstawiłem Panom to co przywożę z Moskwy. Do niczego się nie zobowiązałem i dlatego niewątpliwie zagadnienie memorandum obowiązuje.

Co do kwestii konferencji w Teheranie — jak mówiłem — co do stanowiska Stanów Zjednoczonych nie ma w tej chwili odpowiedzi prez. Roosevelta. Co do stanowiska W. Brytanii odpowiedź padła dwukrotnie w publicznym przemówieniu — jeżeli chodzi o linię Curzona — premiera Churchilla.

P. Ciołkosz: Mnie chodziło o moment bezpośrednio po odbyciu konferencji w Teheranie, czy rząd polski był intymomowany w wyniki?

P. Mikołajczyk: Nie w tym sensie, że to było przesądzone, tylko prem. Churchill zawsze mówił „powinniście się zgodzić, ja się zgodziłem już tu”. Myśmy po konferencji w Teheranie ciągle stwierdzali, że my na te zagadnienia jako fakt uzgodniony nigdy się nie zgodzimy.

P. Szydłowski: Pan Premier pominął moje pytanie, w którym chodziło mi o gwarancję anglosaską na wypadek zawarcia porozumienia.

P. Mikołajczyk: Niech Pan zaglądnie dziś na ostatnią stronę gazet, co prem. Churchill powiedział.

P. Szydłowski: Premier Churchill powiedział w ten sposób, że jeżeli chodzi o konkretne sprecyzowanie tych rzeczy, to tam nic nie ma.

P. Beloński: A ja bym prosił o odpowiedź w sprawie wyjazdu do Polski.

Prem. Mikołajczyk: Tu muszę podnieść, że atmosfera w Moskwie obecnie — można do tego przywiązywać wagę, albo nie — była jednak zupełnie inna, niż w pierwszym okresie. Prasa sowiecka zachowywała się zupełnie inaczej, poza tym było inaczej co do kwestii swobody poruszenia się, swobody stosunków. — Co do kwestii wyjazdu do Polski, to było podniesione przez samego Stalina, ale to nie znaczy, ażeby mnie to po głowie cho-

dziło, ażebym miał w tej chwili z tego korzystać. Ale proszę nie zapominać, że dopiero przyjazd Churchilla do Moskwy i jego interwencja uzyskała zgodę Stalina na mój wyjazd do Moskwy. A teraz z góry jest postawiona możliwość wyjazdu do Rosji na następną konferencję, względnie wyjazdu na teren Lubelszczyzny.

P. Kuśnierz: Ja chciałbym prosić jeszcze o odpowiedź w sprawie losu ludności polskiej, wywożonej do Rosji.

Prem. Mikołajczyk: Ja mówiłem o tym.

P. Grabski: Czy ktoś zabiera głos?

P. Pragier: Panie Prezesie, jestem zdania, że w tym stanie rzeczy, po sprawozdaniu Pana Premiera, oczywiście nie ma podstaw do prowadzenia dyskusji merytorycznej. Trzeba się ograniczyć do zapytań nad sprawozdaniem, które wypełnią i wyjaśnią treść w tych częściach, w których jednak wszystkie szczegóły nie padły.

Natomiast sądzę, że Rada Narodowa powinna mieć sposobność zastanowienia się i omówienia planu dalszej polityki polskiej, w chwili kiedy rząd ten będzie miał gotowy i opracowany. Ta chwila jeszcze nie nadeszła. Wiem, że znajdują się te rzeczy w stadium przygotowania. Ale w chwili kiedy rząd ustali linie podstawowe, pragnę, aby Rada Narodowa miała możliwość poznania tego stanowiska rządu i wypowiedzenia swego zdania.

P. Grabski: Z tego, co mówił Pan Premier, jestem przekonany, że Pan Premier także tak tę sprawę ujmuje.

P. Pragier: Nie jest to oczywiście żaden zarzut przeciwko sprawozdaniu, gdyż sprawozdanie ujmuje tę fazę, z którą Rada Narodowa ma dzisiaj do czynienia.

Prem. Mikołajczyk: Mogę odpowiedzieć zakończeniem mego przemówienia, że jestem gotów służyć zarówno wtedy, kiedy rząd zajmie stanowisko, jak również jestem gotów wysłuchać Rady Narodowej jako inicjatora.

P. Grabski: Posiedzenie zamykam.

Podał do druku Adam CIOŁKOSZ

NIKTÓRE MATERIAŁY Z NARADY AKTYWU CENTRALNEGO W SPRAWIE SYTUACJI NA FRONCIE KULTURALNYM W DNIU 23.XII.1955

PO ŚMIERCI STALINA...

Okres stalinowski znajduje coraz więcej historyków, komentatorów i specjalistów po obu stronach Łaby. Trudno już obecnie zamknąć klasyfikację i podziały historyczne tej epoki i okresu który nastąpił po śmierci Stalina. Celem niniejszego wyboru dokumentów jest zbliżenie czytelnika do prawdy wydarzeń historycznych, jakie poruszyły nasz kraj w latach 1955-56. Próbuje tu przedstawić jak ścierały się ze sobą dwa prądy; demokratyzacyjny i stalinowski (natoliński), jak rodziła się opinia publiczna i jak wreszcie doszło do interwencji klasy robotniczej — tego właśnie ludu, w imieniu którego partia sprawowała władzę, przedstawiając się jako wyłączny przedstawiciel i przywódca narodu. Wypadki poznańskie wstrząsnęły samozadowoleniem biurokracji partyjnej nie tylko w Polsce ale w całej wschodniej Europie.

Już z końcem 1953 zaczęły wyraźnie narastać sygnały niezadowolenia opinii publicznej, dla której oprócz plotek w gronie najbliższych jedyną „klapą bezpieczeństwa” w tym okresie były listy do redakcji, do Polskiego Radia, zażalenia do najwyższych władz państwowych no i przede wszystkim do Komitetu Centralnego PZPR. Znane, choć niestety nieopublikowane, są cyfry statystyczne i tematyka tych listów; dziesiątki i setki urzędników zatrudniono w działach listów do redakcji, w wydziałach skarg i zażeń urzędów i instytucji państwowych i partyjnych. Tylko skargi „wołające o pomstę do nieba” filtrowane przez wiele szczebli, dochodziły do kierownictwa partii (a i to niezawsze, gdyż często ten czy inny refrent wołał nie przekazywać „wyżej” zestawu skarg zbyt tragicznych, zbyt alarmujących, aby nie narazić się na zarzut defetyzmu, nietypowego doboru listów itd.). W końcu kierownictwo zaczęło sobie zdawać sprawę — mając wszystkie raporty policyjne, tajne, półtajne, ćwierćtajne, sygnały z redakcji, itd. że społeczeństwo boleśnie odczuwa i nie może już znieść wszystkich nadużyć i braków — zwłaszcza trudności ekonomicznych i braku wolności.

Jest faktem, że literaci i dziennikarze (zwłaszcza ci „piszący” z terenu i „czytający” listy), szybciej to dostrzegli i ostrzej zareagowali (początkowo nie przekraczając jednak ram osobistego bezpieczeństwa, czyli nie „wychylając się zbyt daleko”). Ta pierwsza fala krytyk, nacisków, interpela-

cji pod adresem kierownictwa wywołała oczywiście reakcje potężnej i zdawało się nienaruszonej na swoim „Olimpie” grupy najwyższego kierownictwa partyjnego. Klasyczną próbą takiego „przykręcenia” jest przemówienie Jakuba Bermana wicepremiera i członka Biura Politycznego KC Partii do literatów i dziennikarzy wygłoszone 23 grudnia 1955, które tutaj cytujemy. Na marginesie dodajmy, że wbrew klasyfikacji Witolda Jedlickiego to nie Natolińczyk usiłuje „przykręcać” ale właśnie przywódca grupy „Puławskiej”. Trudno tu nie zauważyć że z pięciu wyliczonych przez Jedlickiego w „Klubie Krzywego Koła”, szefów grupy „Puławskiej” Berman odchodzi w marcu 1956, Bierut umarł w marcu 1956, Minc został zlikwidowany z początkiem października 1956 r. a więc jeszcze przed dojściem Gomułki do władzy, a Mazur w rzeczywistości bardziej się skłaniał ku „Natolinowi” aniżeli ku „Puławskiej”; jedynie Zambrowskiego można zakwalifikować jako przedstawiciela „Puławian”, przechylającego się ku odwilży, a i to nie od razu. Zmienia on front dopiero w 1956.

Rok 1955 to okres w którym odpowiedzialnym za sprawy prasy i propagandy w Biurze Politycznym KC PZPR jest Edward Ochab. W grudniu tego roku, w prasie polskiej jesteśmy już po opublikowaniu „Poematu dla Dorosłych” Wazyka, po kilku ostrych wystąpieniach krytycznych w prasie kiedy to w rezultacie kierownictwo partii (Ochab-Berman-Zambrowski) decyduje „zdjęcie” redaktorów naczelnych „Nowej Kultury” i „Szpilek”; Berman tłumaczy zasady kierownictwa partyjnego prasie...

Jerzy MOND

Wypowiedź Jakuba Bermana¹

Towarzysze! Zagajając dyskusję chciałbym się pokusić o zwięzłą ocenę sytuacji na naszym froncie kulturalnym i zatrzymać się na węzłowych zagadnieniach ofensywności i pryncypializmu w walce na froncie ideologicznym i kulturalnym. Na naszym froncie kulturalnym i ideologicznym obserwujemy objawy twórczego fermentu, słusznej krytyki i konstruktywnych poszukiwań, a obok tego sporo zamętu, rozterki, ześlizgiwania się na obce pozycje. Równocześnie zaś nie może ująć naszej uwagi wzmożenie agresywności wrogich ośrodków burżuazyjnych, w szczególności klerykalnych.

Wahania przeniknęły również do kół partyjnych w niektórych środowiskach, np. dziennikarskich, łącząc się częstokroć z niezrozumieniem lub z fałszywą oceną także naszej polityki gospodarczej. W tych warunkach staje się konieczne szersze omówienie całokształtu twórczej krytyki i przeobrażeń w naszym obozie a także towarzyszących temu procesowi w warunkach toczącej się u nas ostrej walki klasowej i nacisku obcej ideologii, ujemnych i chorobliwych zjawisk.

Przykład ZSSR...

Podobnie jak to się działo na przestrzeni ostatnich 50 lat, ożywczy prąd przyszedł w czasach ostatnich z przodującej kuźni

1. Ostatnia publiczna interwencja tego przywódcy partyjnego.

myśli marksistowskiej z KPZR. Prąd ten powstał na gruncie walki z beriowszczyzną i jej konsekwencjami, z wypaczeniami leninowskich norm życia partyjnego, z konsekwencjami okresu panowania kultu jednostki, na gruncie walki z objawami dogmatyzmu, rutyny i skostnienia w różnych dziedzinach, na drodze śmiałej krytyki o twórcze stosowanie wiecznie żywej i wiecznie odkrywczej teorii marksizmu-leninizmu. Przewartościowanie całego szeregu wartości nastąpiło na odcinku polityki rolnej, planowania gospodarczego, metod kierowania przemysłem, stylu i metod polityki zagranicznej, usuwania przerostów centralizmu w aparacie państwowym, rozszerzania kompetencji poszczególnych republik związkowych. Na froncie ideologicznym podjęto walkę z komentatorskim i dogmatycznym charakterem wielu prac filozoficznych i ekonomicznych, z objawami pośpiesznych, schematycznych uogólnień z pomijaniem lub niedostatecznym uwzględnianiem materiału faktycznego w pracach historycznych. Widać to np. w dyskusji o źródłach marksizmu, o roli rosyjskich rewolucyjnych demokratów, nie zawsze szczęśliwie ocenianej w poprzednich pracach, widać to z krytyki przywiązywania zbyt małej wartości do poprzedników naukowego socjalizmu — utopijnych socjalistów. Zwalcza się apodyktyczną postawę niektórych ośrodków naukowych, szczególnie to widać w biologii, pogłębia się też krytykę niedostatecznych osiągnięć, i elementy застоju w niektórych dziedzinach sztuki, np. dramaturgia, film a jeśli chodzi o powieści mamy ożywioną krytykę obejmującą bardzo szeroko utwory lat ostatnich.

Równocześnie kierownictwo KPZR ostro zwalcza zarozumiałstwo, zasklepienie, niedocenywanie szeregu osiągnięć naukowych w krajach kapitalistycznych, szczególnie w zakresie techniki, przy równoczesnym przeciwdziałaniu objawom bałwochwalczego stosunku do Zachodu i jego upiększaniu, co się i u nas, jak wiadomo, często gęsto zdarza.

Wszystko to łączy się z przewartościowaniem, w świetle doświadczeń, różnych pozycji i ocen dotychczasowych, jak to uczyniła np. ostatnia Uchwała KC KPZR o budownictwie i architekturze, która ostro oceniając poprzednią praktykę nie cofnęła się przed wyciągnięciem nawet najbardziej krytycznych konsekwencji z przeszłości i wytknęła jasną drogę dalszej pracy twórczych poszukiwań w tej dziedzinie.

Proces wzrostu prężności twórczej, badawczej myśli marksistowskiej przebiega — rzecz jasna — nierównomiernie i w wielu dziedzinach wymaga niewątpliwie jeszcze dłuższego czasu. Jest przy tym sprawą ogromnie istotną, że temu twórczemu procesowi towarzyszy nieustannie czujna troska o głęboki pryncypializm i nie narażenie na szwank niewzruszalnych założeń marksizmu, olbrzymiego i bezcennego dorobku Lenina, wielkiego wkładu Stalina i całej zwycięskiej epoki budownictwa socjalistycznego ZSRR, niewzruszonych założeń zwycięskiej ideologii, których hi-

storycznym potwierdzeniem było i jest rozgromienie hitleryzmu i dokonanie nowego, olbrzymiego wyłomu w świecie kapitalistycznym przez powstanie krajów demokracji ludowej. Coraz potężniej widać wpływ krajów obozu socjalizmu w całym świecie, ostatnio, zaś szczególnie ujawnia się to w Azji i Afryce.

Wszyscy czujemy gorące tchnienie tego wielokrotnie wzmożonego promieniowania politycznego naszego obozu, w oparciu o jego dotychczasowe osiągnięcia, widzimy głębokie przeobrażenia, nowe przegrupowanie sił, które na tej podstawie dzięki jedynie słusznej, ofensywnej, twórczej polityce KPZR się dokonuje.

Pamiętamy, że wyrazem tej czujności i pryncypializmu ideologicznego był ostry odpór, dany próbom podważania podstawowej tezy o prymacie przemysłu ciężkiego w budownictwie socjalistycznym. Już dziś możemy stwierdzić, że twórczy rozwój rewolucyjnej praktyki i teorii marksistowskiej w ZSRR, dążenie do nadrobienia pewnych opóźnień w niektórych dziedzinach, twórczy pęd, który głęboko sięga w masy, wzmagając jeszcze bardziej ich aktywność, wyostrzył ogromnie naszą broń ideologiczną w obliczu olbrzymich zadań, które stoją przed naszym obozem w walce o pokojowe współistnienie i zwycięską rywalizację ze światem kapitalistycznym.

Na froncie kulturalnym w Polsce

Czerpiąc szeroko z tych doświadczeń KPZR, podobnie jak to nasza Partia czyniła na przestrzeni całej swojej historii, staramy się dziś twórczo rozwijać i stosować zasady marksizmu-leninizmu w naszych konkretnych warunkach historycznych, na gruncie własnych naszych doświadczeń i toczącej się u nas walki klasowej. Podjęliśmy tę walkę na III Plenum, zdając sobie w pełni sprawę z konieczności nie tylko usuwania konkretnych wypaczeń, ujemnych objawów w naszym życiu, ale i twórczej krytyki różnych dotychczasowych ocen i pozycji w niejednej dziedzinie. Zdawaliśmy sobie również sprawę, że szczególnie w naszych warunkach, tej walce towarzyszyć mogą, i jak doświadczenie uczy istotnie towarzyszą, objawy pewnej dezorientacji i wahań oraz próby rewizjonizmu ideologicznego. Walka, którą podjęliśmy, dała już niewątpliwie niemałe rezultaty. Uporządkowaliśmy niektóre dziedziny jak np. bezpieczeństwo, jednak jeśli chodzi o całokształt walki, to przebiega ona nierównomiernie, często dość powierzchownie i jak dotąd nie wywołała koniecznego przełomu. Mamy poważne sukcesy jeśli chodzi o ożywienie tętna życia partyjnego i o ofensywność Partii, szczególnie na wsi, mamy niewątpliwie ożywienie krytyki oddolnej i kontroli społecznej. Jesteśmy jednak niewątpliwie spóźnieni w naszej ofensywie III plenumowej na froncie kulturalnym. Trzeba, rzecz jasna, widzieć zachodzące procesy w całej ich złożoności,

widzieć splot krzyżujących się tendencji. Rok bieżący, ostatni rok 6-latki, to w ogólnym bilansie rok dużego kroku naprzód. Rok dużych osiągnięć produkcyjnych, politycznych i kulturalnych. Lecz obok ogólnego wzrostu aktywności mas mamy też objawy rozluźnienia dyscypliny. Obok niewątpliwych objawów umocnienia więzi z masami, mamy objawy osłabienia sprawności niektórych ogniw władzy państwowej i ich ofensywności.

Nie wolno nam lekceważyć nikłego, jak dotąd, tempa rozwoju spółdzielczości, które musimy przewyciężyć, nie wolno nam zamykać oczu na pewien wzrost niektórych przestępstw i objawów korupcji, na większe rozzuchwalenie wrogiej propagandy. Równocześnie utrzymują się od szeregu miesięcy objawy zamętu ideowego w niektórych środowiskach literackich i artystycznych.

Chciałbym przy tym zaznaczyć, że zamęt ten w bardzo różnym stopniu dotknął poszczególne ogniwka tego środowiska, a ze strony szeregu wybitnych twórców spotkał się ze zdecydowanym odporem. Dają się zauważyć objawy dezorientacji i zachwianej równowagi w niektórych kołach dziennikarskich, o czym już wspominałem, jak również wśród studentów. Odrodziły się wahania wśród niektórych naukowców; wśród niezbyt coprawda licznych elementów inteligencji bardziej chwiejnej, mniej ideowo zahartowanej dają się zauważyć wahania, wątpliwości, szczególnie odnośnie naszej polityki gospodarczej. Wzmogło się oddziaływanie ośrodków zmierzających do odciążenia tych elementów od marksizmu przy pomocy znacznie bardziej wyrafinowanych i perfidnych argumentów niż dawniej. Np. próby nieuczciwego i podstępного manipulowania kwestią jugosłowiańską, w której jak wiadomo nasze stanowisko jest jaknajbardziej jasne, demagogią socjalną, krytyką z „humanistycznych” pozycji. Wszystko to nie może, rzecz jasna, na dalszą metę pozostać bez wpływu również na pewne odłamy klasy robotniczej, jeśli nie damy temu należytego odporu. O tym musimy pamiętać.

Jak należy najbardziej skutecznie rozproszyć wątpliwości i wahania, usunąć rozterkę, rozszyfrować i rozbić obcą i wrogą argumentację, mocniej skonsolidować na naszej platformie ideowej środowiska literackie i ideowe, wzmóc ich prężność twórczą i więź z Partią? Zdołamy tego dokonać skutecznie i, jak wierzę w stosunkowo niedługim czasie, jeśli realizując konsekwentnie wytyczne III Plenum będziemy na tym odcinku twardo i konsekwentnie usuwać obciążenia błędów i wypaczeń poprzedniego okresu, resztki skostnienia i dogmatyzmu, a równocześnie z całą pasją kierować ogień przeciwko wszelkim próbom podważania naszych założeń ideowych, przeciwko wszelkim tendencjom rewizjonistycznym i lewacko-anarchistycznym.

Rzucając okiem wstecz należy stwierdzić, że kierunkowe nacełowanie środowisk twórczych ze strony Partii było w zasadzie

słuszne, wiązało się z węzłowymi zadaniami przeobrażeń społecznych, walki ideologicznej i budownictwa socjalistycznego. Potrafiliśmy też do tej walki włączyć wielu pisarzy starszego pokolenia, którzy nie mają wkład wnieśli do twórczości 10-lecia. Leon Kruczkowski, który na przestrzeni wielu lat towarzyszy naszym poszukiwaniom rewolucyjnym, w niejednym ze swych dramatów oddał szlachetny dźwięk dzwonów naszych czasów, ich rozterkę i patos. Przyszła do nas, po długiej i jakże niełatwej wędrówce, Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, która przywędrowała z daleka, włączyła się w nurt naszych przeobrażeń, służąc im dojrzałym kształtem swych przeżyć i przemyśleń, swej twórczości, staje się nam bliska. Z nami był do ostatniego tchnienia wielki Julian Tuwim, który czuł tak dobrze gorące tętno naszego życia i szukał dla niego najpiękniejszego wyrazu. Z nami był iskrzący się, przepiękny talent poetki Gałczyńskiego. Na przestrzeni 30 lat kroczy w naszych szeregach w niełatwym marszu Władysław Broniewski, wielki trubadur naszej rewolucji, poeta, który potrafił potrącać o najgłębsze struny naszego serca. Mógłbym wymienić wiele innych nazwisk, mógłbym wymienić całą plejadę młodych. Jesteśmy dumni z naszych pisarzy. Tym troskliwszą, tym delikatniejszą powinniśmy otaczać ich opieką, pomagać im w chwilach trudnych, pomagać im w zdobywaniu prawdy, rzetelnej prawdy o kształtowaniu naszego życia. Potrafiliśmy nie tylko nawiązać do postępowej spuścizny kulturalnej, ale często odkryć ją na nowo, twórczo przewartościować, włączyć do gmachu naszej kultury.

Padają również w poprzednich latach nieraz ostrzeżenia przed schematyzmem i lakiernictwem, natomiast trzeba podkreślić, że inspiracja nasza była zbyt skąpa, zaś zasięg oddziaływania ideologicznego zbyt wąski. Nieprawdą jest, że hamowaliśmy twórczość literacką lub usiłowaliśmy ją włączać w jakieś ciasne ramki — ale nikt z nas nie chce zamykać oczu na wpływ imponderabiliów, które wynikały z klimatu ówczesnego okresu. Były też elementy upraszczania, a nawet zniekształcania naszych w zasadzie prawidłowych sugestii, jeżeli chodzi o tzw. zamówienie społeczne, były elementy niecierpliwości, przynaglania w osiąganiu doraźnych wyników. Sugerując słusznie kierunek poszukiwań, nie uwzględnialiśmy chyba częstokroć dostatecznie stopnia dojrzałości ideowej czy artystycznej pisarza, całej zawikości procesu twórczego artysty, trudności, z jakimi wypadnie mu się borykać w toku realizacji jego zamierzeń twórczych. Nie mogło to, rzecz jasna, pozostać bez wpływu na wynik twórczości literackiej i w innych dziedzinach sztuki.

Nie przeciwstawiliśmy się też dostatecznie w porę i dostatecznie ostro wszystkimi rozporządzalnymi środkami, jak nasza polityka wydawnicza, krytyka literacka, kształtowanie przez nas szerszej opinii publicznej, tendencjom do schematyzmu, uproszczeń, lakiernictwa, szczególnie jaskrawych w niektórych tzw. po-

wieściach produkcyjnych, scenariuszach i reportażach. Tendencjom do bezkonfliktowości, omijania ostrych i skomplikowanych zagadnień w literaturze, nie dawaliśmy należytego odporu. Nie sprzeciwialiśmy się tak stanowczo jak należało zbyt wąskiej niekiedy interpretacji realizmu socjalistycznego, tolerowaliśmy zbyt długo objawy asekurantstwa w niektórych ogniwach wydawniczych, aczkolwiek potępialiśmy to niejednokrotnie jeszcze w latach 1950, 1951 i następnych.

Nie potrafililiśmy też nie dopuścić do dużego zasklepienia i izolacji środowisk twórczych, do powstania takiego klimatu, który sprzyjał wyolbrzymianiu lub wypaczaniu rozumienia różnych zjawisk. Pewną rolę odegrała tu również wahadłowa i niekonsekwentna działalność Ministerstwa Kultury, jak również słabość trzonu partyjnego w związkach twórczych.

W polityce upowszechniania kultury, która ma swoje osiągnięcia, nie brak było objawów biurokratyzmu, powierzchowności, wulgaryzatorstwa. Za mało, o wiele za mało było troski o wychowanie szerokiego aktywu działaczy kultury, którzy by nadawali coraz większy rozpęd masowemu ruchowi kulturalnemu i uchroniliby go od piętnej kampanijności.

Nie udało nam się w poprzednich latach uchronić od choroby socjologizmu w badaniach literaturoznawczych i podręcznikach historii literatury, lecz mimo tych błędów zapoczątkowaliśmy głęboką orkę, jakże zachwaszczonej i zakłamaney przez ideologów szlachecko-burżuazyjnych historii naszej literatury i dopracowaliśmy się szeregu cennych pozycji w tej dziedzinie.

Nie uniknęliśmy też eklektyzmu, braku pryncypializmu w krytyce literackiej, co ciąży na nas jeszcze do tej chwili. Nie należy przy tym zapominać, że wspomniane błędy wyrastały z całości kształtu zjawisk poprzedniego okresu. Nie pomniejszając bynajmniej ich szkodliwości, byłoby grubym uproszczeniem doszukiwanie się źródeł tych zjawisk w jakimś powszechnym zakłamaniu, jak to niektórzy usiłują twierdzić. Potępiamy niewątpliwie z całą ostrością lakiernictwo w literaturze, podobnie jak w prasie i propagandzie. Tu i ówdzie były one niewątpliwie produktem cyników, nie wierzących w to co piszą.

Niezależnie jednak od pojedynczych wypadków cynizmu i zakłamania, lakiernictwo przede wszystkim wyrastało z obawy przed podejmowaniem krytyki, z nieporadności myślowej i artystycznej, prymitywizmu w podejściu do złożonych zjawisk naszego kipiącego, pełnego przeciwieństw życia. Wynikało też z fałszywie pojętego zamówienia społecznego, z elementów jednostronności i pewnego zniekształcenia naszej propagandy, również wyrastającej z ówczesnego klimatu.

Niezależnie jednak od intencji — szkoda, jaką wyrządzili lakiernicy, budząc nieufność i odstręczając ludzi była duża. La-

kiernictwo i prymitywizm nie pomagają nam, lecz przeszkadzają w walce. Należy więc wszelkie ich nawroty z całą surowością tępić.

Dwie „szkodliwe” tendencje

Krytycznej analizie naszych doświadczeń i różnych zjawisk w naszym życiu oraz ich twórczemu przewartościowaniu towarzyszą na gruncie toczącej się ostrej walki klasowej różne zjawiska ujemne. Mamy niewątpliwie wciąż jeszcze w środowisku literackim dużą dezorientację, wahania ideowe, a nawet zamęt, mamy osłabienie poczucia odpowiedzialności i dyscypliny partyjnej. Te ujemne zjawiska znajdują wyraz głównie w dwóch tendencjach: 1) pierwsza tendencja ideologiczna ma charakter jawnie rewizjonistyczny i stanowi swoisty nawrót do pozycji kół liberalnych z lat międzywojennych. Punktem wyjścia jest dla niej często nawiązywanie do naszej słusznej krytyki, lecz wnioski, które usiłuje wyciągnąć prowadzą do zakwestionowania istotnych założeń marksizmu. Najbardziej typowym przykładem tej tendencji ze wszystkimi jej wewnętrznymi sprzecznościami jest np. Chałasiński, a wśród krytyków literackich chyba Błoński.

2) Druga tendencja żegluje przeważnie pod flagą śmiałego nowatorstwa, za którym kryje się pustka drobnomieszczańskiego radykalizmu. Ma ona różne odcienie: utopijno-socjalistyczny, wolutarystyczny, relatywistyczny i inne. Nie chcę tych zjawisk upraszczać, wyrastają one często z prymitywnego, nie naukowego rozumienia całej złożoności toczącej się u nas walki i procesów społecznych, towarzyszących im trudności gospodarczych, ich przeciwieństw najbardziej widocznych i budzących niezrozumienie, jeśli chodzi o politykę płac. Wynikają one niekiedy z bolesnej rozterki wewnętrznej i z zagubienia w tych przeciwieństwach, z łatwizny myślowej i ulegania drobno-mieszczańskiej argumentacji.

Punktem wyjścia znów jest często słuszna skądinąd krytyka poszczególnych faktów i objawów w naszym życiu, lecz fałszywa ich interpretacja przysłania i wykoszlawia całokształt zachodzących procesów. Zaś przypisywany tym faktom rodowód godzi w sam sens budownictwa socjalistycznego i prowadzi na bezdroża zwątpienia, bezsilności i rezygnacji, jak np. w oszczerczym wierszu Ważyka.

Łączą się to niekiedy z metodą umyślnego chyba prymitywizowania i ośmieszania kryteriów marksistowskich, przez przedstawianie ich w absurdalnym świetle. Widać to np. w niektórych felietonach Andrzejewskiego, lub w pogoni za oryginalnością i efekciarstwem, jak u Flaszana. Towarzyszą temu częstokroć różne teoryjki na temat „immanentnego zła”.

Nie jest przypadkiem, że w tej właśnie atmosferze rodziły

się nihilistyczne oceny 10-lecia, które znalazły odbicie nawet w tak bliskim nam ideowo Kocie.

Jakie są źródła tych tendencji? W ostatecznym rachunku wyrastają one z wewnętrznych, nie przewyższonych do końca sprzeczności światopoglądowych, które tkwią w tych pisarzach. Niekiedy z pomieszania pojęć, które nie przypadkowo musiały wyjść na jaw właśnie w obecnym okresie.

Tak się niestety stało, że w tej sytuacji kilku starych komunistów, czynnych na froncie ideologicznym, spęzło na pozycje pojedynstwa. Chodzi przede wszystkim o tow. Pawła Hoffmana, który w obliczu wahań u niektórych pisarzy, zamiast w oparciu o całą swą wiedzę przyjść im z rzetelną pomocą, zajął jeszcze wiosną bież. roku pozycję wyczekiwania na jakieś samoczynne procesy krystalizacji ideowej, następnie zaś wręcz patronował tak szkodliwym wypadom jak wiersz Ważyka, konstruując nawet całą „teorię” integralnej wolności poetyckiej twórczości, jej immunitetu. Było to dalszym rozwinięciem jego defensywnej od wielu miesięcy postawy w redakcji „Nowej Kultury”. Pozycja tow. Hoffmana ma swe źródło w opacznym niestety rozumieniu całego mechanizmu walki ideologicznej w środowisku literackim i nie tylko literackim.

Nie małą szkodę wyrządziło też w swoim czasie publiczne wystąpienie tow. Siekierskiej, która zakwestionowała rolę Partii w oddziaływaniu na sztukę i przyczyniła się do pogłębienia zamętu w środowiskach artystycznych. Szkodliwość tych faktów była tym większa, że nie spotkały się one z odporem w partyjnym środowisku literackim, chociaż są już pewne objawy otrzeźwienia u wielu dezorientowanych i zbitych z tropu literatów i krytyków literackich.

Wciąż jednak nie brak tendencji do bezideowego nowinkarstwa. Za przykład może posłużyć bodaj kolumna debiutów poetyckich w ostatnim numerze krakowskiego „Życia Literackiego”. Z uwagą i z troskliwością chcielibyśmy się nachylać nad każdym okruczem poezji, nad każdą iskierką talentu. Ale kiedy się gorączkowo drukuje obok obdarzonych taką iskierką, niedojrzałe czy wręcz bałamutne, nieudane próby ledwie ząbkujących poetów, zdumiewać musi jakaś dziwaczna niecierpliwość w wyławianiu dziwności i dziwolągów. Byleby szokujących. A szkoda, bo wyrządza to niepowetowaną krzywdę nie tylko tym początkującym, nawet jeśli to się dzieje pod auspicjami głośnych skądinąd i dorosłych już poetów.

Zjawiska dużej wagi na naszym froncie ideologicznym zaznaczyły się w dyskusji zapoczątkowanej w „Nauce Polskiej” i kontynuowanej następnie w „Przeglądzie Kulturalnym” na temat rozwoju polskiej humanistyki i programu badań społecznych na gruncie marksizmu-leninizmu. Osiągnięciem tej dyskusji jest po pierwsze: odsłonięcie niektórych z gruntu fałszywych, rewizjonistycznych tez Chałasińskiego i danie tą drogą przez różnych auto-

rów mniej lub bardziej konsekwentnego, ale zdecydowanego odporu tendencjom rewizjonistycznym i teoryjkom o niewystarczalności kryteriów marksistowskich, które nie ograniczają się do Chałasińskiego i mając nieco szerszy zasięg w kołach naukowych. Drugim osiągnięciem tej dyskusji są próby bardziej konkretnego i rozwiniętego zwalczania objawów dogmatyzmu, a nawet zastoju w niektórych dyscyplinach naukowych; dotarcia do źródeł tych zjawisk i przełamywania trudności na drodze ściślejszego wiązania badań naukowych z praktyką, z zadaniami budownictwa socjalistycznego. W toku tej dyskusji tow. Schaff, który należy do jej inicjatorów, i wniósł do niej pewien wkład, dopuścił się kilku ciężkich błędów ideologicznych. Zaplątał się w powierzchownym, całkowicie nieuargumentowanym twierdzeniu na temat „złego funkcjonowania dyktatury proletariatu”, puścił się na mętłą falę rozważań kwestionujących dorobek marksistowskich badań społecznych na przestrzeni kilku dziesięcioleci, stworzył pozory rzekomo nierozwiązalnej sprzeczności między uchwałą partyjną a sumieniem badacza naukowego.

Co jest źródłem tych błędów?

Kierując się słuszną skądinąd pasją zwalczania objawów skostnienia w niektórych dziedzinach i zastoju np. w zakresie tzw. społecznych badań terenowych, tow. Schaff wbrew koniecznej w tej walce czujności i dyscyplinie ideowej zapędził się w swych jednostronnych dociekaniach do z gruntu fałszywych i szkodliwych uogólnień, które wbrew intencji autora muszą być rozumiane jako próba zakwestionowania olbrzymich osiągnięć teorii marksizmu na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Na skutek tego tow. Schaff zamiast pogłębić twórczą dyskusję, spowodował jej przejściowe zagmatwanie. Tow. Schaff zrozumiał swój błąd i dał temu wyraz w swych wystąpieniach i w liście do KC, ale z tego doświadczenia wyciągnąć należy należyta naukę.

Polemika z „Kulturą”

Nie rezygnując bynajmniej z twórczego zaczynu, zawartego w obecnych poszukiwaniach i w krytycznym przewartościowaniu wielu zjawisk na gruncie walki ze schematyzmem i wulgaryzatorstwem, na gruncie walki o twórczy marksizm, nie wolno nam ani na chwilę zapominać o grożącym przy tym niebezpieczeństwie ześlizgnięcia się z konsekwentnie marksistowskich, rewolucyjnych pozycji. Nie wolno nam też ani na chwilę zapomnieć o perfidnych i wyrafinowanych formach penetracji wroga. Pozwólcie, że zacytuję kilka wypowiedzi z artykułu Juliusza Mieroszewskiego, drukowanych w 1955 listopadowym numerze paryskiej „Kultury”.

Opierając się na dłuższym wywodzie, z którego wynika, że „wyzwolenia od zewnątrz nie będzie. Nadzieje wschodnich europejczyków związane są z ewolucyjnymi przemianami, jakie za-

chodzą w ustrojach komunistycznych". W związku z powyższym Mieroszewski rozważa następujące dwa punkty:

„w jakiej mierze (i czy w ogóle) sfery intelektualne w kraju dążą do rozszerzenia sfery wolności? Czy jest rzeczą możliwą i pożądaną, byśmy (tzn. emigracja) na tym odcinku z intelektualistami w Polsce współpracowali?”.

Pierwsza droga, na którą liczył — masowa ucieczka intelektualistów, masowy sabotaż intelektualistów — zawiodła. Wobec tego Mieroszewski pisze:

„...Dруга droga wiodła poprzez partię. W tym wypadku nie chodzi o żaden wallenrodyzm. Gdyby jednak z kół intelektualnej elity polskiej wyszło w okresie ubiegłego 20-lecia 30 czy 50 wybitnych marksistów, siłą rzeczy polski komunizm byłby czymś innym niż sowiecki. W polskim wydaniu komunizm zatraciłby cechy typowo rosyjskie i w przyszłości mógłby się stać bazą ideową nie kontrrewolucji, lecz stopniowej ewolucji”. I dalej: „Nie wydaliśmy jednak ani wielkich komunistów, ani wielkich apostatów, tylko legion kolaborantów” — załamuje ręce Mieroszewski.

Reasumując swe rozważania Mieroszewski wyciąga następujące wnioski: „...intelektualiści w kraju nie podjęli wezwania komunizmu. Nie dążyli do kompromisu, ani nie usiłowali przyjąć komunizmu by z bazy doktryny marksistowskiej wpłynąć na ewolucję ustroju wewnętrznego Polski, ani nie podjęli prób ucieczki na Zachód w manifestacyjnej skali”.

„Jeżeli przez „wyzwolenie” od wewnątrz — rozwodzi się dalej Mieroszewski — rozumieć powolną ewolucję ustroju komunistycznego w kierunku demokratyzacji i zwiększonej narodowej samodzielności — to stwierdzić należy obiektywnie, że kapitulacja elity intelektualnej możliwości rozwojowe po tej linii utrudnia, jeśli nie całkowicie przekreśla”.

Wobec tego Mieroszewski wyciąga jeszcze w ostatniej chwili rękę, nie zatrzymując drzwi. „Nie tracimy nadziei, gra idzie o tak wielką świecę, że do końca nie pogodzimy się, że jej płomień i światło mogłyby zgasnąć. Mamy jednak zbyt wiele doświadczeń i wiedzy, by pójść na lep inscenizowanych „odwilży”. Owa zmiana — choćby najskromniejszych wymiarów, której czekamy i wypatrujemy, musi być spowodowana nie taktyką, lecz postawą, Ważną postawą” — woła rozpaczliwie Mieroszewski pod adresem naszych intelektualistów.

Co przebijają z tych słów? Wścickła bezsilność i wciąż nie wygasła nadzieja na rozwój sił odśrodkowych w Polsce. Mieroszewski nie może, rzecz jasna, zrozumieć, że nieodwołalne bankructwo emigracji wynika z naszej przewagi moralnej i intelektualnej, z naszej najgłębszej racji, dzięki której zdobyliśmy serca i umysły naszej inteligencji. Ale nie powinno to ani na chwilę osłabiać naszej czujności w stosunku do tych najbardziej wyrafinowanych manewrów.

Walka na dwa fronty

Chodzi o to, aby jak to już sygnalizował kwietniowy list KC, prowadzić z wielokrotnie większą niż dotychczas ofensywnością walkę na dwa fronty: o pełne wykarczowanie dogmatyzmu i schematyzmu, a zarazem przeciw wszelkim próbom rewizjonizmu i eklektyzmu. Przeciwno próbom demobilizacji wobec ideologii burżuazji pod pretekstem fałszywie i płasko pojętej koegzystencji — w takiej jej interpretacji, jakoby była ona ideologicznym kompromisem, a więc otwarciem bram dla penetracji burżuazyjnej ideologii.

Jeśli chodzi o literaturę, to rzecz jasna, obce nam jest, wbrew różnym insynuacjom, pojmowanie literatury jako sloganowej propagandy, ubranej w formę artystyczną. Bić się natomiast będziemy wytrwale o ideowy ładunek literatury, służącej sprawie budownictwa socjalistycznego, o jej coraz głębsze, coraz mądrzejsze wkraczanie do różnych dziedzin życia.

Zdajemy sobie sprawę z nieocenionej wartości szczególnej wrażliwości pisarza. Nie tylko uznajemy w pełni prawo pisarza do odkrywczej, bojowej postawy wobec wszelkich zjawisk naszego życia, w którym nie ma dla niego tabu, ale zachęcamy i ośmielamy go w tym kierunku. Uznajemy w pełni prawo pisarza do przejawiania, do przesady, do typizacji zjawisk w niepoprawnej, jemu tylko właściwej kompozycji artystycznej. Pisał jeszcze o tym Gorki, który ostro potępiał tych pisarzy, którzy nie rozumieją, że prawdziwa sztuka ma prawo do przesady, do wyolbrzymiania, do zaostrzania obrazu, żeby w ten sposób pełniej odświeżyć to, co typowe. Herkulesy, Prometeusz, Don Kichoty, Fausty — pisze Gorki — to nie wytwory fantazji, lecz całkowicie uzasadnione, konieczne poetyckie wyolbrzymianie realnych faktów. Pisała o tych sprawach również mądrze Nałkowska. „I w sztuce pisania, każda deformacja rzeczywistości ujawnia jakąś jej prawdę. Każda deformacja dokonywa się w imię jakiejś słuszności, w imię jakiejś wiary, jakiegoś wewnętrznego przeświadczenia, dokonywa się z jakiegoś stanowiska. Dlatego forma literacka nie jest tylko kategorią artystyczną. I na tej drodze szukać trzeba poznania jej tajemnicy. Forma jest wyrazem stosunku autora do tematu. A to znaczy także: do życia, do człowieka. Jest wynikiem jego postawy wobec świata, jest jego projekcją rzeczywistości. Sam wybór tematu nie jest jeszcze sądem ani wyrokiem. Ale sposób w jaki ujmuje się temat jest tego tematu kwalifikacją, zawiera moment oceny. Ma też wagę sądu moralnego i zawsze go choćby bez wiedzy pisarza wyowiada”.

*Nigdy nie zrezygnujemy
z oddziaływania na ideowy kierunek literatury*

To też wymagamy od naszych pisarzy w traktowaniu tych

niełatwych spraw, coraz wyższej kultury ideowej i artystycznej, aby w walce nowego ze starym, ideowo obcym, umacniali świadomość socjalistyczną. Chodzi nam o nieustanne pogłębianie postawy ideowej artysty, o głębsze przyswojenie przez niego problematyki naszej walki, o zrozumienie całej jej złożoności na gruncie marksistowskiej analizy faktów. Zdajemy sobie sprawę, że obok napięcia ideowego nieodzownym warunkiem rozwoju twórczości literackiej jest klimat swobody poszukiwań tematycznych i warsztatowych. Chcemy unikać drobiazgowej ingerencji, posługując się głównie inspiracją i ogólnym oddziaływaniem ideologicznym. Lecz nigdy nie zrezygnujemy z oddziaływania na ideowy kierunek literatury. Nigdy nie zrezygnujemy z przeciwdziałania obcym wpływom ideologicznym. Będzie naszą nieustanną troską nacelowywanie twórczości literackiej na walkę z balastem starego świata, pojęć i nawyków z epoki kapitalistycznej, z wciąż nawracającą falą drobnomieszczaństwa i kołtuństwa, z różnymi wynaturzeniami w naszym życiu. Będzie naszą codzienną troską budzenie i kształcenie nowych uczuć, służących nowym socjalistycznym stosunkom między ludźmi.

Można w naszym życiu dostrzec objawy neodulszczyzny i hipokryzji także w środowiskach niektórych członków Partii czy ZMP. Z takimi objawami zakłamania należy, rzecz jasna, walczyć i to ostro walczyć, biczując je także satyrą. Ale nie ma powodu na widok tych objawów wpadać w rozpacz, jak to czynią niektórzy literaci. To są uboczne i w pewnym sensie nawet nieuniknione produkty walki klasowej, to są przejściowe zjawiska towarzyszące walce nowego ze starym a znikną one tym szybciej, im ostrzej będziemy je zwalczali.

Te fakty nie powinny nam jednak zasłaniać znacznie szerszego zasięgu zjawisk, całego starego balastu dulszczyzny, drobnomieszczańskiego kołtuństwa, religianctwa, który tak mocno jeszcze ciąży szczególnie w niektórych środowiskach mniej przeoranych przez przemiany rewolucyjne jak nieuprzemysłowione małe miasteczka i wieś. Czy ostrze naszej walki, naszej satyry, nie powinno w większym niż dotychczas stopniu kierować się w tę stronę? Mamy jeszcze przed sobą bezmiar roboty, której nie dokonamy bez czynnego udziału naszych pisarzy i artystów. Mamy jeszcze przebudować wieś, przeorać chłopską psychikę. Od pełnej realizacji tego zadania zależy zwycięstwo socjalizmu w Polsce. Mamy jeszcze nie małą robotę w przeoraniu psychiki tej kadry szczególnie, która niedawno napłynęła do szeregów robotniczych, przynosząc ze sobą ten balast przesądów drobnomieszczańskich. Bez przeorania ich świadomości, bez ukształtowania w nich socjalistycznego stosunku do pracy, do własności społecznej, nie zbudujemy ostatecznie socjalizmu w Polsce.

Ramy i formy oddziaływania Partii na literaturę, będą jeszcze długo przedmiotem dyskusji. Liczymy na to, że pisarze sami nam pomogą w opracowaniu najlepszych form wzajemnego kontaktu

i współdziałania, że nie mało się do tego przyczyni wzmoczone oddziaływanie aktywu partyjnego i jego wzrost ideowy.

Stwierdzając niepokojące objawy w środowisku literackim, nie powinniśmy bynajmniej pomniejszać naszego dorobku w dziedzinie prozy i poezji, który jest nie mały. Powinniśmy nadrobić opóźnienia w dramaturgii i w krytyce literackiej.

Jak przeciwdziałać ujemnym, niepokojącym objawom w naszym życiu, a m.in. i w środowisku literackim?

Na gruncie naszej ogólnej ofensywy ideologicznej i politycznej opracowujemy siłami naszego czołowego aktywu wielki program działania, który obejmuje rozwój całej gospodarki narodowej. Jak wiadomo, 5-letni plan rozwoju rolnictwa będzie tematem najbliższego Plenum. Zmierza ten plan do kształtowania naszego życia gospodarczego na zasadach pełnego uruchomienia inicjatywy mas, zmierza do usprawnienia naszego aparatu państwowego, do jego uelastycznienia i rozsądnej decentralizacji, zmierza do rozszerzenia kompetencji rad narodowych. Wszystko to na gruncie ożywienia przede wszystkim tętna życia partyjnego a także Związków Zawodowych i ZMP.

W tym programie, który zmierza do maksymalnego wykorzystania wszystkich możliwości, aby dalej podnieść stopę życiową i pogłębić budownictwo socjalistyczne — musi być udzielona należyta uwaga całemu kompleksowi zagadnień frontu ideologicznego, oświaty, kultury, nauki i sztuki. Zmierzamy do tego, aby podnieść udział i rolę twórczej inteligencji, ludzi nauki i sztuki w kształtowaniu naszego życia, aby wzmóc w nich poczucie odpowiedzialności za wynik wspólnej pracy. W dziedzinie nauki chodzi o znacznie głębsze zespolenie badań naukowych z zadaniami ogólnego planowania, o zwalczanie rutyniarstwa, uciekania od ostrych i trudnych zagadnień, gubienia się w jałowym przyczynkarstwie, o dalszą rozbudowę bazy doświadczalnej, laboratoriów i aparatury naukowej. Wszyscy wiemy, że przystępujemy również teraz do planowania długofalowego, perspektywistycznego, które wymaga uruchomienia całego świata nauki we wszystkich jego dziedzinach. Dotyczy to zarówno nauk technicznych, matematyczno-przyrodniczych jak i nauk społecznych. W tym celu zamierzamy powołać przy PAN Komitet dla Badań Przemian Społecznych. Tow. Tomasz² w przemówieniu z okazji 5-lecia INS w takich słowach apelował do naszych naukowców: „...nasze studia i prace teoretyczne muszą mieć charakter twórczy, poszukiwawczy, analityczny tzn. bojowy, czynny a nie szkolarski, bierny lub eklektyczny. Ileż to porywających, ważnych, interesujących zadań stawia dziś przed działaczami frontu teoretycznego nasza walka i nasze życie, nasza epoka wielkich przeobrażeń. Ograniczę się do wskazania kilku tylko przykładów, mieszczących w sobie takie zadania: jest niewątpliwie dla nas wszystkich mówi

2. Pseudonim Bieruta z czasów okupacji.

tow. Tomasz sprawą dużej wagi pogłębienie z pozycji leninowskich analizy szczególnych właściwości i cech, które ujawniły się w gospodarce kapitalistycznej w obecnej, powojennej fazie imperializmu. Nie powinniśmy też ustawać w wysiłkach, aby w oparciu o całe bogactwo faktów i doświadczeń ostatniego okresu, uchwycić nowe elementy w antykolonialnym ruchu narodowo-wyzwoleńczym w szeregu krajów Azji i Afryki, wydobyć szczególne cechy rozwoju np. w Indiach, Burmie, Indonezji. Chodzi o próbę uogólnienia tych doświadczeń, wychodząc z podstawowych założeń marksizmu-leninizmu. Najważniejsze jednak obowiązki i zadania stoją przed nami wciąż w zakresie przeanalizowania i uogólnienia własnego dorobku ostatniego 10-letnia w powiązaniu z poprzednim okresem historycznym. Należy stwierdzić, że wyniki naszych wysiłków w tej dziedzinie są niezadowalające. Na wielu odcinkach, jak np. analizy rozmieszczenia sił wytwórczych, wzrostu i struktury klasy robotniczej, zmian zachodzących w strukturze rolnej, analizy ruchów migracyjnych i demograficznych, zmian zachodzących w spożyciu dóbr materialnych, tempa przemian kulturalnych w różnych regionach kraju, brak nam nawet wstępnych badań szczegółowych, bez których nie podobna przystąpić do prac uogólniających. A czy rozwój naszej Partii i jej transmisi na przestrzeni szeregu lat nie wymaga wnikliwych studiów? Czy nie byłyby one pomocne w pokonywaniu wielu trudności, usterek i wypaczeń w naszej pracy? Czy głębsza analiza naszych słabości i zacofania na wielu odcinkach nie oddałaby nam nieocenionej usługi? Czy np. analiza przestępczości, analiza zjawisk z dziedziny moralności społecznej nie byłaby dla nas z jednej strony — źródłem otuchy, potwierdzeniem dokonanych w kraju ogromnych przeobrażeń, a z drugiej strony — bodźcem do jeszcze bardziej energicznego zwalczania ujemnych zjawisk istniejących jeszcze w niemałej liczbie w naszym życiu?”.

Ten apel tow. Tomasza nie znalazł należytego echa ani w naszych instytucjach naukowych, ani w naszej publicystyce. Nie jest też przypadkiem, że zajmowaliśmy się tymi zagadnieniami na Biurze Politycznym, ustalając wytyczne dla „Nowych Dróg” i w innych dziedzinach naszego życia, właśnie idąc w tym kierunku.

Zadania te w różnych dziedzinach wymagają dalszej konkretyzacji, aby badania naukowe coraz pełniej były twórczym wkładem do wspólnych obserwacji i poszukiwań, doświadczeń i uogólnień, których owocem są decyzje kierownictwa w różnych dziedzinach. W dziedzinie oświaty i pedagogii np. chodzi o rozwiązanie szeregu złożonych bardzo zagadnień ogólnego i fachowego wykształcenia, o profil tego wykształcenia, o szybkie podniesienie poziomu i wyników nauczania, o skuteczne bezwzględne zwalczanie werbalizmu, płycizny, wulgaryzacji, przy równoczesnej walce z wpływami burżuazyjnymi, w szczególności zaś z fideizmem — różnie w różnych jego postaciach. Chodzi o wielki wysiłek i

twórcze poszukiwania w kierunku wypracowania skutecznych metod wychowawczych, wyprostowania wypaczeń moralnych i ugruntowania zasad moralności socjalistycznej.

Chodzi o to, żeby jeszcze bardziej podnieść rolę naszych pisarzy i artystów, ich ofensywność ideową, a zarazem wzmóc ich twórcze poszukiwania na gruncie coraz bardziej wnikliwego poznawania naszego życia, wszystkich jego przeciwieństw i prawidłowości ustalanych coraz pełniej dzięki nauce marksizmu-leninizmu.

Walcząc o rozwój literatury na drodze realizmu socjalistycznego powinniśmy dać mocniejszy odpór próbom komenderowania i schematycznego szufladkowania twórczości artystycznej. Chodzi o to, żeby nie dopuszczać do tendencji niwelatorskich i nie uwzględniania indywidualnych odrębności, chodzi zarazem o przeciwdziałanie próbom rozwodnienia realizmu socjalistycznego na mgławicowej „wszelakości”, o danie odporu różnym teoryjkom na temat „współistnienia” różnych systemów ideowo-artystycznych. Chodzi o śmiałość, twórcze nowatorstwo w formie, o bogactwo stylów pisarskich a zarazem o ustrzeżenie artystów przed wynaturzeniami w postaci czczego i jałowego formalizmu, jak np. eksperymenty abstrakcjonistyczne.

Zmusić do zdjęcia przyłbicy...

Chcemy z całą życzliwością pomóc tym twórcom, którzy gubią się w labiryncie przeciwieństw naszego życia, którzy pod wpływem gorzkich refleksji na temat dostrzeżonych błędów i ujemnych objawów w naszym życiu wpadają w rozterkę. Chodzi o konkretną pomoc w pokonywaniu wewnętrznych sprzeczności, przewyciężaniu błędnej interpretacji ujawniających się w naszych czasach procesów. Równocześnie zaś trzeba różniczkować ludzi dobrej woli od przypadkowych elementów i zmusić do zdjęcia przyłbicy tych, którzy stojąc rzeczywiście na obcych pozycjach mącą i jątrzą, zaślaniając się niekiedy pseudosocjalistyczną frazeologią. Czy nie czas śmieiej wystąpić przeciwko miłoszowatym świętoszkom, przeciw pseudohumanitarnym frazesowiczom, przeciw wszelakim heroldom tak zwanego „prawdziwego komunizmu”. Pamiętamy, dobrze pamiętamy, jak Marks przeszło 100 lat temu walczył przeciwko tzw. „prawdziwym socjalistom”, którzy głosili „niebiańskie królestwo snów”, zaznaczając zarazem, że stoją „powyżej wszelkiej walki klasowej”. Podajmy natomiast rękę tym, którzy szarpiają się w rozterce i nie mogą sobie poradzić z bolesną wymową różnych faktów nie rozumianych i nie wytłumaczonych należycie.

Proces krystalizacji poglądów i usunięcia różnych nieporozumień, poczynił w ostatnich tygodniach pewne postępy. Chodzi jednak o to, aby na przestrzeni najbliższych miesięcy zrobić

maksymalny wysiłek celem skonsolidowania na naszej platformie olbrzymiej większości twórców. Nie jest przypadkiem, że najwybitniejsi nasi pisarze i poeci pomimo powstałych w tym środowisku objawów ideowego rozgardiaszu i małoduszności, wykazali głębokie przywiązanie i wierność naszej ideologii, głębokie zrozumienie dla przełomowego znaczenia naszej rewolucji.

Na gruncie dyskusji ideologicznej, obejmującej głównie nasze ośrodki pracy ideologicznej, na gruncie ożywienia działalności Związku Literatów Polskich i innych związków twórczych, której towarzyszyć mają dyskusje szeregu zespołów i dyskusje w czasopiśmie, należy przygotować, jak proponujemy na marzec 1956 r. krajową naradę kulturalną. Do dyskusji, spotkań indywidualnych i zespołów przygotowujących naradę włączyć chcemy szeroki aktyw partyjny, obok naukowców, pisarzy i artystów. Po ustaleniu tej zasady zespoły będą skompletowane w porozumieniu z zainteresowanymi związkami twórczymi. Naszą wspólną troską jest wzmocnienie i wyprostowanie linii naszych czasopism literackich³. Chodzi o to, aby poprzez zaktywizowanie naszej publicystyki dać odpór obcym poglądom, wypełnić chwały biurokratyzmu, bezduszności obłudy w naszym życiu.

W jakim kierunku winna pogłębiać się nasza rewolucja kulturalna? Chodzi, po pierwsze, o dalsze podniesienie naszego szkolnictwa wszystkich szczebli, o pogłębienie zdobytego zasobu wiedzy i jego treści ideowej. Chodzi o zaciętą walkę z werbalizmem, o rozwijanie samodzielności w myśleniu. Chodzi, po drugie, o znacznie, niewspółmiernie większą niż dotychczas i wielostronną aktywizację kulturalną, przede wszystkim mas robotniczych i chłopskich, o rozszerzenie ich zainteresowań, o wzrost ich potrzeb i nawyków kulturalnych. Chodzi wreszcie, po trzecie, o znaczne ożywienie naszych środowisk twórczych, o ich coraz pełniejszy udział w kształtowaniu nowego życia i nowego człowieka.

Jakimi środkami zdołamy to osiągnąć?

Po pierwsze musimy osiągnąć znacznie wyższy poziom pracy naszych związków twórczych i wszystkich ogniw kulturalno-oświatowych i związkowych. Po drugie, musimy osiągnąć znacznie większe docenianie i natężenie pracy partyjnej i ZMP-owskiej na tych odcinkach. Po trzecie, musimy ukształtować i wychować szeroki aktyw kulturalno-oświatowy, motor ruchu kulturalnego. Szczególnie w ruchu kulturalno-oświatowym trzeba strzec się zwężenia proporcji i wypaczenia stosunków między aktywnym etatowym i nieetatowym.

Wreszcie musimy osiągnąć znaczny postęp techniczny w takich dziedzinach jak kinofikacja, jak radiofonizacja, jak telewizja, jak nasza baza poligraficzna i papiernicza, jak nasza działalność wydawnicza i bibliotekarstwo, jak nasze księgarstwo i

3. Dziś Berman może być zadowolony: trzy pisma literackie: „Po Prostu”, „Nowa Kultura” i „Przegląd Kulturalny”, których linię chciał „wyprostować” — przestały istnieć.

handel sprzętem kulturalnym. Na wielu tych odcinkach jesteśmy bardzo zacofani i jest nakazem naszego partyjnego sumienia, ażeby w ciągu najbliższych lat nadrobić te opóźnienia. Bez mobilizacji naszego aktywu nie zdołamy tego osiągnąć. Nie ulega wątpliwości, że szybsze wzmoczenie tętna życia partyjnego, dalsze ożywienie na froncie ideologicznym oddziaływać będzie skutecznie na nasze środowiska naukowe, literackie i artystyczne. Chodzi o to, abyśmy dziś podzielili się jak najbardziej swobodnie uwagami i propozycjami w tych sprawach.

FRAGMENTY WYPOWIEDZI KAZIMIERZA BRANDYSA W DYSKUSJI NAD REFERATEM BERMANA

...Pisarze rozegrali ostry bój ze schematyzmem w literaturze. Pamiętają towarzysze ten okres, który zaczął się w roku 1952 — i zbiegł się zresztą z pewnymi cennymi utworami literackimi, jakie wtedy się ukazały. Wtedy zaczął się ów twórczy ferment, o jakim dzisiaj tutaj wspominał tow. Berman. Rzeczą dla mnie najbardziej charakterystyczną i przemawiającą na korzyść pisarzy jest to, że twórczy ferment, walka, którą pisarze stoczyli z lakiernictwem, z dogmatyzmem, ze schematyzmem, zbiegła się z nurtem krytyki, który wówczas przeniknął całą partię. Pisarze żyli życiem partyjnym, żyli życiem klasy robotniczej, odczuwali głęboko, prawdziwie i boleśnie to co było złe, wcześniej zaczęli o tym mówić na sekcjach twórczych, na zebraniach (niezawsze można było wypowiadać się o tym w prasie literackiej), zebrania były burzliwe. Pierwsze głosy krytyczne czasami nawet były tłumione, mimo to przedarły się, przebiły. Droga była właściwa, kierunek był dobry, zbiegł się z ogólnym kierunkiem, który wtedy zapoczątkowała partia i który znalazł dobitny wyraz na plenach Komitetu Centralnego.

Czy ten twórczy ferment załamał się, wygasł, czy wyrodził się? Jestem głęboko przekonany i mogę towarzyszy tutaj z całą odpowiedzialnością zapewnić, że nie. Ten twórczy ferment, ferment rozwoju, nadal żyje i dominuje w środowisku literackim. Oczywiście, nie od dziś zdajemy sobie sprawę, że istnieją spalone boczne nurty owego fermentu, które usiłują do głównego nurtu rozwoju wtargnąć; że zawsze istnieje niebezpieczeństwo wpostu obcej ideologii; że umiejętnie, zręcznie dyskutowane są nasze błędy, a nawet ich krytyka, przez ludzi nam obcych. Byliśmy niejednokrotnie o tym alarmowani. Niejednokrotnie dawaliśmy publicznie wyraz swojego niepokoju w tej mierze. Nie byliśmy ślepi, nie patrzyliśmy z opuszczonymi rękami, nie słuchaliśmy obojętnie głosów, z którymi zgodzić się nie było można. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że owe boczne nurty mogą nas zalać, że to one w tej chwili uzyskują przewagę.

Oczywiście, w środowisku literackim krąży szereg plotek i

niejasnych wieści; w pewnych publikacjach roi się od podtekstów mniej lub bardziej złośliwych pod adresem naszej rzeczywistości a nawet pod adresem naszej Partii. My te podteksty przecież dostrzegamy. Ale także zdajemy sobie sprawę, że istnieją głębsze przyczyny tego stanu rzeczy: nie jest to tylko histeria, neurastenia czy brak odpowiedzialności kilkunastu młodych ludzi, nie są to tylko obciążenia burżuazyjno-estetyczne czy liberalistyczne. Nie. Każdy z nas, ludzi partyjnych, pisarzy, odczuwa przecież dzisiaj bardzo poważne rozterki, odczuwa trud jasnego zajęcia stanowiska w sprawach bardzo zawiłych. Ciągłe szamoczymy się, ciągle chcemy wytyczyć właściwą linię działalności naszego Związku; jakże nieraz trudno jest odciąć się od słów demagogicznych, złośliwych, w których ukrywa się złe ziarno krytykanctwa — rozróżnić te słowa od głosu prawdziwej troski, prawdziwego niepokoju.

Dlaczego tak jest? Pisarze to nie odrębne plemię, to nie kasta, to tylko zawód. Zawód coprawda ideologiczny, zawód w którym obowiązkiem jest mówienie prawdy, wskazywanie rzeczy słusznych, potępienie rzeczy złych. Ale przecież my jesteśmy częścią inteligencji twórczej, częścią inteligencji rewolucyjnej, socjalistycznej, związani najściślej z klasą robotniczą. Nasza sytuacja nie jest odrębna od tego, co się dzieje w innych środowiskach. Przemawiam tu w imieniu pisarzy, ale to, co chcę powiedzieć, dotyczy kręgów daleko szerszych niż Związek Literatów. Co nam najbardziej utrudnia naszą walkę? Brak rzeczowej wiedzy o społeczeństwie, brak rzeczowych argumentów, którymi moglibyśmy odeprzeć podstępne i często trudne do odparcia ataki przeciwnika. Nie jesteśmy dostatecznie informowani o tym, co się dzieje w kraju i ciągle się o to potykamy. Zdaje mi się, że często zapominało się u nas o tym, iż jedną z cech rewolucji naszych czasów, rewolucji socjalistycznej, jest rzeczowa wiedza o tym, co się dzieje w kraju, wiedza o materialnych przyczynach trudności, wiedza o dialektyce bytu społecznego. Wiedza ta jest okryta tajemnicą. Oczywiście zdajemy sobie z tego sprawę, że Polska nie jest demokracją burżuazyjną. Tow. Putrament nie jest jedynym pisarzem, który zdaje sobie sprawę z tego, że w Polsce jest dyktatura proletariatu. Ale nieraz sam pytałem i często słyszałem pytanie: dlaczego nasza dyktatura proletariatu opatrzona jest pieczęcią milczenia? Dlaczego jest tak mało otwarta dla ludzi, dla ludzi dobrej woli? Dlaczego pewne rzeczy są tylko dla wtajemniczonych? Dlaczego ja, pisarz, którego ambicją jest poruszanie tematów współczesnych, o zasadniczych sprawach naszej współczesności dowiaduję się pokątnie? Na przykład od towarzysza, który odbył rozmowę z członkiem kierownictwa Partii i w szczerzej wymianie zdań dowiedział się bardzo ważnych rzeczy, rzeczy, które — gdybym o nich wiedział — mogłyby mi pomóc w polemice z przeciwnikiem, w artykule czy we fragmencie powieści. Nam ciągle takich argumentów brak, cią-

gle jesteśmy jak kulawi, którzy mają jedną nogę krótszą. Nie można wtedy dobrze maszerować.

Postaram się wymienić te obszary milczenia, tzn. sprawy zasadnicze, o których społeczeństwo, inteligencja, pisarze nie są dostatecznie informowani. Zdaje mi się, że każdy z towarzyszy wie, od czego zacząć. Zacząć należy od tego, o czym mówi dzisiaj każdy człowiek, każdy przechodzień, o czym mówi tramwaj i przedział kolejowy: stopa życiowa. Wiadomo, że stopa życiowa nie podniosła się w ostatnim okresie. Że nasze nadzieje nie zostały spełnione, a przynajmniej nie zostały spełnione całkowicie. Ja nie znam statystyk. Trudno mi jest tutaj wypowiadać się w sprawach ekonomicznych. Ale przecież ja, pisarz — mimo słynnej izolacji pisarzy — rozmawiam z ludźmi. Mam znajomych, mam ciotki i to nie zawsze ciotki z otoczki drobnomieszczańskiej, o których kiedyś mówił Putrament (w końcu my pisarze umiemy także agitować swoje ciotki). Ci ludzie zwracają się do nas, pisarzy partyjnych, z pytaniami: przecież wy powinniście wiedzieć, wy — publicyści, dziennikarze, realiści, dlaczego jest bieda w społeczeństwie. Pyta mnie o to moja znajoma pielęgniarka z Gdyni, która pracuje w szpitalu i opowiada, jaki potok biedy i niedostatku przepływa przez jej klinikę. Pyta mnie o to wielu innych moich przyjaciół — pracowników różnych dziedzin życia. Otóż nie umiemy tego wytłumaczyć w sposób rzeczowy, niezbiyty, w sposób, któryby zachwiał argumenty jakimi operuje wróg. Bo przecież do ludzi, którzy nie wiedzą, przede wszystkim wdziera się wróg ze swoimi argumentami. Jak można wymagać od pielęgniarki z Gdyni — uczciwej, porządnej, która nie ma żadnych fobii antykomunistycznych, chce tylko, żeby w kraju było lepiej — jak można od niej wymagać, żeby sama rozwiązała sobie ten niełatwy problem, jeżeli w dodatku obok czy za jej plecami jest wróg, który podszeptuje, że komuniści wyciskają krew narodu. Moja znajoma pielęgniarka zbyt mało wie o prawdziwych przyczynach niedostatku w okresie budowania socjalizmu. Nie tylko ona, pisarz również nie ma w tym przedmiocie rzeczowych argumentów; a przecież takie argumenty na pewno istnieją.

Mówi się dziś we wszystkich prawie środowiskach naszego kraju o tym, że plan 6-letni w ostatnim okresie doznał załamania. My i o tym nie wiemy. Nie mamy żadnych cyfr, żadnych danych, dotyczących ostatniego okresu planu 6-letniego. I trudno nam przekonywać ludzi, że tak nie jest lub, że jeśli tak jest, to z takich a takich przyczyn. My, marksiści, których uczono zawsze dialektycznego rozwoju zjawisk i związku skutków z przyczynami, my nie możemy się na to powołać, bo nie znamy faktów, nie znamy prawdziwych zjawisk naszej rzeczywistości.

To samo tyczy wsi, zagadnień wiejskich.

Niedawno dowiedziałem się na rogu ul. Foksal i Nowego Światu, że dzisiaj istnieje w Polsce poważny problem, polegający na tym, że wieś zjada większość dochodu narodowego. O tym

dowiedziałem się na rogu Foksal. Ale mogłem tamtędy nie przechodzić. Gdybym poszedł Ordynacką, to bym prawdopodobnie o tym się nie dowiedział. Zdaje mi się, że po to istnieje nasza prasa, po to istnieje radio, żeby ja i moi towarzysze, i całe społeczeństwo dowiedziało się o tym, że istnieje poważny problem: wieś zjada większość dochodu narodowego. Może miałem złego informatora, to by tylko przemawiało za moimi argumentami — po prostu być może spotkałem na rogu Foksal nieodpowiedniego człowieka. Wydaje mi się jednak, że prasa i radio są to wynalazki ludzkości, które powinny służyć właśnie przeciw tym, a nie innym celom. Często wspominam czasy, kiedy w kraju cała inteligencja z niezwykłą ciekawością czytała referaty tow. Minca o sytuacji gospodarczej. Dawno nie pamiętam takich publikacji. A wydaje mi się, że przeciw byłoby dobrze, mimo że nasi kierownicy są zajęci, że mają na pewno mało czasu, że ich czas jest na wagę złota, to jednak byłoby dobrze, gdyby w naszej prasie ukazywały się rzeczowe wypowiedzi ludzi, których fachowa kompetencja jest najwyższej próby, ludzi którzy mają największe doświadczenia, którzy mają najwięcej do powiedzenia o sprawach obchodzących całe społeczeństwo. A przynajmniej gdyby aktywni inteligenci co jakiś czas, nie w trybie nadzwyczajnym, a właśnie w trybie zwyczajnym, jak najbardziej obowiązującym, byli informowani o zasadniczych procesach, jakie się dokonywują w tej chwili w naszym kraju...

...Istnieje dzisiaj w naszym środowisku płynność stanowisk, ale płynność nie oportunistyczna, płynność wynikająca z walki wewnętrznej, ze zmagania się pisarzy samych z sobą. I to miejmy na uwadze. Wiele rzeczy słusznych powiedziano dzisiaj na tej sali — i w referacie tow. Bermiana i w późniejszych wypowiedziach; i trudno byłoby je zakwestionować. Ale obawiam się, że pewnie imponderabilia, rzeczy nieuchwytnie, a zawsze tak cenne i ważne, mogłyby być znowu źle zrozumiane, niezauważone, wypaczone. Zdaje mi się, że pisarze w dalszym ciągu zasługują na zaufanie Partii. O tym powinniśmy pamiętać. Nie należy dopuścić do tego, żeby działacz wojewódzki czy powiatowy wyrobił sobie obraz literata warszawskiego czy krakowskiego, jako zgniłego potworka, który pluje na Polskę Ludową. Tak nie jest, mimo że czasami rzeczywiście pozory są takie.

Chciałbym powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy z szeregu tych, których powinniśmy się strzec. Recepta zawsze jest niebezpieczeństwem, które grozi w ocenie utworu literackiego. Słyszałem ostatnio częste zdania, i to zwłaszcza od strony aktywnego partyjnego: dobrze, pisarz ma prawo do krytyki społecznej, niech krytykuje, ale przeciw musi w tym samym utworze prócz krytyki pokazać także perspektywę na przyszłość, drogę wyjścia. Towarzysze, to nie jest słuszne. Moim zdaniem nie ma takiego obowiązku, nie ma takiej reguły. Pisarz ma pełne prawo do krytyki, nawet obsesyjnej. Nie ma reguły, która mu nakazywała na ostatniej stronie

chwalić to co dobre, ponieważ na stu poprzednich ganił to, co złe. Chodzi raczej o to, jak odróżnić krytykę złośliwą, krytykę płynącą ze złej woli, od naszej partyjnej krytyki. Sztuka niestety nie daje takich recept. Tu rozstrzyga poprostu materia idea-wa utworu, jego zawartość moralna, stopień zaangażowania się, namiętność i żarliwość. Są to trudne kryteria rozpoznawcze, dzięki którym czytelnik zgaduje intencje moralno-ideowe artysty.

Wynika z tego, że bohaterem pozytywnym utworu powinien być przede wszystkim pisarz. Sam pisarz powinien być bohaterem pozytywnym i o to powinniśmy walczyć. Ale ów bohater pozytywny ma święte prawo i obowiązek krytykować, krytykować to co jest złe. W tej chwili — zdaje się — wkraczamy w nowy okres. Nie będziemy już tylko krytykować tego, co było złe (dotychczas nasza literatura rzeczywiście ograniczała się do rozrachunków z przeszłością); będziemy krytykować to, co jeszcze jest złe, a złych rzeczy jeszcze niestety u nas jest sporo. Nawiasem mówiąc, na to, jak odczuwa dziś czytelnik potrzebę krytyki społecznej, wskazuje fakt, że również czytelnik radziecki najżywiej reaguje na wychwytywanie skaz życia w społeczeństwie socjalistycznym. Dostaję dość dużo listów od czytelników radzieckich. Co mnie w nich najbardziej uderzyło? To, że czytelnik radziecki, pisząc o mojej książce, jak gdyby pomija wszystkie partie „pozytywne”, natomiast dziękuje mi i chwali za krytykę oportunistu, tchórzostwa, lakiernictwa itp. „Trzeba to wskazywać palcem — cytuję — bo u nas tchórzów i oportunistów jest jeszcze wielu”. Więc nie przerażajcie się, towarzysze, jeżeli literatura najbliższego okresu — oportunistów, biurokratów, lakierników, dogmatystów i tchórzów jeszcze nieraz będzie wskazywała palcem.

FRAGMENT WYPOWIEDZI H. MINCA

„Jakie jeszcze były przyczyny niepełnego wykonania zadań podwyżki stopy życiowej? Były to nasze błędy, o których też trzeba mówić⁴. Niewątpliwie, gdybyśmy bardziej koncentrowali się na wykorzystaniu rezerw produkcyjnych, a mniej na nowych inwestycjach, możnaby coś oszczędzić dla podniesienia stopy życiowej. Gdybyśmy bardziej byli nastawieni na postęp techniczny w różnych gałęziach gospodarki, można byłoby więcej zyskać. Gdybyśmy lepiej widzieli działania bodźców materialnych w różnych dziedzinach przemysłu — można byłoby więcej zyskać. Gdybyśmy bardziej stawiali na samodzielność ludzi, którzy dojrzeli w walce o plan 6-letni, na większą samodzielność przedsiębiorstw i instytucji, można byłoby więcej zyskać. Gdybyśmy lepiej umieli wciągać masy do czynnej walki o plan — to również możnaby więcej zyskać.

4. Minc podaje się do dymisji wczesną jesienią 1956 r. przed dojściem Gomułki do władzy.

Przechodzę do bardziej szczegółowej analizy danych o wzroście stopy życiowej o 26-27%. Cyfry te są ścisłe. Jednak często spotykają się z niewiarą nie tylko szarego człowieka z ulicy, ale i członka Partii, nie tylko członka Partii, ale i aktywisty partyjnego.

Co z tego wynika? Czy liczby te są nieścisłe, czy ludzie, którzy wyrażają wątpliwości, nie mają racji? Nie ma takiego dylematu. Pielęgniarka, o której mówił tow. Brandys miała rację. Jej stopa życiowa nie wzrosła w takim stopniu. Liczby te wyrażają średni wzrost stopy życiowej, na który się składa: wysoki wzrost płac górników, wysoki wzrost płac hutników, wysoki wzrost płac budowlanych, wysoki wzrost płac narzędziowców i szeregu innych kategorii robotniczych, a równocześnie utrzymanie na tym samym poziomie lub tylko minimalny wzrost płac robotników pracujących na dniówkę, większości zatrudnionych w lekkim przemyśle oraz pracowników aparatu państwowego nie gospodarczego. W naszej polityce płac jest dużo błędów, a w praktycznej jej realizacji jest niemało nonsensów. Ale czy nierównomierny wzrost płac w ciągu planu 6-letniego był błędem? Jaka była myśl przewodnia polityki płac w planie 6-letnim? Nawet powiedziałbym, nie tyle myśl przewodnia, ile konieczność, narzucona z nieodpartą siłą? Koniecznością tą było: przy zmniejszonym zasobie nadwyżek do dyspozycji kierować je przede wszystkim na najważniejsze, decydujące odcinki. Dokąd poszły nadwyżki? Do górnictwa, hutnictwa, na przemysł zbrojeniowy, do robotników budowlanych i niektórych innych kategorii robotniczych. Czy mogło być inaczej? Pewnie, że bylibyśmy dzisiaj może w wygodniejszej sytuacji, gdybyśmy mogli przyjść do każdego robotnika i każdego urzędnika i powiedzieć: mało, ale każdy dostał równo po 25%. Ale czy można było tak postąpić? Wcale nie uważamy, że np. nasi górnicy za wiele zarabiają w stosunku do ich ciężkiej i trudnej pracy, jednak nie o to tylko chodzi. Szczególne uwzględnienie górników przy podwyżkach dyktowało prawo ekonomiczne. Czy wiszą na bramach kopalń tabliczki: „Przyjmuje się robotników”? Czy są obsadzone przodki? A wyobraźmy sobie, że prowadzilibyśmy politykę równomiernego podwyższania płac i np. mając na względzie łódzkich włóknarzy nie podwyższalibyśmy odpowiednio płac górnikom. Co by się stało w ciągu trzech miesięcy? Górnicy by odpłynęli, bo kto by chciał pracować pod ziemią w ciężkim pocie, kiedy może pracować pod słońcem choćby i za mniejszą płacę? Spadłby eksport węgla, nie możnaby zaimportować bawełny i włóknarz czy włóknianka łódzka stanęliby wobec zagadnienia nie niskich płac, lecz bezrobocia. Jaki byłby dalszy ciąg tej reakcji łańcuchowej? Chłop by nie dostał tekstyliów, nie dałby zboża i urzędnik miałby podwyższoną płacę, ale nie miałby chleba.

Przechodzę do zagadnienia, które również poruszył tow. Brandys, zagadnienia podziału dochodu narodowego między wieś i miasto. Realne dochody chłopów w ciągu 6-letnia wzrosły wg prowizorycznych i wymagających jeszcze sprawdzenia danych o

ok. 40%, tzn. wzrosły więcej, niż dochody klasy robotniczej. Czy wzrosły tak dochody wszystkich chłopów? Oczywiście nie. Dochody kułaków nie wzrosły w tym stopniu, w każdym razie nie wzrosły w tym stopniu dochody dużej większości kułaków, natomiast wyżej wzrosły dochody biednych i średnich chłopów.

Czy jest to jednak dobrze, że dochody chłopów w ciągu 6-lecia rosły szybciej, niż dochody klasy robotniczej? Pewnie, można byłoby rozumniej dzielić dochód narodowy, gdyby dochód narodowy dał się tak kształtować, jak figurki z plasteliny. Pewnie, można byłoby lepiej dać chłopom 30%, żeby robotnicy mieli 35%, bo są przodującą klasą społeczną. Ale trzeba pamiętać o tym, że chłopstwo — to połowa narodu, że jest naszym sojusznikiem, że jest u nas dyktatura proletariatu, a władza jest u nas robotniczo-chłopska. Trzeba też pamiętać o tym, że nie ma produkcji rolnej bez bodźców materialnych. Weźmy taki przykład: tow. Konopka mówił tutaj, że w terenie często źle rozumiano uchwały IV Plenum w sprawach spółdzielczości produkcyjnej, tzn., że w tych uchwałach było coś niedopracowane, co teraz trzeba poprawić. I ma rację. Teraz dopracuje się te sprawy na V Plenum, zmierzając w kierunku poprawienia bodźców dla spółdzielczości produkcyjnej. Będzie odbywać się wyścig między indywidualnym chłopem a spółdzielnią. Ale wyścig może być rozmaity. Można swojego partnera prześcignąć, a można podbić mu nogę i okulać partnera. My nie chcemy tak postępować z chłopem indywidualnym, biednym i średnim. Nie chcemy. I dlatego musimy dodatkowo łożyć na spółdzielczość produkcyjną, aby zapewnić jej preferencję. To też będą inwestycje, to będzie wymagało poważnych wydatków, a więc będzie ograniczać nasze możliwości podwyższenia płac robotniczych. Ale to będą inwestycje nie tylko na rozwój rolnictwa. To będą inwestycje na socjalizm.

Spójrzmy raz jeszcze na całość wyników planu 6-letniego z punktu widzenia stopy życiowej. Niemal pół narodu — chłopci uzyskali wzrost stopy życiowej. Nowi robotnicy, miliony ludzi, którzy zmienili miejsce pracy i ze wsi przeszli do miast i ośrodków przemysłowych — uzyskali wzrost stopy życiowej. Robotnicy i pracownicy w ciężkim przemyśle — w większości uzyskali wzrost stopy życiowej. Równocześnie jednak mamy utrzymanie w zasadzie na tym samym poziomie stopy życiowej lub niewielki wzrost większości pracowników w przemyśle lekkim, urzędników, dniówkowych itd. Co wynika z tych danych? Wynika z nich, że mimo niewykonania planu w rolnictwie, mimo konieczności poważnych inwestycji, mimo konieczności ponoszenia dużych wydatków na obronę, uzyskany w ciągu 6-lecia wzrost dochodu narodowego, może nie w pełni tak rozdzielany, jak byśmy chcieli, pozwolił jednak na podwyższenie stopy życiowej większości narodu. Czy to znaczy, że chcemy zadowolnić się stanem istniejącym, że uważamy, iż można długo cierpieć pozostawianie w tyle

całych oddziałów klasy robotniczej mających niskie uposażenie? Oczywiście nie. Trzeba zbierać siły, aby i te oddziały klasy robotniczej podciągnąć, poprawić ich byt, podnieść ich płace.

Świadectwo „Siły ustroju”...

O czym to wszystko świadczy? Świadczy to o sile naszego ustroju, który przebija się i przez biurokrację i przez skostnienia i przez wrogą działalność, który potrafi obronność kraju podnieść i przemysł potężny zbudować. A jednocześnie, na przekór wszelkim trudnościom — zmienić gruntownie na lepsze życie większości narodu.

I wreszcie, jeśli mowa o wyniku planu 6-letniego, jest jeszcze jeden wskaźnik, na który warto zwrócić uwagę, a który możnaby określić jako wskaźnik życia i śmierci. To wskaźnik, który nie może zmylić. W 1949 r. na tysiąc mieszkańców było 11,6 zgonów. To było na początku planu. W drugim kwartale 1955 r. wskaźnik ten obniżył się do 9,9 na tysiąc. Przed wojną wynosił on 14,1.

Tyle o przeszłości. Teraz stoimy na skrzyżowaniu dróg. Opracowuje się plan 5-letni. Jeden z towarzyszy skarżył się, że planu tego nie podaliśmy jeszcze do wiadomości. Planu 5-letniego jeszcze nie ma w ostatecznej redakcji, nad planem pracuje się, projekt planu poddany jest dyskusji i konsultowany z załogami robotniczymi, ulega poprawkom. Ale można już dziś postawić pytanie, jaki to będzie plan? Czy będzie to plan zbudowania socjalizmu w Polsce, czyli wyjście z obecnej sytuacji, w której większość wsi pozostaje jeszcze na torach indywidualnej gospodarki? Nie, jeszcze nie. Będzie to plan dalszego uprzemysłowienia kraju, plan wielkiego postępu w współdzielczemu wsi, ale to nie będzie jeszcze plan zbudowania socjalizmu w Polsce. I jeżeli można mówić o jakichś terminach, o jakichś perspektywach, to należałoby zapewne przyjąć: 10 lat, aby zadanie zbudowania socjalizmu w Polsce było możliwe do wykonania. Zadania nasze będziemy realizować w nader skomplikowanej sytuacji międzynarodowej. Nie wiem, czy znacie sformułowanie użyte przez czołowego publicystę New York Times, Sulzbergera, który powiada, że pokojowe współistnienie, to przedłużenie wojny pokojowymi środkami. Tak oto na swój sposób zmieniają oni formułę Clausewitza. Można się nie zgadzać z tym określeniem, ale taki jest ich pogląd.

Zadania nasze będziemy realizować również w trudnej sytuacji wewnętrznej. Wielkie boje klasowe związane z socjalistyczną przebudową wsi są jeszcze przed nami. W tej dziedzinie postawiliśmy dopiero pierwsze kroki. Rzecz jasna, Partia zrobi wszystko, żeby uwzględniając doświadczenie historyczne ZSRR i krajów demokracji ludowej iść drogą, która pociągnie za sobą najmniej ofiar, ale nie wolno się łudzić, że można zbudować socjalizm i przebudować wieś bez ofiar i bez walki. W tej trudnej sytuacji

trzeba będzie nadal dbać i o zapewnienie obronności kraju i o dalszy rozwój jego sił przemysłowych i o przebudowę rolnictwa i o wzrost stopy życiowej. Będziemy o to walczyć przez ulepszenie naszych metod pracy, przez pełniejsze uruchomienie takich potężnych dźwigni jak aktywność mas w opracowywaniu planów i kontroli ich wykonania, będziemy o to walczyć zapewniając rozleglejsze pole dla rozwoju samodzielności i inicjatywy ludzi, przestrzegając z całą surowością maksymalnej oszczędności, łamiąc z całą bezwzględnością zapory i przeszkody biurokratyzmu. I właśnie w tej ciężkiej i skomplikowanej walce będzie możliwe podwyższenie stopy życiowej, podciągnięcie w określonych rozmiarach zacofanych pod względem poziomu płac oddziałów klasy robotniczej, zapewnienie potrzebnych środków na ulepszenie systemu płac w celu bardziej konsekwentnego stosowania właściwych bodźców materialnych.

„Ludzie mówią:

11 lat minęło a zdarza się u nas jeśli nie nędza to ubóstwo...”

Zdajemy sobie sprawę z tego, że sytuacja obecna, jeśli chodzi o nastroje i o stan umysłów sporych kręgów społeczeństwa nie jest prosta. To, co wyczuwają towarzysze pisarze — szczególnie wyczuleni i wrażliwi na nastroje, my też wyczuwamy. Ludzie mówią: minęło jedenaście lat, socjalizmu jeszcze nie ma, minęło jedenaście lat — powszechnego dobrobytu jeszcze nie ma, minęło jedenaście lat, a zdarza się u nas, jeśli nie nędza, to ubóstwo. To musi stwarzać określone nastroje. Można wobec tych nastrojów skłonić głowę, a można postąpić inaczej: wskazać wszystkie trudności, wskazać nasze osiągnięcia i ukazać perspektywy. Premier francuski, pan Faure, może w czasie kampanii wyborczej powiedzieć, że jego hasłem jest podniesienie stopy życiowej o 100% w ciągu 10 lat. Ale on wie, że w ciągu tych 10 lat zmieni się we Francji 27 lub 72 premierów. My tak postępować nie możemy. Nas obowiązuje odpowiedzialność za to, co mówimy i to co robimy.

W ZSRR również mniej więcej po 11 latach, w roku 1929, ludzie mówili: minęło 11 lat, socjalizmu nie ma, powszechnego dobrobytu nie ma. Wówczas Gorki powiedział: Trzeba ludziom pokazać nasze osiągnięcia i podjął inicjatywę wydawania czasopisma pt. „Nasze osiągnięcia”. Wydaje mi się, że jednym z zadań literatury, literatury socjalistycznej, partyjnej, jest wskazywać na wyniki pracy narodu, pokazać, co osiągnęliśmy w ciężkiej i trudnej walce. Pokazać wszystkie sprzeczności i trudności, które musimy pokonywać. A zarazem pokazać perspektywę dalszych osiągnięć — które są możliwe również jedynie w ciężkiej i trudnej walce, w trudnych bojach klasowych. Oczywiście nie chodzi o to, żeby to była bezkrytyczna apologia. Chodzi o to, aby mobilizować

do walki ze złem. W związku z tym pozwólcie powiedzieć kilka słów o tzw. teorii tzw. immanentnego zła w socjaliźmie.

Przyznaję, że tak poprostu machnąć ręką na tę teorię mówiąc, że jest nam obca i że to w ogóle jest brzydkie określenie, nie należy, bo to nie ułatwia sprawy. Jedną rzecz chciałbym od razu powiedzieć, abyśmy wszyscy pamiętali, że w Polsce nie ma jeszcze socjalizmu. Jest socjalistyczne państwo, jest silny sektor socjalistyczny ale połowa ludności żyje w gospodarce indywidualnej. W Polsce jest okres przejściowy. Jeśli więc mielibyśmy nawet mówić o immanentnym źle, to o immanentnym źle okresu przejściowego. Mamy niewątpliwie zło odziedziczone po kapitaliźmie. Jest ono specyficznie przekształcone w warunkach okresu przejściowego. Chcę zaryzykować porównanie: wyobraźmy sobie, że mamy jakąś jadowitą, niebezpieczną masę, którą trzeba zniszczyć, którą trzeba zemleć lub zdruzgotać. W tym celu przepuszczamy ją przez maszynę mielącą lub druzgocącą. Po pewnym czasie patrzymy: masa zmieniła swój kształt, zmieniła krystalizację, jest mniejsza, mniej konkretna, mniej zwarta — ale jeszcze jest. Podobnie jest z tym złem, odziedziczonym po kapitaliźmie, jest ono mniej konkretne, mniej zwarte, ale nadal jeszcze występuje. Jest kułak, nie mający już tej władzy, jaką miał dawniej na wsi, ale nie pozbawiony jeszcze jadowitego żądła, jest prostytutka, wprawdzie inna, ograniczona w rozmiarach, często zamaskowana, ale jeszcze nie usunięta całkowicie, jest bieda, wprawdzie włókniarz łódzki nie pracuje dziś, jak niegdyś tylko trzy dni w tygodniu, ale ma małą płacę. Nie mogliśmy dotąd dać mu wyższej płacy na podstawie tych sił produkcyjnych, które odziedziczyliśmy po kapitaliźmie i które dopiero rozbudowujemy.

Czy w socjaliźmie będzie „zło”? Pewnie, że będzie „zło”. Gdyby nie było zła, nie trzeba by przechodzić od socjalizmu do komunizmu. Będzie zło dlatego, ponieważ nadbudowa opóźnia się w stosunku do swej bazy i nie od razu znikną pozostałości kapitalizmu w duszach ludzkich. Będzie zło również dlatego, ponieważ podział wytworów będzie dokonywany jeszcze według pracy, a nie według potrzeb. Będzie zło, bo będzie jeszcze w sąsiedztwie kapitalizm. Będzie zło, bo socjalizm w wielu krajach będzie zbudowany na podstawie słabych jeszcze sił wytwórczych. Ze złem trzeba walczyć. Jak pojmujemy tę walkę? Zło okresu przejściowego wypieramy przez rozwój socjalizmu, w walce klasowej. Ze strony występujące w socjaliźmie będziemy wypierać przez przekształcenie socjalizmu w komunizm. Tak rozumiemy walkę ze złem. Autorzy teorii tzw. immanentnego zła pojmują tę sprawę inaczej. Socjalizm — mówią oni — to tak samo, albo prawie tak samo zły ustrój, jak kapitalizm. Z tego nie wynika zadanie przewyciężenia pozostałości kapitalizmu przez socjalizm, ale na odwrót: zadanie zwalczania socjalizmu. A to jest różnica zasadnicza.

Literatura „bez perspektywy”

Ze złem trzeba walczyć. Bez walki ze złem nie można walczyć o socjalizm. Wrażliwość pisarzy na wszelkie przejawy zła, tak samo jak drażliwość każdego członka Partii i każdego działacza w tych sprawach — to niezbędna cecha bojownika socjalizmu. Ostra krytyka zła, przeprowadzana przez pisarzy jest konieczną. Tow. Brandys mówił, że krytyce niekoniecznie musi towarzyszyć ukazanie od razu w tym samym utworze, w tej samej książce perspektywy. Z tym można się zgodzić. Ale jeżeli tow. Brandys napisze taką książkę bez ukazania perspektywy i ktoś drugi napisze też taką książkę i trzeci napisze taką książkę i powstanie cała literatura bez perspektywy — to nie wiem, czy z tym możnaby się również zgodzić. Czy jest takie niebezpieczeństwo? Jest. Pod wpływem wstrząsu wywołanego beriowszczyzną, pod wpływem odrazy do wypaczeń, które były popełniane i dążności do moralnego oczyszczenia się, można zapomnieć o perspektywie. A gdyby zapomniano się o perspektywie i gdyby powstała literatura bez perspektywy — to weszłoby to w kolizję z interesami rządzącej klasy robotniczej i rządzącej Partii. To trzeba wyraźnie powiedzieć.

Tu nie chodzi o upraszczanie sprawy i o ustalanie przepisów. W jaki sposób ma być pokazana perspektywa. To pisarze wiedzą lepiej od nas, od działaczy partyjnych, nie — pisarzy. Nie chodzi o to czy to będzie na ostatniej stronie, czy w kontekście, czy w intencji pisarza, której da on wyraz w odpowiedniej ideowej i moralnej tonacji swego utworu. Na tym pisarze lepiej się znają. Ale Partia ma prawo powiedzieć: literatury jednobokiej, jednostronnej, czarnowidzkiej, nie wskazującej perspektywy — nie należy popierać. Partia ma nie tylko prawo, ale i obowiązek tak powiedzieć.

Przeżywamy okres dużych przemian. Podjęta przez Partię krytyka błędów i wypaczeń minionego okresu u wielu pisarzy spowodowała głęboki wstrząs. Przewycięzanie tych wypaczeń, przemiany, którym drogę toruje Partia — głęboko poruszają ideowych i głęboko drażliwych pisarzy. Daje to dobre skutki, wzmacnia twórczy niepokój, rozwija twórcze poszukiwania. Ale równocześnie przemiany te powodują wzmocnienie wahań ludzi słabych i powierzchownie tylko związanych z naszą ideą, a i takich jest jeszcze niemało. Na swój sposób stara się to wahania wykorzystać wrogi. Oczywiście byłoby z gruntu niesłuszne identyfikować brak hartu, wachania, czy nawet błędne wypowiedzi — z działalnością wroga. Ale jest faktem, że te błędne wypowiedzi — ułatwiają działanie wroga. A stara się on tym zacieklej atakować, ponieważ przemiany, których dokonujemy w naszym życiu, są oznaką wielkiego wzrostu naszych sił i jeszcze bardziej odbierają mu grunt spod nóg. Wszystko to powoduje, że podniosła się fala wrogich wypadów, jest ona często dziwacznie pomieszana

z dobrymi intencjami, źle wyrażonymi myślami. Trzeba to umieć oddzielić, ale tę wrogą falę trzeba pokonać w otwartym boju ideologicznym. I byłoby złudzeniem sądzić, że można sobie długo pozwalać na istnienie takiej fali. Stara i doświadczona w walce politycznej burżuazja francuska ukuła powiedzenie: „Le crime de plume devient très vite le crime du sang” — zbrodnia popełniona piórem bardzo łatwo przemienia się w zbrodnię popełnioną krwią. Mówię to nie dlatego, żebym widział krwawe perspektywy rozmaitych nieodpowiedzialnych wyczynów w niektórych czasopismach, ale dlatego, by przypomnieć, że nie działamy w próżni i że błędne poglądy mogą stawać się siłą materialną, szczególnie, jeżeli są drukowane na linotypach naszej prasy i zamieszczane w czasopismach, które zdobi czerwony sztandar i napis: Proletariusze wszystkich krajów łączcie się.

„Gdzie się sprawdza komunista?”

Padają tu słowa: my i oni. My, działacze partyjni i państwowi i oni literaci. Takie przeciwstawienie według wykonywanego głównego zawodu — do zbyt twórczych wniosków nie prowadzi. My i oni razem jesteście komunistami, jesteśmy aktywistami, działającymi na rozmaitych odcinkach frontu. Co cechuje komunistów i gdzie się komunista sprawdza? Komunista sprawdza się w boju. Tam gdzie występuje wróg — komunista nie może być neutralny. I nie tylko w bezpośrednim starciu z wrogiem — tam gdzie popełniane są błędy lub tam, gdzie występuje system błędnych poglądów komunista nie może być neutralny. Komunista sprawdza się w boju, a nie w momencie wpłacania składek partyjnych. Wszyscy winniśmy zwalczać wrogie tendencje ideologiczne i błędne poglądy, a przede wszystkim powinni je zwalczać komuniści — ludzie pióra.

Czy istnieje współzależność między demokratyzacją naszego życia a skutecznością zwalczania wroga i wrogich wypadków? Niewątpliwie istnieje taka współzależność. Jesteśmy opóźnieni w demokratyzacji naszego życia. Im więcej pasji krytycznej i pasji twórczej włożymy w to, by posuwać naprzód tę sprawę, tym skuteczniej zwalczać będziemy wrogie wypadki. Ale nie można rozumować np. w ten sposób, że skoro puściliśmy w ruch reakcję atomową, to nie należy zwalczać szkodliwej radioaktywności. Tak postępować nie wolno. Na odwrót, naszym obowiązkiem jest ustawić wszędzie już nie etykiety, lecz wielkie tablice: radioaktywność grozi. I jeśli wolno politykowi mieć pasję i złość osobistą, przyznam, że mam taką pasję w stosunku do siewców zamętu ideologicznego, mam tę pasję nie dlatego nawet, że reprezentują oni zamęt — w dziejach ruchu robotniczego mieliśmy nie jeden raz do czynienia z takimi czy innymi przedstawicielami zamętu, ale dlatego, że obecnie odciągają oni naszą uwagę i nasze siły od

najważniejszego zadania, jakim jest demokratyzacja naszego życia. Dlatego wszelkie wysoki siewców zamętu muszą powodować tym energiczniejszy odpór, chociaż rozumiemy, że w momentach zwrotu wysoki takie mogą się zdarzać. Ale wszystko zrozumieć to nie znaczy wszystko przebaczyć.

Wiosna...

W jednym z ostatnich przemówień tow. Chruszczow użył wyrażenia: wiosna ludzkości. Przyznam się, że to określenie bardziej mi się podoba, niż terminologia „odwilży”. Wiosna ludzkości. Brzmi to na pozór paradoksalnie, lecz spójrzmy: kolonializm się łamie, w Chinach rozwija się spółdzielczość produkcyjna, wpływy Związku Radzieckiego, wpływy socjalizmu rosną. Mamy wiosnę ludzkości. Wiosnę trudną, zawiłą, skomplikowaną meteorologicznie, w oparach radioaktywności, ale to wiosna. Wszystkich nas, cały aktyw, a więc i naszych literatów winno przenikać poczucie optymizmu płynącego z tej trudnej, lecz zwycięskiej wiosny.

KOMUNISTYCZNA BROSZURA Z LISTĄ PROWOKATORÓW

Mniej więcej rok temu Centralny Komitet Komunistycznej Partii Polski wydał krótki komunikat, w którym oświadczył, że Jerzy Sochacki jest prowokatorem; kilka tygodni temu ukazał się dłuższy komunikat, stwierdzający, że Tadeusz Żarski, jego żona i Ostrowski to prowokatorzy. Obecnie mamy przed sobą dwudziestoczterostronicową broszurę z nazwiskami wybitnych komunistycznych przywódców i działaczy. Jeszcze wczoraj ci ludzie ustalali politykę partii, przemawiali w jej imieniu, pisali i pomawiali socjalistów że są „agentami burżuazji” — a dziś kierownictwo partii ogłasza ich nazwiska jako agentów defensywy.

Czytamy tę broszurę stronica po stronicy. Wrażenie jest straszne. Prawdziwy koszmar. Jeżeli to wszystko jest prawdą, oznacza to, że Komunistyczna Partia Polski przez cały czas kierowana była przez agentów — prowokatorów, a jej postępowanie było dyktowane przez czynnik trzeci.

Broszura nosi tytuł: „U źródła P.O.W.-iackiej prowokacji. Zasadniczą tezę broszury jest twierdzenie, że Polska Organizacja Wojskowa (P.O.W.) systematycznie nasyłała swoich ludzi do Komunistycznej Partii, mając na widoku 2 cele: po pierwsze sprowadzić partię z rewolucyjnej drogi, po drugie wydawać jej działaczy w ręce policji.

W broszurze rozwinięta jest następująca teoria: Piłsudczycy spostrzegli się, że komunizm pociąga szerokie masy robotnicze, wobec czego przystąpili do budowania narodowo-bolszewickiej organizacji. W tym celu zostali wydelegowani niektórzy pepesowcy działacze, którzy mieli stanąć na czele tej organizacji. Masy

„Naje Folkscajtung”, Warszawa, 20 października 1934 r.

jednak nie chciały utknąć w połowie drogi i rwały się właśnie do komunistycznej partii. Wówczas polecono wspomnianym działaczom zlikwidować swoje organizacje i wstąpić samym do komunistycznej partii.

W ten sposób przedstawia się dzisiaj Centralny Komitet Kom. Partii przejście pepesowskich działaczy Żarskiego, Sochackiego i innych. Wówczas Kom. Partia święciła ów fakt jako swoje ogromne zwycięstwo, a dziś nazywa go ordynarną prowokacją.

To co powiedziane zostało o leaderach pepesowskiej opozycji, tych którzy przeszli do komunistów, powtórzone jest w stosunku do prowodyrów opozycji w innych ugrupowaniach.

Dowiadujemy się więc, że opozycyjne chłopskie partie N.P. Ch. (Niezależna Partia Chłopska), „Samopomoc” i komunistyczne organizacje mniejszości narodowych były kierowane przez prowokatorów.

Broszura wymienia nazwiska szeregu osób, które jakoby stały na czele tej akcji P.O.W. Obok nazwisk Sławka, Prystora, Moraczewskiego, Hołówki, Malinowskiego, figurują tam nazwiska znanych działaczy pepesowskich Ziemięckiego i Zaremby. Wymienione osoby miały jakoby konspiracyjnie przez swoich zaufanych ludzi organizować „narodowe komunistyczne” ugrupowania i nasyłać także osoby do Komunistycznej Partii, dając im odpowiednie instrukcje i kierując ich prowokatorską robotą. Wspomina się, że między owymi zaufanymi ludźmi była Kraheńska i Jastrzębski. Te ostatnie dwie osoby wycofały się jednak z „narodowego komunizmu” pod skrzydła P.O.W.

Któż był prowokatorem?

Poniżej przytaczamy listę nazwisk, które znajdujemy w broszurze:

1) Jerzy SZECZEJKO-SOCHACKI, były komunistyczny poseł na Sejm, członek C.K. Kom. Partii (chcemy przypomnieć, że przed kilku laty Kom. Partia wydała broszurę Sochackiego pt. „P.P.S. na usługach defensywy”).

2) Antek WERNER-TEZNER (wspólnik Sochackiego) jeden z najbardziej wpływowych przywódców młodzieży.

3) Tadeusz ŻARSKI — były komunistyczny poseł na Sejm i członek Centralnego Komitetu.

4) Sylwester WOJEWÓDZKI — Były poseł na Sejm i przywódca Niezależnej Partii Chłopskiej.

5) Aleksander OSTROWSKI — znany działacz robotniczy. Członek SDKPiL sprzed pierwszej wojny, a w ciągu lat ostatnich przewodniczący Związku Pracowników Biurowych i Handlowych, Warszawa, Zielna 25, w ciągu wielu lat przedstawiciel „le-

wych” opozycyjnych związków zawodowych w Centralnej Komisji Związków Zawodowych w Polsce.

6) Zofia ŻARSKA-MACIEJEWSKA, żona Tadeusza Żarskiego.

7) Boruta.

8) Kosar.

9) Kowalski-Kopacz

10) Pedi-Baj.

Ci czterej byli przywódcami Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. O nich mówi się, że jednocześnie byli agentami defensywy i Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (U.O.W.).

Jako najbliżsi współpracownicy Sochackiego są wskazani:

11. Klonowicz-Kotowicz, członek C.K. Kom. Partii Zach. Ukrainy. O nim powiedziano, że spełniał zlecenia defensywy, a jednocześnie był na usługach vice-prezydenta m. Warszawy, Tadeusza Szpotańskiego.

12) Chruściel, leader BBS lewicy.

13) Pinia Bukshorn, pseudo JULSKI-Bukshorn, był swego czasu wybitnym członkiem Żydowskiej Soc. Partii „Vereinigte” („Zjednoczenie” przyp. tłumacza). W okresie okupacji niemieckiej podczas I wojny światowej i w pierwszych latach niepodległości Polski Bukshorn pisał i przemawiał w imieniu partii „Vereinigte”. Wydał też tom poezji. Był znany w żydowskich społecznych i literackich kołach. Od 1920 r. był aktywnym członkiem Kom. Partii.

O Sochackim, Klonowiczu, Chruścielu i Bukshornie mówi broszura, że „tworzyli oni osobliwy blok agentów polskiego i ukraińskiego nacjonalizmu”, jednak nie podano czy Bukshorn reprezentował polski czy ukraiński nacjonalizm.

14) Skarbek.

15) Politur.

16) Pankiewicz.

17) Deniza.

18) Andrzej Czuma.

19) Legamski.

20) Albin Różycki.

Ostatni trzech z wymienionych wyżej byli prowodyrami P.P.S. Lewicy. Różycki obecnie należy do partii Niezależnych Socjalistów.

21) Majewski.

22) Góryn.

23) Babicz.

24) Wandurski — znany literat.

25) Czesław Ochenkowski.

26) Matis (Jacek Limanowski)

długoletni członek C.K. Komunistycznego Związku Młodzieży, był tego związku kasjerem i kierował całym aparatem organizacyjnym. W kołach komunistycznych „Jacek” był uważany za wzór bolszewika i pierwszej klasy konspiratora.

O Ostrowskim powiedziane jest w broszurze, że należy on do młodszych P.P.S. obozu Piłsudskiego. O ile nam wiadomo Ostrowski nigdy nie był członkiem P.P.S., do młodej kadry na pewno nie należał.

Większa część z wymienionych w broszurze osób znajduje się poza granicami Polski. Stwierdza się, że „Karząca” dłoń proletariackiej dyktatury przecięła ich kontrrewolucyjną robotę”.

Sprawa rozwiązania Komunistycznej Partii Polski przez Moskwę jest nadal prawie nieznana. Jako b. interesujący przyczynek przedrukujemy powyższy artykuł, który ukazał się w organie Bundu NAJE FOLKSCAJTUNG w Warszawie 20.X.1934. Omawia on broszurę wydaną przez KPP pt. „U źródła P.O.W.-iackiej prowokacji”. O ile mogliśmy sprawdzić NAJE FOLKSCAJTUNG do tej sprawy nigdy już nie powracała. Zwracamy się z prośbą do czytelników o przysyłanie nam materiałów dot. KPP z tego okresu, a przede wszystkim o pomoc w odnalezieniu pełnego tekstu tej ciekawej broszury. Redakcja.

RELACJE I WSPOMNIENIA

(OKRES NIEPODLEGŁOŚCI)

WYPADKI LISTOPADOWE 1923 R. W SĄDZIE WOJSKOWYM

Sprawa gen. dyw. J. Czikiela i innych oficerów

28 maja 1923 r. powstał rząd Wincentego Witosa z ministrami dr W. Kiernikiem (sprawy wewnętrzne), M. Seydą (sprawy zagraniczne), gen. A. Osińskim (sprawy wojskowe), W. Grabskim (skarb) i innymi. Sprawy wojskowe nieco później objął gen. broni S. Szeptycki.

Marszałek Piłsudski oddalił się do Sulejówka. W sejmie wciąż były niepokoje i niezmiernie często stawiano rządowi votum nieufności. W kraju przelewała się fala strajków, których głównym żądaniem było podwyższenie płac zarobkowych do poziomu powstałej drożyzny. Strajki miały niezawsze spokojny przebieg. Ale najbardziej tragiczne następstwa miał strajk w Krakowie. Jako na przywódców tego strajku, który w finale swym miał charakter rewolty, wskazywano na posłów J. Stańczyka, E. Bobrowskiego i Klemensiewicza.

Na dzień 6 listopada 1923 r. szykowano gromadną zbiórkę w rezydencji okręgowego komitetu Polskiej Partii Socjalistycznej — w domu robotniczym przy ulicy Dunajewskiego i planowano masowy pochód przez miasto. Władze administracyjne postanowiły do zebrania i pochodu nie dopuścić z pomocą policji i sił wojskowych, które wezwano do tak zwanej asystencji, to jest pomocy władzom administracyjnym w ich działaniu przeciwko tłumowi. Według obowiązującej w takich razach zasady, władze administracyjne wskazywały dowództwu wojskowemu cel jego „asystencji”, a wybór sposobu osiągnięcia celu należał już do wojska.

Wypadki 6 listopada miały przebieg tragiczny. W trakcie wynikłych walk pomiędzy tłumem demonstrantów, a policją i

wojskiem było zabitych 18-tu robotników, a liczby rannych nie ustalono. Ze strony wojska było zabitych 3 oficerów (rtm. L. Bochenek, rtm. T. Łukasiewicz i ppor. T. Zagórowski) i 11 ułanów. Rannych było 8 oficerów (ppłk. W. Bzowski, rtm. L. Słotwiński, porucznicy i podporucznicy J. Sękowski, J. Trenkwald, E. Włodzimierski, L. Niesiołowski, A. Osiecimski i E. Ungeheuer) oraz 69 szeregowych. Zabitych było 20 koni. Rannych było kilkudziesięciu policjantów.

Walki trwały do wieczora i w mieście panowała anarchia i chaos. Dopiero w ciągu nocy doszło do kompromisowego układu pomiędzy władzami administracyjnymi a przywódcami rebeliantów Stańczykiem, Bobrowskim i Klemensiewiczem. Dopiero nazajutrz 6 listopada władze zaczęły stopniowo opanowywać sytuację.

Pierwszym epilogiem wypadków był w lipcu 1924 r. w Krakowie w sądzie okręgowym proces przeciwko 56 osobom cywilnym oskarżonym o udział w zaburzeniach. Skazano jedynie 5-ciu oskarżonych i to za dowiedzione im dopuszczenie się kradzieży, nie zaś za udział w zaburzeniach.

Wydarzenia krakowskie głęboko wzburzyły całą Polskę, wywołały niechęć do rządu, który wobec wielkiego osłabienia swojej pozycji w dniu 14 grudnia 1923 r. podał się do dymisji.

W dniu 19 grudnia 1923 r. objął władzę nowy rząd W. Grabskiego. W rządzie tym ministrem spraw wojskowych był gen. W. Sikorski.

Sprawców zabójstw robotników, bądź bezpośrednich bądź też podżegaczy, jak widzimy z wyniku postępowania w sądzie powszechnym, nie ujawniono. Nieporadność miejscowych władz administracyjnych nie pociągnęła za sobą skutków karno-sądowych dla członków tych władz. Lecz fakt dotkliwej porażki i poniżenia wojska w dniu 6 listopada 1923 r., połączonych z wielkimi stratami oficerów i szeregowych, musiał wywoływać konieczność wyświeatlenia, czy i kto z dowódców wojskowych ponosi i jaką mianowicie winę.

Władze wojskowe przeprowadziły dochodzenia i śledztwo. W rezultacie powstała w sądzie wojskowym sprawa przeciwko byłemu dowódcy okręgu korpusu w Krakowie generałowi dywizji Józefowi Czikielowi i paru oficerom.



W 1925 r. jako wiceprokurator Najwyższego Sądu Wojskowego byłem odkomenderowany do pełnienia służby w Departamencie Sprawiedliwości Ministerstwa Spraw Wojskowych. W

początku kwietnia 1925 r. naczelny prokurator wojskowy, gen. E. Gruber, oznajmił mi, że minister spraw wojskowych gen. W. Sikorski deleguje mnie jako oskarżyciela w sprawie przeciwko gen. Czikielowi, w której rozprawa główna odbędzie się w Wojskowym Sądzie Okręgowym w Krakowie. Delegacja nastąpiła z uwagi na stopień wojskowy oskarżonego Czikiela (generał dywizji), na stopnie przewodniczącego składu sądującego (sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego pułkownik J. Dąbrowski i 4-ch asesorów w stopniach generalskich), na stopień prokuratora sądu okręgowego w Krakowie dr. Cięciela (tylko podpułkownik) i wreszcie na szczególną wagę sprawy. Na kilkanaście dni przed rozpoczęciem się rozprawy głównej pojechałem do Krakowa, aby mieć możliwość przestudiowania akt sprawy. Materiał dowodowy zebrany w dochodzeniach i śledztwie był wielki. Uważałem również za niezbędne obznać się z topografią terenu, na którym rozegrały się wypadki 6 listopada 1923 r.

Na kilka dni przed rozprawą udałem się do dowódcy Okręgu Korpusu w Krakowie, gen. Kulińskiego, aby mu zameldować iż z rozkazu ministra Spraw Wojskowych mam wystąpić w Wojskowym Sądzie Okręgowym w Krakowie jako oskarżyciel w sprawie gen. Czikiela. Gen. Kuliński przyjął mnie, stojąc na środku swego gabinetu. Złożyłem przepisowy meldunek i nastąpiła, w dalszym ciągu na stojąco, taka rozmowa:

— Czy rozprawa przeciwko gen. Czikielowi musi się odbyć?
— zapytał gen. Kuliński.

— Nie rozumiem pytania pana generała. Akt oskarżenia został sporządzony i termin rozprawy jest wyznaczony.

— Ale ja pytam, czy jest konieczne, aby generał dywizji Czikiel musiał być sądzony? Czy należy odbywać sąd nad generałem?

— W tej materii może zechce pan generał zwrócić się do pana ministra Spraw Wojskowych, a ja nie ma tu nic do powiedzenia.

Na tym skończyło się moje zgłoszenie się u gen. Kulińskiego, którego krytyczny widocznie stosunek do oddawania generałów pod sąd pozostał bez dalszych reperkusji.

Początek rozprawy głównej był wyznaczony na 20 kwietnia 1925 r. w Sądzie Wojskowym przy ulicy Montelupich. W sali sądowej przygotowano 40 miejsc siedzących dla osób, które dostaną karty wstępu na rozprawę. Według obowiązującego wówczas kodeksu austriackiego wojskowego postępowania karnego kobiety nie mogły być wśród publiczności na rozprawie. Na tej podstawie usunięto z sali sądowej dziennikarkę Morawską, sprawozdawczynię Agencji Wschodniej i „Rzeczypospolitej”. Zgodnie

z wymaganiami wspomnianego kodeksu komplet sądzący był następujący:

Przewodniczącym rozprawy był wyznaczony przez prezesa Najwyższego Sądu Wojskowego sędzia tego sądu, pułkownik audytor Józef Dąbrowski, (historyk Grabiec), zaś asesorami byli generałowie dywizji Berbecki, Lamezan de Salins, Thullie i Kędziński.

Uważałem, że pominięcie prokuratora Wojskowego Sądu Okręgowego ppłk. dr. Cięciela obniżałoby w Krakowie jego autorytet. Poprosiłem go więc, aby na rozprawie zajął obok mnie miejsce, jako drugi oskarżyciel, który zabierać będzie głos, jeżeli go o to poproszę. Ppłk. dr Cięciel zasiadał na rozprawie obok mnie, ale potrzeba zabierania przez niego głosu w toku rozprawy nie zaszła.

Akt oskarżenia obejmował 46 stron pisma maszynowego. Oskarżonymi byli gen. dyw. Józef Czikiel, kpt. Mieczysław Obidziński, por. Tadeusz Skarski, por. Wacław Nowakowski i mjr. Wacław Kostek-Biernacki.

Bronili oskarżonych: gen. Czikiela — adw. dr Klimecki, kapitana Obidzińskiego — adw. dr Heski, poruczników Skarskiego i Nowakowskiego — adw. dr Kwieciński i majora Kostka-Biernackiego — adw. dr Woźniakowski. Rzeczoznawcami wojskowymi byli gen. dyw. L. Skierski i gen. bryg. S. Wróblewski.

Prasa krakowska doniosła, że, jak słyhać, oskarżyciel żąda po otwarciu procesu tajności rozprawy, czemu sprzeciwi się obrona. Nie wiem, skąd prasa dowiedziała się o moim zamierzeniu, ale wzmianka była zgodna z prawdą. Powziąłem przekonanie, że wojsko w zaburzeniach krakowskich okazało się tak nie na wysokości zadania, taką poniosło klęskę i tak było poniżone, iż publiczne rozważanie tego wszystkiego nie wypadnie na dobro wojska i Państwa. Ten mój pogląd był aprobowany w Warszawie przez Naczelnego Prokuratora Wojskowego gen. Grubera oraz przez ministra spraw wojskowych gen. Sikorskiego.

Muszę wyznać, iż dojście do takiego poglądu i decyzji postawienia wniosku o tajność rozprawy było połączone z dużym samozaparciem, z pewną jakby ofiarą.

Udział w roli strony w rozprawie sądowej w wielkiej sprawie, w obecności licznych słuchaczy, jak wszelkie publiczne przemawiania, ma pewne podobieństwo do występów oratorskich, może nawet do gry aktorskiej w wielkich rolach. Im większe jest audytorium, tym większe ma zadowolenie mówcy, tym mocniej i lepiej wypada wykonanie jego zadania, tym większe ma on zadowolenie z samego siebie. Sprawa o wypadki listopadowe była nielada okazją dla popisów krasomówczych.

Ale osobista ambicja musi milknąć, jeżeli interes publiczny tego wymaga.

Przybywszy na salę sądową w dniu 20 kwietnia 1925 r., zastałem obecnego już gen. Czikiela.

Były wiceminister Spraw Wojskowych, były dowódca Okręgu Korpusu, teraz generał dywizji w stanie spoczynku i — siedzący na ławie oskarżonych. Ale w stosunku do mnie, pułkownika, oficer starszy stopniem. Stosując się do przyjętego w wojsku trybu zachowania się, podszedłem do gen. Czikiela i przedstawiłem mu się, meldując, iż z rozkazu ministra Spraw Wojskowych będę występował jako oskarżyciel w tej sprawie. Gen. Czikiel przyjął mój meldunek z zadowoleniem. Może pomyślał, że to zameldowanie się pozwala przypuszczać, że ten oskarżyciel nie będzie zbyt ostro i gorliwie występować. Ale nieco później, po moich w zagadnieniach incydentalnych zmaganiach się z obrońcami gen. Czikiel w czasie przerwy powiedział mi:

— Czy pan, panie pułkowniku, nie wnosi za wiele energii w tych sporach z obrońcami? Wszak to może odbić się ujemnie na zdrowiu.

— Nie u mnie. Jestem do tego przyzwyczajony, to jest mój zawód, to nawet robi mi dobrze.

— A mnie, przeciwnie, obecność moja tutaj bardzo mi szkodzi na zdrowiu.

— Ponieważ między nami jest istotna różnica: pan generał jest oskarżonym, a ja wykonywam swój obowiązek jako prokurator.

Na tym skończyła się moja konwersacja z gen. Czikiem. Do końca rozprawy już więcej nie rozmawialiśmy.

Wstępne spory z obroną były z następujących powodów.

Adwokat dr Woźniakowski zgłosił wniosek o wyłączenie mnie, gdyż mianował mnie minister Spraw Wojskowych, a nie kompetentny dowódca Okręgu Korpusu Krakowskiego.

Zareplikowałem, że ogólnie jest znana i stosowana zasada jedności prokuratury. Polega ona na tym, że młodszy hierarchicznie prokurator może być delegowany do pełnienia czynności starszego prokuratora i, odwrotnie, starszy prokurator może objąć czynność młodszego. Dowódca Krakowskiego Okręgu Korpusu jest powiadomiony o mojej delegacji i żadnych sprzeciwów nie zgłosił. Zresztą miejscowy prokurator bierze wspólnie ze mną udział w oskarżeniu, zasiadając obok mnie (w tym momencie procesu nie było jeszcze wiadome, że ten udział ograniczy się tylko owym obok zasiadaniem).

Sąd podzielił moje wywody i oddalił wniosek adw. dr. Woź-

niakowskiego. Ten wniosek mógł mi nasunąć przypuszczenie, iż zdaniem obrony, walka z Cięcieniem byłaby łatwiejsza, niż ze mną.

Z kolei ja zgłosiłem wniosek o wyłączenie jawności rozprawy, obrona zaś oponowała przeciwko temu wnioskowi.

Sąd uchwalił, iż odczytanie aktu oskarżenia i przesłuchanie oskarżonych odbędzie się jawnie, a całe postępowanie dowodowe będzie tajne, gdyż chodzi o autorytet armii, a wobec znanych antypaństwowych tendencji nurtujących w pewnych sferach społeczeństwa zachodzi potrzeba tajnego traktowania pewnych części postępowania dowodowego, których jednak oddzielić nie można od innych części dowodów, które mogłyby być jawnie traktowane. Wobec tej niemożności rozdzielenia, zwłaszcza przy niedających się przewidzieć odpowiedziach świadków, sąd musiał w interesie wojskowym zarządzić tajność postępowania dowodowego. Przy tajnym postępowaniu obrona miała prawo wnieść o dopuszczenie na rozprawę 6-ciu mężów zaufania. Byli nimi reprezentanci dzienników krakowskich i zamiejscowych.

Z powodu mojego wniosku o tajność rozprawy obrońcy oskarżonych wysłali następującą depeszę:

„Ministerstwo Wojny. Warszawa. Obrońcy w procesie wojskowym o zajścia listopadowe w Krakowie protestują przeciwko zwnioskowanej dziś przez prokuratora tajności rozprawy jako niezasadnionej ani względami ustawowymi ani też rzeczowymi i proszą o kompetentne polecenie cofnięcia takiego wniosku. Dr Heski, dr Klimecki, dr Kwieciński, dr Woźniakowski”.

Na powyższą depeszę nadeszła następująca odpowiedź:

„Do zarządzenia tajności rozprawy powołany jest w myśl ustawy wyłącznie wojskowy sąd orzekający, który w tym względzie wcale nie jest związany wnioskami oskarżyciela publicznego. Obronie przysługuje w danym wypadku jedynie prawo zaskarżenia w swoim czasie wyroku na zasadzie paragrafu 358 procedury wojskowej”.

Ten przepis wyszczególniał podstawy do wniesienia zażalenia nieważności.

Według aktu oskarżenia gen. Czikielowi zarzucono, iż a) że w ostatniej chwili zmienił dowódcę batalionu asystencyjnego; iż nie udzielił władzom politycznym tak silnej pomocy wojskowej, by dawała ona rękojmię, że żądanie jej zostanie spełnione, to jest nastąpi przywrócenie porządku i bezpieczeństwa, a honor oręza nie zostanie narażony na szwank; że w dniu 6 listopada 1923 r. wbrew przepisom instrukcji, wiedząc na podstawie doniesień telefonicznych, że na ulicy Dunajewskiego półbatalion 16-go pułku piechoty został rozbrojony, że wysłany celem rozproszenia tłumów

2-gi szwadron 8-go pułku ułanów został rozbity, że broń i amunicja przeszła w ręce tłumu, wysłał przeciwko uzbrojonym tłumom jeszcze 3 szwadrony 8-go pułku ułanów mimo, iż posiadał do dyspozycji kilka baonów piechoty i samochody pancerne, które mogły skuteczniej przywrócić porządek ze względu na nieodpowiedni teren dla działania konnicy; że po użyciu broni przez wojsko, które zostało rozbrojone, po ofiarach w ludziach i koniach, po utracie blisko 500 karabinów, karabinu maszynowego oraz samochodu pancernego, zamiast doprowadzić do rozpędzenia tłumu i przywrócenia porządku publicznego, odebrania broni i amunicji i uwolnienia uwięzionych, to jest osiągnięcia właściwego celu interwencji wojska, poddał się w zupełności, wbrew przepisowi instrukcji asystencyjnej, dyspozycjom władz administracyjnych i wstrzymał interwencję wojska. Kapitanowi Obidzińskiemu i porucznikom Skarskiemu i Nowakowskiemu zarzucono, iż, mimo pouczenia dnia 5 listopada 1923 r. o przepisach instrukcji asystencyjnej i otrzymania rozkazu pouczenia o nich swoich oddziałów, rozkazu tego nie wykonali, co pociągnęło za sobą wielką szkodę, gdyż wojsko 4-tej i 6-tej kompanii nie wiedziało, jak zachować się wobec agresywności tłumu, narażając się przez to na rozbrojenie przez tłum; że kapitan Obidziński jako dowódca półbaonu 16 pułku piechoty, zaś porucznicy Skarski i Nowakowski jako dowódcy 4 i 6 kompanii, występujących w charakterze oddziałów asystencyjnych na ulicy Dunajewskiego, z obawy przed osobistym niebezpieczeństwem postąpili wbrew przepisom: a) wiedząc, że reprezentant władzy politycznej pod żadnym warunkiem nie posiada prawa dysponowania oddziałami asystencyjnymi, nie zażądali od przedstawicieli władz administracyjnych ani od dowództwa obozu warownego ustalenia celu i zadań swego oddziału, lecz oddali się do dyspozycji urzędników policyjnych i pełnili zadania służby policyjnej; b) że, słysząc obelgi i pogróżki tłumowi pod adresem policji i wojska, widząc, że niektóre jednostki wygrażają rewolwerami i kijami, a nawet obrzucają wojsko i policję kamieniami, nie wydali żadnego rozkazu, który by zmusił tłum do ustąpienia; c) że, dopuściwszy do siebie i oddziałów tłum, zachowali się biernie wobec obdarzania żołnierzy papierosami i wobec usiłowań tłumy do skłonienia szeregowych do nie-subordynacji; d) że po przerwaniu kordonu policyjnego nie wydali żadnych zarządzeń — celem przywrócenia porządku publicznego; e) że widząc, że tłum po przerwaniu kordonu zamierza podjąć walkę z policją, nie wydali, jako przedstawiciele siły zbrojnej państwa żadnych rozkazów, lecz zezwolili na zdjęcie bagnetów, a chroniąc się przed strzałami kładli się wraz z oddziałami dwukrotnie na ziemię, z czego skorzystał tłum, rozbijając ofice-

rów obu kompanii, po czym nie podjąwszy żadnej akcji, rzucili się do ucieczki, wzywając do niej szeregowych.

Kapitanowi Obidzińskiemu ponadto zarzucono, że z obawy przed osobistym niebezpieczeństwem, ku zgorszeniu swych podwładnych, zabiegał o sympatię tłumu, zezwalając na dwukrotne podniesienie go w górę i zapewniając, że strzelać nie będzie.

Przez powyższe naruszenie obowiązków służbowych wyrządzona została szkoda, tłum bowiem zdobytych na oskarżonych oficerach i szeregowych 16 p.p. karabinów i rewolwerów użył do walki przeciw 8-mu pułkowi ułanów, samochodom pancernym i policji i spowodował śmierć oficerów i szeregowych oraz straty w materiale.

Kapitanowi Obidzińskiemu ponadto zarzucono jeszcze nie-subordynację wobec swego przełożonego, której dopuścił się w czasie swej podróży do Krakowa, będąc w stanie nietrzeźwym.

Majorowi Kostkowi-Biernackiemu zarzucono, że doradzał batalionowi asystencyjnemu, aby odmaszerował z plant, by nie występował przeciwko tłumowi, który oburzony jest jedynie na policję, a nie na wojsko.

Według motywów aktu oskarżenia gen. Czikiel wbrew przepisowi instrukcji, nakazującemu przeznaczać na dowódców oddziałów asystencyjnych oficerów starszych, dzielnych i doświadczonych, bez porozumienia się z komendantem obozu warownego i właściwym dowódcą grupy, na kilka godzin przed użyciem II batalionu 16 p.p. dla celów asystencyjnych, usunął dowódcę baonu kapitana Jędrychowskiego, posiadającego jak najlepsze kwalifikacje jako oficer i dowódca liniowy, a rozkazał oddać dowództwo baonu najstarszemu z rzędu oficerowi wbrew przedstawieniom płk. Frendla i kpt. Jędrychowskiego, że najstarszy oficer, to jest kapitan Obidziński, nie nadaje się na to stanowisko, gdyż posiada ujemną kwalifikację i kurs przeszkolenia ukończył z postępiem niedostatecznym. Przyczyną zmiany dowódcy batalionu asystencyjnego było uprzedzenie gen. Czikiela do kapitana Jędrychowskiego jako byłego oficera legionowego.

Gen. Czikiel nie przyznał się do winy i wyjaśnił, że usunął kapitana Jędrychowskiego, gdyż dowiedział się, że jako syn robotnika może być politycznie niepewny. Jeszcze w październiku 1923 r. do Dowództwa Okręgu Korpusu wpłynęło doniesienie wojewody Gałęckiego, że w Okręgu Korpusu szykuje się zamach stanu z udziałem oficerów. Rozkaz gen. Czikiela o wysłaniu na pomoc batalionu 1-go pułku podhalańskiego pod dowództwem majora Gizy był wykonany z półgodzinnym opóźnieniem. Ale akcję tego baonu gen. Czikiel wstrzymał wobec otrzymania rozkazu ministra spraw wewnętrznych dr. Kiernika o wstrzymaniu

akcji wojskowej. Rozmowa telefoniczna z gen. Szeptyckim nic nie dała, bo gen. Szeptycki powiedział, że rozkaz ministra spraw wewnętrznych nie obchodzi go. Ujemne dane o kapitanie Obidzińskim wpłynęły do Dowództwa Okręgu Korpusu dopiero 11 listopada 1923 r. Rozejm zawarł nie on, gen. Czikiel, lecz minister Spraw Wewnętrznych.

Kapitan Obidziński zeznał, że wydał zarządzenia w celu oddzielenia swoich oddziałów od tłumu, lecz tłum rzucił się zniecka, a kompanie składały się z rezerwistów.

Przy przesłuchaniu kapitana Obidzińskiego ujawniła się niezajomość jego także w sferze niezbyt dawnej historii polskiej. W swym zeznaniu kapitan Obidziński opowiedział, że jakiś epizod zaszedł obok pomnika „pana Rajtara”. Z pewnym wysiłkiem zdołano wyjaśnić kapitanowi, że widocznie chodzi mu o pomnik, poświęcony pamięci Tadeusza Rejtana (1741-1780), posła nowogródzkiego na Sejmie w 1773 r., który wtedy wykazał niezłomny opór przeciwko rozbiorowi Polski.

Dla kapitana było to rewelacją.

Wyjaśnienia poruczników Skarskiego i Nowakowskiego nie wniosły ujawnienia nowych okoliczności.

Major Kostek-Biernacki zeznał, że na miejscu rozruchów znalazł się przypadkowo. Mówiąc do kapitana Obidzińskiego, że tłum występuje przeciwko policji, a nie wojsku, chciał zachęcić 16-ty pułk piechoty do wytrwania na miejscu.

Po otwarciu postępowania dowodowego pierwszy zeznawał świadek były minister Spraw Wewnętrznych dr Kiernik, który oświadczył, że nie wydawał rozkazów zaprzestania akcji bojowej i zawieszenia broni. Poleciał tylko, aby dla umożliwienia porozumienia się posłów z Polskiej Partii Socjalistycznej z tłumem wstrzymano napieranie policji i wojska na tłum.

W czasie wspólnego spożywania przez komplet sędzący i mnie obiadu, przewodniczący pułkownik Dąbrowski powiedział: — Będziemy mieli na następnym posiedzeniu Radetzky marsz (austriacki feldmarszałek Johann Radetzky, 1766-1958).

Zapytany, co przez to rozumie, oznajmił, że będą przesłuchiwani jako świadkowie byli komendanci *festung Krakau*. Byli to dawni generałowie austriaccy, a później polscy, jak Latinik, Halka-Ledóchowski i inni. Przy tej sposobności okazało się, że np. gen. Halka-Ledóchowski z trudnością wysławia się po polsku. Ogólny sens zeznań tych świadków był taki, że cokolwiek stanie się złego w toku akcji asystencyjnej, to zawsze całą winę składa się na wojskowych, co dzieje się dlatego, że przepisy nie są jasne.

W związku z obroną gen. Czikiela, że kpt. Jędrychowski był politycznie podejrzany jako syn robotnika, udało mi się ustalić

niezgodność tej obrony z istotnym stanem rzeczy. W kularach sądu kręcił się mój znajomy major dr Dziadosz. Powiedziałem mu:

— Panie majorze! Zamiast pętać się tutaj może by pan major mi pomógł, dowiedział się, jakie ma zajęcie ojciec kapitana Jędrychowskiego i jaka jest jego sytuacja majątkowa.

— Już się robi — odpowiedział mi major Dziadosz.

Tegoż dnia po południu mjr Dziadosz zakomunikował mi, że ojciec kapitana Jędrychowskiego jest zamożnym masarzem i właścicielem nieruchomości, zdaje mi się, w Tarnowie. Mogłem więc z łatwością obalić ten szczegół obrony gen. Czikiela.

Co do ujemnych, a rzekomo jak najlepszych według twierdzenia gen. Czikiela, kwalifikacji kpt. Obidzińskiego stwierdzono iż, będąc na jednym z doszkoleniowych tak zwanych turnusów dla kapitanów i poruczników, nie posiadających pełnych kwalifikacji oficerskich, kpt. Obidziński był zakwalifikowany jako posiadający wynik niedostateczny, co wśród oficerów turnusów było rzeczą niezmiernie rzadką. Z uwagi na to i alkoholizm był już wniosek o przeniesienie kapitana Obidzińskiego do rezerwy.

Kapitan Jędrychowski przed opuszczeniem dowództwa półbatalionu zameldował drogą służbową gen. Czikielowi o powodach nienadawania się kapitana Obidzińskiego na dowódcę półbatalionu.

Jeden ze świadków w toku postępowania dowodowego, płk. dypl. Rozwadowski, na moje zapytanie, jak scharakteryzowałby wynik akcji wojskowej zarządzanej przez gen. Czikiela w dniu 6 listopada 1923 r., odpowiedział jowialnie:

— Powiedziałbym, że to była kłapa.

Na posiedzeniu w dniu 25 kwietnia 1925 r. był przesłuchany jako świadek Inspektor Armii, generał broni. S. Szeptycki, który w czasie zajęć listopadowych, jak podano już wyżej, był ministrem Spraw Wojskowych. Z uwagi na wysoki stopień wojskowy świadka Sąd Wojskowy zezwolił gen. Szeptyckiemu na składanie zeznań, siedząc na krześle, postawionym przed stołem sędziowskim.

Gen. Szeptycki wyjaśnił, że nie mógł z Warszawy kierować akcją wojskową w Krakowie przy braku nadto dostatecznych danych o sytuacji. Dalej generał powiedział:

— Kiedy byłem zwolniony z urzędu ministra Spraw Wojskowych, pojechałem do Krakowa, poszedłem do kościoła Mariackiego i odmówiłem dziękczynną modlitwę za to, że przestałem być ministrem.

Kiedy przyszła na mnie kolej zadawania świadkowi pytań, odbyło się to w sposób następujący.

— Czy pan generał znał osobiście w swoim inspektoracie oficerów sztabowych?

— Wszystkich bez wyjątku.

— Co pan generał mógłby powiedzieć o majorze (zaawansował już) Jędrychowskim?

— Znam go jeszcze z legionów. Kawaler orderu Virtuti Militari. Doskonały oficer i człowiek bez zarzutu.

— Czy może pan generał znał też niektórych młodszych oficerów w swoim inspektoracie.

— Wielu znałem.

— Czy znał pan generał kapitana Obidzińskiego?

— Owszem, znałem.

— Jaką pan generał mógłby o nim wydać opinię?

— Jako oficer — zero, jako człowiek — niżej zera.

Tu przewodniczący pułkownik Dąbrowski delikatnie zauważył:

— Panie generale! Kapitan Obidziński jest tutaj na ławie oskarżonych:

Generał Szeptycki odwrócił się, spojrzął na ławę oskarżonych i spokojnie oznajmił: „nie wiedziałem”.

Na tym skończyło się przesłuchanie gen. Szeptyckiego, i opinia o kapitanie Obidzińskim wypadła okropnie.

W siódmym dniu rozprawy zakończono przesłuchiwanie świadków, których było przeszło stu. Po wydaniu orzeczenia przez rzeczoznawców wojskowych, które wypadło w pewnych swych częściach dla gen. Czikiela niekorzystnie, nastąpiły wywody stron. Odbyły się one w dziewiątym dniu rozprawy.

Ja przemawiałem pierwszy i trwało to, jak stwierdziły miejscowe gazety, trzy godziny i kwadrans. Była to najdłuższa mowa w mojej wieloletniej praktyce prokuratorskiej. Potrzebowałem tak wiele czasu wskutek wielkości materiału dowodowego i zawiłości wynikających zagadnień. Ale obrońca gen. Czikiela, adw. dr Klimecki, mówił o godzinę dłużej. Mówił z wielkim przejęciem. Gen. Czikiel z widocznym zadowoleniem spoglądał na swego obrońcę, a zwróciwszy się do siedzącego obok majora Kostka-Biernackiego stwierdził:

— Dobrze legun mówi!

Był to nagły a niespodziewany przejaw sympatii dla legionistów, której brak zarzucano gen. Czikielowi i który miał być rzeczywistym powodem usunięcia kapitana Jędrychowskiego, a może i przyczyną tragicznego przebiegu wypadków listopadowych. Późnym wieczorem mowy zakończono.

W dniu 1 maja 1925 r. sąd wojskowy ogłosił wyrok.

Generała Czikiela uznano winnym, że w dniu 6 listopada

1923 r. w trakcie akcji wojskowej, już po użyciu broni przez wojsko, po śmierci 2-ch oficerów i 14 szeregowych z ręki tłumu, po zranieniu ponad stu wojskowych i zniszczeniu olbrzymiej ilości materiału wojskowego, zamiast doprowadzić do rozpędzenia tłumu, przywrócenia porządku, odebrania broni i uwolnienia uwięzionych, to jest osiągnięcia właściwego celu interwencji wojska, poddał się w zupełności wbrew przepisom instrukcji i wstrzymał interwencję wojska, utrwalając przez to władzę i społeczeństwo w mniemaniu prawdziwości rozszerzanych wersji o zupełnej kapitulacji i niesubordynacji wojska. Nadto uznano gen. Czikiela winnym niedozoru nad podwładnymi organami przy spełnianiu czynności służbowych. Za czyny te sąd wojskowy skazał gen. Czikiela na zamknięcie w twierdzy przez trzy miesiące. Natomiast gen. Czikiela uwolniono od zarzutu, że zmienił dowódcę batalionu asystencyjnego, że udzielił władzom administracyjnym niewystarczającej pomocy i że wysłał kawalerię i auta pancerne na miejsce rozruchów.

Kapitana Obidzińskiego i poruczników Skarskiego i Nowakowskiego uznano winnymi, że, mimo pouczenia w dniu 5 listopada 1923 r. o przepisach instrukcji asystencyjnej i otrzymania rozkazu pouczenia o nich swoich oddziałów, rozkazu tego nie wykonali, co pociągnęło za sobą rozbrojenie półbatalionu 16-go pułku piechoty, pełniącego na ulicy Dunajewskiego służbę asystencyjną, tudzież że, dopuściwszy do siebie i swoich oddziałów tłum, zachowali się biernie wobec usiłowań tłumu, zmierzających do skłonienia szeregowych do niesubordynacji, a po przerwaniu kordonu policyjnego nie wydali zarządzeń celem przywrócenia porządku publicznego, lecz zezwolili na zdjęcie bagnetów, z czego skorzystał tłum i rozbroił obie kompanie. Kapitana Obidzińskiego ponadto uznano winnym, że z obawy przed osobistym niebezpieczeństwem zapewnił tłum, że strzelać nie będzie. Za te czyny kapitana Obidzińskiego skazano na zamknięcie w więzieniu przez dwa miesiące z wliczeniem sześciotygodniowego aresztu śledczego i zwolnienie (to znaczy bez degradacji) z wojska. Poruczników Skarskiego i Nowakowskiego skazano każdego na 4 tygodnie aresztu z zaliczeniem na poczet kary aresztu śledczego od 19 listopada do 13 grudnia 1923 r.

Natomiast tych trzech obwinionych uwolniono od innych zarzuconych im oskarżeń w czym od zarzutu zbrodni tchórzostwa.

Majora Kostka-Biernackiego uniewinniono.

W motywach wyroku sąd podał, że gen. Czikiel jako dowódca miał prawo zmienić dowódcę batalionu asystencyjnego bez tłumaczenia się komukolwiek z tego zarządzenia. Użycie kawalerii sąd

uznał za błąd taktyczny, a pomoc udzieloną władzom administracyjnym za zupełnie wystarczającą, oraz uznał, iż nie mógł dopatrzyć się winy gen. Czikiela za rozbicie 8-go pułku ułanów. Jako okoliczność obciążającą sąd przyjął, że gen. Czikiel w całej akcji liczył się z politycznymi względami i okazał niezdecydowanie.

Instrukcję o asystencji sąd przyjął jako zasadniczy przepis, którego niezajomością nie może się żaden oficer w czynnej służbie tłumaczyć.

Obrońca gen. Czikiela adw. dr Klimecki wniósł zażalenie nieważności do Najwyższego Sądu Wojskowego, który zażalenie to w dniu 21 czerwca 1925 r. odrzucił.

Gen. Czikiel odbył karę twierdzy w więzieniu wojskowym w Stanisławowie. W czasie wizytacji więzienia naczelny prokurator wojskowy, gen. Gruber, stwierdził, iż gen. Czikiel odbywa karę w przydzielonych mu dwóch pokojach, że na stole był półmisek z całą tylną szynką wieprzową i tort. Bo kara twierdzy jest to honorowe pozbawienie wolności, tak zwana *custodia honesta*.

Z „legunem” adw. dr. Klimeckim gen. Czikiel po odbyciu kary miał nieporozumienie w sprawie honorarium za obronę. Dr Klimecki zażądał honorarium w kwocie dwudziestu paru tysięcy złotych. Wysokość honorarium uzasadniał poświęceniem około miesiąca czasu na pracę nad sprawą. W tym okresie czasu była wyłączona jakakolwiek praca nad innymi sprawami. Z pracą zaś w sprawie gen. Czikiela były połączone nadto różne wydatki, wśród których wymieniono koszty jazdy i pobytu w Warszawie oraz odbytych tam konferencji z członkami sejmowej komisji wojskowej. Gen. Czikiel odmówił zapłaty żądanej sumy i sprawa o wyznaczenie wysokości honorarium weszła do wojskowego Sądu Okręgowego w Krakowie. Gen. Czikiel w swoim podaniu stwierdził, iż „udało mu się” dowiedzieć o wysokości zeznanego w urzędzie skarbowym (stanowi to tajemnicę urzędową) przez adw. Klimeckiego jego rocznego dochodu w celu wymierzenia podatku dochodowego. Ten dochód miał wynosić dziesięć tysięcy złotych. Więc adw. Klimecki, biadał gen. Czikiel, chciałby, abym mu zapłacił jego dwuletni zarobek. Gen. Czikiel wy dostał nie uchyloną jeszcze dawną austriacką takse adwokacką i według niej obliczył honorarium na sumę około tysiąca złotych, którą wspomniałomyślnie godził się podwyższyć do półtora tysiąca złotych. Wojskowy Sąd Okręgowy orzekł, iż honorarium ma wynosić trzy tysiące złotych. Dr Klimecki zaskarżył orzeczenie do Najwyższego Sądu Wojskowego, który podwyższył honorarium do pięciu tysięcy złotych. To orzeczenie było ostateczne.

W parę lat po wyroku do służbowego gabinetu do mnie,

jako wtedy sędziego Najwyższego Sądu Wojskowego, zgłosił się gen. Czikiel.

— Jako dobry katolik, panie pułkowniku, wszystko przebaczam panu, oświadczył gen. Czikiel.

— Nie ma pan generał mi co przebaczać. W sprawie pana spełniłem tylko mój obowiązek służbowy — odpowiedziałem gen. Czikielowi.

Dowiedziałem się później, iż gen. Czikiel sondował w departamencie sprawiedliwości ministerstwa Spraw Wojskowych, czy nie dałoby się przeprowadzić tak zwanego zatarcia skazania. Widocznie miał na myśli ewentualną pomoc z mojej strony.

Jednak postępowanie o zatarcie skazania, o ile mi wiadomo, nie wynikło.

Gen. Czikiel do służby wojskowej już nie wrócił. Żył, podobno, dostatnio, posiadając intratne przedsiębiorstwo wyrobu wędlin.



Ogólnie jest przyjęte, że prawomocne wyroki sądowe nie mogą podlegać krytyce. Ale teraz, po upływie czterdziestu lat od daty zaburzeń w Krakowie i trzydziestu ośmiu lat od rozprawy sądowej w sprawie gen. Czikiela, uważam za całkowicie dopuszczalne, a może nawet pożyteczne, wypowiedzieć mój, obecnie powzięty, subiektywny, a więc może sporny, pogląd na sprawę gen. Czikiela i pozostałych oficerów. Nazwany rządem Chienio-Piasta rząd Witosa, jak zresztą prawie każdy, jeżeli nie każdy, rząd w Polsce w latach 1918-1939, miał zwolenników i przeciwników. I jedni i drudzy posiadali słuszne i niesłuszne powody swego względem rządu stanowiska. Przeciwnikiem rządu Witosa (Chienio-Piasta) był tak zwany obóz legionowy i pewne ugrupowania Polskiej Partii Socjalistycznej (P.P.S.). Ze strajkiem w Krakowie i przygotowywaną masową demonstracją przeciwnicy rządu wiązali nadzieję obalenia go. Gen. Czikiel, były wiceminister Spraw Wojskowych, przesunięty na niższe stanowisko dowódcy Okręgu Korpusu i to do Krakowa, czyli poza stolicę, nie mógł czuć się zadowolonym. Plotki w Krakowie mówiły, że gen. Czikiel przed zaburzeniami listopadowymi porozumiewał się z miejscowymi przywódcami P.P.S. i że nawet miał obiecaną w razie powstania rządu ze znacznym udziałem P.P.S. w tym rządzie tekę ministra spraw wojskowych. Możliwe przeto było, iż psychicznie gen. Czikiel raczej sprzyjał powodzeniu akcji strajkowej i nie był skłonny dość energicznie ją zwalczać. W wyroku sąd dyskretnie o tym napomknął, mówiąc, że gen. Czikiel w

czasie akcji liczył się z politycznymi względami. O ile przytoczone przypuszczenie co do stosunku gen. Czikiela do akcji w Krakowie byłoby słuszne, to wiele tłumaczyłoby w postępowaniu gen. Czikiela w dniu zaburzeń w Krakowie. Bowiem to postępowanie miało cechy premedytacji, robienia tak, aby akcja przeciwnikom rządu udała się. Momentem wyjściowym tego, co nastąpiło 6 listopada, było pozbawienie kapitana Jędrychowskiego dowództwa półbaonu i wyznaczenie dowódcą zdyskwalifikowanego wojskowo i notorycznego alkoholika, kapitana Obidzińskiego, który miał być usunięty z czynnej służby wojskowej. Zadaniem półbaonu było niedopuszczenie zbiórki demonstrantów w domu robotniczym i uformowania masowego pochodu. Mimo zbierania się coraz więcej demonstrantów na ulicy, kapitan Obidziński zachowywał się biernie. Ale żołnierze jakoś trzymali kordon i nie dopuszczali nadchodzących do domu robotniczego. Skorzystawszy z widocznej bierności dowódców wojskowych, sprowadzono skądś wóz wyładowany główkami kapusty. Wóz ten przerwał kordon, tłum wdarł się za nim i zajścia przybrały poważny charakter. Kapitan Obidziński, który widział w Rosji rewolucję, i pierwszą marcową, i drugą październikową, w roku 1917, pomyślał sobie, że i tu coś podobnego się robi, że to pewnie się uda i że trzeba siebie ratować zwłaszcza jeżeli się wie, że ma się karierę w wojsku i tak skończoną. Widząc kumanie się dowódcy z demonstrantami obaj porucznicy byli zupełnie zdezorientowani i zachowywali się biernie. A tłum z tego skorzystał, zwłaszcza że żołnierze pozbawieni kierownictwa i dowództwa, a w większości swej tacy sami, jak demonstranci, cywile powołani na ćwiczenia, nie mogli zdobyć się na opór wciąż rosnącemu i pomieszanemu z nimi tłumowi. Tłum zaś, zdając sobie sprawę ze swej przewagi, odebrał żołnierzom karabiny i amunicję. Podobno pierwsze strzały miały paść ze strony policji, która zaczęła działać niezależnie od wojska. Tu kapitan Obidziński zdecydował, że należy ratować swoją osobę, i rzucił się do panicznej ucieczki, a porucznicy i żołnierze poszli za jego przykładem.

Gen. Czikiel, obecny w tym samym mieście, musiał wiedzieć gdzie i co się dzieje, ale, jak mierniam, nie chciał sytuacji opanować. Posłał więc kolejno jeden po drugim szwadrony 8-go pułku ułanów, mimo iż asfaltowa jezdnia ulicy Dunajewskiego była polana, nie wiadomo przez kogo, wodą, a zasłonę dla uzbrojonych już demonstrantów stanowiły krzaki i drzewa równoległych z ulicą Dunajewskiego plantów. Kiedy zaś na odsiecz maszerował i był już blisko od miejsca zajść batalion pułku podhalańskiego pod dowództwem majora Gizy, który z pewnością przywróciłby porządek, gen. Czikiel zatrzymał ten batalion, nie pozwalając mu

działać, co później tłumaczył jakoby otrzymanym rozkazem ministra spraw wewnętrznych dr. Kiernika, rozkazem, który w istocie gdyby był wydany, w niczym nie zobowiązywał gen. Czikiela, co jasno stwierdził gen. Szeptycki, który oznajmił przez telefon z Warszawy gen. Czikielowi, że rozkaz ten jego, ministra spraw wojskowych, nie obchodzi.

Dłuższy upływ czasu od popełnienia przestępstwa do sądenia za nie sprawców prawie zawsze gra na ich korzyść. Łagodzi surowość, wzmagają litość. Sędziowie są ludźmi i obok rozsądku i rozwagi nie mogą być i nie bywają całkowicie wolni od pobudek emocjonalnych przy sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości.

Zaburzenia były w listopadzie 1923 r., a rozprawa sądowa w kwietniu 1925 r., czyli po półtora roku. Nikt z cywilnych sprawców zaburzeń nie poniósł kary. Kozłem ofiarnym byli tylko wojskowi, a sędzili ich — także wojskowi. Ósmy pułk ułanów nie na wojnie i nie z rąk wroga, lecz z rąk własnych rodaków, poniósł porażkę i olbrzymią klęskę. I użycie pułku do tłumienia zaburzeń sąd uznał jedynie za błąd taktyczny. Lecz ten błąd pociągnął za sobą tyle ofiar! W sądzie były długie akademickie debaty na temat dopuszczalności użycia kawalerii do tłumienia masowych rozruchów. Lecz jakoś nie bardzo zwrócono lub chciano zwrócić uwagę na konkretne zagadnienie, czy w danym przypadku i w danych warunkach wolno było posyłać na stracenie kawalerię. Gen. Czikiel bardzo dbał o bezpieczeństwo osobiste i całość swojego komfortowego mieszkania. W pobliżu swego locum gen. Czikiel miał do dyspozycji batalion szkolny saperów, żołnierzy wyćwiczonych i pod właściwą komendą. Tego batalionu nie wysłał do ukrócenia anarchii, która zapanowała po rozbrojeniu półbaonu.

Lecz po półtora roku wiele się zmieniło. Gen. Czikiel był już w stanie spoczynku, ułani już spali snem wiecznym, sprawcy krakowskich zaburzeń używali wolności.

Nie można było gen. Czikiela uwolnić od winy, lecz starano się jego winę pomniejszyć, złagodzić, pozwolić gen. Czikielowi pomieszkać w dwóch pokojach więziennych, mających imitować twierdzę (w Polsce twierdz nie było), pocieszać się w takim zamknięciu szynką i torem.

To były, jak mniemam, te psychologiczne momenty, które zrodziły wyrok. Dwóch młodych poruczników uwolniono od bardzo ciężkiego zarzutu tchórzostwa, którego przyjęcie byłoby końcem wojskowej kariery tych oficerów.

A przecież stchórz yli. Wszakże ustalono ich całkowitą bezradność i ucieczkę z ulicy Dunajewskiego i to na czele uciekających rozbrojonych żołnierzy na ulicę Basztową i ukrycie się w

mieszkaniach nieznanym im osób. To sąd przemilczał. Próbuje wytłumaczyć takie stanowisko sądu.

Trzeba tu zauważyć, że sąd wojskowy jest sądem ławniczym, gdzie obok sędziego zawodowego zasiadają asesorowie, którzy obowiązani, jak wszyscy sędziowie, do kierowania się ustawą i sumieniem, idą czasami więcej za głosem sumienia jako nieomyłnej zdolności rozróżniania dobra od zła.

W danej sprawie był taki epizod.

Adwokat dr Kwieciński, obrońca obu poruczników, tak rozpoczął swoje końcowe przemówienie.

— Do dowódcy pułku w Legionach zgłosił się młodziutki uczeń szkoły średniej i prosił o przyjęcie go do Legionów, bo chce się bić o niepodległość Polski. Dowódca przyjął ucznia i ten przeszedł epopeję legionową, doczekał się Niepodległości Polski i uzyskał stopień oficerski. Ten oficer to dzisiejszy oskarżony porucznik, a ten dowódca to jeden z dzisiejszych sędziów — pan generał Berbecki.

W tym momencie zauważyłem łzy w oczach gen. Berbeckiego.

Nie wiem, jakie w pokoju narad nad tym wyrokiem zajmował stanowisko gen. Berbecki co do zarzutu tchórzostwa, ale jestem prawie pewien i zupełnie to pojmuję, że głosował za uwolnieniem od tego zarzutu.

Nie mogę tu pominąć jeszcze jednego wystąpienia adw. dr. Kwiecińskiego.

Po ogłoszeniu przez sąd wyroku, a przed opuszczeniem jeszcze sali sądowej przez sędziów i oskarżyciela zbliżył się do mnie adw. dr Kwieciński i oświadczył:

— W imieniu całej ławy obrończej składam panu pułkownikowi jako prokuratorowi gentleman'owi nasze podziękowanie.

Słowo „gentleman'owi” było powiedziane ze szczególnym podkreśleniem.

Okazało się, że adw. dr Kwieciński także w imieniu całej ławy obrończej złożył podziękowanie płk. Dąbrowskiemu za spokojne i rzeczowe przewodniczenie na rozprawie.

W przeciągu bardzo długiej praktyki prokuratorskiej taki wyraz uznania ze strony przeciwników w procesie zdarzył mi się po raz pierwszy i w ogóle jedyny. Toteż wspomnienie o tak pięknej ocenie pracy płk. Dąbrowskiego, mojego przyjaciela od lat szkolnych (zmarł w 1926 roku), i mojej jest mi szczególnie miłe.

Wracam do wyroku. Jak litość to litość. Dlatego, pewnie, nie wydalono z wojska kpt. Obidzińskiego, ograniczając się tylko zwolnieniem go, co skutkowało przeniesieniem go do rezerwy z zachowaniem stopnia oficerskiego.

Wyłączony pogląd nie jest moją krytyką wyroku, którego muszę stwierdzić, nie zaskarżyłem (zaskarżenie nie obaliłoby wyroku). Ten pogląd jest tylko usiłowaniem wytłumaczenia, jak sprawę i wyrok teraz pojmuję.

A mogę to czynić, bo wszakże to już stająca się historią przeszłość.

Stanisław LUBODZIECKI

POLACY W ŻYCIU BELGIJSKIM

W listopadzie 1830 roku car Mikołaj wydał rozkaz stłumienia ruchu wyzwolenczego powstałego w Belgii w lipcu, a we wrześniu tegoż roku — rozkaz złamania buntu belgijskiego przeciw panowaniu w Belgii króla Wilhelma holenderskiego. Nasze powstanie listopadowe zmusiło jednak Mikołaja do zatrzymania w Polsce karnej ekspedycji carskiej, która miała przyjść z pomocą Wilhelmowi przeciw Belgom. Po nieudalym powstaniu listopadowym rozbitki polskich formacji schroniły się głównie w Prusach, gdzie zostały zdemobilizowane. Część rozbrojonych Polaków przedostała się do Francji, a część do Belgii. Wśród przybyśzów w Belgii znalazły się takie osobistości, jak Kruszewski, Prot Pruszyński, Wł. Zamoyski, Bernard Potocki, generał Jan Skrzynecki (1786-1860).

Od 1832 roku na wyższych stanowiskach w armii belgijskiej figurują w kawalerii: Brochowski, Grabowski, Mazurkiewicz, Ostrowski, Raczyński, a w artylerii: Froelich, Karski, Kleczkowski, Luboracki, Sobieski, w piechocie zaś: Dembiński, Koźmian, Sułkowski, Szczepański.

W 1838 roku król Leopold, żywiąc obawy co do zamiarów monarchy holenderskiego, zwrócił się do generała Skrzyneckiego o zreorganizowanie armii belgijskiej na trwalszych podstawach. Skrzynecki propozycję przyjął i wstąpił do wojska belgijskiego wraz z kapitanami Godebskim, Gordoszewskim, Idzikowskim oraz porucznikami Beberem, Oborskim, Xiężopolskim oraz innymi.

W tym okresie schronili się w Belgii, oprócz braci wojskowej, również powstańcy cywilni, na czoło których wysunął się Joachim Lelewel (1786-1861) z Wilna, historyograf i numizmatyk, autor cztero-tomowego dzieła „Geografia średniowiecza” oraz

„Dictionnaire géographique polonais”, wydanego w 1902 roku w 14 tomach, a jednocześnie wybitny przedstawiciel ówczesnego międzynarodowego ruchu demokratycznego, cieszącego się sympatią w pewnych sferach belgijskich nastawionych rewolucyjnie. Mieszkał on przez długie lata w Brukseli, gdzie wykładał historię na uniwersytecie. Jako numizmatyk przyczynił się do ufundowania w Brukseli przy Bibliotece Narodowej zbioru monet i medali starożytnych. Toteż uniwersytet zorganizował, w marcu 1963 r., dla uczczenia pamięci Lelewela, z okoliczności stulecia jego zgonu, obchód jubileuszowy w głównej auli uniwersyteckiej.

Początkowo Lelewel przybył z Polski do Francji, skąd był on jednak zmuszony udać się (pieszo) do Brukseli. Premier francuski Casimir Perier był przeciwny wdawaniu się Francji w sprawy polskie. Król Ludwik Filip musiał wówczas liczyć się z antywyzwoleniową polityką Sainte-Alliance, a to tym bardziej, że został on świeżo uznany przez absolutystycznie nastawionych monarchów. W polityce międzynarodowej za uznanie płaci się nieraz możliwym — zaprzeczeniem wolności słabszych narodów lub jednostek. Lord Palmerston prowadził w Anglii również politykę współdziałania z Rosją carską, a to w obawie przed ekspansją francuską w Belgii i we Włoszech.

Lelewel spędził w Brukseli długie lata w niedostatku, którym afiszował się z uporem, a nawet z samozadowoleniem. Nosił on w sobie obraz ujarzmionej i wybidzonej Polski. Jego powierzchowność oraz zachowanie się zdradzały stan psychiczny szukającego kompensaty w dziwactwach ekshibicjonizmu. Mieszkał w nieopalanej mansardzie, o prymitywnym umeblowaniu, a ubierał się tak ubogo, a nawet tak śmiesznie, że rozbawiona dziatwa kroczyła nieraz za nim pokpiwając sobie z egzotycznego przybyśza. Zdarzyło się, że w czasie przyjęcia u księżnej de Ligne, z domu Lubomirskiej, służąca jej zamieniła z litości zniszczoną czapkę naszego powstańca na nową. Zaskoczony tym Lelewel czuł się urażony w swojej dumie i zażądał zwrotu swej czapki. Sądził on, że gdy kraj jest wyniszczony i cierpi biedę, to nie przystoi Polakowi stroić się, a przeciwnie manifestować ten dramatyczny stan rzeczy własną zewnętrzną powierzchownością. W rzeczywistości świat liczy się raczej z siłą, a nie z biedą, a jeżeli w pewnych kołach demokratycznych belgijskich Lelewel cieszył się sympatią lub uznaniem to ze względu na ruch wolnościowy, który wówczas powstał i objął większe odłamy społeczeństwa belgijskiego. Te okoliczności przysparzały wiele trudności rządowi belgijskiemu, a głównie ministrom spraw zagranicznych oraz wewnętrznym. Słaby rząd belgijski był zmuszony dla szybszego skonsolido-

wania państwa liczyć się z potęgą mocarstw i nie narażać się autokratom z St.-Alliance na dezaprobatę ze względu na tolerowanie ruchów wyzwoleniowych. Lelewel zapewne wewnątrznie odnosił się z wyrozumiałością, ale zewnątrznie stał twardo na stanowisku rewolucji społecznej i wojny ludowej. Był on jednym z założycieli Międzynarodowego Towarzystwa Demokratycznego. Z powodu tej działalności groziła mu nieraz deportacja. Nie przybył on do Belgii celem zarobkowania lub robienia kariery.

Ofiarny w swej pracy, a również wspaniałomyślny, Lelewel czuł zapewne wdzięczność dla tej zrewolucjonowanej Belgii, która mimo trudności zewnętrznych dała mu jednak możliwość życia we względnej wolności i możliwość wypowiedzania swej wiary w lepsze jutro. Pozostałe po nim zbiory numizmatyczne są przechowywane w muzeum w Brukseli, a raporty policji śledczej belgijskiej w Archiwum państwowym w Brukseli.

W tych czasach schronili się w Belgii Aleksander Chodźko, Towiański, Worcell i wielu innych. Po powstaniu 1863 r. szereg Polaków zamieszkało w Belgii, wśród których: Jan Luboradzki, Ed. Jaraczewski, Al. Poradowski (żona jego napisała kilka powieści, których akcja toczy się w Polsce), Wł. Jasiński, literatka Duszyńska, muzyk Leopold Wallner oraz kompozytor Józef Wieniawski, poeta Henryk Merzbach, generalny sekretarz Ligi belgijskiej walki z alkoholizmem. Można również wymienić Józefa Sądżawkę, Cwalosińskiego, Fijałkowskiego, Loewenthala, Ehrenfelda, księdza Podgórskiego.



Udział Polaków w niezawisłej Belgii zaznaczył się nie tylko w formującej się armii i powstałym ruchu demokratycznym. Wyraził się on również w nauce i ekonomice. Pod tym względem mogę uzupełnić niniejsze kartki wspomnieniami z mej własnej młodości. Mam na myśli naszych dwóch wybitnych rodaków; poznałem ich w Brukseli prawie pół wieku temu, a mianowicie naszego chemika Polzeniusza z Krakowa i geofizyka oraz badacza obszarów podbiegunowych Henryka Arctowskiego (1871-1958), pochodzącego z Inowrocławia. W Leodium poznałem przyrodnika Antoniego Dobrowolskiego (1872-1954).



W roku 1904 wybuchł samorzutnie w Polsce, będącej pod zaborem rosyjskim, strajk szkolny, wskutek czego wyjechałem na studia uniwersyteckie do Leodium. Z czasem Belgia stała się

dla mnie, jak mówią, drugą ojczyzną. Latem 1905 r., po przyjeździe do Brukseli, udałem się z dworca do mieszkania naszego wybitnego chemika dr. Ferdynanda Polzeniusza, kierownika Laboratorium Goldschmidta w Brukseli. Po tygodniowym pobycie, poznałem się w jego domu, przy 23, rue Van Moerlandt, z Henrykiem Arctowskim, ożenionym z Amerykanką. To przypadkowe spotkanie odbiło się wyraźnie na mojej karierze. Opisałem to moje poznanie z Arctowskim, na parę lat przed jego śmiercią w Stanach, w organie belgijskiej Ligi Morskiej „Marine” z grudnia 1953 r. Nasz rodak zapisał się bardzo dodatnio w dziedzinie badań naukowych w Belgii, gdzie najpierw uczęszczał jako uczeń do gimnazjum, a następnie na wykłady na uniwersytecie w Leodium. Jak wiadomo wziął on później udział w ekspedycji belgijskiej Gerlacha do bieguna południowego, o czym wspominać dalej. — Gdy powiedziałem Arctowskiemu, że wybieram się na studia uniwersyteckie do Leodium, dał mi adres rodziny przyszej mojej żony, związanej od kilku wieków z tym miastem, a następnie zaprosił mnie do siebie celem zapoznania mnie ze swą biblioteką, proponując ew. wypożyczenie mi książek. Pani Arctowska jednak, jak dobrze pamiętam, sprzeciwiła się tej inicjatywie, twierdząc słusznie, że mąż jej w swych wielkodusznych porywach zbyt często naraża się na bezpowrotną stratę wypożyczonych dzieł, a nie posiada ani środków, ani możliwości do ich zastąpienia. Arctowski namawiał mnie, ażebym studiował fizykę i chemię, które mają dużą przyszłość.

Arctowski był wcieleniem człowieka pochłoniętego w wysokim stopniu zagadnieniami przestrzeni i dlatego przejawy życia wewnętrznego, którym poświęciłem mój wolny czas w przeciągu ostatniej wojny i w latach następnych, mniej go interesowały. Należał on do świata fizyków, geologów, badaczy lodów, sejsmologów, meteorologów, astronomów. Spis ogłoszonych prac Arctowskiego przed wojną zawiera przeszło dwieście pięćdziesiąt pozycji w językach polskim, francuskim, angielskim i niemieckim, wśród których: *The Antarctic Voyage of the Belgica during 1897-1899*; *Aperçu des résultats météorologiques de l'hivernage antarctique belge* (1904); *Programme scientifique de la seconde expédition antarctique belge* (1907); *Les variations séculaires du climat de Varsovie* (1908); *La dynamique des anomalies climatiques* (1910); *Volcanic dust veils and climatic variations* (1915); *On solar constant and atmospheric temperature changes* (1941).

Henryk Arctowski należał w 1957 roku do międzynarodowego roku geofizyki (IGY — International Geophysical Year).

Zegnał on ten rok jako już zachodzące słońce swego fascynującego życia.

Na progu mego uniwersyteckiego życia Arctowski obdarzył mnie listem polecającym do profesora chemii Springa. Gdy złożyłem profesorowi w Leodium zaszczycającą mnie wizytę, pamiętam że mi powiedział, iż Arctowski był jego najwybitniejszym uczniem. Jednakże, pod wpływem Polzeniusza, zapisałem się w Leodium nie na wydział nauk przyrodniczych, lecz na prawniczy. Na wykłady Springa uczęszczałem sporadycznie, a kiedy po roku postanowiłem się przenieść na studia gospodarcze i prawnicze do Berlina, a następnie do Londynu, profesor Spring wyraził się, że posiadam umysłowość poliwalentną, to jest wieloraką, że to prowadzi czasami do powodzeń, ale również, w innych wypadkach, do zwichnięcia kariery.

W wyprawie kapitana Gerlacha do bieguna południowego na okręcie „Belgica” w latach 1897-99, Arctowskiemu powierzono badanie oceanograficzne, meteorologiczne oraz geologiczne. Niektóre z obserwacji dokonanych przez naszego uczonego, Pertner określa w „Meteorologische Optik”, nazwą „Arctowskich Bögen”. Wziął on również udział w podróży „Ile-de-France” na Spitzberg, a o zasługach jego w tej dziedzinie świadczy fakt, że jedną z gór tej ziemi nazwano „Mont Arctowski”.

W ogłoszonym przeze mnie w 1953 r. wspomnieniu w „Marine”, organie belgijskiej Ligi Morskiej, zazaczyłem na zasadzie mych rozmów z profesorem Arctowskim, odbytych we Lwowie po wojnie, że uległ on częściowej amnezji. Wyrażała się ona tylko w pewnych przejawach i była, jak sądzę, formą samoobrony psychicznej.

Po powrocie Arctowskiego z ekspedycji polarnej, Belgia nie okazała się zbyt wielkoduszną. Arctowski ze względów materialnych był zmuszony, po paru latach, udać się do Stanów Zjedn. A.P. Z Polską czuł się on głęboko związany. Gdy Arctowski przekonał się podczas wojny 1914 roku, że Niemcy wojnę przegrają, zaoferował swoje usługi pułkownikowi House'owi, który jak wiadomo był na konferencji pokojowej paryskiej mężem zaufania prezydenta Wilsona. Arctowski opracował wówczas szereg memoriałów co do granic i organizacji przyszłej niepodległej Polski. Po wojnie został on profesorem geofizyki na uniwersytecie lwowskim. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Arctowski udał się w roku 1939 do Waszyngtonu, na Kongres Międzynarodowej Unii Geodezyjno Geofizycznej, gdzie pozostał i nie przeżywał tragedii ojczyzny w ostatnich latach swego owocnego życia; za-

kończył je w Stanach Zjednoczonych w 1959 r., a żona jego po nim.

W postanowieniach dotyczących mojej kariery kierowałem się względną niezależnością sądu. Na decyzję moją, w latach studenckich, obrania kierunku prawno-gospodarczego wpłynęły bardziej rozmowy dotyczące przykrych doświadczeń życiowych dr. Polzeniusza niż entuzjazmy oceaniczne Arctowskiego. O mojej znajomości z Polzeniuszem nie będę tutaj pisał, wspomnę jedynie o niepowodzeniach, które przecierpiał i w które zechciał mnie wtajemniczyć. Był on wynalazcą opatentowanej przez niego w Niemczech nowej metody produkowania azotu jako nawozu sztucznego w rolnictwie. Celem wprowadzenia w życie swego wynalazku związał się dr Polzeniusz z grupą niemiecką; stworzyła ona towarzystwo dla przystąpienia do eksploatacji wynalazku. W powstałym przedsiębiorstwie zarezerwowano dr. Polzeniuszowi poważny udział procentowy w kapitale zakładowym, ale dał się nieopacznie wyzyskać, związawszy się niefortunną umową.

Pragnę zaznaczyć dodatkowo, że Ferdynand Polzeniusz, autor „Chemii Analitycznej Ilościowej” (Kraków 1896) oraz rozpraw z dziedziny chemii rolnej, opracował specjalnie reakcję wiązania azotu przez karbid, na czym oparł swą metodę fabrykacji azotniaku w skali przemysłowej. Nazwisko Polzeniusza przeszło do historii chemii (patrz Bruno Waeser, „Die Luftstickstoff-Industrie”, Leipzig, 1922). Nie zmniejsza zasług naszego chemika jako jednego z twórców przemysłu azotowego ta okoliczność, że po wojnie 1914 r. metodę Polzeniusza przestano stosować w przemyśle, gdyż zastąpiono ją metodą Frank-Caro.

Wracam jeszcze do niefortunnej umowy, Otóż akceptując udział, Polzeniusz nie przewidział ewentualności podwyższenia kapitału zakładowego, co automatycznie spowodowało katastrofalne pomniejszenie wysokości zysku w zagwarantowanym procentowym udziale. Opierając się na podobnych swoich negatywnych doświadczeniach, mój rozmówca twierdził, że z punktu widzenia kariery życiowej, nie wystarczy stać się genialnym wynalazcą lub uczonym ekonomistą, ale trzeba jeszcze chcieć i umieć oprzeć ją na wiedzy prawniczej i praktyce życiowej. Te przykre doświadczenia naszego chemika z „geszeftsmanami” niemieckimi oraz dowody zazdrości i intrygi, które spotkały go ze strony rodaków z którymi współpracował, spowodowały u niego poważny rozstrój nerwowy, w konsekwencji którego, po upływie paru miesięcy od naszych rozmów, dr Polzeniusz opuścił Brukselę. Wrócił on do kraju, gdzie zakończył życie w zakładzie dla nerwowo chorych.



Po ukończeniu mych czteroletnich studiów uniwersyteckich prawniczo-ekonomicznych w Leodium, Berlinie i Londynie, rozpocząłem mą karierę, nie tracąc dnia ani godziny. Te kilka lat, które poprzedziły wojnę 1914 roku, mógłbym nazwać okresem *belle époque*. Były to lata porywów w szukaniu pokojowych form emancypacji gospodarczej oraz handlowej, w szczególności państw terytorialnie małych, ale posiadających już poważny dorobek materialny i kulturalny, jak Belgia, Holandia, Szwajcaria lub Szwecja. Były to lata tak różne od mocarstwowych porywów wojennych pierwszej, a szczególnie drugiej niepotrzebnej wojny ludzi obłąkanych. Powołując się na ten okres nie mam zamiaru pisać o nim z zachwytem, gdyż nie był on jednakowo ponętny dla wszystkich, ale w każdym razie był wolny od zmory wojennej i związanych z nią ruin i zastoju gospodarczego. Pragnę jedynie powołać się tu na kilka faktów podając w miarę możliwości szereg nazwisk, dat i cyfr.

Powyższe lata praktyki życiowej były związane z szeregiem powziętych przeze mnie inicjatyw dotyczących współdziałania z czynnikami belgijskimi w przedmiocie emancypacji gospodarczej drogą ekspansji pokojowej.

Starty bywają złe lub dobre i wywierają nieraz przemożny wpływ na bieg dalszych wypadków. Mój start okazał się dobry. Wywoziłem i przechowywałem zapewne w sobie powstałe z lektury postacie naszych Sztajnkelerów, Lubeckich, Łubieńskich i im podobnych inicjatorów w dziedzinie gospodarczej.

Sprawy handlu zagranicznego były wówczas, i do dziś zostały, naczelnymi zagadnieniami i troską społeczeństwa oraz rządów w Belgii. Zostałem wówczas najpierw sekretarzem redakcji, a następnie naczelnym redaktorem „L'Exportation Belge”, organu belgijskich eksporterów i importerów. Miesięcznik ten wychodził w czterech językach. Na czele tej instytucji, powstałej pod nadzorem Komitetu, a której patronowało szereg osobistości ze świata przemysłu i handlu belgijskiego, stanął Gustaw Francotte, były minister przemysłu i handlu.

W roku 1911, po moim ustąpieniu ze stanowiska naczelnego redaktora dziennika wychodzącego w Antwerpii „Moniteur Maritime et Commercial”, wycofałem się z działalności dziennikarskiej i postanowiłem, z poparciem belgijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zorganizować misję handlową do Rosji, patronowaną przez barona de Favereau, prezesa senatu i byłego ministra spraw zagranicznych. Misja ta nie obejmowała jednak

ziem polskich. Belgowie, którzy patronowali tej misji gospodarczej, żywili obawę, żeby wyprawa do Rosji młodego Polaka o przynależności państwowej rosyjskiej, który był zmuszony opuścić manifestacyjnie Polskę ze względu na stosunki panujące w szkolnictwie, nie stała się źródłem podejrzeń i trudności ze strony czynników rosyjskich już na samym starcie przedsięwzięcie.

Belgia posiadała w Rosji szereg przedsiębiorstw przemysłowych, a jednocześnie brak jej było ekspansji handlowej, a przede wszystkim nie miała tam własnego banku, wobec czego musiała uciekać się w Rosji do pośrednictwa filii banków niemieckich. Miały one zatem łatwy a niebezpieczny wgląd w transakcje i zakres interesów belgijskich. Z pomocą szefa jednego z największych domów handlowych w Antwerpii, prezesa Ed. Bunge, członka zarządu (*censeur*) belgijskiego Banku Narodowego, zwróciłem na tę okoliczność uwagę Zarządu banku „Société Générale de Belgique” celem rozpatrzenia projektu skreślonego przeze mnie co do stworzenia filii tego potężnego banku w Rosji. W moim sprawozdaniu „Mission Commerciale Belge en Russie” ogłoszonym w druku w 1913 r. w Brukseli, z przedmową barona de Fevereau, odnośnie powyższej misji, jest mowa o moim projekcie, poprzedzonym ankietą przeprowadzoną przeze mnie z polecenia osobistości belgijskich zainteresowanych ekspansją gospodarczą i handlową Belgii. Pragnę tu podać skład osobowy „Comité belge d’Enquête sur le Rôle d’expansion des banques”, który mi powierzył zadanie przeprowadzenia ankiety dotyczącej roli banków w forytowaniu ekspansji handlowej; warto przy tym podkreślić, że nie ma w nim ani jednego urzędnika ministerialnego. W skład powyższego komitetu wchodził: J. Carlier, przemysłowiec, przewodniczący Naczelnej Rady Handlu i Przemysłu; Ed. Carton de Wiart, sekretarz honorowy króla, członek zarządu banku Soc. Générale de Belgique; G. Cooreman, Minister Stanu, b. prezes Izby ustawodawczej, członek zarządu Soc. Générale de Belgique; A. de Becker-Remy, przemysłowiec, senator, członek Naczelnej Rady Handlu i Przemysłu; L. de Sadeleer, Minister Stanu, b. prezes Izby, senator; L. Franck, członek Izby; L. Hiard, przemysłowiec, senator; J. Liebaert, Minister Stanu, członek Izby, członek zarządu Banque Nationale de Belgique; Ernest Solvay, przemysłowiec, b. senator; S. Wiener, senator.

Powyższy skład osobowy wskazuje, że Komitet nie miał charakteru biurokratycznego, lecz miał oprzeć się raczej na bezpośredniej wiedzy i doświadczeniu sfer gospodarczych i prawodawczych.

Podczas mego pobytu w Petersburgu w 1911 r., uzyskałem

za pośrednictwem belgijskiego posła, hr. de Buisseret, audiencję u ministra skarbu Kokowcewa, celem otrzymania zgody rządu rosyjskiego na utworzenie w Rosji banku belgijsko-rosyjskiego na wzór i podobieństwo istniejącego banku Anglo-Rosyjskiego. Zgodę uzyskałem, ale pod warunkiem — zaznaczył to w rozmowie Kokowcew — że bank nie przejdzie w przyszłości w ręce żydowskie, jak podobno to się stało z bankiem Anglo-Rosyjskim.

Z rozmów mych z ówczesnymi sferami kierowniczymi w Rosji wyniosłem wrażenie, że nastroje w Rosji były wówczas antyniemieckie, a Żydów podejrzewano o nastawienie proniemieckie.

O powyższej mojej misji ukazał się artykuł zatytułowany „Dyplomacja i Komercja” w petersburskim dzienniku „Birżewyje Wiedomosti” z 14 grudnia 1911 roku.

Wojna z 1914 r. oraz przewrót bolszewicki położył kres powstaniu nie tylko powyższego banku, ale również przedsiębiorstwa „Messageries Maritimes Russo-Belges”, powstałego z moim udziałem w Antwerpii. Uniemożliwiły one również kontynuowanie rozmów nawiązanych przeze mnie z Admiralicją rosyjską w sprawie zaopatrzenia łodzi podwodnych w motory Diesla, zabezpieczone specjalnymi patentami Zakładów Mechanicznych braci Carels’ów, w Gandawie, kuzynów mojej żony.

Te niepowodzenia jednakże spowodowane wojną wynagrodził mi jej wynik, przynosząc niepodległy byt mej ojczyźnie, państwu polskiemu.



Udział liczebny naszych obywateli w życiu niepodległej Belgii wyraził się imponująco w kopalniach węgla w zagłębiu limburgskim.

Można zaznaczyć również udział emigracji naszych obywateli pochodzenia żydowskiego przybywających masowo do Antwerpii i Brukseli jeszcze w latach przedwojennych, a trudniących się przede wszystkim rękodzielnictwem w branży galanteryjnej, w konfekcji, oraz w wytwórczości i handlu biżuterią.

Jeśli chodzi o tysiące naszych górników, to ostatnio ukazała się w Hasselt monografia, obejmująca 362 strony, poświęcona tej masowej emigracji, pt. „De Sociale Integratie van de Italianen en Poolse Immigranten in Belgisch Limburg”. Zdaniem autora, R.P. Claes, górnicy nasi, w przeciwieństwie do górników narodowości hiszpańskiej i greckiej, cieszą się uznaniem i sympatią wśród ludności tubylczej. W roku 1960, zaledwie 4% Polaków górników osiadłych w Belgii żyło jeszcze w fazie trwałych

konfliktów z ludnością miejscową (jak to określił autor), w szukaniu sposobu przystosowania się do niej z czasem.

Według statystyki 32-48% ludności górniczej polskiej zasymilowało się z autochtonami, a Włochów tylko 2-6%.



Dużo wody upłynęło od czasów mych wspomnień belgijskich sprzed pierwszej i drugiej wojny. Pragnę skorzystać z nadarzającej się sposobności, ażeby sformułować tu parę spostrzeżeń natury ogólnej w ramach mych obserwacji i doświadczeń.

Belgia, moim zdaniem, należy do tych uprzywilejowanych małych państw, które osiągnęły stosunkowo wysoki stopień kulturalny dzięki wysiłkowi generacji, bez podbojów, w ramach niepodległego państwa, i pomimo apetytów i zakusów zaborczych sąsiadów, przed którymi broniło ją nie tyle złudne uroczyste oświadczenie mocarstw, że powstałe małe państwo ma pozostać odwiecznie neutralne, ile raczej mały obszar terytorialny stanowiący przeszkodę do ustalenia sfer wpływów, a co ważniejsze do rozbiorów. Niemcy, jak wiadomo, pogwałcili aż dwukrotnie pod niecnymi pretekstami tę neutralność zbrojnymi najazdami. Belgia, będąc terytorialnie jednostką słabą, była zmuszoną mierzyć siły na zamiary i nie dawać się ponosić złudnym ambicjom.

Na świecie ugruntowało się fałszywe przekonanie, że dysponowanie przestrzenią jest koniecznym warunkiem rozwoju. Tej tezie można czasami przeciwstawić rozwój opierający się na pogłębianiu istniejących lub powstających możliwości krajowych.

Jest rzeczą zastanawiającą, że badania porównawcze antropologiczne i zoologiczne wykazały, że objętość mózgu wśród ssaków bynajmniej nie świadczy pozytywnie o zasięgu inteligencji. Waga mózgu nie stanowi również kryterium pod tym względem. Jest nim raczej, jak to wykazały dzisiejsze badania, stopień pofałdowania mózgu, tzw. *plissement* czyli *circonvolution*.

Waga mózgu człowieka, w porównaniu do wagi całego korpusu, zbliżona jest bardziej na przykład do myszy, której spryt wyraża się m.in. w zdolności wyszukiwania drogi wyjścia z zawiłych sytuacji, w umiejętności obejścia trudności.

W braku *Lebensraum*'u, w imię którego Niemcy rozpiętały ostatnią wojnę, Belgia uprawiała również politykę tzw. *replie-ment*. Nie ulegała złudzeniom optycznym mirażu wielkości, tak rozpowszechnionym wśród wielkich i małych. Matka np. utożsamia łatwo i przesadnie tuszę swego dziecka z rezerwami siły, z gwarancją odporności organizmu.

Należy przyznać, że brak przestrzeni, podobnie jak kon-

kurencja, pobudza nieraz narody do wysiłku i do większego kultuwowania władz duchowych. Skrępowanie staje się poniekąd warunkiem sprężystości. Temat ten został szerzej rozwinięty w mej pracy „La psychologie des petits pays” (Coimbra, 1940) oraz „Le spacial et la psychique dans la hiérarchie des Etats”, 1943.

Belgia powodowała się potrzebą względnej ekspansji, a rozwijający się materializm nie wykluczył innych zainteresowań. Historia świadczy, chociażby w Kongo, o umiarkowanych zdolnościach ekspansji Belgów, a ekspedycja polarna Gerlacha, o której była wzmianka wyżej, jest dowodem gotowości poświęcenia nawet życia, gdy chodzi o wiekopomne odkrycia.

Czynny udział Belgii, Holandii, Luksemburga w inicjatywie Europy Sześciu, która cieszy się obecnie takim rozgłosem, nie jest wyrazem utopii lub awantury wojowniczej. Jest ona dowodem udziału w przemyślanym planie obliczonym na praktyczne osiągnięcia w najbliższych latach. Wychowani w twardej szkole życia wymagającego samozaparć oraz cierpliwości, Belgowie nie rezygnują łatwo ze swych przedsięwzięć ani z udziału we wspólnych przedsięwzięciach.



Pragnę przytoczyć jeszcze inne okoliczności ułatwiające współpracę z Belgami, a mianowicie poszanowanie, którym cieszyła się dotąd na ogół w Belgii inicjatywa prywatna oraz niechęć do biurokratycznych form rządzenia.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć żywy przykład mej współpracy z Arturem Bemelmansem, jednym z dyrektorów „Société Générale de Belgique”, o zagranicznych powiązaniach i koneksjach którego mówi się dowcipnie, że mała Belgia stała się największą filią tego potężnego banku.

Bank ten, ufundowany jeszcze przed powstaniem niepodległego państwa belgijskiego, wyłonił z siebie, w początkach bieżącego stulecia, szereg wybitnych osobistości. Bemelmans należał do tej falangi gospodarczo nastawionych Belgów, których inicjatywa dała trwałe podwaliny nowoczesnego życia gospodarczego w różnych gałęziach wielkiego przemysłu belgijskiego oraz środków lokomisyj morskiej i lądowej. Ludzie czynu w rodzaju Cattier, Francqui, Galopin, Theunis, z którymi byłem w stałym kontakcie, przyczynili się do ekspansji życia gospodarczego drogą akcji twórczej, a nie przelewaniem z pustego w próżne. Na ogół odnosili się oni sceptycznie do pomysłowości i planów etatystycznych. Wierzyli natomiast, ale jedynie do pewnego stopnia, w

istnienie pewnych mechanizmów lub automatyzmów regulujących przejawy zbiorowego życia gospodarczego. Jednocześnie nie byli oni zasadniczo nastawieni negatywnie wobec hasła emancypacji mas robotniczych i upośledzonych, a to wychodząc z założenia, że przemysł i rolnictwo nie mogą rozwijać się bez wzrostu zdolności nabywczej mas własnych obywateli, bez rozwoju potrzeb rynku wewnętrznego. Dobrobyt stwarza dobrobyt. Franczui cieszył się uznaniem przewodcy socjalistów Emila Vandervelde'go i nawzajem.

Bemelmans, wnuk po kądzieli Frère Orban'a, przywódcy partii liberalnej, wychowanek szkoły wojennej, był zimnym kalkulatorem. Wzrok miał chłodny, ale nie mrozący. Niektórzy twierdzili, zdaniem moim niesłusznie, że miał oschłe serce, ale były to tylko pozory zewnętrzne dla tych, którzy go bliżej nie znali. Zapalony myśliwy, należał on w Belgii do zamierającego już, nielicznego, grona zwolenników *chasse à cour*. Pełen dynamizmu udzielającego się otoczeniu, posiadał on zalety szefa. Autorytet czerpał nie z samowładztwa, a tym bardziej nie z zarozumiałości lub próżności. *Ce fut un homme*, jak powiedziałby Clemenceau. Lakoniczny, skąpy w poświęceniu innym drogiego czasu, Bemelmans formułował swe poglądy prosto i jasno.

Na parę dni przed śmiercią (17.X.52), spowodowaną nieuleczalną chorobą, odbyłem z nim w banku ostatnią z naszych licznych rozmów. Słuchając jego reminiscencji, wypowiedianych jak zwykle dokładnie, jasno i ogłędnie, podmurowanych datami i cyframi, a czerpanych z zakulisowego życia wielkich przedsięwzięć i zdarzeń, pozwoliłem sobie wtrącić mój pogląd, że powinien spisać tę bogatą przeszłość w formie pamiętnika ku nauce przyszłych generacji i historii. Sugestia moja spotkała się z odpowiedzią szybką i zdecydowaną jak wystrzał karabinowy: „Pisać dla historii — to nigdy mnie nie nęciło. Jestem zadowolony kiedy myślę, że przyczyniłem się do jej tworzenia”.

Wreszcie ograniczę się tutaj do jednego ze wspólnych wspomnień, które mnie z nim łączyły.

Jak wiadomo, Belgowie posiadali przed wojną w Polsce poważne inwestycje w przemyśle, dające prawa do dywidend. Na parę lat przed wojną bilans płatniczy Polski okazał się niestety deficytowy. Załamanie się franka belgijskiego przyczyniło się również do tego deficytu. W Warszawie powstała Komisja Dewizowa mająca na celu reglamentację przydziału dewiz. W konsekwencji koniunktura na dopływ kapitału belgijskiego do Polski również się załamała. Zainteresowane belgijskie sfery finansowe i przemysłowe zaczęły alarmować tym stanem rzeczy Poselstwo R.P. w Brukseli w mojej osobie. Podczas pobytu w Warszawie w

r. 1936 odbyłem rozmowę z ówczesnym ministrem skarbu Eugeniusem Kwiatkowskim na temat powstałego kryzysu w stosunkach polityczno-gospodarczych Polski z Belgią. Minister nasz wykazał zupełne zrozumienie dla powstałej sytuacji. Ta gotowość tym bardziej mnie zaskoczyła, że stojący na straży prestiżu i dobrobytu Polski marszałek Piłsudski żywił zasadniczo pewne uprzedzenia do sfer finansowych i przemysłowych, uważając je ponieważ za kastę wyzyskiwaczy. Darzył on natomiast względami nasze ziemiaństwo, szczególnie gdy wykazywało stan zadłużenia wywołany zazwyczaj nierentownością lub innymi przyczynami.

Minister Kwiatkowski oświadczył mi wówczas:

— Niech Pan wynajdzie sposób niezwłocznego zwiększenia naszego eksportu do Belgii, a ja z mej strony wydam polecenie Komisji Dewizowej stworzenia specjalnego konta dla uzyskanych tą drogą nadwyżek celem zaspokojenia żądań belgijskich w granicach do ustalenia.

— Setki milionów nadwyżek? — zauważyłem z uśmiechem. Bagatela! Zadanie trudne, ale warte zachodu.

Tę zasadniczą zgodę ministra naszego zakomunikowałem, po powrocie do Brukseli, dyrektorowi Bemelmansowi, który niezwłocznie powziął inicjatywę stworzenie w Belgii Konsorcjum przedsiębiorstw belgijskich w Polsce i został jednogłośnie wybrany na jego przewodniczącego. Protokół dotyczący powstałego konsorcjum obejmował siedem zasadniczych punktów dotyczących warunków transferów. Wspólnie z dyrektorem Komisji Dewizowej, Mierzyńskim, oraz naczelnikiem Ministerstwa Skarbu Adamem Mantlem, z wglądem belgijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, starałem się bez rozgłosu zabezpieczyć rumieniec życia powstałemu układowi; w tej sprawie prezes Bemelmans odbył w następnych miesiącach kilka sporadycznych wypadów do Warszawy w moim towarzystwie, w porozumieniu z naszymi władzami.



Nie będę się tu rozwodził nad powyższym układem. Pragnę przytoczyć jednak jeden fragment mojej rozmowy z dyt. Komisji Dewizowej Mierzyńskim, który swe zdziwienie wyraził mi po pewnym czasie, w następujących słowach:

— „Jak to wytłumaczyć, zapytał, że my tutaj ślęczymy nie-raz tygodniami i miesiącami kolegialnie nad sprawami nie dającymi się łatwo ruszyć z miejsca, wówczas kiedy wasz Bemelmans wpada od czasu do czasu do Warszawy jak bomba i wraca po dwu dniach do siebie z uzgodnioną wspólnie z nami decyzją opatrzoną podpisanymi w przepisowej formie?

„Przyjeżdża on bez sekretarza, ze zwykłą teczką, siada za długim stołem wśród licznych przedstawicieli zainteresowanych naszymi resortów i urzędów, zabiera głos przedstawiając swe propozycje, a również stawia nam jasne i krótkie zapytania, po czym wyjeżdża niezwłocznie do siebie z załatwioną sprawą”.

— Moim zdaniem, odpowiedziałem, prezes Bemelmans nie jest obciążony nadmiarem współpracowników ani urzędników, nie ma do czynienia z plagą biurokratyzmu, a oprócz tego nie stara się on wyjaśniać innym rzeczy, których sam jasno nie rozumie; sądzi on również że system debatowania w gronie zbyt licznych uczestników nie jest najlepszym sposobem przejścia ze stanu ciemności do jasności przy omawianiu spraw zasadniczych czy też bieżących. Leopold II kolonizował Kongo z pomocą nielicznych geologów, inżynierów i finansistów belgijskich. Powiedzenie: „właściwy człowiek na właściwym miejscu” cieszy się uznaniem i ma zastosowanie w życiu niepodległej Belgii.

Powyżej podane szczegóły dotyczą, w pierwszym rządzie, Polaków zamieszkałych w Belgii w zaraniu jej porewolucyjnego niepodległego bytu. Do postaci z tego okresu dodałem inne z późniejszych lat. Nie wyczerpuje to jednak w całości tematu.

Co się tyczy współpracy Polaków we współczesnym życiu gospodarczym Belgii, mogę przytoczyć np. chemika i wybitnego technika Feliksa Wiślickiego (S. an. Soie Artificielle de Tubise) oraz Karola Prus-Piołunowskiego (zmarłego w 1963 r.), dyr. „Soc. an. Filatures et Tressage Vanham”, długoletniego sekretarza Izby handlowej polsko-belgijskiej, oraz Sopoćkę, długoletniego korespondenta „Kuriera Warszawskiego”.

W światowym handlu rudami i metalami Belgii wyróżnił się wybitnie inż. górnik Wiktor Mikołajczak (1887-1962). Rozpoczął on swą karierę w Belgii w 1908 r., w tow. „Aciéries de Marche-les-Dames et Zincs de la Campine”. W r. 1919 założył on „Union des Usines à Zinc”. W 1922 r. wstąpił do tow. „Société Générale des Minerais”, o kapitale 210 milionów franków (1956). Pozostawał na stanowisku dyrektora Zarządu tego towarzystwa do 1958 r. Był on również prezesem Zarządu tow. „Métallurgique du Katanga”, „Compagnie belge des Mines, Minerais et Métaux” (Paryż), a również członkiem Zarządu „Soc. Minerali, Metalli” (Mediolan), „Industry Corporation” (N.Y.), „Amalgamated Metal Corporation”, Ltd (Londyn). Był on również członkiem Zarządu tow. „Soc. Générale des Industries Chimiques en Pologne”.

Jak widać z przytoczonych nazwisk, nie jeden z Polaków przebywających w Belgii wyróżnił się w życiu niepodległej Belgii.

Leon LITWIŃSKI

RELACJE I WSPOMNIENIA

(OKRES WOJNY)

CHOROBY ŁAGIERNE

W swej monografii pt. „U podstaw Armii Polskiej w Z.S.S.R. (1946), dr Seweryn Krzysztof Ehrlich pisze: „Przychodzili więc do wojska, bladzi, obrzękli, zżarci przez szkorbut, poznaczeni mrozem, wyczerpani przez gościec i pokryci wrzodami... z setkami przepuklin — od taczek, od kłoców przymarzłych, od kopalń — z rękami i nogami złamanymi, złożonymi niezgrabnie, krzywo... z krwią zatrutą malarią”.

Był to załazek późniejszego blisko stutysięcznego 2 Korpusu, więźniowie dopiero co zwolnieni z więzień, posiołków, a przede wszystkim z łagrów, eufemistycznie znanych jako *isprawitielno trudowije łageria*, obozy pracy pomyślane przez prawodawców sowieckich jako instytucje, w których przestępcy zarówno kryminalni jak i polityczni pracą fizyczną i drogą pouczeń i pogawędek politycznych ulecą się ze swych błędów i odpokutują za swe grzechy. Dobrze jest wszystkim wiadomo jak to wyglądało w praktyce. Mnóstwo na ten temat ukazało się książek, niektóre z wielkim talentem napisane, tysiące ludzi opowiadało swoim i obcym na ogół wiernie o swych przeżyciach w łagrach. Przeważnie jednak, zwłaszcza na Zachodzie, ludzie nie dawali wiary tym opowieściom, traktując je jako jeszcze jeden wyraz polskiej megalomanii i imaginowanej martyrologii. Rosjanie oficjalnie i kategorycznie przez wiele lat zaprzeczali w ogóle istnieniu łagrów. Nie pomogły nawet przejmujące opisy byłych „bałwochwalców” komunizmu jak Koestlera i Weissberg-Cybulskiego.

Książki o łagrach sowieckich rozchodziły się w małych nakładach i nie budziły większego zainteresowania. Sytuacja zmieniła się radykalnie z chwilą opublikowania w Rosji — po dłuższych, jak się wydaje, wahaniach Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej — książki niewielkiej, A. Sołżenicyna „Jeden

dzień Iwana Denisowicza". Książeczka Solżenicyna ukazała się w Rosji w nakładzie stutysięcznym i stała się prawie natychmiast światowym *best-sellerem*, przetłumaczonym na wszystkie niemalże języki świata. Jeden dzień w łagrze. Z punktu widzenia wielu z nas, którzy byliśmy przez wiele miesięcy w tych obozach, wcale nie najgorszy, zupełnie znośny.

Dr Ehrlich w swojej rozprawie, opartej na własnych spostrzeżeniach i na sprawozdaniach szefów sanitarnych większych oddziałów, opisuje niewiarygodne warunki sanitarne, w jakich większość oddziałów wojskowych rozlokowanych na południu Rosji, przebywała i jakie epidemie przebyła w ciągu zimy i lata 1942 aż do ewakuacji z ZSSR. Co drugi żołnierz chorował. Leczenie podle, właściwie żadne, z wyjątkiem jakiejś takiej pielęgnacji i dobrego słowa. A śmiertelność była stosunkowo mała: wszystkiego 4% stanu. Widziałem na własne oczy: pracowałem w szpitalu zakaźnym w Kermine, a później byłem lekarzem Stacji Zbornej Lotników i Marynarzy i punktu ewakuacji w Krasnowodsku. Znając szczupłość a nieraz zupełny brak środków leczniczych, choćby przeciwgorączkowych (o antybiotykach oczywiście w tym czasie nie mogło być mowy), wierzyć się nie chce że tylu chorych na tyfus plamisty, tyfus bruszny, czerwonkę, malarię itd. uszło z życiem. Dr Ehrlich przypisuje tę niewielką śmiertelność przy dużej ilości zachorowań dwom okolicznościom: ofiarności personelu sanitarnego (wypada może podkreślić, iż byli to przeważnie lekarze rezerwy, zawodowi lekarze wojskowi o wyższych zazwyczaj stopniach pozajmowali stanowiska administracyjne) oraz (cytuję dr. Ehrlicha) „niesposób nie podkreślić potęgi ducha polskiego, który sprawił, że wojsko to, wyniszczone obozami i zsyłką, osłabione chorobami zakaźnymi, przytłumione terrorem rosyjskim, obdzierane z nadziei przez własnych sprzymierzeńców, wpatrzone tylko w wielkość swej Sprawy, Wolność, Niepodległość i Całość Polski, potrafiło pokonać w sobie wszystkie te trudności i zwyciężać pod Monte Cassino, Ankoną i Bolonią”.

Podzielając zresztą podziw dla żołnierza polskiego nie mogę całkowicie zgodzić się z dr. Ehrlichem. To prawda, że postawa duchowa i chęć przetrwania wszelkich przeciwności jest bardzo ważna w przezwyciężeniu najcięższej nawet choroby. Ale niestety niezawsze to wystarczy. Ludzie giną przy największej woli życia i hartu ducha, i patriotyzmu. Nie wolno nam zapomnieć że przyszli bohaterowie spod Monte Cassino to był element ludzki wysoce wyselekcjonowany, to byli ci, którzy przeżyli najokrutniejsze warunki bytu, niedoboru odżywiania,

przy wysiłonej nad miarę pracy fizycznej, elementarne braki odzieży; przetrzymali poniewieranie osobiste i narodowe i zwyciężyli w sobie świadomie krzewione przez bolszewików poczucie beznadziejności położenia — dla większości stan ten ciągnął się przez kilkanaście miesięcy. Jest to typowy przykład darwinowskiego przetrwania najbardziej dostosowanych *the survival of the fittest*. Z punktu widzenia patologicznego żywo przypomina zjawisko, które frapowało lekarzy przed wojną, a mianowicie, że ludność żydowska we wszystkich krajach Europy, choć miała najwięcej chorych na gruźlicę, wykazywała najniższą śmiertelność w porównaniu z ludnością nieżydowską tych samych krajów. Oczywiście byli to potomkowie tych Żydów, którzy po przebyciu gruźlicy dziesiątkującej mieszkańców gett średniowiecznych, nabyli lub posiadali konstytucjonalnie wrodzoną odporność na tę i inne infekcje.

Chcę pisać o tych tysiącach, a może i dziesiątkach tysięcy łągierników, moich towarzyszy-skazańców, którzy nigdy do wojska nie dotarli i o których wszelkie dane statystyczne milczą. Chcę o nich pisać jako lekarz, jako człowiek wyszkolony do notowania obiektywnych obserwacji, prawie że naukowo, podając tylko zjawiska chorobowe, istotę cierpień, reakcji na nie ustroju ludzkiego. Pragnę wyjaśnić istotę i przyczyny masowych cierpień łągierników, ich tragiczny przeważnie przebieg, tak jak je medycyna współczesna ujmuje i rozumie.

W okresie gdy obserwowałem zjawiska chorobowe w łągrze na swych pacjentach jak też częściowo i na sobie, pozbawiony byłem dostępu do literatury lekarskiej i w swym postępowaniu kierowałem się zdrowym rozsądkiem, nabytym doświadczeniem i skąpo i niechętnie udzielanymi wskazówkami przez lekarzy przeważnie sowieckich, również więźniów czyli „zeka” (*zakliuczonyj*). Brak lektury częściowo wyszedł mi na dobre — zaostrzył zmysł obserwacji i wzmógł wartość empirycznie wyciąganych wniosków.

Przed wojną czytałem za dużo i zbyt łąpczywie. Słusznie pisze Lord Horder (Lancet 1948): *Excessive reading may be a form of laziness... If you spend most of your time in reading you are likely to be left not only with no time for the more important occupations of observing and thinking, but with no mind wherewith to do these essential things*. Czasu do myślenia i obserwacji miałem dość i z natury swego zawodu zajmowałem nieraz miejsce w pierwszych rzędach krzesel, jako widz w dramacie ludzi uwięzionych, ale nieraz i czynnie interweniować musiałem w samej akcji.

Wspominam moje przeżycia łągiernika bez złości lub nienawiści do ówczesnych władz rosyjskich. Może nawet z pewną dozą wdzięczności. Nie dlatego że pod okupacją niemiecką moje szanse uratowania się równały się lub były bliskie zeru. Ale głównie dlatego że będąc więźniem łągrów sowieckich i zepchnięty jak ogromna większość moich towarzyszy niedoli na dno nędzy ludzkiej, poznałem „z pierwszej ręki” po raz pierwszy, prawdziwe cierpienia ludzkie, głód, chłód, pragnienie nieugaszone, poniewierkę i uczucie dantejskiego *lasciate ogni speranza*. Stałem się dzięki temu lepszym człowiekiem i lepszym lekarzem. Do wybuchu wojny, choć zrezygnować musiałem z możliwości urzeczywistnienia ambicji naukowych i zawodowych, truty codziennie małymi ale za to stałymi dawkami antysemityzmu, życie było dla mnie raczej łaskawe: byłem zdrow, nie znałem braków materialnych, miałem szereg wartościowych przyjaciół. Nagle jakby z dnia na dzień nastąpiła radykalna zmiana.

Pozycja lekarzy w ustroju sowieckim

Od pierwszej chwili zamieszkania pod okupacją sowiecką, interesowało mnie, rzecz prosta, położenie i warunki pracy w tym nieznanym ustroju. Konstytucja zapewnia wszystkim obywatelom bezpłatną i powszechną pomoc lekarską — od kolebki aż do grobu. Jako lekarz zacząłem pracować w początkach listopada 1939 roku w Grodnie, po nieudanych próbach przedostania się do Rumunii i urzędzenia się we Lwowie.

Pracowałem jako ordynator oddziału chorób wewnętrznych w jednym ze szpitali miejskich. To oczywiście nie starczyłoby na utrzymanie. Przyjąłem więc, pod naciskiem i niechętnie, pracę w ambulatorium. Miałem ponadto i trochę praktyki prywatnej, co było jeszcze tolerowane, ale raczej nielegalne. Sprawy zdrowia publicznego podlegały komisarzowi *zdrowoochronienia*, Szubikowi. Był to zresztą niezbyt złośliwy, mało inteligentny Żyd rosyjski, który od razu otoczył się donosicielami spośród ludności miejscowej.

Powoli poznawałem nowe dla mnie warunki pracy lekarskiej. Przede wszystkim nie mogła ona zapewnić utrzymania ani lekarzowi ani tym bardziej jego rodzinie. Jest to zjawisko utrzymujące się zresztą i dotychczas we wszystkich krajach rządzonych na wzór sowiecki. Podstawowe uposażenie lekarza początkującego a nawet posiadającego nieco wyższe kwalifikacje (nie mówię o

najwyższych) równa się mniej więcej płacy niewykwalifikowanego robotnika fabrycznego. W krajach tych ciągle przy tym odczuwa się brak lekarzy. Istnieje nawet przymus pracy lekarskiej, w Rosji, oraz masowa produkcja lekarzy i absolwentów szkół felczerskich. Jakość bardzo niska.

W Anglii dotychczas spadek poziomu kwalifikacji lekarskich określa się jako medycynę „felczerską”: niektórzy krytycy łączą to zjawisko z wprowadzeniem *National Health Service*. W Polsce przedwojennej trudno było o posadę lekarską, obsadzanie stanowisk lepszych i bardziej honorowych rozstrzygało się na drodze konkursu protekcji, nieraz na poziomie Prezydium Rady Ministrów. Ale nawet zwykły lekarz rejonowy Ubezpieczalni Społecznej miał być materialny zapewniony. Odmienne w systemie sowieckim. W Grodnie, jak zresztą i obecnie w Polsce lekarz musiał — by zarobić na utrzymanie — mieć kilka posad. Dotarł do mnie ostatnio znamieny w tej mierze dowcip z Warszawy o pewnym lekarzu, który jak wynikało z obliczenia ma kilka posad, zajmujących mu w sumie 25 godzin na dobę. Zapytany przez kolegę jak sobie radzi, przecież doba ma tylko 24 godziny, odpowiedział ze spokojem: „To bardzo proste, wstaję o godzinę wcześniej”.

W łagrze spotykałem absolwentki szkół felczerskich, przeważnie Ukrainki, które „wdzięczne *własti* sowieckiej” za umożliwienie im ukończenia studiów, „dobrowolnie” zgłaszały się do pracy, a raczej rocznej lub dwuletniej praktyki, w okolicach podbiegunowych. Poziom ich wykształcenia medycznego był niski, odpowiadał mniej więcej drugorzędnej szkole pielęgniarek. To samo wrażenie odniosłem rozmawiając z wieloma lekarzami wykształconymi już na sowieckich wydziałach lekarskich, choćby stołecznych, jak Moskwy i Leningradu. W gruncie rzeczy kariera przeciętnego lekarza-praktyka, czy w łagrze czy poza łagrem, nie zależała od stopnia jego wykształcenia: posada była zapewniona a o praktyce prywatnej lepiej było nie marzyć. Pewne dziedziny medycyny traktowane były pogardliwie, jako mające małe znaczenie w budowie państwa socjalistycznego. Na Zachodzie, w końcowym okresie lat trzydziestych, byliśmy pod wrażeniem rozkwitu endokrynologii, nauki o gruczołach dokrewnych, udało się już wyizolować chemicznie niektóre hormony a nawet uzyskać ich syntezę. Gdy o tych sprawach z niejakim entuzjazmem rozmawiałem z jednym z naczelników *san-czasti* w szpitalu łagiernym w Koźwie, powiedział z ironicznym uśmiechem, że jest to temat dla burżujów a nie ma znaczenia dla podniesienia poziomu higieny i warunków bytu mas robotniczych.

Niskie płace lekarskie mają i inne uboczne skutki. W Polsce ilość kobiet przyjmowanych na wydziały lekarskie nie wykroczyła na ogół poza procent *numerus clausus* dla Żydów i wynosiła około 10% studentów medycyny; zawsze był nadmiar mężczyzn ze wszystkich warstw społecznych, garnących się na studia lekarskie, choć były one długotrwałe i trudne. Obecnie dowiaduję się, że ilość studentek na medycynie sięga w niektórych Akademiach Medycznych 90%. Jaki będzie miało wpływ na przyszły rozwój medycyny jeżeli ta tendencja utrzyma się, trudno obecnie przewidzieć. Choć nie brak wybitnie zdolnych i wykształconych lekarek, dotychczas — mimo kilkudziesięciu lat emancypacji kobiet — brak jest nazwisk kobiecych wśród koryfeusza nowoczesnej medycyny.

W Sowietach powszechność pomocy lekarskiej jest bardziej nominalna niż istotna. Wyjątki dotyczą jedynie wielkich ośrodków pokazowych, zwłaszcza dostępnych obserwacji przedstawicielstw zagranicznych, i pomocy dla wysokich dostojników partyjnych i członków N.K.W.D. Jest to zjawisko które zaobserwowałem na terenie całego ZSSR i potwierdziłem w rozmowach z wieloma kolegami. Chodzi tylko o zachowanie formy rzekomej pomocy lekarskiej dla wszystkich. Kto i jak jej udziela to sprawa nieistotna. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Jeszcze nie tak dawno w Polsce Ludowej dwaj przedstawiciele Bezpieki obudzili w nocy przebywającego na wybrzeżu morskim na urlopie znanego chirurga, prof. M. Zaproszono go do czekającego przed willą samochodu i zawieziono na lotnisko. Dopiero w samolocie, pełen najgorszych przeczuć profesor dowiedział się, że jedzie do Warszawy by zoperować córkę Jakuba Bermana, u której rozpoznano zapalenie wyrostka robaczkowego. Pogarda dla godności ludzkiej i lekarskiej, tym większa iż chirurg rad że to nic gorszego, bynajmniej nie był specjalistą jamy brzusznej.

W łagrach większość *kołonn* roboczych obsadzona była przez *lepkomów* — skrót od lekarskich pomocników — ludzi bez żadnego wykształcenia, czasem byłych sanitariuszy, spryciarzy, rekrutujących się z *bytowików* (więźniów kryminalnych), którzy przeważnie wystugiwali się komendantom obozowym, wysyłając do pracy ludzi ciężko chorych, a jednocześnie zwalnając *po blat'u*, swych kolegów *bytowników*. Warto tutaj może zrobić małą dywersję dla wyjaśnienia ważnego tak w łagrze jak i w życiu „normalnym” pojęcia *blatu*. Ostatnio napotkałem na świetnie angielskie określenie *blatu* jako *favours for favours*. Jest to rodzaj łapówki zazwyczaj w zamian za jakąś usługę, np. *lepkom* otrzymuje marynarkę za kilkudniowe nieuzasadnione zwolnienie

od pracy. Czasem *blat* przybiera postać wzajemnej wymiany dóbr materialnych. W Polsce nosi to nazwę kumoterstwa, które dowcipnie określają jako ostatni wyraz uczuć ludzkich na drodze do socjalizmu. Bardzo podobała mi się definicja warszawskiego adwokata K., z którym spotkałem się w celi więziennej w Baranowiczach; twierdził on że *blat* jest to życiowa korektura socjalizmu.

Ale wróćmy do sprawy przeciętnego poziomu medycyny w ZSSR. Zabawną i charakterystyczną w tej mierze przygodę opowiedział mi generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz. Przed wojną był on najmłodszym (i najprzystojniejszym) generałem. Był to oficer 1-ej Brygady Legionów i, podobnie jak Piłsudski, miał za sobą krótki, może dwuletni, okres studiów na medycynie. Wysłuchał zatem nieco wykładów z anatomii i fizjologii człowieka. Minęło wiele lat. Gdy przrzucano go pod okupację sowiecką celem organizowania roboty podziemnej, straż pograniczna schwytała go przy próbie przekraczania „granicy”. Miał przy sobie paszport na nazwisko doktora Tadeusz Mirowija.

Nasz dr Mirowij osadzony w więzieniu w Dniepropietrowsku nie traci czasu. Uczy się języka rosyjskiego u jednego ze współwięźniów, a u b. dyrektora szpitala jednej z miejscowości w Małopolsce Wschodniej przechodzi „kurs medycyny”. W ciągu kilku tygodni generał zaznajamia się z gestami lekarskimi, z rytuałem pukania i osłuchiwania płuc i serca, tj. z prawidłowym układaniem palców i trzymaniu słuchawki. Otrzymał wyrok pięcioletni za próbę przekroczenia granicy, wyjeżdża do łagrów pod Archangielskiem z obietnicą, że będzie pracował *po specjalności*. Oczywiście pierwsze trzy miesiące musi być na *obszecznych rabotach* w lesie.

Po tym okresie zostaje egzaminowany przez specjalnie wyłonioną komisję złożoną z trzech lekarzy, zdaje egzamin z wynikiem pomyślnym i otrzymuje stanowisko lekarza w łagrze Szangała nad pń. Dźwiną. Po kilku miesiącach pracy lekarskiej przyjeżdża niespodziewanie z Moskwy pułkownik NKWD-lekarz na inspekcję i kontrolę działalności dr Mirowija. Płk lekarz sowiecki czujnie przygląda się pracy jego przez dwie doby po czym na odjeźdźnym — opowiada generał z uśmiechem — żegna go prawie że serdecznie, mówiąc *wy samyj łuczszij i znamenityj wracz, istinnyj profiesior*¹. Nawet w oczach czujnego enkawudysty nie trudno było inteligentnemu i obdarzonemu zmysłem obserwacyjnym laikowi zasłużyć na tytuł profesora medycyny.

1. Jest pan najlepszym i słynnym lekarzem, profesorem pełną gębą.

Praca w szpitalu w Grodnie

Ludność Grodna, zwłaszcza biedacy i chłopci okoliczni, uwierzyli naiwnie w mit sowiecki o powszechnej i bezpłatnej pomocy lekarskiej. Przychodnie były przepełnione nie tylko pacjentami, którzy wskutek braku pieniędzy pozbawieni byli pomocy lekarskiej, ale i wszelkiego rodzaju hipochondrykami i neurotykami; ci byli najbardziej uciążliwi, gdyż niełatwo uczciwemu lekarzowi bez wewnętrznego głębokiego przekonania i bez przeprowadzenia dłuższej obserwacji i dodatkowych kosztownych badań (zdjęcia rentgenowskie, badania laboratoryjne krwi i moczu itd.) przykleić markę symulanta wzgl. hipochondryka. Równie trudny był problem zgłaszających się po konieczne oficjalne zwolnienie od pracy. Ileż to czasu i trudu zajmowało zanim lekarz dotarł do istotnej przyczyny wizyty w ambulatorium. Mało było takich którzy wprost oświadczyli, że są przemęczeni lub mają rodzinne kłopoty i potrzebny im jest dzień lub dwa dla ich załatwienia.

Znacznie poważniej przedstawiała się sprawa chorych, przyjętych do szpitala. Rzecz prosta za mało było łóżek szpitalnych dla pomieszczenia wszystkich chorych na gruźlicę, na przewlekłe bronchity, wrzody żołądka, dwunastnicy itd. a tu wszystkim bezpłatne leczenie należy się i mniej lub więcej bezczelnie tego się domagają. Umieszczaliśmy chorych na korytarzach szpitalnych, we wszystkich dających się zużytkować ubikacjach ale i to nie pomagało. Chirurdzy miejscowi operowali dzień i noc. Młodzi i niedoświadczeni nabierali wprawdzie wprawy w technice operacyjnej, ale jaka była śmiertelność pooperacyjna i jakie były wyniki tej pracy nikt nie obliczy. To samo zjawisko przymusowego przyjmowania chorych lub pozornie chorych a czasem rekomendowanych tylko *po błatu* powtarzało się w łagrach, a także jak z opowiadań kolegów-lekarzy sowieckich wynikało — w całym ZSSR. Życie i zdrowie nie miało znaczenia. Chłop z przepukliną lub z żylakami, z którymi jakoś żył przez dwadzieścia lat miał być natychmiast przyjęty do szpitala, inaczej lekarz był piętnowany jako kontrrewolucjonista i żadne próby odwołania się do zdrowego rozsądku ani do komisarza *zdrowochronienia* Szubikowa, nie odnosiły skutku. Należało działać na pokaz i przeciwstawić nowe czasy ubiegłemu dwudziestoleciu.

Sytuacja w szpitalach stała się wręcz katastrofalna, gdy zimą 1939-40 roku wybuchła ciężka epidemia zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych. Wówczas naprawdę już nie było wyjścia z wytworzonej sytuacji, nawet władza komisarza skończyła się.

Nie było wolnego centymetra na salach, korytarzach, poczekalniach, komórkach i dyżurkach lekarskich. Chorzy leżeli wszędzie pokotem. Praca lekarska i pielęgniarska stała się czymś zupełnie beznadziejnym i bezsensownym. Ciężko chorych odsyłano do domów, gdzie tylko z rzadka mógł zjawić się lekarz, gdzie oprócz dobrego słowa mógł przynieść ulgę chorym nakłuciem lędźwiowym i wypuszczeniem nadmiaru płynu mózgowo-rdzeniowego, co czasowo zmniejszało bóle głowy. Zapasy lokalne surowicy i sulfamidów szybko się wyczerpały. Częściowo były te środki dostępne tylko bogaczom po wyśrubowanych czarnogiełdziarskich cenach, przewozili te leki przemysłowcy z terenów zajmowanych przez hitlerowców, głównie z Warszawy. Warto podkreślić fakt, że chociaż Rosjanom niewątpliwie zależało na pozyskaniu sympatii i na zyskaniu wpływów politycznych wśród ludności kresowej, nigdy, przez cały okres mej pracy w Grodnie, nie napotkałem na leki pochodzenia rosyjskiego czy importowane z Rosji. Szybko doszliśmy do wniosku, że brak tam jest leków, tak jak i innych produktów codziennego użytku.

Donosicielstwo

Około południa, po obchodzie chorych na salach, lekarze spotykali się przy herbatce i sandwiczach, w pokoju lekarskim. Odbywała się przy tym zwykła w szpitalach rozmowa między lekarzami o bardziej interesujących przypadkach, o zabawnym zachowaniu się i reakcjach pacjentów, a czasem gdy nie było dwóch czy trzech kolegów o znanych poglądach komunistycznych, opowiadaliśmy sobie kawały polityczne.

„Kawały” te kursowały z miasta do miasta, z domu do domu, o blaszanych tankach, o damach sowieckich które przychodziły na bale w zakupionych świeżo jedwabnych koszulach nocnych, o pożądanym nabywaniu zegarków przez sowieciarzy, o tym że „wsio u nas jest”, a pomarańczy tyle, że fabryka w Moskwie pracuje na dwie zmiany itd. Na ogół mało było dobrych dowcipów. Jeden zachowałem w pamięci. Władze sowieckie dokuczały nam straszliwie ciągłymi ankietami, które należało w szybkim terminie wypełniać. Powtarzały się te same pytania, o poprzedniej działalności politycznej, o pochodzeniu socjalnym, o przynależności do różnych organizacji itd. Wszyscy nienawidzili tych ankiet, gdyż słusznie weszli w nich jakąś pułapkę. Któregoś dnia jeden z kolegów przyniósł dowcip. W jednej z ankiet na pytanie „jaki jest twój stosunek do sowieckiej władzy” odpo-

wiedział: „jak do własnej żony”. Wezwany do NKWD dla wyjaśnienia odpowiedział (oczywiście po rosyjsku) „przywyk, no udowolstwja nikakowo”. Któregoś dnia wszyscy znajomi mi lekarze zostali wezwani do komisarza Szubika, który z kolei wszystkim oświadczył, że zna wszystkie kawały, które sobie opowiadamy i radzi nam zaprzestać tej zabawy, bo to się źle skończy. A więc wśród dobrych i zdawałoby się „pewnych” kolegów byli donosiciele. Szubik miał rację: w łagrze spotykałem wielu, którzy otrzymali wyroki do 10 lat za „szutki” (dowcipy). Dyktatury mają idiosynkrazję do satyry politycznej.

Jako lekarz w łagrze stanąłem wobec nowych problemów patologii ludzkiej. Olbrzymią większość chorych stanowili ludzie których dolegliwości, i to nieraz bardzo dokuczliwe, powstały na skutek awitaminozy, czyli braku witamin w pokarmach. Oczywiście, zjawisko awitaminozy choć rzadko spotykane w Polsce, nie było obce światu lekarskiemu. Kobiety w ciąży i karmiące oraz rosnące dzieci wymagają obfitszego dowozu witamin. Wśród ludności przedmieść Warszawy i po wsiach widziało się niewątpliwie łagodne przypadki awitaminozy u kobiet ciężarnych i karmiących oraz krzywicę, czyli chorobę angielską (obecnie „chorobą angielską” nazywa się chroniczny bronchit).

Poważniejsze przypadki awitaminozy widywało się nietylko wśród niedożywianego proletariatu (kapusta i nabiół były w Polsce tanie i łatwo dostępne) ile wśród uporczywych starych kawalerów żywiących się konserwami lub też nałogowych alkoholików, którzy wódką i piwem zaspakajali i głód i pragnienie.

Jako zjawisko masowe w postaci ciężkiej choroby, awitaminozę poznałem dopiero w łagrach sowieckich.

Dla ogarnięcia zjawiska awitaminozy warto wspomnieć iż jeszcze niespełna 60 lat temu większość uczonych uważała, że dla utrzymania zdrowia wystarcza odżywianie się odpowiednią ilością pokarmów zawierających białka, węglowodany i tłuszcze. Dopiero w 1906 Sir Frederick Hopkins wykazał doświadczalnie na szczurach, iż dla prawidłowych funkcji życiowych niezbędne są pewne „dodatkowe substancje” — *accessory substance*. Nazwę „witaminy” ukuł dla nich polski uczyony, warszawianin Kazimierz Funk. Pracował on z uczonymi światowej sławy Abderhaldenem i Fischerem, później zaś, w Cambridge, w Anglii, nad chemią białek. W pracach swoich ogłoszonych w 1911 i 1912 roku Funk stwierdził, iż „beri-beri” — co po syngalesku oznacza „krańcową słabość” jest spowodowana spożywaniem łuszczonego ryżu i że dodatek złuszczonej części do pokarmu usuwa objawy chorobowe tej awitaminozy. Substancja którą wyodrębnił

Funk nie była ani czysta ani aminą (ciałem zawierającym grupę NH₂). Mimo to nazwa „witamina” utrzymała się.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć iż „beri-beri” jest chorobą spowodowaną zachwianiem równowagi między ilością spożytych węglowodanów i witaminy B1-aneuryny, tiaminy. Chorobę cechuje zapalenie nerwowe, połączone z zanikiem i porażeniem mięśni, obrzęki i zaburzenia sercowo naczyniowe.

Szkorbut czyli cynga

Na czoło wszelkich chorób łągierników, tak pod względem ilościowym jak i dokuczliwości objawów, wysuwa się niewątpliwie szkorbut czyli cynga. Nazwa ta przeszła do potocznego języka polskich więźniów w łagrach. Należy podkreślić fakt, że cynga pojawiać się zaczynała nie od razu mimo braku dowozu witaminy „C” w skąpym jadłospisie więźniów, karmionych przez długie miesiące wyłącznie suchym chlebem i cienką zupą o rzadko pływających krupach. Cynga zaczęła się szerzyć masowo dopiero w warunkach łągiernych, gdy skąpe odżywianie połączone było z uciskiem psychicznym i ciężką pracą fizyczną. Organizm ludzki niewątpliwie zawiera rezerwy witaminy „C”, które starczą na czas dłuższy mimo braku dowozu świeżego mięsa, jarzyn i owoców. Sam zachorowałem na cyngę po kilku tygodniach pracy na tzw. *obszczych rabotach* w „Siewiernodoroznym Łagierie” Komi ASSR przy budowie nasypu kolejowego. Byłem nieprzyzwyczajony do pracy fizycznej i mimo największego wysiłku, pracując od świtu do nocy, udawało mi się wykonać znikomy procent normy, wynoszącej wykopanie i przewiezienie dziesięciu metrów sześciennych ziemi. Uznano to za sabotaż. Dostawałem na dobę tylko trzysta gramów chleba, i tę samą polewkę, która nazywała się kawą z rana, a „zupą” w południe. Nie tylko wychudłem, ale po kilku tygodniach pojawiła się krwawa biegunka, bezgorączkowa, którą łatwo było rozpoznać jako jeden z cięższych objawów cyngi. Uratował mnie zawód lekarza, gdyż w tym właśnie czasie, gdy zdawałem sobie sprawę że dni moje są policzone, przyszedł nakaz przeniesienia mnie do pracy *po specjalności* na inną *kołonnę*.

Przechodziłem na nowe miejsce zakwaterowania, pod konwojem *strietka*, ochno, mimo wielkiego osłabienia i głodu i pierwszych już objawów „anginy pectoris”. Czułem się lekko i miałem przekonanie, że jest to moment przełomowy w moim życiu.

Uczucie to mnie nie zawiodło. Już na samym wstępie przyjął mnie z uprzejmym uśmiechem *lekpom* tej *kołonny*. Był to dawny mnich skazany na 10 lat „obozów pracy poprawczej”. Bez słowa poszedł do kuchni, przyniósł pełny talerz gęstej gorącej zupy i nalał z ukrytej butelki szklanekę czystego spirytusu. Po czym, spojrzawszy na mnie, powiedział „zmęczony pan jest doktorze, proszę się położyć”. Spałem przez 36 godzin bez przerwy. Obudziłem się prawie, że wyleczony. Dookoła stała tajga. Ludność miejscowa nie istniała. Krajobraz przecinały tylko niskorosnące krzewy iglaste. Grzęzło się w błocie. Była to późna jesień 1940-go roku.



Do dziś dnia zdumiewa mnie fakt iż wielu z moich współtowarzyszy w łagrze nigdy nie zapadało na cyngę mimo iż, podobnie jak ja, przez długie miesiące, a może nawet i dłużej nie jedli ani świeżych owoców, ani świeżych jarzyn. Istnieje widocznie indywidualna odporność na pewne schorzenia i wydaje mi się że lepiej odżywiani w tych okolicznościach jakie istniały w „łagrze” potwierdzali stare ludowe powiedzenie że „nim tłusty schudnie, chudy zdechnie”.

Szkorbut, (skorbutus) zwany tak od zlatynizowanego niemieckiego słowa, istnieje zapewne od tych zamierzchłych czasów kiedy grupy ludzkie były pozbawione przez dłuższy okres czasu dowozu świeżego mięsa, jarzyn i owoców. Pierwszy opis wybuchu szkorbutu znajdujemy w kronikach krucjaty z r. 1267-go. Cyngę, jak wynika z wczesno-średniowiecznych kronik rosyjskich, stwierdzono wśród załóg obronnych klasztorów prawosławnych na Rusi podczas najazdów tatarskich. Na łądzie choroba ta znana była tylko w miesiącach zimowych, ale głównie było to cierpienie marynarzy. Skazani oni byli podczas wielomiesięcznych podróży morskich na żywienie się wyłącznie solonym, konserwowym lub wędzonym mięsem. Dopiero pod koniec XVI-go wieku Holendrzy i Portugalczycy pierwsi zaczęli leczyć szkorbut sokiem cytrynowym. W r. 1804-tym we flocie brytyjskiej obowiązkowo zaczęto wydzielać sok cytrynowy i do dziś dnia marynarze angielscy noszą przewisko *limeys* — cytryniarze.

Objawy szkorbutu były w warunkach łagiernych łatwe do rozpoznania nawet dla laików. W początkowym okresie więzniowie żalili się na uczucie zmęczenia i sennaści, oraz na bóle w mięśniach i stawach. Zmiamiennym piętnem szkorbutu jest uogólniona krwotoczność. Krwawienie z dziąseł i błony śluzowej jamy ustnej należały do najwcześniejszych dolegliwości. Dziąsła puchły,

grubiały, pokrywały nieraz wierzchołki zębów, łatwo krwawiły; jedzenie twardego chleba, który ciągle był podstawowym i bardzo upragnionym pokarmem, sprawiało ból i niesamowite cierpienia. Zęby wypadały. Zmiany w ścianach naczyń krwionośnych, włosowatych i większych tętniczek powodowały łatwe krwawienia; w przewodzie pokarmowym, a zwłaszcza w jelitach — stąd krwawe stolce — najmniejsze urazy, czy uderzenia, czy nawet ucisk powodowały siniaki. Wylewy krwawe obserwowałem szczególnie na goleniach. Łatwo ulegały one później zropieniu na skutek zmniejszonej odporności na zakażenia, co jest jedną z właściwości szkorbutu. Brzękły kolana, a nieraz i inne stawy, na skutek zapewne krwotoków do przestrzeni śródstawowych. Skóra pokryta była wysypką krwiotoczną, niekiedy grudkową. Najciężej chorzy nie mieli przy tym podwyższonej temperatury, a żelazne prawo obowiązujące lekarzy w łagrze nie pozwalało na zwolnienie z pracy przy temperaturze poniżej 38 stopni. Wypada może dodać że ilość zwolnionych z pracy w łagrze, w którym ja pracowałem w Koźwie nad Pieczorą, nie mogła przekroczyć 2% ogólnego stanu. W stosunku do łagierników była to gospodarka nie tyle rabunkowa ile wręcz zbójcka. Należało jednak wykonać plan budowy kolei od Kotłasu aż do kopalni w Workucie w terminie do 1-go stycznia 1941-go roku. Plan wykonano. Byłem jednym z nielicznych świadków przecięcia wstęgi na tej linii przez wysokich dostojników partyjnych i rządowych, przybyłych na tę uroczystość w Noc Sylwestrową. Widok przejeżdżającego pociągu, warkot lokomotywy w tajdze, gdzie nigdy noga ludzka nie stąpnęła zaledwie kilka miesięcy przedtem, był niesamowicie piękny. Polscy eksperci kolejowi spośród byłych łagierników twierdzą stanowczo że pociąg ten daleko nie odjechał. Ich zdaniem nasyp wzniesiony w wielkim pośpiechu był wykonany podle i w następnych miesiącach trzeba było całą robotę naprawiać.

Komendanci *kołonn* zostali odznaczeni wysokimi orderami za terminowe wykonanie planu. Wkrótce potem jednakże zostali z kolei sami osadzeni w łagrach za zbyt wielką śmiertelność łagierników przy wykonywaniu planu.

Z tego okresu pozostał mi w pamięci, jeden z najbardziej dramatycznych przypadków szkorbutu, jaki obserwowałem już w szpitalu łagiernym. Dotyczył on młodego chłopca. Stwierdziłem u niego badaniem fizycznym obecność płynu w jamach opłucnych. Ze względu na wzmagającą się duszność, która dochodziła do tego, że pacjent nie mógł złapać tchu nawet w pozycji siedzącej, zdecydowałem się na nakłucie opłucnowe dla wypuszczenia płynu uciskającego mu płuca. Ku mojemu zdumieniu za każdym

ukłuciem wydobywałem płynną, niekrzepnącą krew. Chory nigdy nie miał objawów, które by wskazywały na zmniejszoną krzepliwość krwi. Sytuacja była wprost tragiczna. Stałem przed alternatywą uduszenia się pacjenta lub pozbawienia go zapasów krwi, nie mogąc nawet marzyć o zastąpieniu ubytku transfuzją.

Paradoksalne aspekty leczenia cyngi

W 1932-gim roku stwierdzono ponad wszelką wątpliwość że skorbut wywołany jest brakiem witaminy „C” w ustroju ludzkim. Witaminę tę w tym czasie wyodrębniono i nawet uzyskano ją syntetycznie w laboratoriach chemicznych. Preparaty witaminy „C” znajdowały się nawet w aptekach w najbardziej zapadłych dziurach, tak w Polsce jak i we wszystkich krajach. Był to lek „modny” i powszechnie zapisywany, mimo iż ostrych przypadków gnilca czyli skorbutu właściwie nie było. Otrzymywali witaminę „C” w tabletkach lub zastrzykach pacjenci po operacjach, dla szybszego gojenia się cięć pooperacyjnych, złamań kostnych, krwawień z dziąseł, itd., itd., czy zachodziła po temu potrzeba, czy też nie.

Gdy stanąłem wobec problemu leczenia masowej jak gdyby epidemii cyngi w łagrach, zdawałem sobie sprawę iż można by najciężej nawet chorych uratować kilkoma zastrzykami dożylnymi kwasu askorbinowego czyli witaminy „C”, a w średnich i lżejszych przypadkach jedną pomarańczą, jedną cytryną lub połówką *grape-fruit*'a na dzień.

Witamina „C” jak i wszystkie inne witaminy ma to do siebie iż jest niezbędna dla wzrostu, zdrowia i utrzymania organizmu przy życiu, w znikomych ilościach (10 miligramów dziennie). Amerykanie podają 75 miligramów dziennie, ale prawdopodobnie liczą się z marnotrawstwem kucharzy.

Witaminy nie mają żadnej wartości kalorycznej, nie są więc źródłem energii, ale ją mobilizują.

Wszystkie witaminy dzielą się na dwie wielkie grupy: pierwsza grupa, witaminy „A” — chroniąca przed „kurzą ślepotą” — „D” — przeciwrachityczna; — „E” — chroniąca przed bezpłodnością; — i „K” — przeciwkrwotoczna — zawarte są w tłuszczach i rozpuszczalne w roztworach, w których rozpuszczają się tłuszcze. Druga grupa, do której właśnie należy witamina „C” i cały zespół witamin „B” rozpuszczają się w wodzie.

Witaminę „C” niezbędną wszystkim żywym ustrojom do prawidłowego funkcjonowania produkować mogą wszystkie

zwierzęta z wyjątkiem człowieka, mały i świnki morskiej. Te gatunki muszą mieć witaminę „C” dowiezioną w gotowym stanie wraz z pożywieniem. Prawdopodobnie w rozwoju filogenetycznym organizm ludzki „oduczył się” produkowania kwasu askorbinowego z prostszych składników chemicznych.

W łągach podstawowym pokarmem, dostępnym zresztą w dostatecznych ilościach tylko więźniom wypełniającym normę lub nielicznym „stachanowcom” którzy tę normę przekraczali, był chleb. I właśnie chleb jest jednym z tych produktów, które nie zawierają witaminy „C”. Ponadto witamina „C” łatwo ulega utlenieniu i zniszczeniu przez długie gotowanie w dużych ilościach wody. Treść wodnistych zup łągiernych zawierała początkowo niewielkie ilości witaminy „C”, ale znikają one w kotłach kuchennych. Gospodarka planowa nie potrafiła dostarczyć cytryn i pomarańczy w okolice podbiegunowe. Nie było ich zresztą nawet w „Specłarkach” — specjalnych sklepach przeznaczonych wyłącznie dla członków NKWD i ich rodzin.

Zresztą wystarczyłaby chociażby raz na dzień skromna porcja kiszzonej kapusty dla zażegnania skorbutu. Nie byłoby to nic nowego. Kapitan Cook uniknął go tym sposobem wśród swojej załogi już w końcu XVIII-go wieku.

Nie mogłem marzyć, jako lekarz, o zapisywaniu chorym łągiernikom ani kwasu askorbinowego w tabletkach czy zastrzykach, ani świeżych owoców lub jarzyn. Do dyspozycji dla walki ze skorbutem zalecono mi stosowanie tzw. „chwai”.

Było to dla mnie coś zupełnie nowego. Słowo to jest gwarową pochodną od określenia „chwaja”. I w rosyjskim i w polskim języku oznacza ono drzewa iglaste, jak choiny, sosny, jodły itd. „Chwaja” oznacza wyciąg wodny z igliwia tych drzew. W różnych łągach przygotowywano ten płyn w różny sposób. Według relacji moich kolegów-lekarzy najpierw przygotowywano wielką i starannie wyszorowaną beczkę. Wrzucano do niej zebrane szpilki drzew iglastych i zalewano je wodą. Według niektórych relacji zimną, wedle innych gorącą. Nie udało mi się stwierdzić w jakiej proporcji dolewano wody do beczek. W starszych i lepiej zagospodarowanych łągach, np. w Uchcie, dodawano do „chwai” kwasu chlebowego. Nie wiem jak ten dodatek wpływał na smak lecz „chwaja” którą ja kosztowałem miała smak odrażający, czegoś zgniłego i cuchnącego.

Zanim igły zostały zalane wodą były walcowane karbowanymi wałkami. Przypuszczam z doświadczenia, że gdzieś w centrum, być może w „GULAGU” w Moskwie, istniały jakieś przepisy dokładnie podające jak należało przygotowywać „chwaję”,

lecz podobnie jak i z innymi przepisami, np. dotyczącymi godzin pracy, norm odżywiania łągierników itd., albo nie docierały one do poszczególnych łągrów lub po prostu był ignorowane.

Wiara w przeciwszkorbutowe działanie „chwai” była mocno zakorzeniona. Przed wyprowadzeniem do pracy każdy łągiernik był zmuszany do wypicia kubka „chwai”, a w każdym prawie baraku obok sloganów jak *Człowiek — Eto zwuczit gordo*² wisił wieszak:

„Piej nastoj chwoi
nie zabalejesz cyngoj”³.

W teorii mogłem przyjąć, że w tym wyciągu z zielonych szpilek istotnie znajdowała się pewna ilość witaminy „C” czy kwasu askorbinowego. Wiadomo bowiem, że witamina ta występuje we wszystkich roślinach zabarwionych na zielono lub żółto i zawierających chlorofil. I choć nigdy nie nabrałem wrażenia, by „chwaja” kogokolwiek uleczyła ze szkorbutu, nasunęły mi się z tego tytułu, w tych niezachęcających warunkach, rozmyślania natury ogólnolekarskiej. I tak istnieje od dawna zakorzenione przekonanie, iż tam gdzie występuje jakaś choroba, tam też natura zaopatruje człowieka w lek przeciwko tej chorobie. Przypomniały mi się przykłady chininy i salicylu.

W połowie XVII wieku O. Calanha, hiszpański Augustinianin mieszkający w Limie, stolicy Peru, podówczas jednej ze stolic hiszpańskiego Imperium Kolonialnego w Ameryce Południowej, opisał działanie kory „drzewa gorączki”, które rosło w prowincji Loxa. Była to bardzo malaryczna okolica i wywar z kory albo proszek utarty z niej był jedynym skutecznym lekarstwem dla chorych na malarię. W r. 1639 hrabina Cinchon, żona wicekróla Peru zapadła na nią, ale dzięki zastosowaniu właśnie tego specyfiku została w dramatyczny sposób uzdrowiona. Mążnek jej był tym tak wstrząśnięty, iż wkrótce potem wysłał cały ładunek okrętowy kory do Europy. Jezuici aż do rozwiązania Zakonu w posiadłościach hiszpańskich i portugalskich, w połowie XVIII wieku, byli monopolistami handlu tym lekarstwem. Była to po prostu chinina.

Słowo „salicyl” wywodzi się z nazwy botanicznej wierzby „Salix Alba”. Rośnie ona w błotnistych i podmokłych okolicach, gdzie reumatyzm panuje nagminnie. I właśnie kora wierzby zawiera salicyl, do niedawna jedyny specyfik na reumatyzm. Właściwości lecznicze kory wierzby znane już były w starożytności.

2. „Człowiek — To brzmi dumnie” — powiedzenia Gorkiego na I-szym Zjeździe Pisarzy Sowieckich, często cytowane przez Stalina.

3. Pij chwaję a nie zachorujesz na cyngę.

Podobnie wiadome jest, iż rosyjscy traperzy i kolonizatorzy na Syberii już w XVI wieku stosowali „chwaję” jako środek przeciw cyndze, na równi ze świeżym mięsem jelenim łatwym do zdobycia na tych szerokościach geograficznych. W tundrze karłowate drzewa iglaste są w zimie jedynym możliwym źródłem roślinnym witaminy „C”, a skądinąd wiadome jest, iż latem te strony obfitują w czerwone brusznice (borówki) niezmiernie w nią właśnie bogate.

Zalecanie stosowania „chwai” w łagrach zafrapowało mnie choć, rzecz prosta, zdałem sobie sprawę że przykłady chininy i salicylu nie dowodzą żadnej celowości w zaplanowaniu umiejscowienia chorób i flory.

Byłem przekonany iż znacznie ważniejszym czynnikiem w walce ze skorbutem aniżeli picie „chwai” byłoby polepszenie warunków życiowych łągierników i nieprzeciążanie ich pracą.

Gustaw Herling-Grudziński w swojej znakomitej książce „Inny Świat” pisze, iż w obozie w którym przebywał:

„bardzo nieliczni w obozie chorzy na skorbut otrzymywali od lekarza kartki na „cyngotnoje pitanie”. — Tym mianem określało się sporą łyżkę siekanej surówki — przeważnie cebuli, marchwi, brukwi i buraków. Prawie zawsze starania o „cyngotnoje” były walką o dodatkową łyżkę jedzenia a nie o lekarstwo”.

Po koszmarnej nocy, nieprzespanej raczej niż przespanej na twardych pryczach, dzień rozpoczął się pobudką o 5-tej rano. Potrzeby fizjologiczne łągiernicy załatwiali na świeżym powietrzu, po czym ustawiali się w kolejkę po zupełną ranną. Resztę porannego czasu i osobistej inicjatywy wykorzystywano na zgłoszenie się do ambulatorium lekarskiego. A nuż, tym razem, uda się uzyskać zwolnienie chociażby na jeden dzień. Zwalniać nie mogłem powyżej sakramentalnych dwóch procent. Włączałem do nich, oczywiście, najciężej chorych i, kolejno, osłabionych inteligentów wyczerpanych pracą fizyczną, do której byli nieprzyzwyczajeni.

W ciemności, prawie całkowitej, więźniowie ustawiali się w tzw. „brygady robocze”. Były one otoczone *strielkami* i psami. Codzienne przemówienia komendanta obozu do zgromadzonych łągierników przed ich wypuszczeniem z „zony” na robotę jeszcze bardziej ich przygnębiały. Nieodmiennie nawoływał on do maksymalnego wysiłku w pracy: tylko w ten sposób potrafią więźniowie odpokutować swoje grzechy i przewinienia wobec

Zw. Sowieckiego. Nie pomijał nigdy ustępu „o polskich panach”. Tych, w sensie społecznym, było bardzo niewiele. Większość polskich łągierników stanowili osadnicy wojskowi z Kresów, rolnicy, rzemieślnicy i inteligencja pracująca.

Te przygnębiające przemówienia należały do programu „wychowawczego” łągów. Zwiększały one niewątpliwie stan tzw. stresu, zmniejszającego, jak wiadomo z doświadczeń, rezerwy witaminy „C” zwłaszcza w nadnerczach.

Na wszystkie te niedostatki lekarze-więźniowie nie mieli najmniejszego wpływu; byli właściwie tylko wykonawcami zarządzeń administracji łągów. Za najmniejsze przekroczenie przepisów nad lekarzem wisiał Miecz Damoklesa — zdjęcie z funkcji — *sniat' sroboty po specjalnosti* — i odesłania na roboty ogólne. Towarzysze niedoli odnosili wrażenie, całkowicie fałszywe, iż lekarze przy okazaniu odrobiny dobrej woli mogliby ich zwalniać z roboty, wysyłać do szpitala, zapisywać *cyngotnoje pitanje* i w ogóle przynieść ulgę w ich ciężkim losie. Była to ocena w większości wypadków raczej krzywdząca. Jak wynika z książki Solżenicyna nic się pod tym względem nie zmieniło w ciągu następnych kilkunastu lat: „w łągrze ginie ten kto wylizuje miskę, kto liczy na *sanczast'*”.

Dr Henryk SPEEDBY

SĄSIEDZI

PAL MALETER — REWOLUCYJNY GENERAL

W Ludowej Armii węgierskiej jesienią 1956 roku liczba pułkowników przekraczała cyfrę 2000. Dnia 24 października, jeden z nich, wysokiego wzrostu, około czterdziestki, służący w dywizji pancernej, udawał się do swych zajęć nieco wcześniej niż normalnie. Dowództwo jego oddziału znajdowało się na wzgórzu Var. Ciche ulice Budy miały swój codzienny wygląd a w spokojnej dzielnicy nie było żadnych oznak tych walk, które w tym czasie toczyły się po drugiej stronie Dunaju w Peszcie. Entuzjastyczne demonstracje studentów zamieniły się bowiem w rewolucyjny rozlew krwi. Aby uzyskać informacje dotyczące dramatycznych wypadków, zachodzących w innych częściach stolicy, należałoby udać się do dowództwa brygady przy ulicy Uri, o kryptonimie „Skrytka pocztowa 1200”. Dzwoniły telefony, łącznicy biegali tam i z powrotem, oficerowie dyskutowali wczorajsze zajścia, sprzeczne meldunki napływały z rozmaitych punktów miasta. Pułkownik Pal Maleter najbardziej interesował się zajściami w koszarach Kilian, bezpośrednio podlegających dowództwu Brygady. W koszarach mieściły się trzy bataliony techniczne oraz około tysiąca młodych rekrutów. Łączność pomiędzy dowództwem a koszarami została zerwana poprzedniego dnia, gdy tłum wyłamał bramę wiodącą do koszar i zdobył niewielką ilość broni. Meldunki donosiły, że koszary znajdujące się na rogu alei Ullöi i bulwaru Ferencza od świtu znajdowały się pod ostrzałem sowieckich czołgów. Potwierdził to kapitan Csiba, komendant koszar, w prywatnej rozmowie telefonicznej, którą udało mu się uzyskać z dowództwem Brygady. Pułkownik Maleter zobowiązał się wyjaśnić sytuację przedpołudniem, ale już o godz. 10 rano telefon Sztabu Głównego polecił mu zameldowanie się w południe w Ministerstwie Wojny celem objęcia nowego stanowiska w Sztabie

Głównym. Ponieważ ani Ministerstwo Wojny ani radio (nadające bez przerwy muzykę taneczną) nie mogły podać żadnych dokładnych danych sytuacyjnych, płk. Maleter zdecydował się pójść pieszo do Ministerstwa Wojny. W ciągu 45 minut potrzebnych mu na przebycie tej drogi był świadkiem licznych i zdumiewających scen. Zrywano sowieckie znaki, umieszczone z polecenie Rakosiego na węgierskich sztandarach, uzbrojone grupy robotników i studentów oraz sowieckie czołgi, w niektórych punktach stolicy, były niezwykle widowiskiem. Maleter i towarzyszący mu oficerowie dotarli do Ministerstwa Wojny, gdzie panował ogólny zamęt. Nawet „sowieccy doradcy” potrącili głowy. W takich to okolicznościach płk. Maleter objął swe funkcje w Sztapie Głównym Ministerstwa Wojny.

W miarę upływania czasu meldunki, jakie otrzymywał, wskazywały na pogłębianie się sytuacji rewolucyjnej w Budapeszcie i jej promieniowanie na prowincję. Cały kraj był w gorączce powstańczej. W czasie służby udało się płk. Maleterowi połączyć telefonicznie z koszarami Kilian; dowiedział się, że koszary te były w ciągu nocy wielokrotnie atakowane przez powstańców. Kapitan Csiba podawał, że ma mało broni i amunicji i że oczekuje posiłków jak najszybciej. Maleter skomunikował się bezpośrednio z brygadierem Bata z Ministerstwa Wojny i prosił go o zezwolenie na osobiste sprawdzenie sytuacji. Zezwolenie to otrzymał i eskortowany przez pięć samochodów pancernych T 34 z 33 Pułku Czołgów, stacjonowanego w Estergom, pojechał do koszar.

Ogromne koszary na rogu Al. Ullői i bulwaru Ferenca kolejno nosiły nazwę Marii Teresy, Karola Marksa a ostatnio György Kiliana, węgierskiego komunisty zabitego w 1945 roku w walkach partyzanckich. Koszary te w ciągu nocy opierały się gwałtownym atakom powstańczym. Walki te sprowokowali oficerowie, mianowicie kilku oficerów politycznych wraz z kapitanem Szabo zdecydowało stłumić „kontrrewolucję” w dzielnicy przykoszarowej, rozbijając powstańców, znajdujących się w pasażu Corvin. Stało się to wbrew woli kapitana Csiby, pragnącego zachować ścisłą neutralność. Udało się im wziąć do niewoli i rozbroić kilku powstańców. Te incydenty nie trwały długo. Powstańcy otworzyli ogień i rozpoczęli natarcie, Szabo został ranny w brzuch. Rozeszły się pogłoski, że milicjanci AVO obsadzili koszary i więżą tam powstańców. Wskutek tego rankiem 25 października koszary ze wszystkich stron zostały zaatakowane.

W tym czasie płk Maleter nadjechał ze swymi pięcioma samochodami pancernymi. Na samochodach wisały węgierskie proporzycy. Było to o godz. 11-ej. Na widok chorągiewek powstańcy

wstrzymali ogień. W chwili gdy samochód płk. Maletera wjechał tyłem w główną bramę, pozostałe cztery samochody zaczęły strzelać w kierunku powstańców w pasażu Corvin. Walka rozgorzała na nowo. Kapitan Csiba zdał sprawę Maleterowi z sytuacji, a ten z kolei zatelefonował do Ministerstwa Wojny i odbył długą rozmowę z majorem Kindlovicsem. Dowiedziawszy się, że w koszarach znajdują się jeńcy, polecił przyprowadzić ich do Izby Chorych, w której znajdował się jedyny funkcjonujący telefon oraz zarządził przerwanie ognia. Maleter rozpoczął od przemówienia. Autor artykułu był w tym czasie oficerem służbowym koszar i zachował w swym dzienniku następujące notatki: „...Spojrzenie Maletera padło na młodego człowieka o inteligentnym wyglądzie. Zapytał go o nazwisko, zawód, skąd wzięł broń i czemu bierze udział w zbrojnym powstaniu. Uczciwie wyglądający młody człowiek odpowiadał odważnie nie okazując najmniejszego zastraszania. Mówił o stopie życiowej ludności, o wolności istniejącej jedynie na papierze i o uczuciach patriotycznych, całkowicie wypaczonych na przestrzeni ostatnich lat. Mówił również o 16-punktowej deklaracji rozdawanej na ulicach dwa dni temu w czasie demonstracji. Nie mogąc przypomnieć sobie jednego z punktów, wyciągnął legitymację partyjną i z niej — co robiło paradoksalne wrażenie — tekst 16-punktowej deklaracji studenckiej, odbity na maszynie do pisania. Nastąpiła chwila ciszy. Maleter wstał i polecił nam wszystkim opuścić Izbę Chorych”.

Już z zewnątrz słyszeliśmy, że rozmawia przez telefon. Po chwili wezwał nas z powrotem i powiedział do młodego człowieka: „Uważaj. Uwalniam ciebie i twoich towarzyszy. Idźcie z powrotem do powstańców i powiedźcie im, że ja im proponuję zawieszenie broni. I oni i my jesteśmy Węgrami, nie każę do was strzelać, nie będę więcej strzelał do powstańców, ale to znaczy że wy do nas także strzelać nie będziecie. Czyś mnie zrozumiał?”.

„Całkowicie” — odparł młody człowiek pewnym głosem.

„Ani my, ani wy” — powtórzył Maleter, po czym podał rękę młodemu powstańcowi. Ten uścisk dłoni, wymieniony przez pułkownika Ludowej Armii Węgierskiej z węgierskim powstańcem, jednym z tych, którzy byli uważani w tym czasie za kontrrewolucyjnych bandytów, był gorąco przyjęty. Mimo zaprzestania ognia koszary w dalszym ciągu były obleżone. Dowództwo koszar dowiedziało się telefonicznie, że oddział uczniów Szkoły Artyleryjskiej przy Akademii Wojskowej im. Kossutha, znajduje się w drodze do koszar i że po drodze miał już kilka starć z powstańcami. Maleter wysłał patrol złożony z trzech żołnierzy z białą flagą, celem przerwania walki. Około godz. 3-ej po południu w całej

dzielnicy zaprzestano walk. Uczniowie Akademii Wojskowej zawrócili a tłum spływał aleją Ullöi. Oparty plecami o samochód pancerny, przewyższając o głowę stojących wokół niego, Maleter w bramie koszar przyjmował raport patrolu, który właśnie powrócił. Spowodowało to dalsze wybuchy entuzjazmu. Jakiemuś młodeму człowiekowi udało się przedrzeć przez tłum otaczający pułkownika, trzymał on zrobione przez siebie godło Kossutha. Poprosił pułkownika o pozwolenie zawieszenia tego godła zamiast sowieckich godeł Rakosiego. Maleter zgodził się na to z uśmiechem i Honwedzi natychmiast zaczęli rozwalać kilofami gipsowe herby szpecące od lat wejście do koszar. W chwilę później godło Kossutha zawisło na frontonie koszar.

Tłum złożony z uzbrojonych powstańców i przechodniów zaczął zasypywać pytaniami Maletera. Odpowiadał śmiało, bez wykrętów, nawet na najbardziej „delikatne”. Jego odpowiedzi przekonały tłum, że nie ma do czynienia z wrogiem. Gdy padły pytania dotyczące interwencji wojsk sowieckich i zniszczeń przez nie spowodowanych, twarz Maletera stwardniała. Zgadzał się z powstańcami, że obce wojska nie powinny ingerować w sprawy, które mogły być załatwione jedynie przez węgierskich robotników. Dyskusja wykazała prawie całkowitą zbieżność poglądów pułkownika i powstańców. Najwyżej różnice były w formie, ale nie w zasadach ogólnych. Nagle jakiś robotnik w średnim wieku zapytał Maletera: „Powiedzcie towarzyszu pułkowniku czego sobie życzyście? Przez ułamek sekundy Maleter wydawał się zdziwiony, po czym zdecydowanie odpowiedział: „To czego ja chcę i to czego, mam nadzieję, chcemy wszyscy — to wolnych, niepodległych i socjalistycznych Węgier. Aby osiągnąć ten cel potrzebna jest pomoc was wszystkich”. Ta wypowiedź spowodowała wybuch nowego entuzjazmu i każdy z obecnych chciał uścisnąć dłoń pułkownika lub go objąć.

Ten człowiek, oklaskiwany przez tłum, był nieznany. Nawet dziś, mimo że pewna ilość dokumentów jest znana, nie jest sprawą prostą zrekonstruować wszystkie szczeble życiowej kariery Maletera.



Urodził się we wrześniu 1917 roku w Eperjes, mieście położonym na Górnych Węgrzech, które po traktacie w Trianon przypadły Czechosłowacji. Jego ojciec, profesor wydziału prawnego w Eperjes, był demokratą, wychowanym w tradycjach 1848 r. i w tymże duchu wychował swego syna. Od wczesnego dzieciństwa

stwa Pal Maleter marzył o karierze wojskowej, nie chciał jednak zostać oficerem armii czechosłowackiej. Dlatego też po maturze w roku 1935 zapisał się bez wielkiego entuzjazmu na wydział medyczny Uniwersytetu Praskiego. Po przestudiowaniu dziewięciu semestrów wypadki międzynarodowe zmieniły jego przyszłość. Na podstawie bowiem Układu Wiedeńskiego górne Węgry zostały zwrócone macierzy i młody Maleter porzuciwszy studia w Pradze udał się do Budapesztu. Wstąpił do Akademii Wojskowej gdzie studiował przez trzy lata. Był uważany przez kolegów za człowieka o otwartej głowie, doskonałego ucznia i świetnego żołnierza. Zwierzchnicy byli zadowoleni z zachowania Maletera, mimo że nawet w Akademii Wojskowej potrafił zachować swą indywidualność. W dniu św. Mikołaja, w grudniu 1942 roku, regent Horthy promował go na porucznika, jako prymusa w klasie. Wiosną 1944 roku Maleter znalazł się na froncie wraz z I Armią. Po kilkumiesięcznych bojach został wzięty do niewoli w rejonie Kołomyi, w okolicy miejscowości Izwiesław. Pisarz Bela Illès, który w tym okresie był sowieckim oficerem, opowiadał nam, że Maleter wystrzelał do Rosjan całą amunicję i po jej wyczerpaniu chciał się zastrzelić, ale w ostatniej chwili został rozbrojony przez sowieckiego oficera. Maletera odesłano do obozu jeńców. Któregoś dnia do obozu przybyli z Moskwy propagandziści, celem namówienia oficerów do zapisywania się do Antifa (antyfaszystowskiej szkoły ideologicznej). Jeden z propagandzistów, Zoltan Vas, który potem był jednym z przywódców Ludowej Republiki Węgierskiej, zauważył młodego oficera wysokiego wzrostu i zaczął z nim rozmowę. Szczególnie interesowały go okoliczności dostania się do niewoli. Maleter odparł bez ogródek: „Jestem węgierskim oficerem i jest sprawą jasną, że powinienem walczyć z wami do ostatniego naboju. Gdybym miał broń, walczyłbym dalej”. Vasowi podobała się ta uczciwa i odważna odpowiedź. Antifa właśnie takich ludzi potrzebowała. Gorąco namawiał Maletera do zapisania się do szkoły zapewniając go, że gdyby wykłady nie przekonały go, zawsze może powrócić do obozu jeńców. Do dziś dnia nie wiadomo dlaczego Maleter propozycję przyjął. Może był zmęczony monotonnym życiem jeńca, może był pod urokiem osoby Vasa, który przed wojną spędził długie lata w więzieniu za działalność komunistyczną? Jakby nie było propozycja Vasa została przyjęta. Wykłady w Antifa w Kijowie wywarły głęboki wpływ na młodego oficera. Do tej chwili Maleter nie interesował się polityką. Obecnie stanął przed problemami, w stosunku do których musiał zająć stanowisko.

Ucisk i nędza „niższych” warstw społecznych, konieczność

reformy rolnej, groźba zupełnej utraty niepodległości przez Węgry (od 19 marca 1944 r. Niemcy okupowały Węgry) — to wszystko wpłynęło na decyzję młodego oficera. Zapatrzony w przykład swego ojca, nie zdecydował się na powrót do obozu; chciał walczyć z bronią w ręku o nowe, demokratyczne Węgry. Został partyzantem. Był pierwszym żołnierzem wysłanym na Węgry i trafił do oddziału majora Gyula Racza, gdzie otrzymał chrzest bojowy. Następnie został mianowany dowódcą oddziału partyzanckiego. Oddział ten zadał duże straty Niemcom szczególnie w północnej Transylwanii. Maleter wkrótce otrzymał z rąk marszałka Malinowskiego odznaczenie za odwagę okazaną w czasie walk.

Wiosną 1945 roku Niemcy wycofali się z Węgier. Maleter nie został zdemobilizowany. Otrzymał przydział do rządu koalicyjnego, który powstał w Debreczynie, biorąc czynny udział w reorganizacji armii. Następnie, awansowany do stopnia kapitana, służył w straży granicznej w Ballassagyarmat. Został wtedy członkiem węgierskiej partii komunistycznej. Wkrótce potem mianowano go dowódcą gwardii Zoltana Tildy, nowego prezydenta Węgier. Jednostka ta została rozwiązana przez Rakoszi'ego w 1949 roku, Maletera przydzielono do Ministerstwa Obrony Narodowej. Mimo że był członkiem partii i byłym partyzantem, zarówno Rakoszi jak i Farkas uważali go za element niepewny. Awansował znacznie wolniej niż jego koledzy z sowieckich szkół wojskowych. Wielu z nich, w różnych okresach czasu, zostało generałami podczas gdy Maleter ciągle tkwił w Ministerstwie jako pułkownik, przygotowujący regulaminy wojskowe, a więc zajmujący się typowo urzędniczą pracą. Nie tak wyobrażał sobie swoją karierę wojskową. Zachowywał jednak spokój i nie starał się o awans. Miał świadomość tego, że Rakoszi i jego reżym niszczył kraj politycznie, ekonomicznie i moralnie. Trzymał się na uboczu, stał się ponury i coraz mniej skłonny do jakichkolwiek kontaktów z ludźmi. Zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany przez policję polityczną, która czeka tylko na okazję, aby go aresztować. Ponadto, miał również komplikacje rodzinne. Rozwiódł się w 1953 roku.

Pierwszy rząd Imre Nagy przyniósł znaczne zmiany w życiu Maletera. Brygadier Bata, następca Michaly Farkasa w Ministerstwie Obrony Narodowej, powierzył Maleterowi reorganizację wojskowej służby pracy. Dokładnie nie wiemy czy Maleter w tym okresie zajmował się sprawami politycznymi, czy bywał na zebraniach dyskusyjnych w klubie Petöfi i czy brał udział w ruchu pisarzy i dziennikarzy. Są oznaki, które pozwalają nam wierzyć, że nie był obojętny wobec buntu intelektualistów. Pewne jest na-

tomiasz, że dnia 25 października 1956 roku w godzinach popołudniowych, po wielu latach milczenia w pułkowniku Maletterze, wmieszanym w tłum robotników i studentów, obudził się na nowo duch walki. Nadeszły dni gorączkowe. Podczas gdy radio nieustannie nawoływało powstańców do złożenia broni, obiecując im w zamian amnestię, sowieckie czołgi rozwalaly budynki na głównych bulwarach i w dzielnicach robotniczych. Prymitywnie uzbrojeni powstańcy bronili się zażarcie z pomocą cocktailli Mołotowa. Ogarnięci paniką Rosjanie ostrzeliwali domy mieszkalne, szpitale i budynki historyczne powodując ogromne zniszczenie miasta. Płk Maleter był tego świadkiem, nie mając możliwości choćby krótkotrwałego przeciwdziałania.

Wściekły interweniował w Ministerstwie Obrony a nawet w sowieckim dowództwie. Obiecano mu, że strzelanina zostanie wstrzymana, ale kilka godzin później zwiększona ilość sowieckich T 34 i czołgów Stalina ukazała się na głównych ulicach. W chwili gdy został przypuszczony ponowny atak, Maleter znajdował się przy telefonie w Izbie Chorych. Zatelefonował natychmiast do ministra, prosząc o interwencję w sowieckim dowództwie, aby czołgi sowieckie zostały wycofane z Budapesztu. Obecni w Izbie Chorych słyszeli głos ministra: „Żałuję towarzyszu pułkowniku, nie mam niestety żadnych możliwości wpływania na jakiegokolwiek sowieckie posunięcia”. Twarz Malettera stwardniała, powiedział spokojnie, waząc każdą sylabę: „Jeżeli tak, to muszę was zawiadomić, że otworzę ogień do pierwszego sowieckiego czołgu zbliżającego się do koszar Kiliana. Kości zostały rzucone. Maleter rozpoczął przygotowania do starcia z wojskami sowieckimi. Jego żołnierze rozpoczęli fabrykować cocktaile Mołotowa. Posłał patrole na poszukiwanie broni. Zarządził pogotowie w koszarach. Oddalił niewyćwiczonych żołnierzy, jak również tych, którzy nie nadawali się do walki. Zajął ostre stanowisko w stosunku do nielicznych rabusiów, jacy wśliznęli się w szeregi powstańcze. Rozbroił i pobił jednego z powstańców w pasażu Corvina, w którego kieszeniach znaleziono złote zegarki i pierścionki. Rosyjskich żołnierzy, którzy zostali ranni czy wzięci do niewoli traktował po ludzku, nie uważając ich za wrogów. Z drugiej zaś strony był bezlitosny w stosunku do stalinowskich oficerów chcących siłą zdobyć ponownie władzę. Kiedy major Hodosan z 37 pułku Fizilierów stacjonowanego w Kiskunhalas zatelefonował do niego 29 października, przypierając go do muru, otrzymał następującą odpowiedź: „Jestem pułkownikiem Ludowej Armii Węgierskiej i udzielam poparcia powstańcom”. Maleter nawiązał kontakt z Gergely Pongracz, dowódcą powstańczym w pasażu Corvina, ce-

lem systematycznej współpracy w rozkazodawstwie i organizacji obrony przed armią sowiecką.

Na zebraniu oficerów Maleter oświadczył: „Potrzebuję jedynie tych, którzy pozostaną tu i będą trwali na stanowiskach dzień i noc. W tej służbie nie będzie odpoczynku. Ja nie opuszczę koszar tak długo, póki choćby jeden sowiecki żołnierz znajdował się będzie na terytorium Węgier. I z tych koszar będę dowodzić. Ci z was, którzy ze względów osobistych czy rodzinnych uważają, że nie mogą tu zostać, niech zwrócą się do mnie o udzielenie im urlopu, który zostanie im udzielony na okres 15 dni”. Tylko trzech oficerów obarczonych liczną rodziną skorzystało z tej okazji. Maleter odesłał ponadto około 500 żołnierzy, których wyszkolenie wydawało mu się niedostateczne. A z pozostałości stworzył trzy dobrze wyszkolone kompanie. Niestety zdołał uzbroić zaledwie 80 żołnierzy.

Zaopatrzenie koszar w żywność było zapewnione: mięso, tłuszcz, mąkę, drób przywożono ciężarówkami z podmiejskich okolic. Wieśniacy niczego nie żądali w zamian jak tylko uściśnięcia ręki pułkownika, a Maleter, mimo swych rozlicznych zajęć, zawsze znajdował czas aby ich witać. Przed bramą koszar stał gęsty tłum, który udekorował bluszczem działo czołgowe, broniące wejścia do koszar. Tłum ten nieustannie wywoływał Maletera, wznosząc okrzyki żądające mianowania go ministrem wojny. Pomimo nacisków oficerów Maleter nie chciał przemawiać do tłumu: „Nie jestem politykiem, zostawcie mnie w spokoju” — było jego stałą odpowiedzią.

30 października wieczorem Wolne Radio im. Kossutha nadało komunikat skierowany do Maletera. Sekretariat Komisarza Zaopatrzenia — stanowisko to zajmował Zoltan Vas (bez wątpienia jedyny człowiek w otoczeniu premiera, który znał Maletera — wzywał aby pułkownik zatelefonował do Komisarza. Ci dwaj ludzie, którzy zawarli ze sobą znajomość w obozie jeńców, w którym Maleter znajdował się w czasie wojny, przywitani się jak starzy przyjaciele. Vas przysłał po Maletera samochód, którym pojechał do Parlamentu. Maleter po raz pierwszy zobaczył Imre Nagy i zgodził się na pozostanie w dyspozycji rządu.

Następnego dnia, tj. 31 października, „Rewolucyjny Komitet Powstańczy” odbył zebranie w koszarach Kiliana w sprawie przegrupowania różnych uzbrojonych jednostek. Na tym zebraniu reprezentowani byli rząd, minister obrony, policja oraz Związek Pisarzy; zebranie trwało ponad trzy godziny. Uchwalono rezolucję mającą na celu połączenie rozmaitych oddziałów powstańczych w jednostki gwardii narodowej, które miały istnieć tak długo do-

póki armia sowiecka nie opuści ostatecznie Węgier. Zapewniono również że porządek będzie w dalszym ciągu utrzymywany. Delegacje przybywały jedna za drugą. Mimo wielu usiłowań Maleter odmawiał udziału w jakimkolwiek ugrupowaniu partyjnym, które tworzyły się w czasie powstania. Od 1945 r. był komunistą i mimo tego, że widział wiele wypaczeń i zbrodni chciał pozostać wierny swym przekonaniom. Był przecież jednym z założycieli Węgierskiej Robotniczej Partii Socjalistycznej, współcześnie z Imre Nagym, Janosem Kadarem i innymi. Podwładni oficerowie podzielali poglądy Maletera. Jeden z nich oświadczył szwajcarskiemu dziennikarzowi, J. F. Balvany'emu: „Nawet jeżeli panu wyda się dziwne, to co mówię, oświadczam, że zarówno ja jak i wielu moich kolegów w dalszym ciągu uważamy się za komunistów. Zachód tego nigdy nie zrozumie. Tak samo jak nigdy nie przyjdzie nam z pomocą. Tym niemniej jesteśmy gotowi walczyć z okupantem i, jeżeli zajdzie potrzeba, zginąć dla naszej ojczyzny”.

W dniu 1 listopada zachodni dziennikarze odwiedzili Malettera w koszarach Kiliana. Zadawali mu szereg pytań dotyczących sytuacji oraz wypytywali jak to się stało, że przeszedł na stronę powstańców. Pomimo, że Maleter nie chciał mówić o sobie, oświadczył im co następuje: „Ubiegłej środy, na rozkaz ministra obrony udałem się wraz z pięcioma samochodami pancernymi do koszar Kiliana, które miałem uwolnić od ataku powstańców 8 i 9 dzielnic. Po przybyciu na miejsce przekonałem się, że walczący o wolność nie są bandytami, lecz wiernymi synami Węgier. Zawiadomiłem wtedy ministra o mojej decyzji przystąpienia do powstania. I od tej chwili walczyliśmy ramię w ramię i nie przestaniemy walczyć tak długo, póki uzbrojeni obcy żołnierze znajdować się będą na naszej ziemi”. Korespondentowi „Igazsak” przerwał uwagę: „Moja osoba nie jest tutaj ważna. Mówmy o dokonaniach, nie o mnie. Tak samo mówmy o tym co będzie jutro”. Dziennikarz amerykański Selfton Delmon zauważył, że Maleter ciągle nosi rosyjskie odznaczenia na swojej bluzie. „Czy pan zawsze nosi tę dekorację?” — „Naturalnie — odpowiedział Maleter — i jestem z tego dumny. Przede wszystkim niech pan nie myśli, że my nie jesteśmy socjalistami. Jesteśmy nimi. To powstanie nie jest powstaniem kapitalistów chcących nawrotu do starego systemu, jego celem jest uwolnienie Węgier i danie wolności narodowi węgierskiemu”.

Tego samego wieczoru Maleter dowiedział się, że został mianowany przez Radę Ministrów Węgierskiej Republiki Ludowej generałem brygady i Ministrem Obrony Narodowej. Jednym z pierwszych, który mu złożył powinszowania był płk Cowley, bry-

tyjski attaché wojskowy, który w obecności wielu oficerów odbył z Maleterem 20-minutową rozmowę przekazując mu życzenia dla żołnierzy z koszar Kiliana.

Od 2 listopada Maleter swój pobyt w koszarach ograniczał do posiłków i spania. Pozostały czas poświęcał posiedzeniom w Parlamencie. Wiadomości o nadejściu nowych jednostek rosyjskich na teren Węgier stanowiły jego poważną troskę. Zdawał sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji. Nie wierzył w zbrojną pomoc Zachodu, nie oczekiwał stamtąd żadnej pomocy, nie miał również najmniejszego zaufania do rządu sowieckiego. Wyczuwał że jedynie przywrócenie porządku, uruchomienie fabryk i powrót do normalnego życia uratować mogą sytuację. Dlatego zwracał się przez radio do robotników aby zaprzestali strajków i odwiedził kardynała Mindszenty'ego w jego pałacu w Budzie, prosząc aby udzielił swego poparcia rządowi Nagy. Niestety, nie posiadamy dostatecznych informacji, dotyczących wystąpień Maletera w Parlamencie, jak również innych jego poczynań w tym okresie. Pisarz węgierski Miklos Zalka, poruszający tematykę wojskową w swojej książce „Pole minowe”, która zresztą nie może być traktowana jako bezstronne źródło informacji, podaje oświadczenie Maletera, udzielone rzeczoznawcom wojskowym Radia Węgierskiego: „W waszej pracy winniście trzymać się następującej zasady: przeciwdziałać wszelkim usiłowaniom przywrócenia metod Stalina i Rakoszi'ego. Czy to jasne? Ponadto rewolucja musi być zabezpieczona przed wszelkimi wypaczeniami. Jesteście żołnierzami rewolucyjnego porządku, reprezentowanego przez rząd, i w tym duchu powinniście pracować. Myślę, że wszyscy się co do tego zgadzamy. Żaden stalinowiec nie będzie dziś dostatecznie fanatyczny, aby jawnie bronić swoich idei, niemniej jednak pewne oznaki wskazują, że rewolucja jest w niebezpieczeństwie. Bądźcie pewni, że Rosjanie szukają tylko okazji do interwencji”.

Pomimo ruchów wojsk sowieckich była taka chwila, kiedy Maleter myślał, że może zaufać rosyjskim zapewnieniom. Wieczorem, 2 listopada, powrócił do koszar Kilian w towarzystwie swoich dwóch zaproszonych gości: Istwana Kowacsa, szefa sztabu głównego oraz płk. Szucsza z Ministerstwa Wojny. Pogodnie powiedział: „Pokój jest już bardzo bliski; osiągnęliśmy zasadnicze porozumienie z Sowietami; są oni gotowi wycofać swe wojska z Węgier”. Tegoż wieczoru Maleter długo mówił o przyszłości Węgier: „Chcemy Węgier socjalistycznych, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ani fabryk, ani ziemi, ani banków nie zwrócimy poprzednim właścicielom. Dosyć było wyzysku. Naszym zasadniczym zadaniem jest zaprowadzenie porządku. Musimy za-

brać się do pracy, zapewnić spokój — to jedyne sposoby wywarcia presji na Sowiety”. Kapitan Csiba zaczął mówić o koncentracjach wojsk sowieckich. Maleter potrząsnął głową: „Związek Sowiecki ma już aż nadto wojska na Węgrzech do ewentualnej akcji przeciwko nam. Według mnie, koncentracja wojsk sowieckich wymierzona jest przeciwko Zachodowi, prawdopodobnie w związku z wypadkami sueskimi. Zapewne chcą zrobić demonstrację. Dla nas najważniejszą rzeczą jest nienaruszenie zawieszenia broni nawet pojedynczym strzałem. Taki błąd mógłby mieć nieobliczalne skutki. Panujmy nad naszymi nerwami. Spokój i rozwaga są koniecznością”. Była to szczerą odpowiedzią na tak często zadawane pytanie, dlaczego Węgry nie ogłosiły mobilizacji, dlaczego Maleter nie zarządził koncentracji Honwedów w Budapeszcie: był realistą i wiedział, że maleńkie Węgrzy nie mogą pokonać potężnego Związku Sowieckiego.

W sobotę 3 listopada Maleter udał się wcześniej do Parlamentu, gdzie oczekiwała go sowiecka delegacja z gen. bryg. Malininem na czele. W czasie rozmów, toczonych w przyjaznej atmosferze, osiągnięto pewne decyzje w wielu zasadniczych sprawach. Związek Sowiecki zgadzał się na wycofanie swych wojsk z Węgier najpóźniej do dnia 15 stycznia 1957. Maleter tegoż wieczoru, po powrocie do koszar, pokazywał swym kolegom, a wśród nich kpt. Csiba, swe notatki z zebrania. Wrócił do koszar wcześniej niż zwykle i w optymistycznym nastroju opowiadał że ma udać się do sowieckiej kwatery głównej w Tokol, celem przedyskutowania szczegółów wycofania się wojsk sowieckich. Węgierska delegacja składać się miała z ministra Erdei, gen. Kowacsa i płk. Szucsza. Maleter miał przewodniczyć delegacji. Kpt Csiba spytał: „Generale, a może to zaproszenie jest pułapką? Może oni zechcą was zaaresztować lub zatrzymać?” Maleter odpowiedział: „Nie mogę sobie wyobrazić, aby mogli zrobić coś podobnego. Chociaż... kto wie? Podobne rzeczy zdarzały się już w historii, a nawet dość często zdarzały się w historii Związku Sowieckiego. Gdyby nawet tak miało być, moim obowiązkiem jest wzięcie udziału w tym spotkaniu. Wy tutaj zostajecie. Uważajcie!”. To były ostatnie słowa Maletera skierowane do kolegów.

O 8-ej wieczorem Maleter wraz ze swym otoczeniem opuścił koszarę w „Pobiedzie”, która go wiozła do Parlamentu.

Węgierska rządowa delegacja przybyła do Tokol o 10-ej wieczorem, gdzie została przyjęta przez sowieckiego generała, podczas gdy kompania honorowa prezentowała broń. Ze strony sowieckiej pertraktacje prowadzone były przez gen. gen. Malinina, Cherbanina i Stepanowa i toczyły się w atmosferze wzajemnego

zrozumienia. W sprawach zasadniczych osiągnięto porozumienie, jedynie pozostały do przedyskutowania sprawy drobne. O szczegółach rozmów delegacja rządowa informowała premiera Imre Nagya. Po północy jednakże połączenie telefoniczne pomiędzy Parlamentem, gdzie zasiadał rząd, a Tokolem, zostało zerwane. Bezradny rząd węgierski niepokoił się co mogło zająć w sowieckiej kwaterze głównej. Naoczny świadek, który przybył do Tokol z Maleterem, szeregowiec Sandor Horvath, 6 lat później wyjawiał: „Wydawało się, że wszystko pomyślnie przebiega w biurze, w którym toczyły się rozmowy. Takie przynajmniej było nasze wrażenie sądząc po odgłosach rozmów, dochodzących w przedpokoju. Około północy 20 milicjantów w zielonych czapkach wdarło się do pokoju. Krzyczeli, mierząc z pistoletów maszynowych w naszych delegatów. Widziałem mego dowódcę przez szeroko otwarte drzwi... Inni byli bladzi. Twarz Maletera była nieruchoma. „A więc tak?” — zwrócił się do Rosjan powoli wstając. Chwyciłem mój automat myśląc, że nim mnie schwycą wystrzelam magazyn w ludzi w zielonych czapkach, ale już było za późno. Dwóch milicjantów rzuciło się na mnie. Usiłowałem się uwolnić. Szamotaliśmy się. Wyrwałem się. Chwyciłem za lufę mego automatu i wtedy mój dowódca krzyknął: „Stój! Bezcelowy opór”. Cóż mogłem zrobić? Zawsze jego słowa były dla mnie rozkazem. Pozwoliłem się rozbroić”.

Istniała wersja, że gen. Sierow osobiście kierował akcją agentów MWD, mającą na celu aresztowanie węgierskiej delegacji i że sowieccy generałowie biorący udział w konferencji stawiali pewien opór. Śmieszne przypuszczenie! Dowiedzieliśmy się później, że Rosjanie swą interwencję przygotowywali już 2 listopada i to zarówno na odcinku wojskowym jak i politycznym. Zwabienie do pułapki członków rewolucyjnego sztabu miało na celu osłabienie do minimum węgierskiego oporu. To było powodem dlaczego Malinin i jego koledzy byli tak przyjaźnielscy w czasie rozmów w Parlamencie i tak bardzo pragnęli dalsze rokowania prowadzić wieczorem w Tokol. Potężny Związek Sowiecki nie chciał w niczym ryzykować w walkach z Węgrami i nie przebiegał w metodach postępowania.

Węgierscy delegaci po aresztowaniu zostali przekazani sowieckiemu naczelnemu dowództwu, a następnie poszczególnych delegatów jednego po drugim, wyprowadzano na dziedziniec. Po zatrzaśnięciu drzwi za wychodzącym słychać było serię z karabinu maszynowego. Pozostający wewnątrz budynku odnosili wrażenie, że wyprowadzanych rozstrzeliwują. W rzeczywistości Rosjanie strzelali w powietrze. Ta reżyseria dała zamierzone skutki. Człon-

kowe delegacji przekonani, że wybiła ich ostatnia godzina, pozwolili przeprowadzić się bez oporu do innego budynku, gdzie zostali zamknięci w pojedynczych celach, znajdujących się w piwnicy. Gen. Maleter przebywał w Tokol wraz z towarzyszącymi do 9 listopada. Tego dnia, przed wschodem słońca zostali przewiezieni na małe lotnisko w Csepel. Samolot, którym lecieli, wylądował o kilkanaście kilometrów dalej, w miejscowości Matyasfold, skąd Maleter pod silną strażą został przewieziony do willi, zamienionej na więzienie i położonej w dzielnicy zamieszkałej przez sowieckich dyplomatów. Od tej chwili losy gen. Maletera otoczono były milczeniem przerywanym niesprawdzonymi plotkami. Opowiadano, że wysłano go na jakiś czas do ZSSR. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” pierwszy ogłosił w dniu 18.1.1957 artykuł zawierający wiele błędów, o przygotowaniach do procesu Maletera.

W początkach lutego austriacki przemysłowiec Hans Petrakovitz uciekł z Budapesztu i powrócił do Wiednia. Opowiadał, że w więzieniu, w którym przebywał, widział na kilka dni przed swoim uwolnieniem Maletera. Mówił, że Maleter bardzo schudł, ale że jego przekonania pozostały niewzruszone pomimo cierpień i udręk. W czerwcu 1957, w czasie konferencji prasowej dla zagranicznych dziennikarzy, korespondent „Associated Press” Hartman, wprost zapytał o losy Maletera. Szirmai, reprezentujący władze węgierskie, dał lakoniczną odpowiedź: „Pal Maleter, który grał główną rolę w czasie wypadków związanych z kontrrewolucją, znajduje się w areszcie prewencyjnym. Sprawa jego, po zakończeniu śledztwa, będzie skierowana do sądu. Z tego co wiem, Maleter czuje się dobrze”.

Przeszły miesiące w czasie których nie przenikały żadne wiadomości dotyczące losów Maletera pomimo różnych interwencji (w tym Specjalnej Komisji Narodów Zjednoczonych). Władze węgierskie przygotowywały proces i nie udzielały żadnych informacji. Z braku dostatecznej dokumentacji nie możemy zajmować się sprawami przygotowania procesu i jego przebiegu. Wiemy, że toczył się przy drzwiach zamkniętych. Maleter zasiadł na ławie oskarżonych razem z Imre Nagy i swymi przyjaciółmi. Sprawa odbywała się w największej tajemnicy i rozpoczęła się w Budapeszcie dnia 20 stycznia 1958.

Dzięki pomocy drugiej żony gen. Maleter broniony był przez adwokata budapeszteńskiego, Janosa Kardosa. Proces ciągnął się miesiącami i był przerywany przy najrozmaitszych okazjach, w zależności od rozwoju stosunków między Związkiem Sowieckim a Jugosławią. W czasie wizyty Gomułki w Budapeszcie, w kwiet-

niu i maju, wydawało się że proces zostanie umorzony. Ostatnie posiedzenia najwyższego sądu odbyły się w Budapeszcie w okresie pomiędzy 9 a 14 czerwca. Gen. Maleter, korzystając z przysługującego mu prawa do ostatniego słowa, zaprzeczył wszystkim oskarżeniom i z podniesioną głową wysłuchał wyroku, który zapadł 15 czerwca. Wyrok śmierci na Pal Maletera, Imre Nagy, Jozsefa Szilagy, Miklosa Gimes wykonany został w dniu 16 czerwca 1958 w Budapeszcie. Maleterowi nie pozwolono pożegnać się z żoną.

Oficjalny komunikat nie podawał sposobu w jaki wyrok został wykonany. Zgodnie z wiadomościami Maleter został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny.

Nie wiemy ani jaka była ostatnia wola Maletera, ani gdzie znajduje się jego grób, ale wiemy, że jego imię, jego czyny wyryte zostały w sercach ludu węgierskiego bez różnicy poglądów politycznych.

Peter I. GOSZTONY

(Przełożył Z. H.)

MOSKWA A UKRAINA PO KLĘSCIE NIEMIEC W 1918 R.

OD REDAKCJI:

Drukując ten przyczynek do historii sprzed lat przeszło czterdziestu, Redakcja „Zeszytów” sądzi, że uważny Czytelnik znajdzie w nim sporo analogii do znacznie późniejszej polityki Moskwy wobec niewolonych przez nią „satelitów”.

I

Dopiero po zawarciu traktatów brzeskich dzięki niemieckiej pomocy, Ukraina faktycznie uzyskała całkowitą niezależność od Moskwy. Co prawda moskiewski rząd Komisarzy Ludowych teoretycznie „uznał” samodzielność Republiki Ukraińskiej jeszcze 17 grudnia 1917 roku, jednakże już 25 grudnia utworzony został w Charkowie tzw. Ludowy Sekretariat Ukraińskiej Republiki Sowieckiej¹, który przy pomocy Moskwy prowadził zdecydowaną walkę z kijowską Centralną Radą Ukraińską i utworzonym przez nią rządem.

Antonow-Owsiejenko, późniejszy sowiecki poseł w Warszawie, któremu Lenin wówczas kazał „przypomnieć” jego drugie, ukraińskie nazwisko i mianował „Naczelnym Wodzem Wojsk Ukraińskich”, w swoich wspomnieniach twierdzi, że wojska te walczyć miały z „niemiecko-austriackim najazdem”². Kategorycznie zaprzecza temu oficjalna sowiecka historia wojny domowej pisząc:

1. Ob. *Istoria Sowetskoj Konstitucji (w dokumentach) 1917-1956*, Moskwa 1957, dok. 24. 29-31.

2. W *Zapiskach o Graždanskoj Wojne*, Tom I, Wyzsij Wojennyj Redakcionnyj Sowet, Moskwa 1924, str. 298, W.A. Antonow-Owsiejenko pisze: „...priszla szifrowannaja telegramma ot Lenina s prikazaniem mne, — wspomniw swojoe ukrainskoje proischożdenje, priniat' komandowanje

„Słoiwszajasia obstanowka wynudila t. Antonowa-Owsejenko uskorit' naczało reszitelnych dejstwij protiv Rady... Naczalo reszitelnogo nastuplenja na Ukraïne nameczeno bylo na 18 januarja 1918 goda”³.

Ofensywa niemiecka, w okresie chwilowego zerwania rokowań sowiecko-niemieckich w Brześciu, przekreśliła jednak te plany i Moskwa zmuszona była w artykule VI traktatu brzeskiego z 3 marca 1918 formalnie zobowiązać się do zawarcia pokoju z Ukraińską Republiką Ludową i wycofania swoich wojsk i Czerwonej Gwardii z ukraińskiego terytorium. W wykonaniu tego zobowiązania sowiecka delegacja pokojowa z Chrystjanem Rakowskim na czele udała się do Kijowa, gdzie prowadziła długotrwałe rokowania z rządami ukraińskimi, początkowo Centralnej Rady, następnie zaś Hetmana Skoropadskiego. W momencie kapitulacji Niemiec na Zachodzie rokowania te nie były jeszcze formalnie zakończzone, stały się jednak bezprzedmiotowe i zostały faktycznie przerwane.

W związku z zasadniczą zmianą całej międzynarodowej sytuacji, moskiewski WCİK 13 listopada ogłosił postanowienie, unieważniające „w całości i we wszystkich punktach” traktaty zawarte w Brześciu oraz „uroczyście” oświadczające, że podpisane tam warunki pokoju „straciły siłę i znaczenie” i że wszystkie zawarte w tych traktatach zobowiązania ustąpienia terytoriów i prowincji są uznane za nieważne. Zapowiadając w dalszym ciągu postanowienia, że „wszystkie okupowane prowincje Rosji zostaną oczyszczone” i że „prawo samookreślenia zostanie w pełnej mierze przyznane masom pracującym wszystkich narodowości (*trudiaszczimsia nacjam wsech narodow*)”, WCİK w imieniu RSFSR wzywał jednocześnie masy pracujące wszystkich prowincji „wyzwolonych spod niemieckiego imperializmu” do „braterskiego związku z robotnikami i włościanami Rosji” i obiecywał im „całkowite, do końca idące, poparcie w ich walce o ustanowienie na ich ziemiach socjalistycznej władzy robotników i włościan”⁴.

Antonow-Owsiejenko w swoich „popartych oficjalnymi dokumentami wspomnieniach” stwierdza jednak, że jeszcze 10 listopada czyli przed wydaniem owego postanowienia WCİK'u, moskiewski *Sownarkom* wydał *Rewwojensowietowi* Republiki, tj.

nad wsemi sowetskimi wojskami, boriuszczimisja protiv germano-awstrijskiego wtorzenja na Ukrainu. Ja spesno wyjechał w Charkow”. „Mne predłagało, wspomniw swoju podlinnuju familju, postupit' w rasporiażenje Narsekretariata Ukrainy dla komandowanja wsemi wojskami protiv germano-awstrijskiego naszestwja”, powtarza w tomie II (1928), str. 15.

3. *Graždanskaja Wojna 1918-1921* w trzech tomach pod obszczej redakcji: A.S. Bubnowa, S.S. Kamenewa, M.N. Tuchaczewskiego i R.P. Ejdemana. Tom III, Moskwa 1930, str. 18.

4. Ob. *Istoria Sow. Konst.*, dok. 77.

Radzie Wojenno-Rewolucyjnej RSFSR, na czele której stał wówczas Trocki, „dyrektywę” rozpoczęcia w ciągu dni dziesięciu ofensywy na Ukrainę, w celu poparcia „robotników i włościan, którzy powstaną tam przeciwko Hetmanowi”. Tego samego dnia (11.XI) odbyła się w Moskwie narada ówczesnego Dowódcy Frontu Południowego Wacetisa, Komisarza Ludowego do Spraw Narodowościowych Stalina oraz Antonowa z komunistami ukraińskimi: Skrypnikiem, Zatońskim i Epsteinem (A. Jakowlewym). Dwaj ostatni referowali ówczesną sytuację na Ukrainie przy czym Epstein powiedział szczerze, że

„pomimo iż robotnicy oraz wielu włościan, szczególnie w Czernichowszczyźnie, są po naszej stronie, bez rzucenia znacznych sił Armii Czerwonej nie można liczyć nie tylko na powodzenie ruchu rewolucyjnego na Ukrainie, ale nawet na jego zapoczątkowanie”.

Nie zraziło to moskiewskich polityków, którzy też 17.XI formalnie powołali do życia „Ukraiński Rewwojensowiet” w składzie: Stalina, Piatakowa, Zatońskiego i Antonowa, zakonspirowując go na razie pod kryptonimem „Grupy Kurskiej” (*Grupa Kurskiego Naprawienia*), nazajutrz zaś Antonow ze Stalinem oraz doraźnie utworzonym z oficerów Moskiewskiego Okręgu Wojskowego „sztabem ukraińskim” ruszył na południe. Po odbyciu 20.XI w Woroneżu narady z Wacetisem i, prawdopodobnie, Trockim, Stalin, ku wielkiemu żalowi Antonowa, „pośpiesznie wyjechał do Moskwy”, zanim „Grupa Kurska” została wyposażona w odpowiednie siły. Toteż, wprowadzając Antonow w nakazanym przez *Sownarkom* 10-dniowym terminie zarządził przekroczenie ustalonej w Brześciu rosyjsko-ukraińskiej granicy i zajął — bez walki — miasteczko Ryłsk oraz st. kol. Sudża na linii Kursk-Biełgorod, 22 listopada alarmował Moskwę, że brak mu sił do dalszego ruchu naprzód. Pod wieczór, pisze Antonow, nadeszła napawająca otuchą depeza:

„Kursk-Dworzec, pociąg Antonowa. Dla Antonowa i Piatakowa.

Całkowicie rozumiemy Wasz niepokój i zapewniamy Was, że zarówno ja, jak i Lenin, zrobimy wszystko, co jest możliwe. Wszystkie Wasze depeze zostały przekazane Wacetisowi z żądaniem natychmiastowego wydania zarządzeń i przesłania ich odpisów do *Sownarkomu*. Odpisy potrzebne są nam dla kontroli i, jeśli zauważymy fałsz, nikomu nie damy pardonu. Wysłanie na Wasz front większych sił na razie się nie udaje ze zrozumiałych przyczyn. Wszystko, co pozostaje, będzie wysłane do Piotrogradu (gdzie 22.XI wojska sowieckie poniosły porażkę od Estończyków pod Narwą — W.S.). Nieoficjalna sytuacja Waszej grupy utrudnia nieco sprawę, ale po ogłoszeniu drugiego dokumentu sprawy pójdą gładko. Stalin”⁵.

5. Antonow-Owsiejenko, *op. cit.*, tom III (1932) str. 11-27.

„Drugi dokument”, ogłaszający „powstanie samodzielnego rządu niezawisłej Ukrainy”, ukazał się w tydzień później. Był to „manifest”, datowany w Sudży 29 listopada 1918 r. i podpisany przez „Tymczasowy Robotniczo-Włościański Rząd Ukrainy” w składzie: premiera G. Piatakowa oraz członków: K. Woroszyłowa, Sergejewa (Artema), E. Kwirynga, W. Awerina, W. Zatońskiego i J. Kociubińskiego. „W imieniu powstałych robotników i włościan, w imieniu rewolucyjnej armii Ukrainy”, „manifest” ogłaszał o obaleniu władzy Hetmana i przywróceniu na Ukrainie władzy sowieckiej oraz zapowiadał bezwzględna walkę ze wszystkimi jej przeciwnikami, zarówno z obozu hetmańskiego jak i zwolennikami dawnego rządu Centralnej Rady, zreorganizowanego wówczas w formie tzw. „Dyrektoriatu” Winniczko-Petlura⁶.

Drukując „manifest” w oficjalnym organie Komisariatu do Spraw Narodowości *Жизнь Националности*, nr 4 z 1.XII 1918, Stalin poprzedził go własnym artykułem pt. „Ukraina się wyzwala”, w którym twierdził, iż nie ma wątpliwości:

„że Ukraiński Rząd Sowiecki potrafi skupić dookoła siebie robotników i włościan Ukrainy i poprowadzić ich do walki i zwycięstwa”,

oraz wzywał

„wszystkich wiernych synów Sowieckiej Ukrainy do przyjęcia z pomocą młodemu sowieckiemu rządowi Ukrainy i ułatwienia mu bohaterskiej walki z dusicielami Ukrainy”⁷.

Ponieważ jednak, jak o tym pisała współczesna prasa sowiecka oraz stwierdzał w swoich wspomnieniach Antonow, Piatakow prowadził wówczas z okupantami niemieckimi przyjazne

6. Tekst „manifestu” ob. *Istoria Sow. Konst.*, dok. 78. Antonow (loc. cit. str. 57) ujawniał niechętny stosunek Głównodowodzącego Wacetysa do całej operacji „ukraińskiej”, pisząc: „Reorganizacja Grupy Kurskiej w Sowiecką Armię Ukrainy nastąpiła bez jego wiedzy, jak również bez jego zgody” został utworzony Tymczasowy Robotniczo-Włościański Rząd Ukraiński. Sam fakt utworzenia tego rządu przesądzał bliskość naszego marszu na Ukrainę i zobowiązywał nas do aktywnych działań. Głównym nie chciał się z tym liczyć i pozostawał wierny swojej zasadniczej koncepcji, że istnieje jedynie Front Południowy. Nie chciał on brać na siebie żadnych nowych zadań, gdyż mogły one odciągać nasze siły od tego zadania głównego”. W innym miejscu (str. 36) Antonow przytacza charakterystyczną telefoniczną rozmowę Kwirynga z Łgowa z Zatońskim w Kursku, z 27.XI 1917: „...Nastaiwaju, czto by Piatakow prijechał s pochodnoj tipografiej, a także zachwatil s soboj nieskolko telegrafistow — na stancji Sudża ich sowsem niet”.

7. Stalin, *Soczinienja*, T. 4, str. 174 i nn.

rokowania, zakończone całkowitym porozumieniem⁸, Skoropadski zaś 14 grudnia złożył władzę w Kijowie — na placu pozostawali jedynie zwolennicy niepodległej Ukrainy, tzw. „Petlurowcy”. Z nimi też była prowadzona mniej lub więcej „bohaterska” walka, o wyniku której zdecydowały bynajmniej nie „manifesty” czy artykuły Stalina, lecz przerzucane z Północy czerwone dywizje.

W dniu ustąpienia Hetmana, 14.XII, Trocki „osobiście” wydał rozkazy komendantom okręgów wojskowych w Orle i Kazaniu jak najszybszego (*w samym srocznym poriadku*) wysyłania transportów Ukraińców dla uzupełniania „Ukraińskiej Armii”. Nie było to jednak skuteczne, skoro Antonow za „wielką usługę” uważał fakt pełnienia przez Niemców w dalszym ciągu służby wartowniczej w Charkowie, oficjalnie zajęтым 3.I 1919 przez sowiecką „Armię Ukraińską”⁹.

23 stycznia dowództwo tej „Armii” zwróciło się ponownie do Moskwy, żaląc na wciąż przejawiające się w zachowaniu „naszych kierowniczych instytucji” liczne wahania w stosunku do Ukrainy i wypowiadając przypuszczenie, że są one skutkiem

8. *Prawda* w nr. 258 z 28.XI 1918 w depeszy z Kurska z 26. XI podała, że delegaci rządu sowieckiego wyjechali na teren okupowany dla pertraktacji z niemieckimi żołnierzami, zaś Antonow (*loc. cit.*, str. 28) pisał, że około 24. XI 1918 „dla dalszych pertraktacji z Niemcami wyjechał do Charkowa razem z t. Szwarem Piatakow”. Pertraktacje te ciągnęły się przez szereg tygodni, przy czym bolszewicy wykorzystywali (jeśli nie rozpuszczali) plotki, że przy przejeździe przez Polskę żołnierzy niemieckich „nie tylko rozbrajają, lecz również rozbierają i obrabowują” (*ibid.* str. 77). Dopiero gdzieś na początku stycznia 1919 osiągnięto ostateczne porozumienie, że I Korpus armii niemieckiej, wzamian za pozostawienie, tytułem „pełnego pokrycia kosztów transportu”, „całej posiadanej przezeń broni oraz wyposażenia artyleryjskiego i saperskiego”, zostanie pod ochroną uzbrojonego sowieckiego konwoju odtransportowany z Ukrainy do Niemiec przez Kursk-Orzeł-Briansk-Smołeńsk-Witebsk-Dwinsk-Wilno-Kowno-Wierzbowo, przy czym transporty niemieckie miały być dostarczane do Wilna „po 8 dniach od wyjazdu z Charkowa” — *ibidem*, str. 70-72. Antonow nie podaje dokładnej daty zawarcia tego porozumienia w Moskwie, wspomina jednak o „argumentie, że ostatni punkt, gdzie mogło grozić jakieś niebezpieczeństwo ze strony polskich legionów, — Wilno zostało przez nas zdobyte i nasze wojska posuwają się na Kowno” (str. 72), co mogło być dopiero po 5. I 1919.

9. O rozkazie Trockiego z 14. XII 1918 ob. Antonow, *loc. cit.*, str. 37; o „zdobyciu” Charkowa Antonow pisze: „O 5-ej ppłdniu 3. I wagon *Rewojensowietu*, doczepiony do pociągu pancernego nr 2-9 wjeżdżał do wyzwolonego od Petlurowców Charkowa” (str. 106); podczas pogrzebu „ofiar petlurowskiego terroru w Charkowie”, 12. I 1919, „obok naszych różnorodnie (*pestro*) ubranych oddziałów stali w szarych równych (*czetkich*) szeregach Niemcy” (str. 108). „Niemieckie oddziały, aczkolwiek nie dotrzymały swej obietnicy zatrzymania Petlurowców w Charkowie, okazały nam dużą usługę, w dalszym ciągu pełniąc (wraz z nami) służbę wartowniczą w mieście. Pozwoliły nam przez to na skierowanie zasadniczych sił dla rozwinęcia operacji bojowych pod Charkowem” (str. 108).

„przesadnego znaczenia, jakie nasze centrum przypisuje narodowo-separatystycznym tendencjom na Ukrainie”.

„Sprawa jak najszybszego poddania (*priobsczerzenia*) Ukrainy władzy sowieckiej — pisał wówczas Antonow — posiada niezwykle istotne znaczenie (*jawljajetsia głuboko żiznennym woprosom*) dla istnienia Rosyjskiej Republiki. Głodna północ musi uzyskać oparcie w urodzajnym południu. (*Gołodnyj sewer dołżen operetet'sia na płodonosnyj jug*). Należy zaprzestać zabawy w chowanego. (*Pora perestat' igrat' w priatki*). Nikogo się przez to nie zwiedzie, a jedynie przez swoje niezdecydowanie ujawni słabość i utraci moment niezwykle sprzyjający. Należy się spieszyć. ...Konieczne jest wprowadzenie na Ukrainę kilku dywizji z centralnej Rosji. Utrwali to sowiecką władzę na Ukrainie, zaś dokończenie formowania tych dywizji w okolicach bogatych w żywność nastąpi szybko”¹⁰.

Tego rodzaju argumenty dopiero poskutkowały: 28 stycznia w Charkowie nastąpiła reorganizacja „rządu” i nowy „ukraiński premier”, Chrystjan Rakowski, Bułgar z urodzenia i Rumun z paszportu, wystąpił z inicjatywą formalnego zawarcia przez wszystkie „niezawisłe” republiki sowieckie „ściśłego obronnego sojuszu przeciwko wszelkim usiłowaniom obalenia władzy robotniczo-włściańskiej”. W myśl komentarza artykułu wstępnego w oficjalnych moskiewskich *Izwiestjach* z 31.I 1919, inicjatywa ta prowadzić miała „do całkowitego zlania się” (*wpred' do poł-nogo slijanja*), jeśli taką będzie wola zainteresowanych narodów.

6 lutego 1919 wojska „ukraińskie” Antonowa zdołały zająć Kijów, po czym posuwały się wciąż dalej ku Zachodowi, a rząd Dyrektoriatu, przechodząc szereg kryzysów, przeniósł się kolejno do Winnicy (do 14.III), Proskurowa, Kamieńca.

II

Równoległe z akcją wojskową Moskwa przez pewien czas prowadziła również akcję dyplomatyczną, „rokując” z rządem

10. Tekst memoriału Antonowa z 23. I 1919 (*loc. cit.*, str. 127-8). Negatywne stanowisko Antonowa wobec „separatyizmu” ukraińskiego wywołało skargi na niego do Lenina, który w depezy do Antonowa z 21. I 1919 pisał o potrzebie *arcytaktu narodowościowego* — Lenin, *Soc-zinenja*, 3 wyd. T. XXIX, dok. 251.

11. 4. II 1919 Antonow meldował do „Centrum”: „Wojska Dyrektoriatu uciekają przed nami. Pod Winnicą utrzymują się ich resztki (*oszołki*). Proszę o pozwolenie ich zlikwidowania” (str. 206). Wreszcie w tomie IV *Zapisek*, str. 34, Antonow przytaczał rozkaz do I Sowieckiej Armii Ukraińskiej, wydany 13. IV 1919: „Nieprzyjacieli rozbitych pod Korosteniem, Berdyczowem, Szepietówką, Proskurowem, ściga do Równego i Tarnopola”, oraz pisał o ewakuacji Równego i przejściu Dyrektoriatu na teren Galicji w połowie maja 1919 (*loc. cit.* str. 285).

Dyrektoriatu, który w szeregu not z końca 1918 i początku 1919 r. energicznie protestował przeciwko najazdowi Ukrainy przez regularne oddziały sowieckiej Armii Czerwonej, złożone „z Chińczyków, Łotyszy, Węgrów i częściowo Rosjan”, oraz ich interwencji w wewnętrzne sprawy ukraińskie pisząc:

„Dyrektoriat wyraźnie widzi cele rządu Ludowych Komisarzy: — konieczne jest mu zagarnięcie za pośrednictwem owych bolszewickich Sowietów bogatej w zboże, węgiel i inne surowce Ukrainy i zrobienie z niej kraju kolonialnego, jakim w ciągu prawie 300 lat była pod panowaniem rosyjskich carów i wszelkich rosyjskich imperialistów...”¹².

Cziczeryn w oficjalnych odpowiedziach na noty Dyrektoriatu stanowczo odrzucał te zarzuty, uważając za „bezprzedmiotowe” ukraińskie żądania wycofania z Ukrainy oddziałów sowieckich, ponieważ „żadnych formacji wojskowych RSFSR tam nie ma” (*net nikakich wojskich czastej RSFSR*), natomiast toczy się „wojna domowa”, która bynajmniej „nie jest sprawą... agentów rosyjskiej władzy sowieckiej”, lecz naturalnym skutkiem walki klasowej robotników i chłopów z burżuazją. Jednocześnie jednak Cziczeryn nie uchylał się od „oficjalnych i międzypartyjnych pertraktacji” i na ukraińską propozycję oparcia ich na czterech podstawowych zasadach:

- 1) wzajemnego uznania suwerenności;
- 2) nie-interwencji w sprawy wewnętrzne;
- 3) legalizacji ruchu bolszewickiego na Ukrainie i
- 4) rozstrzygnięcia sprawy władzy na Ukrainie przez Zjazd

Robotniczo-Włościański,

odpowiedział wyrażeniem zgody na przyjazd ukraińskiej delegacji do Moskwy¹³.

Wyznaczony przez Dyrektoriat na szefa tej delegacji, S.P. Mazurenko zajmował stanowisko bardziej antypolskie, niż antyrosyjskie. W wywiadzie ogłoszonym w moskiewskich *Izwiestjach* (nr 14 (566) z 21.I 1919), Mazurenko oświadczył, że delegacja przybyła do Moskwy w celu „normalizacji stosunków” przede wszystkim ekonomicznych, że Ukraina zachowuje neutralność w polityce międzynarodowej, znajduje się jednak w stanie wojny z Polską, która chce zagarnąć Bukowinę i Galicję, jednocześnie zaś prowadzi „najbardziej zdecydowaną walkę” z zasilanym z

12. Nota ukraińska z 9. I 1919 (w odpowiedzi na notę z 5.I), podpisana przez członków Dyrektoriatu: Winniczenkę, Petlurę, Andrzejewskiego, Makarenkę i Szweca oraz Ministra Spraw Zagranicznych Czechowskiego — ob. *Izwiestja*, nr 7 (559) z 12. I 1919.

13. Odpowiedź Cziczeryna z 10. I 1919 tamże, ukraińskie warunki — zasady ob. *Izwiestja*, nr 3 (555) z 4. I 1919.

zewnątrz rządem Piatakowa (*Piatakow pitajestsia izwnie i my poweli s nim samuju reszitelnuju bor'bu*). W sprawie organizacji ukraińskiej władzy państwowej, zdaniem Mazurenki, miał ostatecznie zdecydować zwołany na 19 stycznia w Kijowie Kongres Pracy (*Trudowej Kongres*). Stanowisko Moskwy we wszystkich tych sprawach było zasadniczo odmienne. W ogłoszonym jednocześnie z wywiadem Mazurenki artykule redakcyjnym *Izwiestja* pogardliwie porównywały Kijowski Kongres z „Przedparlamentem” Kieżeńskiego, zaś nazajutrz, 22.I 1919, ogłosiły wywiad z szefem delegacji rosyjskiej dla rokowań z Mazurenko, Manuilskim, kategorycznie stwierdzającym, że na Ukrainie toczy się wojna domowa i Dyrektoriat, który w swoim czasie zaprosił tam Niemców, obecnie jest rozbity na dwa kierunki: pro-zachodni i pro-rosyjski; sytuacja jego jest bardzo niepewna i w związku z tym trudno z nim rokować w sprawach ekonomicznych, natomiast kwestia ewakuacji „naszych jeńców wojennych” jest paląca i nią się też zajmujemy w rokowaniach. W zakończeniu wywiadu Manuilski wyrażał przekonanie, że władza sowiecka niedługo zatriumfuje na Ukrainie, jednocześnie podkreślając, że Rosja bynajmniej się nie wtrąca do ukraińskich spraw wewnętrznych.

Pomimo tych, wydawałoby się, krańcowo odmiennych stanowisk, rokowania przez pewien czas przebiegały pomyślnie. W szczególności, gdy na pytanie Mazurenki o stosunku Moskwy do sprawy Galicji Wschodniej Manuilski odpowiedział:

„...fakt ponownego połączenia (*wossojedinienja*) Galicji Wschodniej z Ukrainą posiada znaczenie nie tyle z punktu widzenia bezpośredniego nabytku terytorialnego, co z punktu widzenia rozszerzenia areny walki rewolucyjnej... Do imperialistycznych pretensji Polaków władza sowiecka nie może ustosunkować się inaczej niż do wszelkiego rodzaju innych zaborczych dążeń wielkomocarstwowych narodów. Jeśli polscy ziemianie zamierzają oprzeć swoją politykę w Galicji Wschodniej na niesłychanym ucisku nieszczęsnego włościarstwa ukraińskiego, to rząd sowiecki nie może ustosunkować się do nich inaczej niż do ziemian wielkoruskich, którzy niewolili (*zakabalawszich*) w ciągu dziesięcioleci drobnych rolników i parobków w rosyjskiej Ukrainie...”

Mazurenko oświadczył, że „tego rodzaju pogląd na kwestię ukraińską stwarza grunt dla wspólnej walki z imperialistycznymi pretensjami zagrażających narodom Rosji kół reakcyjnych”¹⁴.

Po dokonanej 28 stycznia „zmianie rządu” w Charkowie, Mazurenko 1 lutego zwrócił się do Cziczerina z prośbą o podjęcie

14. „Delegacja Ukrainської Dyrektorji. (Beseda s S.P. Mazurenko)” w *Izwiestja*, nr 14 (566) z 21. I 1919; „K peregoworam s delegaciej Ukrainської dyrektorji. (Beseda s tow. Manuilskim)” tamże nr 15 (567) z 22. I 1919; „Wopros o polakach na Russko-Ukrainskom soweszczanji” tamże nr 22 (574) z 31. I 1919.

pośrednictwa w nawiązaniu kontaktu z Rakowskim i świadczenia „dobrych usług” w rokowaniach z nim na zasadach: 1) neutralności Ukrainy; 2) połączenia obu rządów; 3) legalizacji bolszewików na Ukrainie i 4) wspólnej walki z kontrrewolucją. W istocie rzeczy była to już całkowita kapitulacja: uznanie sowieckiego „rządu” Rakowskiego za lokalny rząd ukraiński, rządu zaś moskiewskiego za nadrzędnego i „niezainteresowanego” arbitra, co Moskwa wyraźnie stwierdziła, „w zasadzie” nie odrzucając „prośby” Mazurenki¹⁵. Jednocześnie jednak *Izwiestja* zamieściły wywiad z Piatakowym, który oświadczył, że „w obliczu swej nieuniknionej zguby” (*widia swoju neminujemuju gibel*) Dyrektoriat usiłuje różnymi okólnymi drogami rozpocząć pertraktacje, aby w koalicyjnym rządzie zachować choć część władzy, oraz podkreślał udzielaną przez Ukrainę i RSFSR „bratnią pomoc” wzajemną oraz dążenie do ich całkowitego zespolenia¹⁶. Nazajutrz, 5 lutego, *Izwiestja* zamieściły wywiad z nowym „ukraińskim premierem” Rakowskim, w którym ten oświadczył, że wprawdzie bolszewicy „uznają prawo każdej narodowości i terytorialnej grupy do utworzenia swego narodowego sowieckiego państwa, w istocie rzeczy władza sowiecka jest międzynarodowa” (*sowetskaja włas' jawlajetsia internacjonalnoj*), w sprawie zaś rokowań Rosji z Dyrektoriatem powiedział, że mają one „charakter informacyjny”¹⁷. Wcale tym niezrażony Mazurenko w liście do Cziczerina pisał:

„Nadzwyczajna Misja Dyplomatyczna Ukraińskiej Republiki Ludowej w piśmie z 1 lutego za nr. 11 zwróciła się do Was z prośbą o podjęcie pośrednictwa w pogodzeniu dwóch rewolucyjno-demokratycznych rządów Ukrainy. Wasza uprzejma zgoda na pośredniczenie w celu jaknajszybszego zakończenia ciężkiej wojny domowej, zobowiązuje Misję URL do złożenia Wam i waszemu rządowi najszczerzego podziękowania (*wyrazit' Wam i waszemu prawitelstwu iskrennuju priznatelność*). Misja URL wierzy że braterskie pośrednictwo rządu RSFSR przywróci na Ukrainie pokój i przez to wzmocni siły bojowe jednolitego frontu światowej demokracji rewolucyjnej. W konkluzji Misja ma zaszczyt zakomunikować, że powzięła decyzję zachowania swoich pełnomocnictw przy RSFSR do czasu otrzymania instrukcji od swego rządu. Przewodniczący Misji: S. Mazurenko¹⁸.

15. Ob. artykuł wstępny „*Dela ukraińskie*” Ju. Stekłowa w *Izwiestja*, nr 25 (577) z 4. II 1919.

16. „*W Sowetskoj Ukraine. Beseda s tow. Piatakowym*” — tamże.

17. „*Na Ukraine. Beseda s tow. Rakowskim*” — tamże nr 26 (578) z 5. II 1919.

18. *Izwiestja*, nr 27 (579) z 6. II 1919. Bezpośrednio po liście Mazurenki figuruje tam następująca depesza ROSTA z Niezyna z 5. II: „N-ska Sowiecka Ukraińska Dywizja zdobyła Kijów”, zaś w uprzednim numerze *Izwiestij* z 5. II oficjalny komunikat *Narkomindetu* z 3. II treści następującej: „Po ukraińsko-rosyjskiej naradzie 2-go lutego wyjaśniła się możliwość porozumienia w sprawie podstaw, na których rosyjski rząd

To stanowisko Mazurenki nie było jednak całkowicie podzielane przez Dyrektoriat i rząd ukraiński. Jeszcze w styczniu, na posiedzeniu kijowskiego Kongresu Pracy, Minister Spraw Zagranicznych Czechowski mówił, że pomimo wysłania Delegacji do Moskwy bolszewicka „ofensywa i agitacja jest w dalszym ciągu kontynuowana; widocznie Rosja pragnie rozwiązać sprawę siłą oręża”¹⁹, zaś, po utraceniu Kijowa, w Dyrektoracie i rządzie nastąpił rozłam: Winniczenko i część jego zwolenników ustąpili, pozostali zaś przeciwnicy porozumienia z Moskwą, z Petlurą na czele, zdecydowali szukać pomocy i oparcia w mocarstwach zachodnich i rozpoczęli pertraktacje z francuskim generałem Bartello w Odessie. W tej sytuacji zamierzony przez Mazurenkę 19 lutego wyjazd na Ukrainę, wraz z przedstawicielami rządu moskiewskiego: Menżyńskim i Belgowym, jako „pośrednikami” przy rozmowach z Rakowskim ostatecznie nie doszedł do skutku²⁰. Przez miesiąc jeszcze oczekiwał on w Moskwie na dalszy rozwój sytuacji w decydujących kołach ukraińskich, by wreszcie po ostatecznym rozłamie pomiędzy Winniczenko a Petlurą, gdzieś w drugiej połowie marca, formalnie zlikwidować swoją niefortunną misję dyplomatyczną, w atmosferze komentowanej przez moskiewskie *Izwiestja* z 16.III 1919 w sposób następujący²¹:

„Haniebny petlurowski Dyrektoriat kończy swe istnienie takimiż nędznymi wykrętami i podstępami (załkami uwertkami i podwochami), jakie cechowały całą jego działalność. Na początku swej działalności zaprzedał się on niemieckiemu imperializmowi, lecz w rezultacie został wyrzucony za burtę. Przed swoim zgonem z równą gotowością sprzedaje swoje usługi Sprzymierzonym, ale i ci ustosunkowali się do petlurowskiego towarzystwa z podob-

sowiecki może zaproponować ukraińskiemu rządowi sowieckiemu oraz Dyrektoriatowi swoje usługi w celu zawarcia pomiędzy nimi porozumienia, przy czym te podstawy będą zawierać zarówno uznanie przez Dyrektoriat Sowieckiej Władzy na Ukrainie jak i uznanie neutralności Ukrainy przy aktywnej jej obronie przeciwko wojskom Ententy, Denikina, Krasnowa oraz Polaków, w celu wspólnej walki przeciwko kontrewolucji. W tym sensie rosyjski rząd sowiecki wystąpił zarówno do ukraińskiego rządu sowieckiego, jak i do Dyrektoriatu. Moskwa, 3 lutego 1919 r.”.

19. „Recz Czechowskiego na Trudowom Sjezde” — *Izwiestja*, nr 20 (572) z 29. I 1919.

20. „K peregoworam Sowetskoj Ukrainy s Direktoriej” — dwie depeze Mazurenko do Winnicy dla Winniczenki z 18 i 20. II 1919, w *Izwiestja*, nr 41 (593) z 22. II 1919. W numerze 39 (591) z 20. II 1919 *Izwiestja* podawały wiadomość o faktycznym rozpadnięciu się Dyrektoriatu i pozostaniu „tylko dyktatury Galicjan z Petlurą i Konowalcem na czele”.

21. Ob. „Ukraińska delegacja” w *Izwiestja*, nr 59 (611) z 18. III 1919, gdzie m.in. czytamy: „Znajdująca się w Moskwie ukraińska delegacja z p. Mazurenko na czele w ostatnich dniach przerwała swoje prace... Dalszy los ukraińskiej delegacji powinien się wyjaśnić w dniach najbliższych”. „Konec Direktorii”, artykuł podpisany przez W. Kerzencewa w *Izwiestja*, nr 58 (610) z 16. III 1919.

ną jak Niemcy pogardą i rozpoczęli dyktować Dyrektoriatowi swoje warunki nie licząc się z jego życzeniami. Obecnie, coraz bardziej wypierany z granic Ukrainy oraz maltretowany przez dowództwo Sprzymierzonych, Dyrektoriat rzuca się na wszystkie strony, aby utrzymać resztki swej władzy i jest gotów zapłacić za nią dowolną cenę, nie cofając się przed sprzedażą samego siebie, przed fałszami, oszczerstwem i demagogicznym oszukiwaniem mas pracujących. Trudno powiedzieć, czy w tym haniebnym zachowaniu jest więcej obłudy i fałszu, czy niskości i podłości... W takich warunkach ukraiński rząd sowiecki nie ma najmniejszych podstaw do prowadzenia rozmów ze zbankrutowaną władzą, opuszczoną przez jej zwolenników. Z petlurowcami może być tylko jedna rozmowa — zdecydowana walka aż do pełnego zwycięstwa. Dyrektoriat i jego bandy muszą zostać zlikwidowane bez najmniejszej litości. Żadnej innej polityki nie można zastosować do grupy awanturników, zaprzędających robotniczo-włościańską Ukrainę żandarmom Sprzymierzonych.

Wiktor SUKIENNICKI

W OBCYCH OCZACH

POLSKIE POWSTANIE W WARSZAWIE W ROKU 1944 (Wspomnienia naocznego świadka)

Wstęp

Urywek z listu p. W.W. Mijakowskiego do inż. L.J. Bykowskiego z dnia 7.12.1944 r.

Drogi Panie Lwie Justynowiczu!

Z radością witam Wasze wyzwolenie z ruin Warszawy... Mam do Was prośbę, żebyście spisali wszystko, coście widzieli i co wiecie o (warszawskim) powstaniu i przysłali do Muzeum-Archiwum UWAN. Powinno się zbierać wspomnienia uczestników po gorących jeszcze śladach. Opiszcie wszystko, co można obecnie, a przyszli historycy będą za to bardzo wdzięczni.

Wasz W. MIJAKOWSKI

Odpowiedź inż. L.J. Bykowskiego do p. W.W. Mijakowskiego z dnia 3.1.1945 r.

Drogi Włodzimierzu Warłamowiczu!

Żądacie, abym opisał swoje wrażenia z powstania warszawskiego w sierpniu-wrześniu 1944 r. Sądzę, że jest to przedwczesne. Wprawdzie wyzdro-

Powyższe wspomnienia p. L. Bykowskiego z okresu Powstania Warszawskiego były napisane w grudniu 1944 r. Po raz pierwszy były odczytane przez autora 7.11.1954 na zebraniu Sekcji Historycznej UWAN w New Yorku, ukazały się zaś drukiem w nrach 1-4 ukraińskiego miesięcznika „Wyzwolnyj Szlach”, w Londynie w 1963. Przekład, zrobiony z tekstu publikowanego w „Wyzwolnym Szlachu”, został autoryzowany przez p. Bykowskiego. Autor nie tylko w tekście swoich wspomnień ale i w korespondencji z nami podkreśla, że wspomnienia jego nie mają pretensji by być dokumentem czy przyczynkiem historycznym; są tylko notowanymi na gorąco wrażeniami. By nie pozbawiać wspomnień tego charakteru, p. Bykowski nie przeprowadził żadnych zmian drukując je po niespełna 20 latach.

Ze względu właśnie na ich bezpośredniość i szczerłość drukujemy te wspomnienia licząc że mogą być one interesujące dla czytelnika polskiego.

REDAKCJA

wiałem już — w fizycznym znaczeniu tego słowa — ale jednak ciągle jestem ogłuszony. Nie potrafię patrzeć na niedawne wydarzenia z należytej historycznej perspektywy. A że przy tym byłem bezpośrednim i cierpiącym uczestnikiem tych wydarzeń, więc trudno mi wyzbyć się subiektywizmu. Poza tym o pewnych sprawach nie należy jeszcze pisać. Proszę więc to wszystko wziąć pod uwagę przy czytaniu niżej podanego materiału.

Spisałem swoje wrażenia być może bezładnie, jednym pociągnięciem pióra, na podstawie własnych przeżyć i spostrzeżeń, opowiadań innych uczestników i wiadomości z prasy powstańczej, obficie wychodzącej w owym czasie w Warszawie.

W czasie mego uwięzienia (22.8-6.9.1944) byłem odizolowany od bezpośrednich wydarzeń, prosiłem więc moją żonę o wypełnienie tej luki — jej spostrzeżeniami.

Ułożyłem te wspomnienia mniej więcej w chronologicznym porządku, podzieliwszy je na trzy rozdziały:

1. Przed powstaniem.
2. Okres powstania.
3. Po powstaniu.

Okres powstania z powodów osobistych podzieliłem jeszcze na trzy podokresy:

- 1) Do chwili mego uwięzienia; 2) okres aresztu; 3) po zwolnieniu.

Wasz. L. BYKOWSKI

PRZED POWSTANIEM

O tym, czy powstanie było nonsensem (? znak zapytania autora) mogą być różne zdania, ale na to że wywołał je nieustanny strach — jest bardzo dużo dowodów.

Na przestrzeni ostatniego roku przed powstaniem w Warszawie wytworzyły się „meksykańskie” warunki życia.

Coraz częściej zdarzały się napady podziemnych bojówek polskich na mieszkańców miasta; to samo robili bandyci, podszywający się pod bojówki. Jednocześnie, prawie codziennie mieliśmy zamachy na wyższych i niższych urzędników narodowości niemieckiej oraz na ludzi pracujących u Niemców. Szczególnie często ginęli agenci Gestapo i „Arbeitsamt'u”. W różnych zakątkach miasta zaczęto zabijać nawet żołnierzy niemieckich. To znów pociągało za sobą różne represje ze strony okupantów.

Kto to robił? Domysły były różne. Jedni twierdzili, że to robota polskiej organizacji podziemnej. Sam widziałem kilku zabitych prowokatorów i szpiegów na usługach Niemców, bowiem trupy ich leżały na naszej i sąsiednich ulicach. Inni utrzymywali, że jest to robota bolszewickich agentów, aby w ten sposób wywołać zamieszanie i szcuć Niemców przeciwko Polakom. Różni złodzieje i bandyci wykorzystywali tę zaognioną i niewyraźną sy-

tuację! Myślę, że działały tutaj wszystkie wyżej wymienione czynniki równocześnie. W następstwie tego Warszawa stała się w opinii niemieckiej miastem „bandytów”. Niewątpliwie polska powstańcza organizacja w Warszawie rosła w siły i porozumiewała się z prowincją. Działała pod nazwą „Armii Krajowej” (A.K.) zgodnie ze wskazówkami emigracyjnego rządu polskiego w Londynie. Równocześnie organizowali się wśród ludności miejskiej sympatycy bolszewików. Mówiło się, ba ogłaszało w afiszach rozklejonych na murach, o przygotowywaniu polsko-bolszewickiego rządu w Warszawie; czeka on tylko na odpowiednią sytuację, aby pochwycić władzę w swoje ręce. Z kół, zbliżonych do Niemców, dochodziły słuchy, że Niemcy o wszystkim wiedzą. Ucisk i prześladowanie ze strony Niemców rosły: wzmagaly się rewizje, aresztowania, łapanki na ulicach, pojedyncze i masowe rozstrzeliwania. Miasto zabudowano niemieckimi bunkrami, drucianymi zasiekami; wokół różnych urzędów wzmocniono warty. Pełno było najrozmaitszych czujek niemieckich, przeprowadzano próbne alarmy itp. Niemcy spodziewali się polskiego powstania i czekali na nie. Z niemieckich kół sugerowano nawet, że dobrze by było powstanie to wywołać, aby wracające z frontu wojska miały powód do zniszczenia miasta i jego mieszkańców.

Atmosfera zagęszczała się coraz bardziej i bardziej, także i dla tego, że Niemcy na wschodzie ciągle ustępowali i że front zbliżał się do Warszawy. Doszło do tego, że od połowy lipca 1944 roku Niemcy zaczęli masowo ewakuować z miasta swoje rodziny na zachód. Wkrótce i mężczyźni, którzy jeszcze pozostawali w mieście w różnych urzędach, zaczęli z tobołkami w rękach uciekać za rodzinami.

29 lipca wywieziono do Lasku (koło Łodzi, czyli ówczesnego Litzmannstadt) p. Andrzeja Lewickiego z rodziną i najbliższym otoczeniem. W Warszawie zostało nas trzech Ukraińców z rodzinami: autor tych notatek, dr. T. Olesiuk i adwokat, P. Wasyńczuk. O innych, być może pozostałych w Warszawie, Ukraińcach nic nie wiedziałem. Gdybyśmy wiedzieli wtedy, co nas czeka, wątpię czy zdecydowalibyśmy się pozostać w mieście.

Na kilkanaście dni przed powstaniem, moskiewsko-niemiecki front zbliżył się do Warszawy. Moskale zajęli przedmieścia: Pragę i Grochów.

Zdawało się wszystkim, że Niemcy lada chwila opuszczą miasto i że zajmą je Moskale, tym bardziej, że przekroczyli Wisłę i posuwali się od strony Piaseczna.

Otóż w takiej sytuacji i w takiej atmosferze zaczęło się powstanie.

POWSTANIE

Jak się powstanie zaczęło i kto je rozpoczął? — rozmaicie się o tym mówiło. Były dwie następujące wersje:

1. Powstanie sprowokowali Niemcy albo bolszewicy,
2. Wzniesli je sami Polacy, świadomie, jako protest przeciwko masowym rozstrzeliwaniom i wywożeniu młodzieży do Niemiec na przymusowe roboty. Polacy mieli zamiar opanować miasto przed wkroczeniem bolszewików.

W rzeczywistości do dzisiaj nikt prawdy nie zna. Można tylko stwierdzić (na podstawie wiadomości z gazet), że generał Bór-Komorowski który dowodził Armią Krajową w Warszawie, miał pełnomocnictwa od rządu emigracyjnego w Londynie, aby w każdym wypadku postąpić tak, jak będzie uważał za stosowne. On to, podobno, dał rozkaz rozpoczęcia powstania, przypuszczając, że Niemcy już opuszczają Warszawę i że Moskale zajęli już część Warszawy. Okazało się jednak, że się omylił. Niemcy wcale z miasta nie wyszli, a Moskale zatrzymali się na przedmieściu Praga i obserwowali jak Niemcy powoli likwidują powstanie. I wyszło na to, że Moskale zniszczyli miasto i niepożądanych dla nich polskich patriotów-powstańców (A.K.) rękami niemieckimi, jako agentów Londynu. Jednocześnie zrujnowano milionowe miasto, aby nie mieć później kłopotu z jego mieszkańcami, no i aby móc występować w roli „dobroczyńców” polskiego narodu, zaś odpowiedzialność za zrujnowanie Warszawy przerzucić na Niemców. Po zlikwidowaniu powstania przez Niemców Moskale ciągle jeszcze nie ruszali się z miejsca, a nawet zgodzili się, że Niemcy odepchnęli ich o kilkanaście kilometrów.

Okres od 1 do 22 sierpnia 1944 r.

Powstanie zaczęło się 1-go sierpnia między godziną 4.30-5.00 po południu. Fatalnie wyznaczono godzinę, co potem odbiło się na całym przebiegu powstania. Odpowiednie czynniki uprzedziły mnie, jako kierownika — w owym czasie — Biblioteki Publicznej — o powstaniu już o godzinie 3-ej po południu tegoż dnia. Nakazano zawczasu zamknąć bramę przed ewentualnym tłumem. Ale o której miało się zacząć powstanie, nie wiedziałem nic dokładnego. Dlatego też, wykonawszy rozkaz, poszedłem odwiedzić adwokata, p. P. Wasyńczuka, który mieszkał wówczas, zdaje mi się, na ulicy Wspólnej. Wyszedłem od niego koło godz. 5-ej po południu i w mieście już trafiłem na strzelaninę. Strzelano z karabinów, pistoletów — nie wiadomo kto i skąd; przeważnie z da-

chów i okien. Wszyscy przechodnie chowali się po bramach i domach. Przebiegając pod ścianami, od bramy do bramy, dobiegłem do ulicy Marszałkowskiej. Tutaj jakiś pan kierował ruchem ulicznym, dając parasolką znaki, kiedy można przechodzić przez ulicę. Od czasu do czasu strzelali już i Niemcy, odpowiadając powstańcom. Ulice — jakby kto zmiotł: w ciągu kilku chwil były puste. Znalazłem się szczęśliwie w Bibliotece Publicznej (ul. Koszykowa 26), gdzie mnie radośnie spotkała żona i służba, bowiem myśleli, że już zostałem zabity.

Z dnia na dzień sytuacja komplikowała się. Mieszkańcy pod kierunkiem „Akowców” (A.K.) zaczęli budować w poprzek ulic barykady z płyt, wyjętych z chodników, beczek, drzewa, skrzyń, cegieł i nawet mebli. Po kilku dniach miasto, a przynajmniej śródmieście gdzie mieszkałem, było pokryte barykadami w odstępach 50-100 metrów jedna od drugiej. Koło domów, z obu stron pozostawiono wąskie tylko przejścia dla wojskowych i śmiałków.

Ponieważ jednak i powstańcy i Niemcy strzelali wzdłuż ulic, chodzenie ulicami stało się niemożliwe; zaczęto więc przebijać dziury-przejścia wewnętrzne między domami. Tymi tajnymi przejściami, które prowadziły wyłomami między domami i piwnicami, wałęsali się ludzie.

Barykady na ulicach, tajne przejścia między domami były podobno naśladownictwem technicznego doświadczenia wojny domowej w Hiszpanii i moskiewsko-niemieckich walk w Stalingradzie. Zamieniły one miasto w całkowicie niedostępną fortecę. Wszystko to robiono umiejętnie pod kierunkiem różnych instruktorów.

Dzielnica Śródmieście była ograniczona: Alejami Jerozolimskimi, Alejami Ujazdowskimi, ulicą Natolińską, placem Zbawiciela, ulicą Mokotowską, Mokotowskim Polem, ulicą Noakowskiego, Filtrami i ulicą Chałubińskiego. Na czele tej powstańczej części miasta stał „Delegat Rządu” (londyńskiego). Jemu podlegała cywilna administracja dwóch rodzajów: Obrona Przeciwlotnicza (OPL) i „Polski Korpus Bezpieczeństwa” (P.K.B.). Przeciwlotnicza obrona była podzielona na oddzielne okręgi czy obwody z komendantami na czele. Im z kolei podlegały bloki domów na czele z „blokowymi”. Blokowym podlegały poszczególne domy, na czele których stali „komendanci domów”. Do komendantów OPL należało: akcja przeciwpożarowa, rozdział zaopatrzenia, kierowanie rozmieszczeniem uciekinierów z innych dzielnic miasta i ze zrujnowanych domów, werbowanie robotników do prac ziemnych, do budowania barykad, do straży ogniowych i do różnych czynności pomocniczych. Mnie — z urzędu, jako ówczesnemu kie-

rownikowi Biblioteki Publicznej, przypadła rola „komendanta domu” a moim „blokowym” był pan M., dawny pracownik Magistratu, polski „hurra-patriota”, a w rzeczywistości złodziejasek i pijaczyna. „Okręgowym” był inż. P., leciwy już, ale sumienny w wykonywaniu swoich obowiązków człowiek. Z początku zabrał się do pracy bardzo energicznie, a potem — załamywał tylko ręce, widząc do czego to wszystko prowadzi. Nad nim była wspomniana „Delegatura Rządu”, która z czasem, już oficjalnie, mieściła się przy ul. Kruczej.

Drugą gałęzią administracji cywilnej — która również podlegała „Delegaturze Rządu” — był wspomniany już „Polski Korpus Bezpieczeństwa”, podzielony na Komisariaty Policji. W naszej części miasta było ich dwa — przy ul. Poznańskiej nr 12 i przy ulicy Hożej — w budynku dawnej Komendy Policji. Trzeci Komisariat organizował się przy ulicy Mokotowskiej nr 34. Policja rekrutowana była z nowych ludzi, bo dawnych (granatowych) polskich policjantów Niemcy wywieźli jeszcze przed powstaniem. Zresztą dawna polska policja była skompromitowana w oczach ludności swoją współpracą z Niemcami.

„OPL-owcy i PKB-owcy” ubrani byli po cywilnemu. Pierwsi mieli na rękawach białe, a drudzy — białoczerwone opaski, z odpowiednimi literami.

Trzecią — najważniejszą grupą w powstańczej organizacji byli wojskowi różnego rodzaju. Większość z nich, przynajmniej w naszej dzielnicy, należała do Armii Krajowej, będącej pod dowództwem generała Bora-Komorowskiego. Ta grupa podlegała Rządowi w Londynie. Mniejszość wojskowych należała do organizacji bolszewickiej, tj. do „Polskiej Armii Ludowej” (P.A.L.) i „Armii Ludowej” (A.L.). W naszej dzielnicy takich wojskowych nie było. Nazywano ich pachotkami Stalina. W tych dzielnicach miasta, które oni opanowali, była i ich policja — „Korpus Bezpieczeństwa” (K.B.).

Były jeszcze i inne wojskowe oddziały, np. oddział milicji „Polskiej Partii Socjalistycznej” (PPS).

Szeregowi powstańcy — a była to przeważnie młodzież — byli ubrani rozmaicie: po cywilnemu, w jakichś czarnych lub niebieskich garniturkach, inni w niemieckich mundurach, a przeważnie w niewygodnych szarych kombinezonach. Wszyscy mieli oznaki o barwach narodowych na piersiach i na czapkach — niektórzy z orłem, niektórzy bez orła. Oficerowie na ogół mało różnili się od szeregowych; tylko niektórzy mieli oficerskie mundury. Wyróżniali się natomiast bardzo zdecydowaną postawą i nakazującym posłuchem, solidnym wyglądem.

Żołnierzom i wojskowym oddziałom towarzyszyła młodzież

żeńską, przeważnie w męskich ubraniach, a czasami w skromnych kobiecych sukienkach. Były to po prostu „przyjaciółki” oficerów i żołnierzy lub pracownice w wojskowych kuchniach i tzw. łączniczki, które roznosiły rozkazy. Zasadniczo należały do oddziałów A.K. Były rozmieszczone grupami w sztabach i urzędach — pod opieką i kierownictwem oficerów-kobiet. Oznaczały się fanatycznym oddaniem sprawie powstania.

Prócz wojskowych oddziałów kobiet działali też Harcerze — młodzi chłopcy, którzy zorganizowali wojskową pocztę. Z poczty tej korzystała również ludność cywilna. „Poczta” miała własną centralę, a w mieście rozmieszczono skrzynki na listy. Harcerze chodzili do domów, zbierali listy i przynosili odpowiedzi. Za doręczanie listów dostawali książki dla rannych w szpitalach. Obowiązki wzięte na siebie spełniali wspaniale i dostawali się do najbardziej zagrożonych i niebezpiecznych stref.

Na początku powstania wszystkie te organizacje działały osobno, wkrótce jednak połączyły się. Bór-Komorowski stanął na czele powstania, a Monter był jego zastępcą. Powstańcy wierzyli, że bolszewicy są ich sojusznikami przeciwko Niemcom. Koła zbliżone do A.K. oraz i sama A.K. miały jednak wyraźne zastrzeżenia wobec bolszewików i pragnęły zdobyć miasto własnymi siłami, aby stać się gospodarzami u siebie, bez bolszewików. Tu prawdopodobnie leżały przyczyny, dla których nie doszło do ostatecznego porozumienia między powstańcami a polsko-sowieckim generałem Berlingiem.

Wojsko podzielono na okręgi, tzw. „Komendy Placu”, noszące rzymskie cyfry. My, na przykład, podlegaliśmy III Komendzie Placu.



W tym miejscu w moich zapiskach jest luka. Pierwotnie rękopis mój obejmował 134 stronicę. W dniach 17-18 stycznia 1945 r., w związku z cofaniem się Niemców i posuwaniem się Moskali, niemiecka żandarmeria wojskowa poleciła nam spakowanie się i wyjazd wraz z firmą inż. S.K. w kierunku na zachód. Po prawie miesięcznej, przerażającej podróży, w czasie której byliśmy kilkakrotnie pod ostrzałem bolszewików, znaleźliśmy się we wsi Grossobringen koło Wejmaru w Turynii. Oboje z żoną wprosiłiśmy się na mieszkanie do pastorowej Witting. Pastorowa była wrogo ustosunkowana do cudzoziemców i jakoś szczególnie nie podobała się jej moja osoba, chociaż starałem się wywdzięczyć za „gościnność” i oprócz płacenia ustalonej ceny za mieszkanie, pomagałem jej, pracując: rąbałem drzewo w lesie, pracowałem

ciężko w ogrodzie. Ale i to nie wpływało na zmianę jej stosunku do mnie, ciągle mi niedowierzała. Specjalnie krzywym okiem patrzyła na nasze rzeczy, złożone za jej pozwoleniem, w łazience za wanną. Między tymi rzeczami były paczki z rękopisami, a wspomniany rękopis leżał pierwszy w paczce, na samej górze. Zupełnie dla siebie niespodziewanie zobaczyłem, że kartki moich pamiętników służą jako papier toaletowy. Protest mój był spóźniony, bo już 15-30 stron tego rękopisu zginęło bezpowrotnie. Wspomnienia były pisane, jak się to mówi, od ręki, jednym pociągnięciem pióra, gdy przeżycia były jeszcze świeże. Teraz już trudniej mi odtworzyć tę straconą część tak, aby stanowiła z resztą organiczną całość. Tam się mówiło o organizacji wojska, omawiałem sprawy żywnościowe, rozstawienie szachownicy oddziałów wojskowych powstańczych i niemieckich, o przebiegu walk, o opuszczaniu przez powstańców poszczególnych dzielnic miasta: Siekierki, Czerniakowa, dalszego i bliższego Mokotowa, Powiśla, Starego Miasta, Żoliborza. Dalej był opis organizacji powstańczej prasy, propagandy, tablic z ogłoszeniami w bramach domów itd. itd. Pisać o tym na nowo, to znaczy wrócić myślą i pamięcią jeszcze raz i przeżywać na nowo te przerażające dwa i pół miesiąca; od tego można oszaleć. Dlatego opisuję dalej, od strony 31-ej poprzedniego rękopisu.



Cała dzielnica Rakowiecka: Aleja Szucha, Poczta na rogu ulicy Nowogrodzkiej i Poznańskiej, dom, gdzie były Telefony (P.A.S.T.A.) aż do ulicy Pańskiej, niemieckie poselstwo, również siedziba Uniwersytetu, częściowo Dworzec Główny, częściowo Politechnika, Pole Mokotowskie, Dom Sztabu Głównego na placu Hitlera (dawniej plac Saski), pałac Brühlowski, koło Ratusza (kwatery Szefa Dystryktu), Hotel Bristol na Krakowskim Przedmieściu i Hotel Europejski razem z Komendanturą i Uniwersytetem, były silnymi bastionami wojsk niemieckich — wśród domów mieszkalnych, gdzie usadowili się powstańcy. Ratusz na Placu Teatralnym kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk, aż w końcu pozostały z niego tylko ruiny. Z tak naszkicowanego obrazu widać wyraźnie już nie mozaikę, ale całą szachownicę, z której część składało się miasto, częściowo zajęte przez Niemców a częściowo przez powstańców.

Już w kilka dni po wybuchu powstania ujawniła się przewaga niemiecka prawie we wszystkim.

Początkowo Niemcy próbowali wziąć miasto szturmem i rzucili nań wojsko. Od razu jednak zrozumieli bezcelowość takiej

walki. Atakujący bowiem spotkali się z bardzo silnym oporem. Prażono ich ze wszystkich stron strzałami a oni zagubieni wśród ulic nie mogli się ani zorientować, ani ukryć przed ogniem powstańców. Każdy dom trzeba było zdobywać bezpośrednim atakiem, jak fortecę. Poniósłszy więc ogromne straty, Niemcy wycofali całe swoje wojsko za miasto i zaczęli oblężenie. Odcięli Warszawę ze wszystkich stron, ostrzeliwując ją bez przerwy z dział, samolotów i czołgów. Czołgi czasami zapędzały się w głąb miasta, ale też często je niszczone, rzucając na nie butelki z benzyną. Okazało się, że oblężenie i ostrzeliwanie miasta z daleka przynosi Niemcom ogromne sukcesy, gdyż powstańcy, mając słabą broń, którą ironicznie nazywano „pukawkami”, nie mogli sięgnąć wroga za miastem. Niemcy zaś systematycznie niszczyli ulicę za ulicą, dom za domem, strzelając wzdłuż i wszerz ulic.

Sytuacja powstańców pogarszała się z dnia na dzień. Specjalnie straszne dla nich były tzw. „krowy”. Były to pociski niemieckich ciężkich miotaczy min, które lecąc, ryczały jak krowy. Po kilku minutach następował huk trafiającego pocisku i wybuch o ogromnej sile. Pocisk ten posiadał jeszcze jakiś zapalnik, który wywoływał pożary. Zasięg ich wynosił — do jednego kilometra. Ale większego zasięgu Niemcy nie potrzebowali. Jednocześnie z Pola Mokotowskiego zaczęła ostrzeliwać miasto ciężka bateria kolejowa. Druga, taka sama, ostrzeliwała miasto gdzieś od strony Wisły, tę jednak szybko unieszkodliwiły trafne strzały Moskali.

Od tych pocisków rozwalały się domy, wybuchały pożary, które trzeba było gasić pod obstrzałem; ginęli powstańcy i ludność cywilna. Ilość bezpiecznych, niezburzonych budynków z każdym dniem malała, łączność między budynkami, między dzielnicami i poszczególnymi ulicami stawała się coraz trudniejsza. Mieszkania w całych jeszcze domach, przeważnie suteryny i piwnice, zajmowali wojskowi. Tu się przenosiły powstańcze sztaby i urzędy, polowe szpitale, składnice itp. Urzędy te z kolei usuwały wystraszoną ludność do innych na pół rozwalonych domów, albo na wyższe, bardziej niebezpieczne piętra. Szczególnie dawał się odczuwać wzrastający brak wody. Przy studniach dochodziło do bólek. Coraz częściej zdarzały się wypadki, że ludzie rzucali się z nożami na wojskowych, którzy pilnowali wody, bądź brali ją poza kolejką. Ciężkie warunki robiły sytuację beznadziejną. Zarówno ludność cywilna, jak i wojskowi żyli z dnia na dzień. Upajali się jakimś wypadkowym zwycięstwem, drobnymi sukcesami i nadzieją pomocy ze strony Sojuszników i bolszewików.

Początkowo, pod wpływem prasy powstańczej, wszyscy wierzyli że sprawa Warszawy stoi dobrze i że w ogóle u Sojuszników jest na pierwszym miejscu, tak zresztą, jak cała Polska. Rze-

czywistość nie potwierdziła tej megalomanii. Powoli więc silna wiara w zwycięstwo i nadzieja stygły, ustępując miejsca załamaniu i poczuciu beznadziejności. Pozostawał już tylko strach o własne życie. Rzeczywiście niebezpieczeństwo czyhało na każdego i ze wszystkich stron, a przede wszystkim od strony ruin. Budynek od wstrząsów rozpadały się, podobnie jak od wybuchów; cegły sypały się na przechodniów. Poza tym walka trwała nie tylko na tzw. froncie, ale i na dachach domów, wewnątrz powstańczych dzielnic. Zewsząd strzelali tzw. „gołębiarze”, czyli niemieccy strzelcy, którzy umieścili się na dachach domów jeszcze na początku powstania, bądź dostali się tam później ze swoich baz. Strzelali oni nie tylko do AKowców, ale i do ludności cywilnej, gdyż z daleka nie odróżniało się wojskowego od cywila. Powstańcy przeważnie bardzo szybko likwidowali „gołębiarzy”, ale zabici byli zawsze po tej i po tamtej stronie. Zabitym Niemcom zabierano broń, ściągano z nich mundury i buty, trupy zaś zostawiano na miejscu. Te rozkładały się i zatrwały powietrze ciężkim słodkavo-zgniłym smrodem. Okrucieństwo obustronne przybierało na sile. Krążyły o tym przedziwne i obrzydliwe wiadomości wśród ludzi, co z jednej strony wywoływało oburzenie a z drugiej przygnębienie. Opowiadano, że jakoby wzdłuż ulicy Filtrowej Niemcy wyrzucili wszystkich mieszkańców z domów; domy rozwalili do reszty i podpalili, oblewając meble benzyną. Mieszkańców zaś tych domów popędzili do obozów za miastem, grabili, rozdzielali rodziny, gwałcili dziewczęta itd. Na Kolonii Staszycza zabijali nawet dzieci. Jeszcze gorzej działo się na ulicy Marszałkowskiej do Placu Zbawiciela, na ulicy Bagatela i innych sąsiednich. Tu Niemcy wypędzali ludzi z domów, grabiąc i niszcząc wszystko. Następnie rozdzielili mężczyzn od kobiet i trzy tysiące mężczyzn zagnali do podziemia Gestapo w Alei Szucha, gdzie, jakoby wszystkich rozstrzelano. Kobiety i dzieci więzili w innym miejscu, morzyli głodem, a następnie uszeregowali i popędzili w stronę powstańców. Wszystkie one z białymi chusteczkami i podniesionymi rękami musiały przekraczać linie frontu pod ogniem z obu stron. Kilka kobiet z tej grupy mieszkało w Bibliotece Publicznej, osobiście więc rozmawiałem z nimi. Opowiadały, że Niemcy na atakujące powstańców czołgi sadzali kobiety i dzieci, a powstańcy broniąc się musieli do nich strzelać. Powstańcy nie lepiej zachowywali się wobec ludności cywilnej. Często wypędzali mieszkańców z domów, a domy te podpalali, twierdząc, że tego wymaga „strategiczna konieczność”. Do niebezpiecznych robót na pierwszej linii frontu powstańcy używali jeńców niemieckich, *Volksdeutsch*’ów i Ukraińców. Niemcy musieli do nich strzelać choć widzieli wymalowane na ramionach swastyki lub litery „U”.

Wojskowych Niemców Polacy raczej do niewoli nie brali; zabijali ich na miejscu, zdzierając z nich ubrania i buty, nie mówiąc już o broni.

W rzeczywistości łatwiej było odróżnić „wroga” po stronie Niemców, było to bowiem wojsko, a po stronie powstańców trudno było odróżnić wojskowych od cywilów. Wobec tego Niemcy całą ludność miasta traktowali jak „bandytów” i niszczyli wszystkich.

Ile było prawdy w opowiadaniach o niemieckim bestialstwie trudno sprawdzić, gdyż kierownictwo powstania rozdmuchiwało wszelkiego rodzaju pogłoski na ten temat, aby powstrzymać ludność od wychodzenia z miasta, do czego, ze swej strony raz po raz nawoływała niemiecka komendantura. W tym celu Niemcy zrzucali ulotki z samolotów. Wiadome też było, że Niemcy rozstrzelali jednego ze swych dowódców za ekscesy w stosunku do ludności; najciekawsze jednak dla nas będzie to, że wszystkie te niemieckie ekscesy w stosunku do ludności Warszawy, przypisywało się... Ukraińcom, którzy, jak mówiono, byli w szeregach wojska niemieckiego. Jeszcze na długo przed powstaniem krążyły wśród ludności pogłoski, że polska policja będzie usunięta z miasta i podobno zastąpiona przez policję ukraińską, która ma zlikwidować warszawski bandytyzm. Następnie w przeddzień powstania rozpowszechniano pogłoski, że jakoby wojsko niemieckie ma opuścić Warszawę — a zastąpią je dwie dywizje ukraińskie — SS-ów (?). Ich zadaniem będzie wytepienie Polaków. Toteż w czasie powstania mniej się mówiło wśród ludności o samych Niemcach, a więcej o Ukraińcach, którzy jakoby najbardziej podjudzają Niemców i sami okrutnie znęcają się nad ludnością.

A jak było naprawdę — nikt nie wie! Kiedy zaś z opowiadań wynikało, że to nie Ukraińcy, a Niemcy, Moskale, Kozacy, Gruzini, Kałmucy lub jeszcze jacyś muzułmanie są na służbie Niemców, to i wówczas była jedna stereotypowa odpowiedź: „Przecież wszyscy oni — to Ukraińcy”. Tak więc właściwie bezpodstawnie ludność Warszawy czuła strach i nienawiść do tych, jak mawiano „hajdamaków” i „rezunów”, którzy jakoby na Wołyniu, Chełmszczyźnie i w Małopolsce „wyrzynali” ludność polską! Otóż w takiej „przyjazno-sąsiedzkiej atmosferze” tylko niektórzy wiedzieli, że jestem Ukraińcem. Inni nawet mnie o to nie podejrzewali, ja zaś nie śpieszyłem się z oznajmieniem tego. Zastępując Dyrektora Biblioteki Publicznej, zgodnie z poprzednim rozporządzeniem Prezydenta Miasta, p. Kulskiego, dbałem przede wszystkim o zbiory i dom Biblioteki. Opiekę nad ludźmi stawiałem na drugim planie i z tego powodu zaczęły się nieporozumienia z niektórymi urzędnikami, którzy znaleźli się w czasie powstania w do-

mu Biblioteki i zostali w nim. Staralem się utrzymać „złoty środek”: ulegałem wymaganiom powstańców a równocześnie starałem się odizolować Bibliotekę od powstańczej akcji. Wiedziałem, że od chwili, w której Biblioteka zacznie brać czynny udział w akcji powstania, zbiory jej ulegną uszkodzeniu lub nawet zniszczeniu. Inaczej myślała intendentka Biblioteki, p. J.P., która brała czynny udział w organizacji powstańczej. Nienawidziła ona Ukraińców — a mnie szczególnie. Zarzucała mi brak „społecznego uświadomienia”, niechęć do powstania i groziła mi denuncjacją. Jednocześnie była niby lojalna w stosunku do mnie, pokrywając swoją nienawiść inteligentną kobiecością i wytwornością form towarzyskich. Nie pomijała jednak żadnej okazji, aby mnie w delikatny sposób prowokować. Wytworzyła się atmosfera skomplikowana i trudna, w której lawirowałem i zwlekałem jak tylko mogłem, mając za sobą poparcie woźnych, którzy jak jeden odnosili się do powstania z rezerwą. W końcu jednak musiałem ustąpić w kilku ważnych sprawach.

Ostrzeliwanie miasta przez Niemców coraz bardziej wzma-gało się. Toteż przebieganie na rogu ulicy Mokotowskiej i Koszykowej było bardzo niebezpieczne. Powstańcy przebijali w ścianach naszego domu przejścia do domów sąsiedzkich. Zapewniali nas uprzejmie, że z przejść przez dom Biblioteki będą korzystać jedynie wojskowi. Ale od razu z tej tajemnej magistrali zaczęli korzystać mieszkańcy bliższych i dalszych ulic. Codziennie kilka tysięcy osób znanych nam i nieznanym szwendało się poprzez dom Biblioteki w dzień i w nocy z jednego końca w drugi. Warta, złożona z urzędników i starszych mieszkańców domu, starała się nie pozwalać tłumom rozlaźić się po Bibliotece i wskazywała właściwą drogę. Po kilku dniach znów zjawili się wojskowi i kazali otworzyć bramę. Zabrali z podwórza wszystkie kamienie, cegły, drzewo, paki itp. — do budowania barykady w poprzek ulicy — akurat naprzeciw Biblioteki. W miarę rozwijania się wypadków, zmuszeni byliśmy do przyjmowania do domu Biblioteki uciekinierów z sąsiednich ulic i domów, a nawet i z dalszych dzielnic. Próbowaliśmy robić pewną selekcję: przyjmować przede wszystkim bibliotekarzy i naukowców. Umieszczaliśmy ich w pracowniach, z dala od zbiorów książek. Wkrótce jednak, za pośrednictwem wspomnianej p. J.P. napchało się niepotrzebnie do Biblioteki wiele obcego elementu. W końcu zabrakło nam wody. Zaczęliśmy kopać studnię w trzecim podwórzu Biblioteki. Nadto, wszystkich tych, którzy znaleźli się w naszym domu, musieliśmy żywić ze wspólnego kotła w bibliotecznej kuchni, czerpiąc na to z naszych skromnych zapasów.

Lawirując w ten sposób między powstańcami, wewnętrzną

prowokacyjną opozycją, dbając o całość zbiorów Biblioteki (w tym cenne ukraińskie depozyty) dociągnąłem do drugiej połowy sierpnia 1944 r.

W Bibliotece były złożone — oprócz depozytów polskich naukowców — również ukraińskie, bardzo cenne książki, o których wiedziałem tylko ja i ktoś jeszcze ze służby. Wychodziłem z założenia, że o depozytach winny wiedzieć tylko dwie osoby. W tych niespokojnych czasach Biblioteka cieszyła się wielkim zaufaniem społeczeństwa. Przyjmowała na przechowanie depozyty od różnych osób i różnego kalibru. Przechowywanie tych depozytów mogło nas narazić zarówno Niemcom, jak i powstańcom. O ukraińskich depozytach antyukraińska opozycja mało wiedziała. Przede wszystkim przechowywaliśmy cały księgozbiór Metropolity Hilariona, dobro Chełmskiego Konsystorza, książki dra T.O., wojskowe archiwa U.N.R., zbiory Towarzystwa Wojskowo-Historycznego, oddane nam przez pułkownika M.S. w chwili jego wyjazdu z Warszawy w końcu lipca 1944 r. archiwa Iwana i Jura Lypiw, archiwum Galiny Lypowej, archiwum Czarnomorskiego Instytutu, zbiory oddane mi przez p. J.K. dla Muzeum Wyzwolonej Ukrainy w Pradze i inne.

Pogłoski o tych ukraińskich archiwach na pewno krążyły po mieście, bo pierwszy wojskowy dowódca (pseudonim „pan Tadeusz” — inteligentny człowiek) z miejsca mnie zapytał: „A gdzie są te materiały, które zwozili wam SS-mani? Zdziwiłem się bardzo, bo nigdy niczego SS-mani nie zwozili, odwrotnie — wywozili, np. część zbiorów Społecznego Muzeum (zdaje się do profesora Bajera w Pradze), które były w depozycie Biblioteki jeszcze od roku 1934. Tak się zakończyła rozmowa. Na pewno jakiś nie orientujący się szpieg, zobaczył zwożone paki i worki z książkami od płk. M.S. lub z sąsiedniej ulicy Natolińskiej — z księgozbioru Metropolity Hilariona.

Wobec tego, że strzelanina trochę przycichła, poszedłem do miasta i wstąpiłem do najbliższej wypożyczalni-Biblioteki (ulica Śniadeckich 8). Napisałem listy do innych filii Biblioteki, wysłałem przez pocztę polową i zacząłem odwiedzać mieszkania swoich urzędników, którzy przestali przychodzić do Biblioteki. Przy tej okazji odwiedziłem niektórych polskich pisarzy i naukowców. Naturalnie nie wszędzie mogłem dotrzeć; stały temu na przeszkodzie — strzelanina i inne niebezpieczeństwa. Pomimo to jednak dotarłem do ulicy Polnej, którą w tym czasie Niemcy ostrzeliwali z Pola Mokotowskiego.

Chciałem się zobaczyć z prof. Korwin-Pawłowskim, dawnym dyrektorem Instytutu Wschodniego w Warszawie i prof. arabskiego Uniwersytetu w Kairze, przyjacielem dra Lewka Łukasiewicza,

członkiem Ukraińskiego Instytutu Czarnomorskiego. Jego cenny rękopis pod tytułem: „Cztery lata na Kaukazie” był dotychczas przechowywany w Bibliotece i korzystając z zezwolenia autora dzieło to przeczytałem. Był nawet projekt przetłumaczenia na język ukraiński. Odwiedziłem też p. St. Stempowskiego, dawnego ministra dla spraw polskich w rządzie ukraińskim za czasów Centralnej Rady. Tam też spotkałem polską pisarkę, p. M.D., odznaczoną przez Polską Akademię Literatury. Od nich udałem się do p. Kołodziejskiego, byłego Dyrektora Biblioteki Sejmowej i Senatu — oraz jeszcze do kilku innych osób. Wszystkich ich zachęcałem, by w razie potrzeby schronili się w naszym domu, który bądź co bądź był jakiś mocniejszy niż inne. Tak się też potem stało. Na kilka dni przed pamiętnym dla mnie dniem 22 sierpnia 1944 r. wszyscy oni razem z polskim profesorem ze Lwowa (p. J.K.-klasykiem) i jego żoną przenieśli się do domu Biblioteki, oddając równocześnie na przechowanie swoje wartościowe rękopisy. Specjalnie cenne były wspomnienia p. St. Stempowskiego, które zaczął pisać na parę lat przedtem.

Okres od 22 sierpnia do 6 września 1944 r.

Wśród codziennych kłopotów i stałego nerwowego napięcia, wywoływanego stałą strzelaniną, dociągnęliśmy do dnia 22 sierpnia. I oto tego dnia po południu zgłosiło się do mnie dwóch polskich wojskowych, jak się okazało żandarmów, i powiedziało mi, że chcą ze mną porozmawiać na osobności. Zaprowadziłem ich do swego służbowego gabinetu i zapytałem, o co chodzi? W odpowiedzi usłyszałem pytanie: Pan Lew Bykiwskij, Ukrainiec?

Od razu zorientowałem się, z kim mam do czynienia, o co chodzi, czym to pachnie.

— Ach, ty draniu! — wrzasnął starszy z nich — ja ciebie obserwuję już od trzech miesięcy.

— Skoro mnie obserwujecie, to czemu mnie pytacie? Powinniście wszystko wiedzieć.

— Ty oddawałeś Niemcom polskie książki!

— Nieprawda! — wybuchnąłem. — Brali książki i za poprzednich dyrektorów. Brali, nie pytając mnie. Ja osobiście niczego nie dawałem!

W odpowiedzi żandarmi zaczęli mnie bić gumowymi pałkami. Potem kazali się zgiąć, podnieśli mój płaszcz i dalej mnie bili po ramionach i po lewym boku.

Przyszło mi na myśl, jak jakaś asocjacja, sam nie wiem czemu: polskie hasło: „Za naszą i waszą wolność!”.

— Masz tobie za to, żeś Ukrainiec! — przemówił młodszy. — I jeszcze za to, żeś sądził się z córką pisarza Świętochowskiego, Czajkowską! — wykrzyknął starszy. — Daj mi gumę, niech mu jeszcze raz dołożę za to! — I bili dalej.

Domyśliłem się wtedy, że to są prywatne porachunki, a żandarmi nasłani są przez klikę tej właśnie p. Czajkowskiej i pań D.G. i J.P.

Stawałem się coraz bardziej niepożądaną osobą dla powstańców, którzy chcieli całkowicie dla swoich celów wykorzystać solidny budynek Biblioteki i apolityczny charakter urzędu, bez takiego świadka, jak ja. Poza tym była to okazja do porachunków. Tak zresztą działo się dookoła: denuncjacje, oszczerstwa, prowokacje, zabójstwa itp.

Pani Czajkowska, nieudana córka znanego polskiego pisarza i publicyisty, Świętochowskiego, sama zaś całkowite zero, starsza pani „z wymaganiami”, miała synekurę w Bibliotece Publicznej. Wszyscy z nią mieli zatargi. W czasie pierwszego sowieckiego nalołu na Warszawę (zdaje się w r. 1941) ona, jako urzędniczka Biblioteki zachowała się tak nieodpowiednio, że spowodowała groźbę niebezpieczeństwa dla Biblioteki.

Jako ówczesny komendant OPL — zwymyślałem ją — tak po wojskowemu. Obraziła się i zaskarżyła mnie do Sądu Grodzkiego. Mnie broniło Miasto; ukarano mnie jednak symboliczną grószową sumą (250 złotych). To jej nie zadowoliło, wniosła więc apelację do wyższej instancji, która skazała mnie na zapłacenie złotych polskich sześciuset. Karę tę zapłaciło za mnie Miasto, ale obie strony i Miasto i p. Czajkowska — nie były zadowolone z takiego obrotu sprawy. Wyrok był jednak ostateczny. Magistrat za takie postępowanie, zwolnił panią Czajkowską z pracy. Wszystko to zresztą działo się za poprzedniego dyrektora Biblioteki, p. R.P., który też nie lubił p. Czajkowskiej i był zadowolony, że w ten sposób jej się pozbył. Dawno już o tej sprawie zapomniałem. Pani Czajkowska jednak będąc „swoim” człowiekiem w kołach polskiego sądownictwa, postanowiła teraz zakończyć ze mną swoje osobiste porachunki. Jej syn (dziennikarz) był właśnie jednym z wojskowych prokuratorów i na żądanie jednego z jego kolegów zaaresztowano mnie. Z czasem dowiedziałem się, że towarzyszka pani Czajkowskiej, pani D., była u jednego z byłych dyrektorów Biblioteki, dra A. Bachulskiego i mówiła mu, że nadszedł obecnie odpowiedni moment, aby „zlikwidować Bykowskiego”... Teraz więc uskuteczniła swoje plany. Skończywszy bicie, żandarmi rozkazali mi iść z nimi. Wyszliśmy na podwórze. Tutaj kazali mi oddać klucze od Biblioteki — zastępcom. Oddałem klucze wspomianej już p. J.P. i starszemu woźnemu, Feliksowi Pendelskie-

mu, prosząc ich, aby dbali o Bibliotekę tak, jak ja o nią dbałem. Tę moją prośbę żandarm ironicznie wyśmiał.

Wiadomość o tym, że mnie bito, doszła już do urzędników i mieszkańców Biblioteki. Wszyscy więc zebrali się koło nas, nie wiedząc, co począć, jak reagować. Zdarzało się poprzednio, że żandarmi wpadali do Biblioteki nocą, w innych sprawach, właśnie do tych J.P. i D. terroryzowali je, domagając się wydania broni, która była jakoby przez nie ukrywana, czy przechowywana.

Z otaczającego nas tłumem odważył się odezwać — dotąd mi mało znany, profesor J.K. (ze Lwowa):

— To że on jest Ukraińcem, nie jest żadnym przestępstwem. Jakież to postępowanie! Przecież on jest dyrektorem Biblioteki!

— Nie wtrącać się do nieswoich spraw! Ktoś ty? — ordynarnie wrzasnął żandarm.

— Jestem profesorem J.K.

— Uważaj więc, żebyś również nie oberwał!

W międzyczasie pani M., żona byłego konsula polskiego w Brazylii, która wraz z mężem mieszkała obecnie w Bibliotece zawezwała z sąsiedniego domu mego szefa po linii OPL, inżyniera P., który zażądał od żandarmów wyjaśnienia sprawy.

Ci — w odpowiedzi — pokazali mu nakaz prokuratora aresztowania mnie, po czym zaprowadzili mnie na ulicę Poznańską nr 12, gdzie mieściły się władze sądowe. Dzięki wtrąceniu się pana P. nie bito mnie już po drodze.

Po przyprowadzeniu do sądu, posadzono mnie w sieni, twarzą do ściany. W pół godziny potem przyszedł żandarm i wypisał mi na plecach białą farbą polską literę „U” (Ukraińiec). Z rozmowy między żandarmami dowiedziałem się, że „prokurator zna osobiście oskarżonego”. To jeszcze bardziej utwierdziło mnie w moich podejrzeniach, że chodzi tu o osobiste porachunki. Potem zaprowadzili mnie do oficera, dowódcy wartowni. Ten zwracał się do mnie ironicznie przez „wy” a nie przez pan. Zapytał, kto jestem i zabrał moje dokumenty. Na moje pytanie, dlaczego mnie zaaresztowano, odpowiedział, że „w dokumentach Pałacu Brühlowskiego nasi ludzie znaleźli dowody, że byliście swoim człowiekiem u Niemców”. Na tę prowokację nic nie odpowiedziałem; cóż bowiem mogłem odpowiedzieć, skoro każdy wiedział, że Pałac Brühlowski był nadal w rękach niemieckich i Polaków tam nie było. Oficer kazał odprowadzić mnie do więzienia.

Więzienie w suterynach składało się z korytarza oraz dwóch pokoi obok toalety. W drugim pokoju siedzieli „niebezpieczni” więźniowie: Ukraińcy, Niemcy i Polacy — a więc tacy, którzy mieli największe przewinienia. Tam też posadzono i mnie. Byłem ogłuszony biciem i świadomością, że tak marnie i niesławnie

skończyła się na zawsze moja 16-letnia (od 1 października 1928 r.) bądź co bądź lojalna praca u Polaków — a teraz wchodzę w nową fazę życia. Było jakby przekroczenie jakiegoś rubikonu! Izba, w której siedzieliśmy, była typowym (w czasach pokojowych) więzieniem o wymiarach 5 na 6 metrów. W poprzek izby, pod oknem, było podwyższenie, które służyło za łóżka. Było sucho, dość czysto, bez zaduchu, podłoga cementowa.

Siedziało już kilka osób. Z początku nikt się nie odzywał. Po chwili zaczęli się wypytywać: kto jestem? za co to się dostałem?

Dowiedziałem się z kolei, że jeden z obecnych jest Ukraińcem z Wołynia, studentem prawa na trzecim roku Uniwersytetu w Warszawie. Zona jego też siedziała w więzieniu, właśnie tutaj w pierwszej izbie. Między nami zapanowała przyjazna atmosfera. Poinformowano mnie, że tutaj już nie biją, ale siedzi się długo i że będę prawdopodobnie zlikwidowany, jako Ukraińiec. W najlepszym razie dostanę się do obozu koncentracyjnego. Wszyscy ironizowali na temat powstania i narzekali, że jest niedorzeczne i poruszali temu podobne sprawy. Powiedziano mi, że w tej izbie siedzi jeszcze piętnastu więźniów. Radzili mi zawczasu wybrać sobie miejsce do spania na podłodze, bo na podwyższeniu wszystko zajęte, a niedługo wrócą z pracy inni towarzysze niedoli.

Wśród obecnych było kilka inteligentnych osób — a reszta, jakieś niewyraźne typy: Polacy, którzy siedzieli za spekulację i drobne kradzieże. Jeden z nich był raniony przy robocie. Wszyscy zachowywali się grzecznie, nikt z nich nie używał brzydkich wyrazów.

Pod wieczór wrócili więźniowie, którzy byli w pracy. Oni też zachowywali się przyzwoicie. Zawiadomili nas, że jeden z nich został zabity. Byli zgnębieni. Roboty ziemne, przy których pracowali nasi współtowarzysze, odbywały się na ulicy Emilii Plater, mniej więcej koło 40 numeru. Kopali podziemne przejście pod ulicą; odbywało się to wszystko pod obstrzałem. Jeden pocisk padł w pobliżu i odłamek zabił jednego robotnika, a drugiego ranił. Prosto i jasno: to samo wcześniej czy później czeka nas wszystkich.

Wieczorem przyniesiono nam jakąś lurkę: woda, w której pływało trochę kaszy. To obiad i kolacja. Strawa słabiutka, ale mówią, że i żołnierze nie mają co jeść, cóż więc mówić o nikomu niepotrzebnych więźniach. Znalazła się jakaś świeczka. Potem odbyło się sprawdzanie obecności i wszyscy ułożyli się do snu. Jeżeli ktoś w nocy musiał wyjść, stukał w drzwi, stróż otwierał i prowadził do toalety.

Stosunki między służbą i więźniami były „za pan brat”.

Niektórym więźniom żony przynosiły z miasta bieliznę, jedzenie itp. Przyniesione rzeczy odbierano w kancelarii, albo wprost od stróża. W ten sam sposób dostawały się do więzienia papierosy.

Następnego dnia wszystkim ostrzyżono włosy na głowie, aby nie zaległy się wszy.

Rano zaczęto wywoływać „chętnych” do pracy. Część aresztowanych poszła i wkrótce zjawił się jakiś żołnierz z naganem w rękę i pogroźkami zaczął wypędzać ludzi do pracy. Poradzono mi, żebym się zgłosił do pracy: „będziesz cały dzień na powietrzu, żołnierze dadzą ci jeść, a tu w tiurmie zmarniejesz, albo siłą cię wezmą do roboty. A śmierć i tak wszędzie czyha na ciebie”.

Poszedłem razem z innymi. Zaprowadzono nas do kancelarii, tam wywoływano po nazwisku, ustawiono dwójkami i pod opieką wartowników zaprowadzono na roboty. Po drodze przyglądało się nam dużo ludzi.

Do miejsca pracy przyszliśmy koło dziewiątej. Rozdano nam kubeczki, łopaty i kilofy i kazano kończyć tunel. Najgorsze było to, że pracowaliśmy na powierzchni, narażeni stale na strzały niemieckie. Pod ziemią praca była ciężka, ale bezpieczna. Koło nas po obu stronach ulicy siedzieli wartownicy z rewolwerami w rękach i od czasu do czasu popędzali nas w robocie. Nieprzyzwyczajonemu do pracy fizycznej było trudno pracować, zwłaszcza na głodno.

Podczas silniejszego ostrzału kładliśmy się na ziemię albo chowaliśmy do tunelu. Każdej chwili można się było spodziewać śmierci, ale ludzie przyjmowali to obojętnie. Więźniowie rozmawiali między sobą, twierdząc że tutaj są jeszcze najlepsze warunki pracy. Stosunek wartowników do więźniów jest ludzki, dają jeść itp. W innych robotach katują a po drodze do roboty na więźniów napadają tłumy i biją tak, że eskorta musi ich bronić. Bywają częste wypadki śmierci od niemieckich strażaków. Podczas naszej pracy przychodzili do nas inni żołnierze, młodzi chłopcy po 15-20 lat, wypytywali nas, kto jesteśmy i skąd. Dowiadując się, że jestem Ukraińcem — sztywnieli, ale jednak gdy w dalszej rozmowie wyjaśniało się, że jestem naddnieprzańcem — przychodziło odprężenie. Potem przynieśli nam papierosów a koło południa dali słodzoną kawę. O 2-iej zawołali nas na obiad. Ogólne zachowanie się ich w stosunku do nas było ludzkie, ale powściągliwe. W czasie obiadu kazali nam usiąść przy stole w jakimś parterowym mieszkaniu. Była tam kuchnia a prócz tego — w pierwszym pokoju jadalnia, a w drugim — składnica. Dali nam do jedzenia to samo, co jedli sami, a gdy kto chciał dolewki, dawali drugą porcję. Byłem wzruszony tą dziwną sytuacją: to, co jedni popsuli, aresztowali mnie, bili, — inni — ta bądź co bądź

ideowa młodzież — naprawiali. Dali nam jeszcze papierosów i poszliśmy znów kopać.

Pod wieczór, koło 6-ej skończyliśmy pracę.

Podczas pracy stwierdziłem, że cała ulica była spalona; w niektórych tylko, całych jeszcze budynkach z powybijanymi oknami, od czasu do czasu mignęła jakaś postać; prawdopodobnie lokator z pokojów od podwórza. Na podwieczorek dali nam kawę i po kromce chleba. Pozwolili nam się umyć pod kranem z wodą i pod strażą odprowadzili do więzienia. Po całodzienniej, ciężkiej i niebezpiecznej pracy wracałem do więzienia, jak do „rodzinnej chaty”. Tak samo było dnia następnego. Zaaresztowano mnie we wtorek 22 sierpnia, a więc we środę i czwartek pracowałem.

W piątek rano, w kancelarii podczas sprawdzania, nie posłano mnie na roboty, zawiadamiając, że wzywa mnie prokurator. Zaprowadzono mnie z powrotem do izby więziennej i kazano czekać. Długo czekałem tego wezwania. Przesiedziałem tak cały dzień.

W międzyczasie do naszej celi przyprowadzono nowych więźniów z innych więzień. Między nimi był też jeden Ukrainiec z zachodnio-ukraińskiej ziemi, metodysta. Był cichy i cały czas się modlił. Od niego dowiedziałem się o losach innego Ukraińca, Szewczenki. Ten Szewczenko z całą rodziną siedział wraz z metodystą w więzieniu. Tymczasem okazało się, że Niemcy ewakuowali go przymusowo z Włodzimierza Wołyńskiego; do Warszawy trafił przypadkowo. Wówczas Polacy wypuścili go z więzienia.

Nowoprzybyli opowiadali, że na Hożej i Wilczej więźniowie siedzą w zwykłych piwnicach. Nocami wpadają do cel polscy żandarmi i biją więźniów. Jedną Ukrainkę bili systematycznie, codziennie, aż ją wreszcie zakatowali. Wśród nowoprzybyłych było też dwóch *Volksdeutsch*ów, którzy służyli w *Sonderdienst*. Bito ich bardzo i ci przygotowywali się na śmierć. O wszystkim więźniowie opowiadali spokojnie, obojętnie i ze znużeniem — śmierć unosiła się nad wszystkimi. Niektórych więźniów zabierano, jak mówiono, na rozstrzelanie, ale widziano ich potem, była to więc tylko taka czcza gadanina. Opowiadano o jakichś więźniach, których zabijano podczas pracy. Jednego podobno obłano naftą i podpalamo. Trup nie chciał się spalić, skwierczał i śmierdział... Nastrojowe rozmówki!

Z czasem, kiedy wyszedłem z więzienia na wolność, dowiedziałem się, że na ulicy Poznańskiej, gdzie właśnie siedziałem, była najgorsza katownia, że najczęściej tam rozstrzeliwano więźniów. Gdy jednak zaczęło się zarysowywać niepowodzenie powstania, od razu zmienił się stosunek do więźniów na bardziej ludzki.

A więc miałem „szczęście”, że trafiłem do więzienia w bardziej „humanitarnym” okresie.

Pewnego razu przyprowadzono do nas znajomego mi Niemca, męża naszej bibliotecznej księgowej. Ona była Polką (protestantką), on — Niemcem. Był jej przyjacielem i po jakimś czasie, kiedy przeniósł się z Berlina do Warszawy — pobrali się. Powstanie zaskoczyło go w Warszawie. Mangoldt — takie było jego nazwisko — starszy człowiek, dużo przecierpiał, nawet buczków nie zdejmował, bo nie miał siły. Był wymęczony i zubożał na wszystko. Chorował na pęcherz i robił pod siebie; za to go w poprzednim więzieniu bito. W jego oczach czaiła się śmierć. Przeniesiono go potem do obozu koncentracyjnego, gdzie wkrótce zmarł. Każdy więzień opowiadał o sobie i swoich przeżyciach. Siedział też z nami prawdziwy Niemiec, dezerterski z armii niemieckiej, mechanik od maszyn. Długo czas ukrywał się w Warszawie przed władzami niemieckimi. Przed wojną pracował w Maroku. Teraz zaskoczyło go powstanie i nie wiadomo za co dostał się do polskiego więzienia.

W ogóle więzienie to było zlepkiem nonsensów i przeciwności — takie zresztą, jak całe ówczesne życie. Na przykład przyprowadzono jakiegoś Polaka, AKowca z popodbijanymi oczyma i pobitymi piętami. Wina jego polegała na tym, że będąc głodny coś ukradł i ktoś zrobił na niego donos. Był to 17-letni chłopak.

Siedział z nami pewien Niemiec, który przed wojną odgrywał jakąś niewyraźną rolę między Niemcami i Polakami, ratując pono życie wielu Polakom. Właśnie w związku z tym — jak twierdził — dostał się tutaj. Miał pieniądze i zachowywał się, jak u siebie w domu.

Siedział również pewien *Volksdeutsch*, właściciel niemieckiego przedsiębiorstwa. Za niemieckich czasów pomagał polskiej tajnej Organizacji i za to — mówił — „otrzymałem teraz nagrodę”. Siedzieli też Polacy za drobne kradzieże, bo — jak sami mówili — „nieumiejętnie grabili”. Żony niektórych więźniów siedziały w sąsiednim pokoju. Korzystając od czasu do czasu z otwartych drzwi, przychodziły do nas. Przytulały się do swoich mężów, płakały i narzekały. Wszystko to jednak odbywało się w nastroju jakiejś tępej rezygnacji, jakby pod nakazem jakiejś „siły wyższej”. Niektórzy więźniowie odnosili się do wszystkiego lekceważąco i czekali albo bolszewików albo Niemców, jako ewent. wyzwoliciele z tego bezładu i nieszczęścia.

Wszyscy ze współczuciem wysłuchiwali wzajemnych wyrzekań i wszyscy przechodzili nad tymi wyrzekaniami do porządku dziennego. Czasami ktoś dyskutował na tematy religijne z meto-

dystą. Niemcy współczuli Polakom, że tych bili przecież swoi. Kiedy, myjąc się zdjąłem koszulę i więźniowie zobaczyli sińce od bicia, zaraz zaczęli się „chwalić” swoimi. Ogólnie biorąc, więźniowie w naszej celi nie byli żadnymi typowymi bandytami czy kryminalistami; byli to właściwie nieszczęśliwi ludzie, niektórzy inteligentni, którzy dostali się tutaj tylko wskutek zbiegu okoliczności.

Na przykład jeden z nich był członkiem organizacji stróżów nocnych i za to, że pilnował w nocy sklepów przed złodziejami, dostał się do więzienia, bo była plotka, że to była organizacja niemiecka.

Grube i średnie niemieckie „ryby”, ustosunkowane, uciekły z Warszawy jeszcze przed powstaniem, a drobne zostały, albo bowiem nie zdążyły, albo nie umiały się wyrwać, albo wreszcie dlatego, że jako „tutejsi” nie mieli dokąd jechać. Ich właśnie wyłapano i oni odpowiadali symbolicznie za wszystko zło, wyrządzone przez najeźdźców; przy tym dostało się i Ukraińcom.

Na kolację (razem z tym i obiad) przyniesiono tym razem niesłodzoną kawę i po kawałeczku sera. W naszej twardzieli noco- wało już około 22 więźniów. Leżeliśmy pokotem na podłodze, jak śledzie w beczce. Nawet nóg nie można było wyciągnąć. Zaduch był taki, że stróż na prośbę naszego więziennego starosty zgodził się zostawić drzwi otwarte na całą noc. Wprawdzie z korytarza dochodził zapach z toalety, ale zawsze był jaki-taki przewiew.

Na drugi dzień (w sobotę) koło godziny 10-ej rano wezwano mnie na przesłuchanie do prokuratury. Przyszedł wartownik, bardzo cichy, spokojny człowiek i odprowadził mnie do sąsiedniego domu. Tutaj na korytarzu czekałem na zobaczenie się z prokuratorem jakieś pół godziny. Nareszcie wartownik zaprowadził mnie do tego samego oficera, który przyjmował mnie do więzienia. Ten kazał mi czekać a sam wyszedł do drugiego pokoju. Za chwilę wartownik wrócił i, przechodząc koło mnie, wyszeptał: „wasza sprawa jest na dobrej drodze, będziecie zapewne zwolnieni mam was zaprowadzić na przesłuchanie do sędziego Jabłrzykowskiego” (?). Energia wstąpiła w moje wygłodniałe i zobojętniałe ciało i pośpieszyłem za nim do pokoju, do którego miał przyjść sędzia. W kilka minut potem wszedł do pokoju starszy pan o dość przyjemnym wyglądzie. Przywitał się i kazał mi usiąść. Zwracał się do mnie przez „pan”. Spisał moje zeznania, w których był zawarty cały przebieg mego życia i dokładne wyjaśnienie nieistniejącego „wydania” Niemcom książek z Biblioteki. Wreszcie sędzia przyszedł do wniosku, że nie mam żadnych konfliktów z Polakami. Kazał mi podpisać zeznanie i powiedział: „Mam nadzieję, że wszy-

stko skończy się szczęśliwie” — dodając: „sprawiedliwości społecznej musi się stać zadość”.

Po przesłuchaniu wartownik odprowadził mnie na powrót do więzienia. Po drodze w kancelarii więziennej powiedział urzędnikom, że mnie — podobno — mają zwolnić z więzienia.

Ucieszony opowiedziałem wszystko towarzyszom niedoli. Ci cierpliwie wysłuchali wszystkiego i powiedzieli, że radość moja jest przedwczesna. Niektórych z nich już po kilka razy przesłuchiwano w ten sam sposób i mówiono im to samo, co i mnie, a mimo to wciąż siedzą bez końca. Jednakże za jakieś pół godziny wezwano mnie po raz drugi do więziennej kancelarii. „Ktoś do was przyszedł” — rzekł mi wartownik. Poszedłem i zastałem tam wartownika, który mnie prowadził do prokuratora oraz posłańca od mojej żony — woźnego z Biblioteki. Ten ostatni, pokonując rozliczne trudności i nie licząc się z niebezpieczeństwem, przyniósł mi bieliznę i trochę jedzenia. Nadto powiedział mi, że dotychczas do mnie nikogo nie dopuszczano, gdyż toczyło się śledztwo; że moja żona i współpracownicy Biblioteki poruszyli w mojej obronie wszystkie, jakie tylko mogli urzędy. Dotarli nawet do „Delegatury Rządu”, gdzie miałem znajomych z okresu mojej poprzedniej pracy w Magistracie (np. inż. Sk.). Udało im się tam dotrzeć i wobec tego moja sprawa jest naprawdę na dobrej drodze.

Teraz, mając nadzieję, żywność, koc i jasiczek, poczułem się w więzieniu zupełnie inaczej, jakby w drugorzędnym pensjonacie; Ostatecznie przecież i „na wolności” ciągle siedziałem w piwnicy.

Przyszła noc. Znowu przyprowadzono do nas nowych więźniów. Nie można było już ich pomieścić; przespaliśmy więc noc na siedząco.

Rano (w niedzielę) większość więźniów poszła do pracy. W izbie pozostało nas dwunastu razem ze mną i kilku rannymi, których nie zmuszano do pracy.

Wkrótce jednak przyszedł oficer i nie pytając o nic, zabrał wszystkich zdolnych do pracy wraz ze mną. Nie chciałem iść, mając żywność z domu, ale mnie o to nie pytano. Sprawdzili nas, ustawili dwójkami i dokądś poprowadzili. Po drodze moi towarzysze powiedzieli mi, że prowadzą nas w inne miejsce, bardziej niebezpieczne, ale że i tam stosunek do więźniów jest ludzki i dają „dobrze” jeść.

Istotnie w pracy nie było w stosunku do nas żadnych ekscesów. Zaprowadzono nas tylko dalej niż poprzednio „na front”, gdzie trzeba było kończyć tunel przy tejże ulicy Emilii Plater, niedaleko jakiegoś kościoła. Miejsce było niebezpieczne, bo znajdowało się na prostej linii niemieckiego obstrzału.

Pierwsze pół godziny nie robiliśmy nic, gdyż nie było narzędzi pracy. Potem część ludzi zapędzili z łopatami pod ziemię, a nas dwóch — metodystę i mnie — zostawili na górze, abyśmy odbierali kubły z piaskiem i wysypywali je na barykadę, która ciągnęła się w poprzek ulicy. Dookoła domy były spalone i nie było widać ludzkiego cienia. Po obu stronach ulicy mieliśmy wartowników z pistoletami w rękach. Ci od czasu do czasu popędzali nas w pracy. Byli trochę bardziej dokuczliwi, niż poprzedni. Choć nam nie wymyślali, to jednak nieustannie mieli pretensję, że się „lenimy” i że nie pracujemy, jak powinniśmy. Jeden z nich, grożąc nam, pobiegł nawet do szefa, aby się na nas poskarżyć. My, czyli metodysta i ja, byliśmy uzależnieni od pracujących pod ziemią. Wszystkie kubły, które stamtąd podawano, sprawnie i szybko opróżnialiśmy, wysypując je na barykadę.

W tym czasie przeniesiono koło nas na noszach młodą pannę-łączniczkę. Bardzo krwawiła. Niemcy ją trafili.

Potem dano nam trochę zimnej kawy i pracowaliśmy dalej.

Nagle, biorąc kubeł z piaskiem, aby go wysypać na barykadę, poczułem, że mnie coś mocno uderzyło w szyję. Kubeł wypadł mi z ręki, chwyciłem się obu rękami za gardło i osunąłem się na ziemię. Pomiędzy palcami, którymi ścisnąłem szyję, popłynęła strumieniem krew. Nie bolało mnie nic. Mocno trzymałem rękami szyję, z której lała się krew. Czyżby już na mnie przyszedł koniec? — przemknęło przez myśl tak samo, jak wtedy, kiedy topiłem się w Czechach.

Praca się zatrzymała. Ktoś krzyknął, abym podpełzł do bramy co też zrobiłem. W bramie byli już moi towarzysze: metodysta i wartownik. Krzyczeli, że trzeba zabandażować szyję: naokoło mnie była kałuża krwi. Leżałem we krwi, charczałem, ale nie mogłem przemówić ani słowa. Oczami i rękami pokazałem moim towarzyszom, że mam w kieszeni chustkę. W końcu zawinięto mi mocno szyję tą chustką. W międzyczasie wartownik przyniósł bandaż, którymi owinęli mi ranę. Zjawiły się też nosze i towarzysze pracy ponieśli mnie tak samo, jak niesiono niedawno pannę-łączniczkę, do najbliższego punktu sanitarnego. Nie była to łatwa sprawa, bo trzeba było z noszami przełazić różnymi dziurami w ścianach i w podziemiach. Zemlałem, wymiotowałem, ale miałem uczucie radosnego znużenia, że może nareszcie skończy się to sobacze życie. Pojawił się tylko żal, że nie będę już mógł zrobić tego, co zamierzałem, a przede wszystkim ukończyć zaczętego wydawnictwa Ukraińskiego Instytutu Czarnomorskiego. A jeżeli wyżyję, to prawdopodobnie nie będę mógł mówić, bo miałem przestrzeloną krtani i struny głosowe. Na sanitarnym punkcie zbadano mnie, zdjęto tymczasowy opatrunek. „Macie

szczęście” — rzekł do mnie lekarz — „z tego się jeszcze zdołacie wylizać”. Rana już nie krwawiła. Zalepili ją plastrami, zabandażowali i zabronili mi mówić.

Sanitariusze zanieśli mnie do polskiego wojskowego szpitala polowego przy ulicy Hożej nr 39. Znowu było bardzo trudno mnie nieść bowiem tak samo trzeba było nosze przenosić przez piwnice, tajne przejścia i dziury w murach. W szpitalu przyjęto mnie bez zastrzeżeń, chociaż nie miałem żadnych dokumentów. Panowała tu zaciszna atmosfera, pod kierownictwem dra G., bardzo dobrego chirurga. Ten polowy szpital L.2 mieścił się w głębokich suterynach olbrzymiego kilkupiętrowego domu. Miało się niejaką pewność, że niebezpieczeństwo jest mniejsze przed pociskami armatnimi i bombami z samolotów. Podwórko było maleńkie. W tych suterynach mieściła się dawniej fabryka farmaceutyczna. Było czysto; ściany malowane olejną farbą na biało; przez wąskie okienka przenikało słabe światło z zewnątrz.

Szpital mógł pomieścić 30 osób, a było nas około 14. Każdy miał wygodne łóżko, poduszki, koce — wszystko zebrane od ludności. Brakowało tylko naczyń stołowych i dostatecznego jedzenia, chociaż chorzy, którzy byli na diecie, dostawali co było trzeba: jajka, wino, manną kaszę, bulion, soki owocowe itp. Widocznie szpital miał jeszcze jakieś zapasy. Zastrzyki i niektóre lekarstwa otrzymywano z pobliskich aptek. Inhalator do wdychania jakiegoś lekarstwa pożyczyła mi z dobrego serca lokatorka tegoż domu. Ligniny też było jeszcze dosyć. Medyczny personel składał się z kilku lekarzy i około dziesięciu siostr. Między nimi były lekarki, zakonnice, siostry fachowe i ochotnicze. Niektóre miały białe fartuchy, inne nie miały. Szpital posiadał nawet mały gabinet chirurgiczny. Różnił się od normalnego szpitala tylko obsługą. Z wyjątkiem jednego sanitariusza, nałogowego pijaka, wszystkie siostry i wszyscy lekarze nadzwyczajnie dbali o chorych i opiekowali się nimi bez względu na to, kto kim był. Po przeżyciach ostatniego okresu w Bibliotece i po więzieniu miałem tutaj prawdziwy wypoczynek. O niczym nie myślałem, a wszyscy troszczyli się o mnie. Nie zwracałem nawet uwagi na strzelaninę. Pewnego razu palił się sąsiedni budynek; nic mnie to nie obeszło: niech się martwią inni. W nasz dom uderzył pocisk niemiecki, powypadały szyby z okien; też się tym nie przejąłem. Na drugi dzień mego pobytu w szpitalu (poniedziałek) przybiegł żandarm, który mnie aresztował. Lekarz, który go do mnie przyprowadził, oznajmił mu w mojej obecności, że nie potrzebuje się o mnie niepokoić, gdyż jestem wykończony, ciężko ranny i nigdzie stąd nie ucieknę. Ale zauważyłem, że i postawa żandarma uległa zmianie. Poinformowawszy lekarza, że będę zwolniony, spytał mnie, czy mam

jakieś życzenia. Odpowiedziałem, pisząc, bo mówić jeszcze nie mogłem, że niczego nie chcę tylko spokoju, aby się wyleczyć. Wyszedł. Tak więc dopiero od żandarma w szpitalu dowiedziano się, kim jestem i za co dostałem się do więzienia. Serdeczny i życzliwy stosunek do mnie mimo to nie uległ zmianie. Całe moje leczenie polegało na tym, że musiałem bez ruchu leżeć na wznak, nie mogłem mówić (właściwie nawet szeptać); odżywiano mnie zimnymi płynami i oddychałem przez inhalator. Z czasem pozwolono mi jeść różne kaszki — też chłodne; oprócz tego dostawałem zastrzyki z glukozy i stale mierzono mi temperaturę. Byłem niezwykle wyczerpany z powodu ogromnej utraty krwi i leżałem właściwie pół przytomny.

Rannych w szpitalu odwiedzali ich przyjaciele i przyjaciółki. Od nich dowiadaliśmy się o sytuacji na odcinkach „frontu”, ale całości z tych opowiadań nie mogliśmy sobie odtworzyć. Między innymi — prawie codziennie przychodził do nas ksiądz „narodowego wyznania” taki sympatyczny „duchowny-buntownik”. Pocieszał nas i namawiał, abyśmy się domagali od administracji szpitala Mszy Św., odprawianej przez niego. Zafundował nam podwieczorki, które przynosiły dwie śliczne panie. W krótkim jednak czasie zjawił się „legalny”, sztywny, wojskowy ksiądz katolicki, kapelan i nie pytając nikogo z nas, oznajmił, że w szpitalu będzie odprawiana Msza Święta. Usiłowałem posłać list do żony. Po trzydniowych staraniach poszczęściło mi się. W tym okresie nikt nie chciał iść z listem „na front”, a więc do okolic, które były pod ostrzałem. Leżąc w zaciszu szpitalnym, nie wyobrażałem sobie, jakie piekło rozpętało się w międzyczasie nad Biblioteką Publiczną i co się działo w jej budynku. Biblioteka znalazła się właściwie na linii „frontu”.

Prawie połowa chorych dostawała jedzenie z domu, od swoich rodzin. Szczególnie dobrze podjadali sobie dwaj synowie jakiegoś właściciela restauracji. Leżał tu też jakiś Moskal „Wańka”, który brał udział w walkach po stronie powstańców. Chłopak w wieku jakichś 20 lat. Był ranny, ale już wyzdrowiał. Wszyscy obchodzili się z nim, jak z rozbitym jajkiem, pouczali go o polskim sposobie życia i szczycili się takim „sojusznikiem”.

Nareszcie żona moja nawiązała ze mną listowny kontakt. Opisywała bombardowanie Biblioteki i wszystkie okropności, które oni tam przeżywali.

Odwiedziła mnie jakaś urodziwa pani — nie znałem jej — jako delegatka od organizacji, którą nazwała „Polsko-ukraińska umowa” (? — pytajnik autora). Taką organizację próbował podobno stworzyć jeszcze przed powstaniem kniaź Koczubiej. Pani ta była w tym czasie sekretarką któregoś prokuratora i twierdziła,

że jej grupa zaopiekowała się mną; pytała czy mi czego potrzeba; mówiła, że oni dali polecenie szpitalowi, aby mi dogadzano, że będą na pewno zwolniony i że ona osobiście tego dopilnuje i przyniesie mi nakaz zwolnienia. Rzeczywiście na kilka tygodni przed powstaniem kniaź Koczubiej, przy pośrednictwie pana Maksymiliana Pleczko, odwiedził mnie w Bibliotece. Rozmawialiśmy o stosunkach polsko-ukraińskich, ale uchylałem się od wzięcia udziału w jakiejś akcji, powołując się na to, że nie jestem politykiem, a jedynie działaczem kulturalnym. W jakiś czas potem z tym panem Pleczko rewizytowałem kniazia Koczubieja (zdaje się przy ulicy Wilczej nr 44) i znów rozmawialiśmy na ten sam temat. Szczególnie zainteresowała mnie mapa, którą jakoby kniaź Koczubiej widział w polskich kołach. Była ona podobno przywieziona przez lotnika z Anglii i zawierała projekt urządzenia Europy Wschodniej. Na mapie miała być pokazana wielka Polska z granicami na wschodzie z roku 1939 i wielka Ukraina, obejmująca Białoruś i Półn. Kaukaz. Ukraina i Polska miały być pod berłem jednego króla, Edwarda Angielskiego, męża pani Simpson (? pytajnik autora). Mapy tej jednak, niestety Koczubiej nie miał w owym momencie pod ręką tak że właściwie nie dowiedziałem się niczego! Poza tym Koczubiej interesował się działalnością Ukraińskiego Instytutu Czarnomorskiego, otrzymywał jego wydawnictwa i na tym gruncie utrzymywały się nasze stosunki.

Zadnych polonofilskich sympatii nie okazywałem, raczej odwrotnie. Polonofilstwo Koczubieja nie zgadzało się z moimi poglądami na temat polsko-ukraińskich stosunków. Dlatego też byłem zaskoczony sympatią i opieką wspomnianej grupy. Wydawało mi się to jakąś prowokacją (? pytajnik autora), że powoływano się na Koczubieja. Z czasem dowiedziałem się, że Polacy trzymali 18 dni w więzieniu jego żonę, Polkę, dopytując się, gdzie jest jej mąż. Koczubiej zaś o wiele wcześniej wyjechał za granicę Warszawy. Okazuje się więc, że on również nie cieszył się większą sympatią w kołach polskich, mimo swego polonofilstwa.

Drugiego września 1944 roku przyszła znów ta pani i przyniosła mi od prokuratora nakaz mego zwolnienia. Brzmiał on tak:

NAKAZ
zwolnienia zatrzymanego z aresztu

Nazwisko i imię: Bykowski Leon.

Wyżej wymieniony zwolniony z aresztu z prawem udania się na ulicę Koszykową nr domu 26 z ograniczonym poruszaniem się

w okresie działań wojskowych, z obowiązkiem zameldowania się u komendanta bloku, któremu oddaje się go pod opiekę.

Warszawa, dnia (bez daty) — przyp. autora) sierpnia 44 r.

Prokurator 27 Okręgu: Andrzej a nazwisko nieczytelne.

Na tym zwolnieniu pieczętka więzienna i napis: „zwolniony dnia 31.VIII.1944 r. o godz. 13,45. Dyżurny...” Między pieczętką i podpisem prokuratora była okrągła pieczęć z orłem i literami „W.P. (Wojsko Polskie)”.

Ten mały skrawek maszynopisu wyglądał nawet jak na warunki powstańcze bardziej niż skromnie. Również i redakcja zawiadła moje oczekiwanie. Nie była to, jak mi obiecywała delegatka tudzież sędzia „rehabilitacja” a warunkowe zwolnienie pod nadzorem. Powiedziałem to przedstawicielce „Polsko-Ukraińskiej Umowy”. Ta się rozplakała, prosiła o wybaczenie za niedokładność redakcji i obiecała, że postara się o prawdziwą rehabilitację. Nigdy jej nie dostałem!

Czas płynął, czułem się o wiele lepiej. Laryngolog stwierdził, że mam na szczęście tylko naruszone struny głosowe, a nie ich porażenie; że więc po pewnym czasie będę mógł mówić.

W owym czasie Niemcy wyparli powstańców z dzielnicy Stare Miasto i stamtąd zaczęli napływać uciekinierzy: cywilni, wojskowi, służba sanitarna i ranni. W szpitalu zabrakło miejsca. Wszystkich więc lepiej czujących się pacjentów wypisywano ze szpitala. Wypisano i mnie, choć stan mego zdrowia nie był jeszcze zadowalający. Wydano mi zaświadczenie, że przebywałem w szpitalu i siostra szpitalna wraz z moją znajomą panią J.E. odprowadziły mnie do Biblioteki. Treść zwolnienia ze szpitala była taka: „Polowy Szpital L.2,6.9.1944. Poświadczenie wypuszczenia ze szpitala: Pan Bykowski Lew przebywał na leczeniu w szpitalu z powodu rany postrzałowej krtani od dnia 27.VIII.1944 do dnia 6.IX.1944 roku. Wypisany ze szpitala nie potrzebuje dalszego szpitalnego leczenia. Wskazane jest ambulatoryjne leczenie. Doktor (podpis nieczytelny)”.

Trzeba zaznaczyć, że wszystkie podpisy na jakichkolwiek dowodach w czasie powstania w Warszawie nie miały żadnego znaczenia. Podpisy były tylko pseudonimami, zastępującymi prawdziwe nazwiska, albo też przekreślonymi nazwiskami, używanymi w czasie konspiracji. Specjalnie dotyczy to wojskowych i policji: Bór, Tadeusz, Wilczur, Chruściel, Andrzej i wiele wiele innych, używanych dla zatarcia śladów.

Spośród sióstr szpitalnych z przyjemnością wspominam pannę T., córkę znanego w Warszawie społeczno-kulturalnego działacza, który 1 sierpnia 1944 roku pojechał na przedmieście

Czerniaków. Tam go zastało powstanie, oddzieliło od rodziny. Żadnych wiadomości o nim nie było.

Drugą siostrą była fachowa siostra-zakonnica, która za własne pieniądze kupowała dla mnie lekarstwa. Kiedy zwracałem jej pieniądze, zdecydowanie odmawiała przyjęcia czegokolwiek, mówiąc że jej nie wypada.

Okres od 6 września do 1 października 1944 roku

Idąc ze szpitala „do domu”, spostrzegłem ogromne zmiany, jakie zaszły w okresie mego przebywania w więzieniu i w szpitalu (tzn. od 22 sierpnia do 6 września). Miasto wyglądało jak na pół zrujnowana, umocniona forteca. Przez ulice przechodziliśmy tylko tunelami pod jezdnią, co zabezpieczało przed obstrzałem. W każdej bramie nas legitymowano. Wszędzie stały wojskowe czujki-stráže. Okna domów były pozabijane. Koło studzien stały długie kolejki po wodę. Wszędzie niezadowolone, złorzeczenia bądź ostrożne narzekanie. W podziemnych schronach stały ogonki ludzi, czekając na wolniejsze przejście dziurami i piwnicami. Płytki na chodnikach nie było: użyto je do budowy wysokich barykad na ulicach.

Bramy domów zamieniono na bunkry, obstawione workami z ziemią, z okien domów sterczały strzelnice. Cała ludność, zdawało się, mieściła się w parterowych mieszkaniach i chowała w podziemiach. Z ulicy Hożej od domu nr 39 na Koszykową nr 26 szliśmy, krążąc i odpoczywając, prawie półtorej godziny (normalnie 10 minut). W Bibliotece zastałem dosłownie „Sodomę i Gomorę”. Po moim aresztowaniu komendantem budynku został wspomniany wyżej profesor J.K. Będąc lojalnym w stosunku do mnie zdecydował się spełniać tylko obowiązki komendanta gmachu. Zastępcą i faktycznym dyktatorem była intendentka p. J.P. Ta całkowicie współpracowała z powstańcami, wykorzystując masywny gmach Biblioteki, jak tylko było można.

Zresztą warunki całej sprawy były tak katastrofalne, że intendentka musiała tak postępować, jak wymagała tego sytuacja.

Za swoją działalność i współpracę otrzymała później od władz powstańczych, jako ówczesny członek POW jakieś odznaczenie, nie mówiąc już o wszystkich „dobrach” życia codziennego.

Ona też i popierająca ją klika byli bardzo niezadowoleni z mego powrotu.

Dowiedziałem się, że w dniu mego aresztowania niemiecka „krowa” dwukrotnie trafiła w Bibliotekę od frontu, demolując

wszystkie frontowe sale i pomieszczenia od góry do dołu. Strzaskane meble, powybijane okna, dziury w ścianach, pył i szkło w tej części budynku leżały do dziś dnia. Profesor J.K. z wielkim oddaniem i ogromnym wysiłkiem przeniósł książki z tej części — a nawet niektóre meble — do wewnętrznej części gmachu. Resztę robiło się powoli, bo właściwie nie było komu robić.

Starszego woźnego F.P. sparaliżowało — leżał w łóżku. Drugi woźny, Bronisław Kaliszewski został zabity niemiecką kulą w czasie zamykania bramy od ulicy. Pochowano go tutaj, na podwórzu Biblioteki. Profesor J.K. też kilka dni leżał w łóżku, gdyż zachorował na żołądek. Biblioteką rządziła Komisja, wybrana spośród tymczasowych mieszkańców domu. Wszystkie okna gmachu były powybijane, drzwi od podmuchów pootwierane a swoi i obcy mieszkańcy poprzenosili się do składów z książkami na parterze i w podziemiu. Rozlokowali się między książkami, palili tam świece, gotowali na primusach, palili papierosy itp. Całe „szczęście”, że w tych czasach nikt się nie interesował zbiorami książek, każdy bowiem myślał o ocaleniu własnego życia, o jedzeniu i żeby się znaleźć jak najdalej od strzelaniny.

Mówiono, że zgodnie z rozporządzeniem władz powstańczych, przygotowuje się jakieś przejście na „ustrój bolszewicki”.

Kompetencje „Komendanta OPL” były już ograniczone; musiał podlegać „Domowej Komisji” i należał do jej składu. Komisja była wybierana spośród mieszkających w domu. Dzieliła się na podkomisje: żywnościową, przeciwpożarową, wartowniczą, sanitarną itp. Komisja żywnościowa otrzymywała urzędowe przydziały i gotowała jedzenie dla wszystkich mieszkańców domu. W momencie kiedy wróciłem ze szpitala wydawano 50 obiadów. Starła się też o wodę, którą trzeba było nosić z daleka kubelkami. Wartownicza podkomisja wyznaczała stałe warty — po trzy godziny w ciągu doby. Sanitarna podkomisja dbała o porządek w ogóle, na podwórzu, o toalety, itp.

Działalność tych wszystkich podkomisji odbywała się w atmosferze wzajemnych niechęci, nieporozumień, sabotażu i wielkich trudności. Specjalnie odnosiło się to do osób tymczasowo przebywających na terenie domu. Tylko w niewielkiej gromadce bardziej uświadomionych ludzi i wśród kilku urzędniczek Biblioteki cała ta „Maszyna” jeszcze jako-tako funkcjonowała. Nawet dyktatorka p. J.P. już wypuściła wszystkie wodze ze swoich rąk i w tym całym bałaganie chodziła jak na pół obłąkana.

Doszły do tego jeszcze stałe rekwizycje wojskowe bardziej bezpiecznych pomieszczeń w gmachu Biblioteki. Najpewniejszymi pod względem bezpieczeństwa pomieszczeniami Biblioteki były składy węgla i pracownie koło kotłowni, nie mówiąc już o sa-

mej kotłowni. To pomieszczenie zajęła jakaś kobieca organizacja, która wyrabiała materiały wybuchowe. Przyległe pomieszczenia w podziemiu zajęły składy intendenty wojskowej. Inne pomieszczenia w suterynie przy kotłowni zajęła jakaś wojskowa formacja, która wyrabiała bomby. Na parterze, dawną kancelarię Biblioteki i sąsiednie pokoje zarekwirował wojskowy wydział radio-techniczny.

15 września 1944 roku część składnicy książek o żelazo-betonowej konstrukcji — w podziemiu — zajął na swoją kancelarię główny kwatermistrz. Na parterze w przyległych pokojach umieszczona była jego straż przyboczna. Na pierwszym piętrze w dawnym pokoju katalogowym, umieściło się Wojskowe Biuro Historyczne. Jednym słowem, jeśli weźmiemy pod uwagę, że frontowa część budynku była rozbita — staje się jasne, że stali mieszkańcy, a tym bardziej tymczasowi, nie mieli się gdzie przytułić. Nie pozostało więc nic innego jak jakoś umieścić się między książkami w tzw. składnicy książek, tam, dokąd za normalnych czasów wejście dla obcych było wzbronione.

W domu mieszkało obecnie ponad 250 osób, a codziennie przychodziło po kilka tysięcy klientów do mieszczących się tutaj biur.

Wszystkie te biura, urzędy, instytucje i mieszkańcy, zachowywali się na ogół przyzwoicie, ale jednak rozciągali i przenosili rzeczy, należące do domu, psuli różne urządzenia (np. toalety), mieli ciągle masę spraw i pretensji do administracji domu. Do tego dochodziły wymagania władz: wysyłać dane statystyczne, uczęszczać na zebrania, grzebać zabitych i zmarłych itp. W tym krótkim czasie na wewnętrznym podwórzu pogrzebano we wspólnym i osobnych mogiłach około 30 osób.

Całe to beznadziejne, pełne kłopotów i pogmatwane życie płynęło wśród nieustannej strzelaniny, braku jedzenia, nieraz bez światła, bez wody, a czasem deszcz lał się na głowę.

Coraz to nowe tłumy wynędzniałych mieszkańców miasta przesuwwały się przez dom, szukając sobie przytuliska w nie całym jeszcze rozbitych domach.

Zdrowie moje wymagało jeszcze długiego spokojnego leżenia w łóżku, ale od razu zaczęły się pytania w różnych sprawach, wymagania itd. Jedni radzili mi się zająć kierownictwem, inni grozili, a jeszcze inni ostrzegali przed powstańcami i fanatykami.

A ja leżałem, słuchałem i tylko zdawałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie jąć się czegokolwiek. Byłem wyczerpany fizycznie i odczuwałem kompletny brak woli.

Patrząc na to wszystko, co się wokół działo, zdawałem sobie

sprawę, że zbliża się upadek, koniec powstania; wszędzie panował i wciąż wzrastał chaos i bezład. Dochodziły do nas pogłoski, że niektóre oddziały Akowców na czele z oficerami wycofywały się z frontu i odchodziły na tyły. Mając broń, siłą zdobywały sobie bezpieczne podziemia i tam ukrywały się przed wrogiem. Coraz bardziej odczuwaliśmy brak żywności. Wojskowi dostawali już tylko zupę i niemielone ziarno. Całe dni kręcono młynki, mieląc ziarno, jako jedyną strawę, chroniącą przed ostatecznym osłabieniem z głodu.

O cywilnej ludności nie ma już co mówić. Sąsiednie ulice Krucza i Wspólna były tak zburzone, że „Delegat Rządu” musiał szukać dla siebie bardziej bezpiecznego schronienia. W tym celu przyszedł do Biblioteki jego przedstawiciel, wyżej wspomniany inż. Sk. Ale z jakiegoś powodu „Delegat Rządu” tu nie zamieszkał. Coraz częściej i częściej przychodzili do Biblioteki różne wojskowe czynniki, pragnąc w tych solidnych jeszcze murach znaleźć przytulisko dla siebie. Ale wolne pomieszczenia były już tylko na wyższych piętrach, na które nie było chętnych.

Po pewnym czasie praktyka wykazała, że nieproduktywne i niecelowe jest zatrudnianie ogółu cywilnej ludności przy ciężkich robotach ziemnych. Dlatego wojskowe władze powstańcze zaczęły tworzyć stałe oddziały saperskie, złożone z silnych mężczyzn, żeby w ten sposób uniezależnić się od wypadkowych, podwórkowych przydziałów siły roboczej. Saperów umieszczono w koszarach.

W tym czasie dowiedzieliśmy się z powstańczej prasy, że Moskale w zajętych województwach Polski odnoszą się do Polaków, a specjalnie do Akowców całkiem nie po przyjacielsku. A zupełnie już zapała dech w piersiach powstańczych polityków wiadomość o zawarciu umowy między trzema republikami: Polską, Ukrainą i Białoruską, gdzie uzgodniono wymianę ludności. Znaczyło to zupełnie usunięcie ludności polskiej z terenów Białorusi, Zachodniej Ukrainy i Wołynia.

Zacząłem już wstawać i powoli chodzić po Bibliotece. Część tymczasowych mieszkańców opuściła Bibliotekę. Przeniosła się gdzie indziej. Między innymi profesor J.K. z żoną, p. S. St., p. M.D. i inni, którzy wrócili do swoich mieszkań. Na ich miejsce przyszli inni. Zaczęła się epidemia chorób żołądkowych, a ubikacje były popsute. Niemiecki pocisk z Ogródu Saskiego trafił w nasz dom, przebił ścianę, ale większych szkód nie zrobił. W ciągu dnia zabijaliśmy okna i niektóre drzwi, gdyż te w ciągu nocy, czy to od podmuchów, czy też ktoś to robił, były stale otwierane.

Ceny na jedzenie szły w górę. Za kilo masła płacono już 10-15.000 polskich złotych. Wobec tego, że na pieniądze nikt nie

był łasy, bardzo się wzmógł handel wymienny: Proponowano sardynki, wódkę, papierosy, ubrania, płótno za mąkę, tłuszcz, fasolę, kaszę itp. Najtańszy był cukier. Władze powstańcze kilka razy przydzielały cukier: po 20 dkg na osobę dla stałych mieszkańców i po 40-60 dkg dla tymczasowych. Pieczono chleb, umawiając się, że za jeden kilogram mąki — otrzymają jeden kilogram chleba; „Przypiek” dostawał piekarz nierzadko jeszcze z dodatkiem jednego kilograma węgla od klienta.

W kilka dni potem, jak zacząłem chodzić po Bibliotece, życzliwi mi ludzie poradzili, abym wrócił do łóżka, udawał chorego, nie pokazywał się zbyt często, bo — mówiono — grupa, która się uwzięła na moje życie, zaczyna znów się mną interesować. Dowiedzieli się, że mnie zwolniono z więzienia i dopytują się, gdzie się obecnie znajduję. Aby zasięgnąć o mnie informacji przysłała do Biblioteki we własnej osobie p. Regina Czajkowska, potem przychodził syn pani D. i inni członkowie grupy „polowania” na mnie.

Wróciłem więc do łóżka, ale po kilku dniach znowu wstałem, bo nie mogłem już leżeć, i nawet zacząłem wychodzić na miasto. Mój szef, inż. P., który w dalszym ciągu odnosił się do mnie życzliwie, namawiał mnie, abym się zabrał do kierowania Biblioteką i nawet przyniósł mi zaświadczenie „Delegatury Rządu”, że jestem znowu wyznaczony „komendantem domu”. Była to już istotnie pełna „rehabilitacja” i dowód zaufania do mnie. Byłem już jednak ostatecznie wyczerpany i zniechęcony do wszystkiego. Bez najmniejszego zapału wykonywałem tylko konieczne czynności i chowałem się do kąta — na swoje łóżko. Do jedynych moich zainteresowań należało ratowanie książek i dzieł, znajdujących się w sąsiednich domach.

Pracę tę zaczął bardzo energicznie profesor Z. Dobrał sobie pomocników spośród ofiarnej młodzieży studenckiej nie należącej do powstańców, i ratowali wszystko i wszędzie, co się dało. Uratowane w ten sposób zbiory składaliśmy na przechowanie częściowo w Bibliotece, w tzw. „skarbcu”.

Od wojskowych dowiedzieliśmy się, że władze powstania nakazały oddziałom prowincjonalnym (tzw. chłopcy z lasu) przyjść na pomoc Warszawie.

Były wiadomości, że większość tych oddziałów (chłopców z lasu) znajduje się w Puszczy Kampinowskiej. Ale zdaje się, że to były tylko pogłoski.

W owym czasie na wezwania niemieckich władz wojskowych, wychodziła z miasta coraz to jakaś część mieszkańców. Niemcy zrzucaли z samolotów odpowiednie odezwy do ludności Warszawy i w pewnych godzinach strzelanina cicha.

Mniej więcej na tydzień przed końcem września coraz częściej dawały się słyszeć pogłoski, jakoby rozpoczęły się wstępne układy z Niemcami o kapitulacji. Strzelanina jednak nie ustała. Samoloty angielskie już się nie pokazywały, natomiast sowieckie latały już nie tylko w nocy, ale i w ciągu dnia, bombardując niemieckie pozycje i walcząc w powietrzu z samolotami niemieckimi. Wojskowi powstańcy byli coraz bardziej zgnębieni i coraz większe było pijaństwo. Ceny za wódkę wzrosły do 1.300 złotych za litr, a za litr spirytusu płacono do 8-10 tysięcy złotych. Nareszcie wojskowym zaczęto wypłacać zaległe należności i „odprawy” amerykańskimi dolarami.

Główny kwatermistrz, którego biuro mieściło się w naszym domu, wypłacił w ciągu tygodnia — jak mówiono — około 250 milionów dolarów i około 70 milionów złotych. Resztę tak zwanego „skarbu”, około 80 milionów dolarów, komisyjnie spalono pod naszą bramą, czego byłem świadkiem.

Wiadomo już było, że powstańcy i Niemcy „dogadali się” i że ma być podpisana kapitulacja. Zaczęto niszczyć, wynosić i chować różne akta wojskowe, likwidować składy żywnościowe. Itd. Ludzie odetchnęli. Pojawili się na ulicach. Nareszcie dowiedzieliśmy się, że kapitulacja istotnie została podpisana: cała ludność cywilna miała opuścić miasto w ciągu kilku dni, a wojskowi pójść do „zaszczytnej niewoli”.

PO POWSTANIU (OD 1 DO 17 PAŹDZIERNIKA)

Pierwszy tydzień po kapitulacji minął w Warszawie pod znakiem prac likwidacyjnych. Różne grupy ludności różnie reagowały na zmianę sytuacji.

Cywilna ludność tłumnie wyszła z różnych schronów na ulicę. Błądzili, oglądali zniszczenie miasta i jakby się z nim żegnali. Jednocześnie zaczęli się przygotowywać do wyjścia z miasta: piekli chleb, przygotowywali pozostałe jedzenie na drogę w nieznaną; wybierali co najlepsze z odzieży, wkładali na siebie i martwili się nad decyzją, co właściwie mają ze sobą zabrać.

Niektórzy chcieli uciec z Warszawy jak najprędzej; inni nie zdający sobie sprawy z ogromu katastrofy, ociągali się z ostateczną decyzją, ludząc się, że może jeszcze się coś odmieni — i zostaną tutaj.

Ale rozkaz kapitulacyjny był nieubłagany i niezmienny: wyjść muszą wszyscy!

Wobec tego, że ilość mieszkańców Śródmieścia była ogrom-

na — coś około pół miliona — potok ludzki płynął przez miasto przez kilka dni.

Szli bezładnie, pojedynczo i rodzinami, zostawiając za sobą cały dorobek, mieszkania itp. Brali ze sobą tylko najkonieczniejsze, tyle ile człowiek może unieść. Szli bez protestu, milcząc, z jakąś tępą rezygnacją. Przechodzili przez punkty, wyznaczone przez niemieckie władze wojskowe. Przez roгатki nie można było przejść od razu wielu ludzi, robiły się więc zatory, kolejki.

Jedna z takich rogatek była niedaleko naszego domu, przy końcu ulicy Śniadeckich (koło Politechniki) i obok Szpitala im. J. Piłsudskiego. Druga — obok Dworca Głównego. Bywało i tak, że nie doczekawszy się swojej kolejki, wychodźcy wracali do domu, aby następnego dnia próbować znowu wydostać się z miasta. Masa ludzi przeliczyła się z własnymi siłami, toteż wyrzucali ze swoich tobołów mniej — ich zdaniem — wartościowe rzeczy, a zdarzało się, że zostawiano na ulicy całe zapakowane walizy. Zdarzały się też wypadki bandyckich napadów na wychodźców i ograbianie ich z ostatniego dobytku. Po sprawdzeniu dokumentów na zaimprovizowanych rogatkach — milczące tłumy życiowych rozbitków posuwały się dalej. Ludzie szli pieszo, często w czasie deszczu, otoczeni niemieckimi konwojentami, do Pruszkowa, około 20 km. od Warszawy. Kilka dni później, kiedy uruchomiono kolej, prowadzono ludzi do stacji Warszawa-Zachodnia i stąd wieziono ich pociągiem do Pruszkowa. Tam umieszczono ich w różnych obozach, w okropnych warunkach. Tam też odbywała się segregacja: młodszych, bardziej nadających się do pracy, przeważnie wywożono do Niemiec, rozdzielając rodziny, a resztę wysyłano na osiedlenie wzdłuż całego ówczesnego Generał-Gubernatorstwa (czyli Polski), poczynając od Łowicza na północy, aż do Krakowa na południu.

Inną kapitulacyjną grupą byli wojskowi. Mieli prawo iść do niewoli w zorganizowanych grupach z bronią w ręku. Dotyczyło to tylko Armii Krajowej i oddziałów pomocniczych, związanych z Armią Krajową i podlegających Polskiemu Rządowi w Londynie. Niemcy potraktowali ich na prawach regularnego wojska, choć w istocie byli oni przeważnie cywilną ludnością powstańczą.

Natomiast oddziały powstańcze, związane z bolszewikami, czyli „Polska Armia Ludowa” (PAL), „Armia Ludowa” (AL) i Korpus Bezpieczeństwa” (K.B.) — były poza prawem. Gdzie ich tylko Niemcy pochwycili — rozstrzeliwali. AKowcy nie protestowali, bo zbolszewiczali powstańcy jeszcze kilka dni po kapitulacji walczyli z Niemcami; również wrogo odnosili się ci, związani z bolszewikami, do AKowców. W konsekwencji tego duża część komunistów została wyniszczona. Niewielu przebrnęło za Wisłę

do bolszewików. Były wypadki, że powstańcy-komuniści zabijali AKowców, zabierali im dokumenty i oddawali się do niewoli niemieckiej pod cudzimi nazwiskami razem z AKowcami. Inni dołączali do cywilnej ludności i opuszczali miasto na ogólnych pracach.

Kobięcym organizacjom A.K. pozwolono przyłączyć się do cywilnej ludności. Większość jednak z tego nie skorzystała i poszła do niewoli razem z wojskowymi.

Prawie cała Armia Krajowa (chłopcy i dziewczęta) w świątecznych ubraniach, z tłumokami na plecach i bronią w rękę, ustawiła się oddziałami ze swymi dowódcami na czele i ostatni raz przedefilowała przed zastępcą Bora-Komorowskiego, Monterem. I poszli do niewoli.

Trzecią grupę ludności stanowiła ogromna ilość chorych, bezsilnych i starych ludzi — mężczyzn i kobiet. Na początku, rodziny opuszczające miasto wynosiły ich na noszach, na rękach lub wioząc na wózkach. Pierwsze odezwy niemieckie odnosiły się przede wszystkim do tych nieszczęśliwych, unieruchomionych ludzi, obiecując zaopiekowanie się nimi. Powstańcy, ze swej strony, zachęcali do skorzystania z tych obietnic, ale ludność nikomu nie wierzyła i nie chciała się rozstawać z rodzinami i bliskimi. Dlatego też kilkaset wiejskich furmanek, spędzonych przez Niemców dla przewiezienia chorych i słabych, stało jakby niepotrzebnie pod miastem przez cały pierwszy dzień, wyznaczony na wychodzenie z miasta ludności cywilnej. Trzeba jednak powiedzieć, że potem też w określonych godzinach, Niemcy przewozili chorych na furmankach od rogatek miasta do miejsca przeznaczenia. Ze jednak ilość przewożonych chorych i starych była ogromna, musieli oni leżeć w polu nieraz po kilka dni, często moknąc na deszczu — aby doczekać się swojej kolejki.

W czasie — i po — kapitulacyjnym exodus'ie ludności Warszawy, powstawały wielkie zatory na drogach, tedy niektórych chorych powpisywano do różnych szpitali, które miały wyjechać w drugiej kolejności. Skorzystało z tego wielu zdrowych cywilów, którzy pod pozorem pielęgnowania chorych lub jako personel lekarski, zapisywali się do tych szpitali i razem z nimi zostali ewakuowani z miasta już na prawach Czerwonego Krzyża.

Szpitala, chorzy wojskowi i cywilni i cały personel wywożono stopniowo niemieckimi ciężarówkami do miasteczek: Ursus, Piastów, Pruszków i innych podmiejskich miejscowości. Mówiono, że niektórych chorych wysyłano stamtąd dalej — koleją.

Naprzeciw tej wypływającej z miasta lawinie wygnańców, wpływała do miasta inna, składająca się z niemieckiego wojska i robotników. Ta, uszeregowana wlewała się do miasta, zajmując

i opanowując Warszawę po lewej stronie Wisły. Po prawej stronie (Przedmieścia: Praga, Saska kępa Grochów i dalej) wszystko zajęte było przez bolszewików.

W Warszawie znalazło się przede wszystkim regularne wojsko i żandarmeria. Powoli, ale uparcie likwidowano ostatnie placówki powstańczego oporu, na przykład wyżej wspomnianych PAL-owców itp.

Wojsko kolejno sprawdzało ulicę za ulicą, zaglądając do każdego podwórka i każdego mieszkania; wypędzano stamtąd morderców, dając na spakowanie rzeczy pół godziny czasu. Za wódkę jednak można było ten rozkaz rozciągnąć do całego dnia.

Jednocześnie pod kierunkiem innych niemieckich wojskowych, robotnicy rozbierali barykady na ulicach, robiąc przejazdy dla samochodów. Wszystkie te roboty były wykonywane w pierwszym tygodniu po wejściu niemieckich wojsk do Warszawy.

Z wojskiem i policją wśliznęło się do miasta wielu niemieckich pracowników, *Volksdeutsch*ów, Polaków, którzy współpracowali z Niemcami, niemieckich cywilów i różnych spryciarzy. Rzucili się oni do swoich dawnych urzędów i mieszkań, które musieli opuścić, uciekając z Warszawy jeszcze w lipcu tego roku, a więc przed powstaniem.

Pierwszy tydzień po kapitulacji był dla nas, pracowników Biblioteki bardzo denerwujący. W kapitulacyjnych umowach, ustalanych z szefem niemieckich SS-manów, obergruppenführerem, generałem von Bach'em dnia 30 września 1944 roku, było powiedziane o ewakuacji z Warszawy dorobku kulturalnego. Na podstawie tej umowy miała być utworzona polsko-niemiecka komisja mieszana dla rozwiązania tego zagadnienia. Ze strony niemieckiej miał w tej komisji wziąć udział dr Schellenberg, który za okupacji był niemieckim komisarzem sztuki w Warszawie. Nie było go jednak jeszcze w mieście. Polską stronę reprezentował wiceprezydent Warszawy, p. Podwiński, który urzędował równocześnie w Warszawie i w Pruszkowie. Polska część komisji, która się utworzyła nie zwlekając, osiadła oficjalnie w Bibliotece Publicznej i rozpoczęła prace przygotowawcze. Niemieckiej komendanturze wojskowej złożono wykaz wszystkich ośrodków, których cały dorobek winienby być wywieziony; dołączono również wykaz fachowców i w ogóle pracowników naukowych, których czasowo trzeba by było zatrzymać w mieście dla wykonania prac, związanych z ewakuacją. Prócz tego uważano, że trzeba będzie stworzyć odpowiednią brygadę robotników fizycznych. Obliczono, że aby w przybliżeniu wywieźć wszystko, co przewidywała umowa, potrzeba będzie około 250 wagonów kolejowych.

Ale w pokapitulacyjnym bałaganie praca komisji nie mogła

się w należyty sposób rozwinąć. Kierownik polskiej części komisji, wice-prezydent Podwiński, wyjechawszy dla załatwienia spraw komisji do niemieckiej komendantury, nie mógł już wrócić do Warszawy. Wszystkich zaś „zarezerwowanych” dla komisji pracowników wraz z „duszą” całego zagadnienia, prof. Z. niemieckie wojsko wyrzuciło w tym czasie z Warszawy razem z ludnością cywilną, która zwłóczyła z wyjściem z miasta. Były pogłoski że niektórym z nich udało się powrócić z Pruszkowa do Warszawy (? pytajnik od autora). O środkach transportowych nie było mowy.

W tym okresie w Bibliotece Publicznej nastąpiła pewna „stabilizacja”. Cały napływowy element ludzki, szukający schronienia w jej murach, opuścił Bibliotekę. Pozostawała tylko garstka pracowników Biblioteki z rodzinami. Woźni Biblioteki uciekli z miasta w różne strony wraz z innymi wychodźcami.

W związku z zaprojektowaną ewakuacją zaprosiłem do pomocy jednego z bibliotekarzy Biblioteki Narodowej, p. S.K., razem z jego pracowniczką, p. E.S. Przyłączyli się do nich: Kierownik Biblioteki Politechniki Warszawskiej, p. Cz. G. wraz z jednym ze swoich urzędników. Ci nie opuścili w tym czasie Warszawy i zamieszkali z nami w Bibliotece. Po pewnym czasie przyłączyła się do nas jeszcze jedna z bibliotekarek pani G.M. Razem tedy z moją żoną zebrało się nas dziewięć osób.

Warszawska Biblioteka Publiczna z tymi dziewięcioma „desperatami”, którzy w niej pozostali, wyglądała jak malutkie zagubione czółenko na morzu wśród rozszalałych fal. Po kilka razy dziennie wpadali do nas niemieccy żołnierze z krzykiem: „Sofort, heraus!”. Trochę pomagała wódka — ale się skończyła.

Termin opuszczenia Warszawy przez jej ludność, wyznaczony przez niemiecką komendanturę, upływał. Po tym terminie — wszystkich cywilów, szwendających się po mieście — miano rozstrzeliwać. Oprócz tego sowiecka artyleria zza Wisły zaczęła ostrzeliwać miasto, w rezultacie czego obok nas zawałiło się kilka budynków i powstał pożar.

Siedzieliśmy w gmachu Biblioteki na spakowanych tłumokach, gotowi w każdej chwili do opuszczenia miasta. Na ulicach ponuro: nie widać żywej duszy. Wszyscy, którzy mieli już wyjść — wyszli. Czasami widziało się personel szpitali, pozostały, jak oazy. Personel ten nosił na rękawach biało-czerwone opaski i zbierał po mieście resztę chorych. Czasami widziało się urzędników Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) z białymi opaskami na rękawach. Czasem przejechał wojskowy samochód; przechodziły patrole niemieckiej żandarmerii, zaglądając do nas raz po raz. „Wann?” — w końcu z pasją zapytał jeden z nich.

Wtedy koleżde, p. S.K. przyszła do głowy szczęśliwa myśl: zwrócić się do wspomnianej RGO o pomoc i opiekę nad Biblioteką, a tym samym i nad jej personelem. Wszak ta instytucja istniała i działała na podstawie umowy między zwycięzkimi Niemcami i zwycięzonymi powstańcami.

W tym celu wysłaliśmy do RGO „delegację”, złożoną z jednej osoby, która, narażając się na niebezpieczeństwo, wyszła z Biblioteki i dotarła „nieprzejęciowymi” ulicami do ośrodka RGO, rozlokowanego nie daleko od nas przy ulicy Mokotowskiej nr 48. Posłaniec nasz prędko wrócił z wieścią, że RGO prosi o nawiązanie z nią kontaktu i że zabezpieczy kulturalne mienie, oddane jej pod opiekę, jako jedynej przedstawicielce interesów polskich w Warszawie. Następnego dnia zapisali nas, jako członków personelu tej organizacji. Otrzymaliśmy odpowiednie zaświadczenia i białe opaski na rękawy, trochę jedzenia i rozkaz pozostania w Bibliotece tak długo, jak tylko będzie możliwe. Mamy pilnować Biblioteki i czekać na ewent. ewakuację mienia Biblioteki, oczywiście razem z nami.

Teraz przestaliśmy się obawiać nagłego wysiedlenia. Mieliśmy nawet — minimalną wprawdzie — możliwość poruszania się po mieście. Stale więc odwiedzaliśmy RGO. Żywności mieliśmy dosyć, jeszcze z dawnych zapasów intendenckich szpizarni, które mieściły się w domu Biblioteki.

Tak się rozpoczęła drugi tydzień naszego pobytu w bezludnym na pół zrujnowanym mieście. W ciągu tego czasu nie siedzieliśmy beczynnie, działaliśmy wewnątrz i na zewnątrz.

Do naszych wewnętrznych zajęć należało: karmienie ludzi, sprzątanie mieszkań i podwórza Biblioteki, odbarykadowanie bramy, zabarykadowanie przed złodziejami dziur-przejęć, wybitych podczas powstania w ścianach sąsiednich domów i stałe czuwanie, bowiem ciągle ktoś przychodził: to z Czerwonego Krzyża, to z RGO, to z niemieckiej żandarmerii. Wojska już nie było. Odeszło gdzieś dalej.

Do naszych obowiązków zewnętrznych należało: wizyty w RGO, gdzie otrzymywaliśmy wszelkie wiadomości i żywność — oraz wychodzenie na miasto dla ratowania mienia kulturalnego. To „mienie” nosiliśmy do Biblioteki częściowo na własnych rękach. W większości wypadków ratowanie tego mienia wyglądało beznadziejnie. Okazało się, że przepustki nasze były ważne tylko w granicach Śródmieścia, co było zaznaczone w umowie kapitulacyjnej. I tylko na terenie Śródmieścia pracowało RGO. Ta część miasta podlegała niemieckiej administracji, jako też warszawskiemu Statdhauptman'owi, a wszystkie przedmieścia były pod zarządem oddzielnych wojskowych jednostek. Żeby więc tam się dostać

trzeba było za każdym razem wystarać się o innego rodzaju przepustkę, albo ryzykować i chodzić bez niej. To ogromnie ograniczało naszą działalność. Poza tym ze względu na nieobecność ludzi w mieście, mogliśmy się kierować pod znane nam dawniej adresy, albo gdy przypadkowo ktoś się do nas zgłosił.

Tak na przykład zgłosił się do nas przed swoim wyjazdem z Warszawy lektor z Uniwersytetu Warszawskiego, p. S.K., syn zasłużonego — dawniej kijowskiego profesora, i błagał nas, aby ratować jego bibliotekę. Przyszła też siostra Czerwonego Krzyża, pani W., żona znanego polskiego pisarza, prosząc, aby udać się do jej mieszkania na przedmieściu Żolibórz i zabrać stamtąd resztki rękopisów i obrazów jej męża. Zgłosiła się też do nas córka zasłużonego warszawskiego fotografa, aby nas poinformować, że w jej domu na Bednarskiej ulicy zostało archiwum unikatów — skład klisz fotograficznych, chyba od lat 30-40; na przykład zdjęcia Starego Miasta itp.; udzieliła nam również wielu informacji o prywatnych zbiorach, które w tych warunkach niszczały. Niestety z uwagi na wspomniane już przedtem trudności, niebezpieczeństwo oraz z braku transportu, tylko częściowo mogliśmy uczynić zadość takim prośbom.

Troszeczkę „unormowana” nasza prawna sytuacja i możliwość choć ograniczona poruszania się po mieście, pozwoliła nam skontaktować się z pokrewnymi instytucjami kulturalnymi w Warszawie. Zawdzięczając staraniom p. K.S. dowiedzieliśmy się, że Muzeum Narodowe przy ul. 3-go Maja (koło mostu Poniatowskiego) znajdowało się w znacznie gorszej sytuacji niż my. Podczas powstania Muzeum znalazło się w zasięgu Niemców; sterroryzowany personel był pod aresztem domowym. W budynku, zbombardowanym poprzednio przez sowieckie naloty, Niemcy urządzili więzienie i obóz koncentracyjny, a następnie zamienili Muzeum na koszary dla swoich oddziałów, wskutek czego zbiory Muzeum bardzo ucierpiały: rozkradano je i niszczone. Po kapitulacji zgłosił się do dyrektora muzeum dra L. jakiś niemiecki oficer i jakoby z rozkazu samego Führera wywiózł (niby dla zabezpieczenia) całe auto ciężarowe książek, drzeworytów i innych cennych eksponatów muzealnych — nie wiadomo dokąd.

Dalsze próby dostania się do innych kulturalnych instytucji Warszawy nie udały się nam. Ogólnie biorąc wszystkie nasze usiłowania w tym kierunku napotykały na olbrzymie przeszkody i połączone były z wielkim dla nas osobistym niebezpieczeństwem. Słyszeliśmy tylko, że kulturalne ośrodki Warszawy bardzo ucierpiały. Na przykład, sądząc ze słów archiwisty, dra A. Bachulskiego, warszawskie Archiwum Państwowe (ul. Długa 52), Pań-

stwowe (ul. Jezuicka nr 1 i ul. Długa — koło kościoła garnizonowego) oraz inne były zniszczone w 60%.

Zgodnie z poprzednimi informacjami profesora B.K. — w Państwowym Archiwum, tym koło kościoła garnizonowego, przechowywano wielką ilość dokumentów, dotyczących Gospodarów Mołdawskich oraz inne materiały archiwalne, związane bezpośrednio z historią Ukrainy. Czasami komuś z nas udawało się obejrzeć lub nawet dostać się na jakieś przedmieście, jak Żolibórz, Bielany, Mokotów. To, cośmy tam zobaczyli — przeraziło nas. Był to okropny widok spalonego, zbombardowanego i zrujnowanego miasta. Nigdzie ani cienia ludzkiego. Głucha cisza wśród ruin. Nawet psa nie widać; nie słychać głosu ptaka. Tylko gdzieś pokazywały się zdziczałe koty, które żarły jakąś padlinę w nie spalonych jeszcze domach. Bramy, drzwi, okna pootwierano na ścieżaj. Meble, książki, obrazy, naczynia i całe mienie osobiste wałało się na ulicach i chodnikach. Podwórza pełne były grobów. Zewsząd wiało grozą; niebezpiecznie było chodzić takimi ulicami, rzadko tylko napotykając zdziwionych niemieckich wartowników.

Te powierzchowne wrażenia ostatecznie utwierdziły nas w przekonaniu, że Niemcy istotnie skazali Warszawę na zagładę i całkowite zniszczenie. I oto my byliśmy świadkami i braliśmy udział w tej olbrzymiej historycznej katastrofie...

Jak już wspomniałem do RGO chodziliśmy po kilka razy dziennie, aby załatwiać różne bieżące sprawy oraz stale dopytując się o możliwości ewakuacji kulturalnych zbiorów. Okazało się, że sprawa ta w ogóle nie ruszyła z miejsca i nie było w tym względzie żadnej niemiecko-polskiej współpracy. Problem dorobku kulturalnego stał w pojęciu niemieckiego komendanta wśród wielu innych — jego zdaniem ważniejszych spraw — na drugim, jeżeli nie na ostatnim miejscu. W ogóle sprawy RGO posuwały się zółwim krokiem.

Zadaniem tej społecznej instytucji w owym okresie było: 1) żywienie reszty szpitali do chwili ich wyjazdu z miasta, 2) ewakuowanie dorobku kulturalnego, 3) pozbieranie w piwnicach i mieszkaniach domów odzieży, bielizny, naczyń i ewent. zapasów żywności i dostarczenie tego wszystkiego wypędzonej z miasta ludności dla choćby częściowego zaspokojenia jej potrzeb.

Dla drugiego i trzeciego zadania miała być zorganizowana robotnicza brygada, którą zobowiązały się żywić niemieckie władze wojskowe. Oprócz tego Niemcy mieli dostarczyć dla potrzeb i pracy RGO — odpowiedniej ilości aut ciężarowych.

W rzeczywistości żywność dostawały tylko szpitale ich pracownicy i pracownicy RGO. Robotniczej brygady nie organizowa-

no, gdyż brak było chętnych. W międzyczasie dom dla niej przeznaczony spalił się. Brakowało też środków transportowych. RGO nie śpieszyło się ze zrozumiałych powodów z rozbijaniem piwnic i zbieraniem po domach pozostawionych rzeczy. Dr Schellenberg nie przyjeżdżał i sprawa ewakuacji dorobku kulturalnego nie posuwała się naprzód ani nie wyjaśniała się.

Mam wrażenie, że „bezradność” Polaków głównie można wytłumaczyć ciągle jeszcze trwającym brakiem zaufania do nich ze strony Niemców, którzy odnosili się do Polaków jako przedstawicieli świeżo podbitego, wrogiego narodu.

Dając różne zobowiązania na papierze i obiecując ustnie, Niemcy nie kwapili się do pomocy w realizacji tych obietnic i jednocześnie sami nic w tym kierunku nie organizowali.

W owym czasie niemiecka komendantura ogłosiła Warszawę jako fortecę. Od tej tedy pory można się było dostać do miasta tylko za specjalnymi przepustkami, które władze niemieckie wydawały bardzo niechętnie. To jeszcze bardziej utrudniało pracę RGO. Różni jej kierownicy urzędowali na zmianę: to w Warszawie, to w Pruszkowie. Teraz mieli trudności z przyjazdami, szczególnie przy każdorazowym wyjeździe z Warszawy. Na przykład, senator Machnicki — szef RGO, który mieszkał zdaje się w letniskowej miejscowości Leśna Podkowa — przestał w ogóle przyjeżdżać i zastąpił go na terenie miasta p. Leśniewski. Pan wiceprezydent Podwiński już poprzednio przekazał zarządzanie ewakuacją dorobku kulturalnego panu Leśniewskiemu, człowiekowi wysoce kulturalnemu, któremu bardzo leżała na sercu sprawa ewakuacji dóbr kulturalnych, ale który, pozostawiony sobie samemu, nie wiele mógł zdziałać.

Właśnie w tym czasie przyjechał do Warszawy i wpadł do RGO długo czekany dr Schellenberg. Widząc tę zagmatwaną sytuację postanowiłem porozmawiać z nim osobiście. Ten mi powiedział, że ewakuacja dorobku kulturalnego nastąpi jeszcze nie przedko i nie w takich rozmiarach, jak przypuszczaliśmy; że można mówić tylko o pewnej ilości ciężarowych samochodów, a nie o wagonach kolejowych. Nie ma robotników, nie ma transportu a prócz tego wiele jest przeszkód ze strony niemieckich władz wojskowych; np. drogi muszą być wolne dla ich transportów. Wobec czego konieczna jest segregacja dóbr kulturalnych, przeznaczonych do wywiezienia. Zbiorów Biblioteki Publicznej w ogóle nie brał pod uwagę. Dr Schellenberg był bardzo zmęczony i odniosłem wrażenie, że go w ogóle ewakuacja mienia kulturalnego nie interesuje. Wydało mi się, że powstał jakiś pośpiech, bezład.

Wkrótce znikł z horyzontu i p. Leśniewski z grupą urzędników RGO. Na jego miejscu został pan Doleżał, którego sprawy

dorobku kulturalnego najmniej interesowały. Początkowo mówił nam, że w Pruszkowie organizuje się komisja ratowania dorobku kulturalnego, do której podobno wchodził: Dr Schellenberg, wiceprezydent Podwiński, dyrektor Muzeum Narodowego, dr L., prof. Z. i inni. Dzień za dniem upływał a z Pruszkowa i choć mówiło się, że Komisja już pono pracuje i że już-już przyjedzie stamtąd ktoś z odpowiednimi pełnomocnictwami i ekwipunkiem, aby rozpocząć pracę — nikt nie przyjeżdżał. Doleżał też przygotowywał się do wyjazdu z miasta. Zastąpił go pan Drozdowski, dawny dyrektor miejskiego Wydziału zaopatrzenia. Ten już nie robił żadnych nadziei i niczego nam nie tłumaczył. Wokoło panował straszliwy bałagan i beznadziejność.

W tym okresie miasto zaczynało przybierać inny wygląd. W ciągu dnia wszędzie był ruch. Wojskowe oddziały niemieckie spędziły robotników do budowania umocnień, do fortyfikowania miasta. Raz po raz przechodziły małe oddziały wojskowe. Oddziały łączności zakładały sieci telefonów polowych. Tej wojskowo-robotniczej krzątaninie towarzyszył stale huk strzałów armatnich z obu stron, a więc artylerii niemieckiej i moskiewskiej oraz hałas samolotów. Odnosiło się wrażenie, że jest to przednia linia frontu. I istotnie: za rzeką byli bolszewicy, ale niemieckiego wojska nie było w tym czasie w Warszawie zbyt wiele.

Specjalnie zorganizowany *Reumungsstab*, który umieszczono na odległym przedmieściu, Wola, za prawosławnym cmentarzem, czuwał nad tym, aby przejazdy przez dawne barykady były wolne, gdyż często były zasypywane walącymi się domami, rujnowanymi pociskami armatnimi i pożarami. Na przykład na rogu ulic Marszałkowskiej i Koszykowej, ulic Kruczej i Piusa, itd.

Drugim zadaniem tego sztabu było całkowite niszczenie różnych miejskich urządzeń jak np. podziemnej sieci elektrycznych kabli. W tym celu brygada fachowców jeździła po mieście i specjalnymi ciągnikami wyciągała kable spod ziemi, cięła je na 5-6 metrowe kawałki i zostawiała na miejscu.

W tym też czasie, gdy RGO czekało na pozwolenie od władz niemieckich na zbieranie różnych rzeczy, porzuconych przez ludność, ten właśnie *Reumungsstab* przeprowadzał już tę akcję na własną rękę i dla osobistych korzyści. Grupy wojskowych, w domach, które jeszcze nie były spalone albo zburzone, rozbijały składowe, szpitalnie, piwnice i zabierały stamtąd najrozmaitsze rzeczy, składając je na chodnikach.

Były tam więc: maszyny do pisania, maszyny do szycia, obrazy, dywany, pościel, odzież, obuwie, walizy z drobniejszymi rzeczami a nawet niektóre meble. Itd. W pośpiechu wyrzucano nie-

raz te rzeczy po prostu przez okna na ulicę. Podjeżdżały ciężarówki, ładowano te rzeczy i wywożono to wszystko nie wiadomo dokąd. Czasami część tych rzeczy zostawiano na pastwę losu. W taki sposób „wywakuowano” niektóre apteki, urząd lekarski (ul. Koszykowa nr 35) i inne urzędy i instytucje. Korzystając z tego rozgardiaszu *Volksdeutsch*'e powywozili ze swoich i nie swoich mieszkań całe urządzenia. Przejżdżały wyładowane po brzegi auta ciężarowe z ewakuowanymi szpitalami, wioząc całe ich mienie (łóżka, materace, pościel) i chorych z ich własnymi rzeczami. W tym jednak bezładzie trudno się było zorientować, gdzie była prawdziwa ewakuacja, a gdzie indywidualny lub masowo zorganizowany rabunek.

Wszędzie wałęsali się żołnierze z siekierami i łomami w rękach. „Pracowali” po dwóch albo trzech na własny użytek.

Dwa takie typy przyjechały kiedyś nawet i do naszej Biblioteki, aleśmy ich szybko unieszkodliwili.

Były częste wypadki, że tacy poszukiwacze „szczęścia” po ograbieniu mieszkań, podpalali dom. Gasić nie było komu, wiatr rozdmuchiwał ogień coraz bliżej nas i po kilku dniach wiele domów paliło się wokół Biblioteki.

Tacy goście odwiedzali i nas z zamiarem ograbienia Biblioteki, ale z pasją odchodzili z niczym, zastając nas w domu. W każdym razie sytuacja pogarszała się i niebezpieczeństwo rosło.

W nocy ten stały zgiełk uciszał się trochę: słyszeliśmy tylko pojedyncze strzały karabinowe, czasem wybuch granatu, trzaski rozbijanych łomami i siekierami drzwi, oraz szum pożogi, łuny której okalały zewsząd dom Biblioteki.

Około 15 października zawitał do Biblioteki jakiś urzędnik niemiecki, troskliwie dopytując się o złożone tu w swoim czasie zbiory książek Metropolity Iłariona. Nastawał na to, abyśmy dbali o to i żeby dr Schellenberg nie zapomniał wywieźć ich razem z innymi zbiorami. Orientując się w ogólnym stanie sprawy ewakuacji, pożartowaliśmy trochę na ten temat i na tym się skończyło. Pomimo to, jakiś promyk nadziei zajaśniał w naszych sercach, że gdzieś, ktoś jednak troszczył się o nas. Może jednak coś z tego będzie?

Następnego dnia po tej wizycie przyjechało do nas dwóch oficerów Gestapo od jakichś niemieckich władz. Zawiadomili nas, że ich celem jest zapoznanie się ze stanem większych bibliotek, muzeów i archiwów. Obejrzeliby Bibliotekę Publiczną, potem kazali mnie i p. K.S. jechać z nimi do innych księgozbiorów.

Pojechaliśmy naprzód do Biblioteki Narodowej (ul. Rakowiecka nr 6). Budynek ten od początku powstania był w rękach niemieckich, tedy oprócz częściowego powybijania szyb, nie był

naruszony. Mieściły się w nim dwie duże biblioteki: Narodowa i Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Z całego personelu został tylko Dyrektor Biblioteki Narodowej dr J.G. z żoną i kierownik Biblioteki Wyższej Szkoły Handlowej, p. A.G. Pokonywując wszystkie trudności i szykany ze strony Niemców — uparcie mieszkali w gmachu Biblioteki i strzegli zbiorów.

Dr J.G. poinformował nas dokładnie o stanie Biblioteki. Ani dom, ani zbiory nie ucierpiały w czasie powstania. Natomiast okazało się, że kilka dni temu jakiś oficer niemiecki, jakoby „z rozkazu” wywiózł z Biblioteki samochodem ciężarowym kilkanaście skrzyń z cennymi rękopisami, staro-drukami, sztychami i książkami. W tym co zabrał były zbiory tzw. Biblioteki Wilańskiej, подарowane w swoim czasie Państwu Polskiemu przez hrabiego Branickiego. Włączono je do zbiorów Biblioteki Narodowej. Na żądanie gości dr J.G. dał im elaborat, omawiający stan zbiorów Biblioteki Narodowej i spisy jej cennych zbiorów. Wychodząc, kazali mu zostać na miejscu i czekać ewakuacji, która pono niezadługo się rozpocznie.

Stamtąd pojechaliśmy do Biblioteki Uniwersyteckiej (Kra-kowskie Przedmieście nr 26-28). W czasie powstania Uniwersytet też był w rękach Niemców; toteż budynek stał nienaruszony, ale wszystkie drzwi były pootwierane na oścież; w Bibliotece ani żywej duszy. Obejrzelśmy czytelnie i sale biblioteczne. W pracowni działu czasopism, dawnym miejscu pracy jej kierowniczkę, p. St. z jej pomocniczym personelem — podłoga była zaśłana strzępami różnych gazet i pism. Raptem z podłogi zerwał się jakiś żołnierz niemiecki i zobaczywszy nas, natychmiast zniknął. W ogólnej czytelnicy nie było śladu jakichkolwiek książek. Wiedziałem o tym że poprzedni niemiecki komisarz Biblioteki Uniwersyteckiej, dr Witte (z Kilonii?) jeszcze przed powstaniem spakował tzw. podręczną bibliotekę do skrzyń i wraz ze skryptami i innymi cennymi zbiorami, złożył w podziemiach, aby zabezpieczyć przed niebezpieczeństwem zbombardowania. Niektóre okna na parterze były założone książkami. Największy „porządek” w porównaniu z ogólnym spustoszeniem wnętrza sal — zastaliśmy w żelaznych szafach z książkami w tylnej części gmachu. Z poprzednio zasłyszanych pogłosek, powstanie (1 sierpnia) zastało dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej, dra A.L. w jego mieszkaniu na ulicy Uniwersyteckiej, koło Placu Narutowicza. Wobec tego został od razu odcięty od swojej biblioteki. O dalszych jego losach nie wiedziałem nic. Jedną ze współpracowniczek Biblioteki Uniwersyteckiej, p. L., widziałem w naszej Bibliotece w czasie powstania, ale też nic mi nie umiała powiedzieć na ten temat.

Wyszliśmy na podwórze Uniwersytetu, oglądając z zewnątrz

ogólne zniszczenia domu. W tym momencie nieopodal ryknęła „krowa” niemiecka i wybuchł pocisk armatni. Przypadkowo spotkany żołnierz niemiecki powiedział nam, że Niemcy strzelają do Moskali za Wisłą. Przerażeni oficerowie prędko skoczyli do auta, my za nimi i pojechaliśmy do Biblioteki Ordynacji Krasieńskich (ul. Okólnik nr 9). Tutaj nie było nic do oglądania. Cały dom, wtłoczony między przyległe prywatne domy, był rozwalony i spalony od góry do dołu. Razem z domem spaliły się na pewno wszystkie zbiory, depozyty, znajdujące się w tej cennej bibliotece. Biblioteka Krasieńskich pod zarządem dra J.M. posiadała zbiory książek o charakterze przeważnie historycznym. Między innymi posiadała w swoich zbiorach kilka tysięcy dyplomów szlacheckich na pergaminie — w tej liczbie dużo dotyczących Ukraińców. Oprócz tego przed powstaniem umieszczono tam przywiezione z Biblioteki Narodowej zbiory tzw. Rappersvill’skie.

W Bibliotece Krasieńskich przechowywano także resztki zbiorów zlikwidowanego przez Niemców „Ukraińskiego Instytutu Naukowego” w Warszawie. Na kilka miesięcy przed powstaniem oglądałem te ukraińskie zbiory razem z przewielebnym arcybiskupem Nikanorem i biskupem Sylwestrem. Szukaliśmy dla nich książki O. Łotockiego „Autokefalia” (tomy I i II). W owym czasie w hallu Biblioteki Krasieńskich po lewej stronie były jeszcze pozostałości archiwum prof. O. Łotockiego (w teczkach z szarego płótna), pozostałości archiwum Mich. Dragomanowa (w paczkach, związanych sznurkami) i resztki książek Instytutu. Po prawej stronie na półkach leżały setki egzemplarzy rozmaitych wydawnictw Instytutu, prace profesorów Szowgenowa, W. Iwanisa, W. Sadowskiego, zbiór dokumentów, dotyczących tzw. mazepizmu (tom I), dra T. Olesiewicza, prof. O. Łotockiego, Liturgia I. Zołotoustego, utwory Tarasa Szewczenki pod redakcją prof. P. Zajcewa i inne.

Z tego wszystkiego pozostał tylko popiół i kurz!

Pan K.S. chciał jeszcze zajrzeć do podziemia, ale niecierpliwi gestapowcy zawołali go, siedliśmy do auta i wróciliśmy do Biblioteki Publicznej. Minęło jeszcze kilka dni. Sytuacja nasza nie ulegała zmianie. Żołnierze coraz natarczywiej dobijali się z pogroźkami do bram Biblioteki. W RGO, jak już mówiłem, zapanowała kompletna dezorganizacja. Wychodzenie na ulicę stawało się coraz niebezpieczniejsze i zresztą bezcelowe.

Dookoła rozszerzały się pożary, rabunki; odbywało się niszczenia miasta do reszty. Na domiar złego jedna z naszych bibliotekarek zwichnęła nogę i położyła się do łóżka.

16 października dowiedzieliśmy się, że reszta pracowników RGO spakowała już swoje rzeczy i ma na drugi dzień wyjechać

z Warszawy do Pruszkowa. Podobnie szpital przy ulicy Mokotowskiej, z którym związana była moja żona jako lekarz i pacjentka, wysyła już swoje ostatnie transporty. Wszystko to oznaczało ostateczną likwidację. Nie mając już żadnych możliwości dalszego zmagania się ze strachem i beznadziejnością sytuacji, zdecydowaliśmy oboje z żoną dołączyć do ostatnich transportów i wyjechać z Warszawy, oddając Bibliotekę pod opiekę tym z kolegów, którzy mieli zamiar i chęć pozostać.

W nocy z 16 na 17 października usłyszeliśmy w sąsiednim domu jakiś wybuch, a rano kolega wartownik zawiadomił nas, że pali się sąsiedni dom. Natychmiast rzuciliśmy się, aby zabezpieczyć nasz dom. Trzeba było wielkich wysiłków, aby zapobiec przetrzuceniu się ognia do nas. Po kilkugodzinnych zmaganiach udało się nam za pomocą piasku i wody uratować dom Biblioteki.

Po południu zabraliśmy się do pakowania naszych rzeczy, zamierzając wyjechać. Część personelu Biblioteki postanowiła wyjechać razem z nami, a część zostawała.

Raptem na podwórzu powstało jakieś zamieszanie. Wyszedłem i... wpadłem w objęcia ukraińskiego pułkownika M.S. Wraz z nim byli i inni znajomi: pułkownik Ol. W., p. P. Ch. i jeszcze kilka osób wojskowych i cywilnych, którzy przyjechali razem z pułkownikiem M.S. Okazało się, że płk. M.S. był w Warszawie zaraz po kapitulacji i dotarł nawet do naszej ulicy, ale nie mógł się dostać do Biblioteki — Niemcy go nie puścili. Obecnie dostał od inż. S.K. pod Łodzią ciężarowe auto i jak tylko oczyszczono drogę z barykad, dotarł do nas, pokonywując niezliczone przeszkody, aby zabrać 20 skrzyń depozytów „Ukraińskiego Wojskowego Towarzystwa Historycznego” oraz mnie z żoną. Nie tracąc czasu, wspólnymi siłami naładowaliśmy ciężarówkę skrzyniami, dorzuciliśmy jeszcze kilka worków z książkami Metropolity Iłariona, zabraliśmy co było można ze swoich rzeczy osobistych i szykowaliśmy się do odjazdu.

Sąsiedni dom koło Biblioteki płonął dalej na naszych oczach. Przed wyjazdem przekazałem opiekę nad Biblioteką pozostałym w niej kolegom na podstawie poniższego protokołu:

Zmuszony okolicznościami rodzinnymi (niezdrowie żony) do chwilowego opuszczenia Warszawy, przekazuję niniejszym pani Janinie Peszyńskiej, urzędnicze Biblioteki Publicznej m. Warszawy, i panu mgr. fil. Ksaweremu Świerkowskiemu, urzędnikowi Biblioteki Narodowej, prowadzenie i pieczę nad gmachem, zbiorami i urządzeniami Biblioteki Publicznej m. Warszawy, w takim stanie, w jakim się znajdują obecnie, a w szczególności przeprowadzenie prac nad ewakuacją mienia Biblioteki.

Protokół niniejszy sporządzono w czterech jednakowo brzmiących egzemplarzach.

Warszawa, d. 17 października 1944 r.

Przekazał (—) inż. L. Bykowski.

Przejęli (—) Janina Peszyńska (—) Ksawery Świerkowski.

Świadkowie: (—) mgr. Elżbieta Skierkowska

(—) Czesław Gutry.

Z Warszawy wyjeżdżaliśmy z uczuciem ludzi, którzy obudzili się z długiego koszmarnego snu-letargu!

ZAKOŃCZENIE

A więc, ochłonawszy od tych wrażeń i wypocząwszy w gościnnym domu naszych dobrodziejów M. i S.K. postanowiłem uczynić zadość Waszemu wezwaniu, Włodzimierz Warłamowiczu, i w ciągu grudnia zabrałem się do napisania tych wspomnień o mojej „warszawskiej epopei”. Zdaję sobie sprawę, że wspomnienia te napisane są subiektywnie, powierzchownie i fragmentarycznie — ale są to wspomnienia prawdziwe! Z czasem na pewno na temat polskiego powstania w Warszawie zrodzi się obfita literatura. Pisać będą zarówno uczestnicy powstania jak i jego badacze. Czytając tę literaturę będzie można sobie zapewne dobrze uświadomić „prawdziwy” obraz tych historycznych wydarzeń które działy się na terenie sąsiadującego z nami, acz nieprzychylnego nam słowiańskiego narodu. Ja, niestety, nie mogłem tego na razie dokonać z bardzo wielu przyczyn zarówno osobistych jak i ode mnie niezależnych.

Dlatego też nie czuję się na siłach, aby wyciągnąć wnioski z tych wydarzeń i dać ich rzeczową ocenę. Pole moich obserwacji było zbyt ograniczone. Poza tym brak jeszcze (przecież to ciągle rok 1944!) dostatecznych źródeł i odpowiedniej historycznej perspektywy.

Sędziejowice, Zduńska Wola, Leśniczówka.

L. BYKOWSKI

Tłumaczyła Zofia MIŁOSZEWSKA

JAK „UWALNIANO” POLSKĘ

Wspomnienia generała-porucznika wojsk pancernych, N.K. Popiela, zawarte są w trylogii. Ogólnego tytułu trylogii miesięcznik ZWIEZDA — skąd czerpiemy niniejsze — nie podaje. Wspomina tylko o tym, że w roku 1960 tenże miesięcznik opublikował drugą część trylogii pod tytułem: „Czołgi zawróciły na zachód”. Mówiło się tam o walkach z lat 1942-1944, w jakich brała udział pierwsza sowiecka gwardyjska armia pancerna. Członkiem Rady Wojennej tej właśnie armii jest generał Popiel.

W numerach 1, 2, 3, 4 i dalszych z roku 1963 ZWIEZDA publikuje trzecią, najbardziej nas interesującą część trylogii. Ta trzecia część nosi tytuł: „Przed nami Berlin” i obejmuje działania armii sowieckiej od chwili jej wkroczenia na terytorium Polski. Charakterystyczne jest, że gdy armia sowiecka posiada dokładne instrukcje co do nowych, narzuconych przez Sowietów granic Polski, że więc — jak mówi Popiel — ostatnim sowieckim wyzwolonym miastem jest Przemyśl, a pierwszym polskim Jarosław — to równocześnie ta armia nie posiada dość długo żadnych dyrektyw jak ma się zachowywać wobec nowopowstających władz polskich w Lublinie, oraz wobec ujawniających się, i często śpieszących z wydatną pomocą, oddziałów Armii Krajowej. Poniżej podajemy w skrócie zasadniczą treść wspomnień Popiela, jako tło dla tłumaczonych dosłownie tylko tych ustępów, które odnoszą się wprost do spraw polskich lub są szczególnie ciekawe.

Opowieść zaczyna się od momentu, gdy do komendantury sowieckiej w Jarosławiu wpada żołnierz sowiecki, niosąc na rękach dwie nieletnie dziewczynki polskie, uratowane w ostatniej chwili z rąk SSowców, którzy, cofając się, próbowali wymordować całą ludność polską, a więc mężczyzn, starców, kobiety i dzieci. Jedna z dziewczynek, które żołnierz sowiecki zabrał z ulicy, gdy czepiały się trupa matki, jest ranna kulą w rączkę. Opatrzono ją a komendant sowiecki Jacenko, przygarnia ją do siebie. Powoduje to przerwę w załatwianiu spraw bieżących.

...A spraw było wiele: w Jarosławiu, pierwszym polskim mieście, wyzwolonym przez nasze wojska, znajdowały się składki wojsk hitlerowskich — tej grupy, która nadal nosiła trochę przestarzałą i nieaktualną już nazwę „Północnej Ukrainy”. Zapasy żywnościowe i materiałów pędnych pierwszej gwardyjskiej armii czołgów były na wyczerpaniu, stąd trofea w postaci składów mo-

gły się bardzo przydać. Aby pomóc komendantowi miasta przy zaprowadzaniu porządku w składach przyjechał razem ze mną, naczelnik *poliotdielej* armii, Żurawliow i naczelnik tyłów, Końkow.

Składy znajdowały się na północno-zachodnim skraju miasta, za wysoką ścianą z cegieł. Szczerby i znaki po pociskach artyleryjskich, zadrapania od kul karabinowych, były śladami niedawnej walki. Za ścianą z cegieł wznosiły się trzypiętrowe budynki.

Kiedyśmy weszli do środka, oblicze Końkowa zajaśniało radością. Stawał ośłupiały ze zdumienia przed gigantycznymi kołami szwajcarskiego sera, cmokał na widok wspaniałych szynek wieprzowych i setek worków z mąką. W odległym kącie stało kilka bardzo pojemnych beczulek. Ścianki ich były podziurawione kulami karabinowymi i z dziur z bulgotem biły strumienie.

— Francuski szampan — już z daleka, tylko pociągnąwszy nosem, stwierdził Końkow.

— A tu oto burgund. Proszę — oto etykieta.

— Wino francuskie, słonina ukraińska, obuwie czeskie, ser szwajcarski, benzyna rumuńska — wyliczał metodyczny Żurawliow — Gdzież jest coś niemieckiego. Zupełnie jak kołczakowcy. Nałykają się paryskiego winka, nażrą się na zakąskę polskiej kiełbasy i wdzieją czeski but na pedały. Tylko kule dla nas — niemieckie! Niech to diabli!

— Europa! — z wyrzutem zgadzał się Końkow. — Nie skład, a po prostu międzynarodowa wystawa żywności i amunicji.

Wprowadziwszy porządek i podjąwszy odpowiednie kroki dla ochrony składów, udaliśmy się do komendatury.

Komendantura na razie zewnętrznie wyglądała tak, jak przy komendancie niemieckim. Hitlerowiec, uciekając w popłochu, zostawił w swoim gabinecie wszystkie notatki administracyjne — teczki, notesy, nawet wieczne pióra, a Jacenko w ciągu niespełna 24 godzin nie miał jeszcze czasu, aby zająć się zewnętrznym wyglądem swego pomieszczenia, ot, choćby zmienić napisy na szafkach i szafach.

Z lekka zgarbiony komendant starał się wyciągnąć jak struna, raportując o pracy już dokonanej.

„...Przyjąłem przedstawicieli wszystkich kierunków politycznych. Osiem partii! — w głosie Jacenki prześliznęła się nutka zdumienia... Robotnicza, socjalistyczna, chłopska partia... Nadto kooperatywy. Przedstawiciele klas posiadających dopytywali się, czy odbierzemy fabryki. Zarządziłem, aby puścili w ruch swoje przedsiębiorstwa; bardzo trudno z zaopatrzeniem. W mieście pełno spe-

kulantów, nie pracują, a jeden od drugiego kupuje i sprzedaje najrozmaitsze śmiecie. Ceny wyśrubowali — robotnicy zupełnie nie mają z czego żyć. Delegat komunistów, Stefan Żeszku, oświadczył: „Chłopi mają jeszcze coś niecoś do żucia — ale proletariat umiera z głodu”.

— Jakie kroki podjęto w kierunku walki z głodem i spekulacją?

— Kazałem puścić młyn. Geszefciarze ciągle czepiali się mnie: „Surowiec dacie? Kredyty będą?”. Odpowiedziałem, a następnie przycisnąłem: „Dlaczego ceny są takie? Grabicie lud pracujący!”.

O tak, nie pomyliliśmy się. Kiedy jeszcze w gorączce walki o Jarosław wyznaczaliśmy Jacenkę na pierwszego komendanta na polskiej ziemi, wierzyliśmy, że nie zawiedzie!

Zawsze cenilem skromnych pracowników codziennej roboty politycznej, takich właśnie jak Jacenko.

— Drobną spekulanci próbowali mnie przekupić — ciągnął dalej poważnie komendant. — Naprzód chcieli, aby im oddać zdobyczne składy: „To nie niemiecka własność, a majątek naszych kooperatyw”. Robotnicy ich jednak szybko zdemaskowali: „Mało — powiedali — grabili nas Niemcy, teraz swoi, Polacy majątkiem tym spekulują i gotowi ograbić nas po raz drugi”. Potwierdzili, że składy są niemieckie i nie ma tam niczego co by należało do kooperatyw. A geszefciarze chcieli mi odwalić za składy dwieście tysięcy.

— Jakeście się z nimi obeszli?

— Wyrzuciłem na pysk.

— Nazwiska zapisaliście?

— Nie.

— Szkoda.

— Winieniem. Nie mam czasu zajmować się nimi. Głowa puchnie: czym ludzi nakarmić? Gdzie ich leczyć? Jak gasić pożary? Straż ogniowa, złożona z Niemców, uciekła, a w mieście jeszcze strzelają. Trzeba organizować aktywistów i zbierać do straży pożarnej. Nawet ksiądz do mnie przychodził. „W jakim języku — pytał — odprawiać nabożeństwo”. Czy prędko będą tutaj władze cywilne?

W tej właśnie chwili wdarł się do nas Podgorbuński, spychając na bok bieżące sprawy jarosławskiej komendatury.

Zurawliow zajął się dziewczynką, której rękę opatrzył Arsentij. Wyciągnął z kieszeni, Bóg wie jakim sposobem pozostałe tam dwa cukierki i zaczął delikatnie zwierać wokół nich cieniutkie paluszki dziewczynki. Ta jeden cukierek wetknęła do

buzi, usadowiła się Żudawliowowi na kolanach i ciasno przylgnęła do niego.

Podgorbuński zadawał naiwne pytania:

— Czemu oni strzelają do polskich kobiet i dzieci? U nas jest inny ustrój, a tutaj przecież kapitalistyczny jak i w Niemczech?

— Alboż ty tego nie wiesz?

— Ja myślałem, że w krajach kapitalistycznych zabijają tylko robotników i komunistów. A matka tych dziewczynek, sądząc z wyglądu, nie pochodzi z prostych ludzi.

Podgorbuński podszedł do uratowanych dziewczynek.

— Niech one już będą uważane za moje własne — głos jego drżał. Sam jestem sierotą i wiem, co się może stać z dzieckiem, które jest bez ojca. Ja je wychowam. Dobrze? Tymczasem proszę się nimi zaopiekować. Czy mogę odejść.

I z nagłą zawróciwszy, skoczył na ulicę, o mało nie potrafiwszy w drzwiach człowieka w cywilnym ubraniu.

— Stefan Żeszku, Członek Polskiej Partii Robotniczej — przedstawił wchodzącego podpułkownik Jacenko: Poproszony na tłumacza przy komendanturze. Rozumiecie naszą sytuację.

— Rozumiem. Inicjatywę pochwalam.

Po wkroczeniu do Polski znaleźliśmy się jak gdyby „bez języka”. Dosłownie — nieliczni tylko rozumieli po polsku.

Wywiadowca Romadin i kilku jego towarzyszy musieli wziąć dodatkowo na swe barki ogromną pracę tłumaczy, ale wysiłek ich nie był wystarczający. Inicjatywa więc Jacenki, angażująca na tłumacza miejscowego komunistę, dawała wyjście z bardzo trudnej sytuacji.

— Panie towarzyszu komendancie — zaczął mówić energicznie Żeszku — towarzysze w partii są bardzo niespokojni. Speculanci mogą składy podpalić. Dobraliśmy dwudziestu młodych ludzi do ochrony składów. Ręczymy za nich.

— Dziękuję i wam i towarzyszom — uściśnięm rękę nowemu przyjacielowi.

Ten zaś, ściskając moją rękę, zaproponował:

— My wam dziękujemy; dziękujemy Czerwonemu Wojsku.

Bałykow wszedłszy, wręczył mi telegram. Jego krótki tekst targnął serce radosnym przecuciem:

— Do sto drugiego. Jest list z góry. Przyjeżdżaj natychmiast. Sto pierwszy”.

— Żurawliow, Końkow — do maszyn! — Z wami, Jacenko, nie żegnam się. Wezwę cię jeszcze dzisiaj.

Nasze opancerzone pojazdy zwiadowcze jednym gwałtownym skokiem minęły zakurzone wąskie uliczki miejskich przedmieść —

i popędziliśmy po cienistej leśnej drodze. Przemieszane tu były dęby, sosny, świerki i brzozy. Czasami załśniły przebłyski zielonych polan i znów proste bardzo sosny szły na przemian z giętkimi brzożami. Na jednej z polan kierowca zahamował: wśród zamaskowanych gałęziami samochodów stał namiot ochronnego koloru — „rezydencja” Szalina, dowódcy sztabu armii.

Nieopodal przechadzał się Katukow — „sto pierwszy”. Zobaczył mnie: — Mamy akordową robótkę... Na Wisłę, i zająć bazy wypadowe!

Na polanie zebrali się dowódcy korpusów i naczelnicy oddziałów politycznych. Szalin wyszedł z namiotu, idąc przetarł szkła okularów, i zajął miejsce przy mapie.

Odbywa się narada wojenna. Chodzi w tej chwili o sforsowanie Wisły i zajęcie baz wypadowych dla dalszej ofensywy na Kraków-Berlin. Zachodzi obawa, że na przygotowaną i umocnioną linię obronną na Wiśle Niemcy sprowadzą rezerwy z zachodu. Stąd nakazuje się możliwy pośpiech w forsowaniu Wisły i zajęciu baz wypadowych.

— Chciałbym zadać pytanie członkowi rady wojennej — podniósł się Żurawliow. Naczelnicy oddziałów politycznych dopytują się jaką pracę mają przeprowadzać z ludnością miejscową.

— Niech wyjaśniają wagę naszych zwycięstw, mobilizują ludzi do utrzymania porządku i opowiadają o tworzeniu się Wojska Polskiego.

— A jaka tu będzie władza?

Aleksy Jegorycz zadawał to pytanie nie z pustej ciekawości. Dotychczas, w ślad za gąsienicami naszych czołgów z powstającej z upadku i wściekłej od krwi i nienawiści do wroga ziemi, wyrastała wszędzie władza sowiecka. Całe tyły pracowały na rzecz armii, my zaś pomagaliśmy odradzającym się organom władzy.

Tutaj jednak, za słupem granicznym, zagadnienie władzy miejscowej decydowało o trwałości i sile operacyjnych tyłów armii, o możliwościach i ewentualnych sukcesach dalszych operacji. Każdy żołnierz i każdy dowódca, wstępując na polską ziemię, zadawał sobie pytania, które w tej chwili ustami Żurawliowa zabrzmiało na posiedzeniu w sztabie.

— Tyle wiem, co i wy, Aleksy Jegorowicz... Gazety czytacie? W Chełmie zebrała się Krajowa Rada Narodowa. A dyrektyw z Dowództwa na razie nie mamy. Czekamy. Są jeszcze pytania?

— No cóż, najwyższy czas na obiad. Szybciućko zakąsimy — zaprosił Katukow. Pierwszy obiad na polskiej ziemi. A właściwie to już byłby czas na kolację.

Przed obiadem odczytałem obecnym dziękczynny list premie-

ra sowieckiej Ukrainy, N. Chruszczowa. Nikita Chruszczow wyrażał bohaterom ziemi sowieckiej niezmierną wdzięczność narodu ukraińskiego za oswobodzenie od faszystowskich barbarzyńców. Imienne egzemplarze rozdałem wzruszonym dowódcom i, podniósłszy puchar, wzniosłem toast „za Sowiecką Ukrainę!” Nad stołem dźwięczały połowe kieliszki Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Ormian — wyzwolicieli Ukrainy.

Po skończonym obiedzie, powtórzono jeszcze raz rozkazy, których serś sprowadał się głównie do tego, aby jak najszybciej przepawić się przez Wisłę i ustanowić punkty wypadowe dla dalszej ofensywy na Kraków — Berlin. Na przeprawach i zdobytych bazach wypadowych utrzymać się do nadejścia głównych sił.

Gen. Popiel udaje się do poszczególnych ugrupowań, aby wydać stosowne rozkazy, a następnie stara się przedostać jak najbliżej tych oddziałów, które mają forsować Wisłę. Ponieważ główne drogi zawałone są wojskiem i jego transportem, stara się przedostać ku Wisłę swoim „willys'em”, bocznymi ścieżkami i leśnymi przesiekami.

I tu... stało się... Trafiliśmy „do niewoli”. Po raz pierwszy w ciągu całych trzech lat wojny, w lipcu 1944 roku, usłyszałem niezrozumiałą krzyk, który zupełnie niedwuznacznie dał się rozszyfrować jako: „Ręce do góry!” — i zobaczyłem przystawioną mi wprost do piersi lufę obcej broni. Kiedy szofer zatrzymał się na przecięciu dwóch leśnych przesiek, aby zdecydować, w którą skręcić, z krzaków wyskoczyło ponad dziesięciu ludzi. Czarne kurtki niemieckich czołgistów, bluzy czerwonej armii koloru ochronnego, brudne marynarki, płócienne koszule chłopskie — ta ośbliwa mieszanina najrozmaitszego odzienia nadawała całej grupie wygląd trochę komiczny. Całkiem jednak nie śmiesznie wyglądało jakieś półtora dziesiątka luf, które wzięły na muszkę nasz „willys”. Wprost o piersi opierała się nasza trzycalówka, z boku w to samo miejsce celował jakiś mężczyzna, mocno ściskając w garści plastikową rękojeść niemieckiego automatu i — co już było całkowitą nowością — jeden z nieznanomych trzymał w ręku krótki o szerokiej lufie, angielski automat „sten”.

Przy pomocy gestykulacji wyraźnie domagali się, aby wyłączyć z samochodu z rękami do góry. Zrozumiawszy, że to nie Niemcy, zacząłem równie na poły na migi tłumaczyć, że jesteśmy sowieckimi żołnierzami. Nie wiem, ile oni zrozumieli z tych moich wyjaśnień, głosy ich jednak stały się groźniejsze i bardziej wymagające. Mówiąc uczciwie, nie wiem, jakby się to wszystko skończyło, gdyby wypadki nadal toczyły się tym samym torem. Ale w tej chwili usłyszeliśmy ryk motoru czołgowego. „Nasi blisko” — pomyślałem i zażądałem: „Kto wami dowodzi? Dowódcę! Oficer-era! Zrozumiano?”. Dowódca wystąpił naprzód. Wtedy zrozu-

mieliśmy, że mamy do czynienia z jakimś oddziałem polskim. Oficer, w odróżnieniu od swoich ludzi, nosił dawny mundur armii polskiej i nawet orzeł Jagiellonów był wyczyszczony do połysku. Ze sposobu, w jaki podszedł do nas, jak zgrabnie zasalutował dwoma palcami, można było od razu się domyśleć, że jest byłym zawodowym oficerem armii polskiej.

— Proszu, panie generale, sleduwajicie za mienia — zaproponował w jakimś na poły rosyjskim, na poły polskim języku.

— Natychmiast proszę nas zwolnić, a sami udajcie się tam — wskazując punkt na mapie. — Otrzymacie zadanie bojowe.

— Nie można, pan generał. Mamy dyrektywy...

Szum motoru i zgrzyty gąsienic zagłuszyły uparty głos Polaka. Do skrzyżowania podjechało kilku motocyklistów i czołg „T-34”. W biegu jeszcze zeskoczył zeń Podgorbuński. Wyprostował się, szczególnie starannie przemaszerował po drodze, podszedł do nas i na cały las zaczął raportować:

— Towarzyszu generale! Las jest całkowicie otoczony. Przesieki pokryte przez mój batalion. Co rozkażecie? Wziąć ten obcy oddział do niewoli, czy całkowicie zlikwidować?

Podgorbuński z całym naciskiem starał się przedstawić jako zdyscyplinowany żołnierz, dla którego jest niezmiernie ważne wyjaśnienie ze strony generała, jak ma postąpić z nieoczekiwanym przeciwnikiem: bić go, czy brać do niewoli?

Dowódca polski natychmiast stracił głowę i tłumaczącym się tonem zaraportował, że oddział jego pozostał niedaleko z naczelnikiem sztabu, a on z wywiadowcami badał drogę. Zrozumiałem, że ma on jakiś rozkaz „z góry”, aby dokonać marszu z rejonu działań wojskowych do Wisły, a następnie dążyć do połączenia się z innymi oddziałami partyzanckimi, by udać się w kierunku Warszawy.

W owe czasy bardzo niejasno wyobrażaliśmy sobie życie Polski, jej gospodarkę, wewnętrzno-polityczne problemy. Jakie tutaj są oddziały i o co każdy z nich walczy — wiedzieliśmy bardzo niewiele. Dla tego naprzód musiałem zapytać oficera polskiego, jak dawno i z kim walczy jego oddział?

— Niedawno, panie generale. Walczymy z faszystami, z Niemcem.

— A od kogo otrzymaliście ostatni rozkaz. O mało co nie dodałem: „dziwny”, ale nie zdecydowałem się krytykować rozkazu, dopóki nie znam jego autora.

— Rozkaz generała Bora.

— A kto to taki?

— Nasz stary generał, jeden z lepszych: nie poddał się Hit-

lerowi, uciekł do Anglii, obecnie zjawił się w Polsce. Nikt go nie widuje, ale o nim mówi cały kraj.

— A przeciw komu będzie walczył wasz oddział u Bora?

Pytanie to wprawiło oficera w zakłopotanie.

— Dokładnie nie wiemy. W oddziale naradzaliśmy się nad tym, ale zdecydowaliśmy się wykonać dyrektywy.

Rozkaz wydał mi się trochę dziwny choćby dlatego, że przeciwnik był tu, na Wiśle, i oddział winienby, zdawało się, przyłączyć do Wojska Polskiego, które działało na sowiecko-niemieckim froncie.

Wskazawszy punkt, dokąd winien był udać się oddział, zostawiłem z nim dla pewności część sekcji Podgorbuńskiego. On sam siadł z nami do „willys’a”; za nami też pojechali motocykliści.

— Jakaś się tutaj dostał?

— Szedłem laskiem, towarzyszu generale, potykałem się o różne tutejsze barykady. Odciąganie zwalonych drzew — zadanie bardzo niewdzięczne, pociąga za sobą dużą stratę czasu. Nie miałem pociągu do tego zawodu nawet w łągach, w rejonach Dalekiej Północy. Wychodzę ze swoją grupą na miejscową szosę, pytam, którędy na Baranów. Powiadają: na tym kierunku mamy korek, przejście tymczasem zamknięte. Widzę waszego Arsentja, ten mi tłumaczy, że generał również śpieszy do Baranowa i że pojechał lasem. Myślę sobie: generał zajęty swoimi sprawami, zapomniiał, że droga tu jest pod obstrzałem. A no, pojedę, ubezpieczę! I do Wisły będzie zręczniej dostać się razem z generałem. A przecież nakazano nam być na miejscu jak najszybciej, mamy bowiem pilne sprawy do generała Modela, a różne tam Fritze przeszkadzają: miny kładą, drzewa walą. Trzeba jednak było zatrzymywać się.

— Gdzie batalion?

— Winienem, towarzyszu generale, ale ja na razie nie mam pod rozkazami batalionu. Ze mną — grupa! Oczywiście więc, na temat całkowitego okrążenia lasu troszeczkę... przesadziłem możliwości mego oddziału. A w ogóle nie bardzo mi się podoba, kiedy pan Polak rozprawia o swoich jaśnie wielmożnych panach Borach i ich wielce ważnych dyrektywach. Ale nic nie szkodzi, obecnie na żywym przykładzie objaśniliśmy mu z lekką obecną politykę międzynarodową i czynniki w niej decydujące.

— Dziękuję ci za wszystko, Wołodia! A teraz weź-no motocyklistów i sprawdź drogę, przy okazji zrób wywiad na temat przeciwnika.

Dopóki zwiadowcy rozbierali liczne zwały drzew i otwierali drogę dla „willys’a”, obaj z Żurawliowem zastanawialiśmy się,

co zostało zrobione, a czego zrobić nie zdążono. Ludność tutejsza znajdowała się pięć lat pod hitlerowskim jarzmem. W ciągu dwóch tysięcy dni tumanili ją goebbelsowską propagandą. Jedni uwierzyli i poszli na służbę zachodnich właścicieli niewolników, drudzy z obojętną pokorą poddali się nowemu „ordnung’owi” — czyli „nowemu łaadowi”, trzeci wreszcie wstąpili na drogę walki. Ale jak i o co walczyć, to w kraju burżuazyjnym też każdy pojmuje po swojemu. Niedostatecznie więc byliśmy przygotowani do tego, aby orientować się w tej gmatwaninie stosunków, a wytyczne z góry spóźniały się. Że jednak komuniści nie zwykli usprawiedliwiać się przyczynami obiektywnymi, a sytuacja wymagała dyplomatyizowania, trzeba się stać dyplomatą. Nocą więc zbierzemy cały Wydział Polityczny, prokuraturę wojskową, wojskowy trybunał i wspólnie rozstrzygniemy owe skomplikowane zagadnienia...

Pokazała się wioska Machów — a więc Wisła niedaleko. Słychać niezwykłą strzelaninę z dział, miotaczy min, karabinów maszynowych.

Musatowa nie trzeba było szukać, sam nagle wynurzył się obok willys’a.

— Towarzyszu członku Rady Wojennej! Lewoskrzydłowa grupa zwiadowcza opanowała Baranów. Prawa, niestety, nie zdołała chwycić Tarnobrzegu napotkała na silny ogień artylerii i sprzężonych sześciolufowych miotaczy min. Są i czołgi. W Tarnobrzegu przy pomocy promu idzie gwałtowna przeprawa oddziałów przeciwnika.

W tej chwili z sąsiedniej ulicy wyjechało dwóch jeźdźców. Wskazując na nich, motocyklista zaraportował:

— Jacyś Polacy was szukają.

— A to starzy znajomi — zawołał Podgorbuński. Bracia, to ci, którzy brali was na muszkę. Zamienili jednak Bora na Podgorbuńskiego! I zwiadowca pobiegł na spotkanie kawalerzystów.

Ci chwacko zeskoczyli ze swoich wspaniałych wierzchowców. Jednym z nich był znany mi już dowódca oddziału, drugi, w mundurze czerwonooarmisty, podszedł bliżej.

— Proszę o pozwolenie zameldowania się: naczelnik sztabu i komisarz rosyjsko-polskiego oddziału — zaczął czystym rosyjskim językiem. I nagle: „Kolia, przyjacielu. Czy to ty, czy nie ty? Kolka Popiel?”.

Ogarnęło mnie jakieś niecierpliwe podniecenie. Wzrok mój ześliznął się po głowie, pokrytej przerzedzonymi siwymi włosami — nie, nigdy nie widziałem tej głowy. Potem wzrok mój ogarnął niewielkie, zwarte ciało i nagle coś nieokreślonego poruszyło się w pamięci. Zaraz też przypomniał mi się niezwykły chód „Po-

laka”; domysł nieśmiało wynurzał się z głębin pamięci, i poprzez maskę, nałożoną na twarz komisarza dwudziestu latami naszej rozłąki, wyszły na wierzch starte przez czas rysy starego przyjaciela:

— Jasza!

Kiedyś było ich siedemnastu. Siedemnastu pierwszych komсомolców Mikołajewa. Miasto było zagarnięte przez denikinowców i kat Słuszczew rządził knutem całą Taurydą. Kwaterą, gdzie spotykali się komsomolcy był zakład fotograficzny „Malta” — własność maleńkiego inteligentnego staruszka. Córka jego, Tamar, kierowała młodą gwardią mikołajewskiego proletariatu. Najbliższy przyjaciel mego dzieciństwa, Jasza Kinasz, otrzymał dokumenty na imię syna obywatela ziemskiego i poszedł na służbę do kontrwywiadu Słuszczewa. Podziemny komitet rewolucyjny zaczął otrzymywać regularne informacje z legowiska najbardziej tajnej świątyni Słuszczewa.

Wkrótce synowi obywatelskiemu „zaufali wyjście na operację”. „Gad, swołocz — wrzasnął na niego jeden z aresztowanych — udawał komsomolca, judasz!”. Naczelnik kontrwywiadu nakazał śledzenie nowego agenta i gdy na jednej z kolejnych operacji znów nazwano go „provokatorem”, samozwańca, rzekomego obywatelskiego syna, nieustraszonego wywiadowcę rozbrojono, związano, rozebrano do naga, bestialsko zbito i rzucono do gumna pod straż. Zdołał jakoś rozwiązać się, wydostać przez słomiany dach, skoczyć na konia podchmielonego wartownika i galopem uciec. Mróz był trzydziestostopniowy. Zanim więc nagi komsomolec dojechał do bezpiecznego schronienia, odmroził sobie palce u nóg. Od tej pory Jasza ma stopy krótsze — bez palców.

Niezadługo jednak kontrwywiad wpadł na trop podziemnej organizacji. Schwytano kierowników, a wśród nich i Tamarę. Zamęczono ją na śmierć razem z sześćdziesięcioma innymi towarzyszami.

Natychmiast po oswobodzeniu Mikołajewa Jasza został pracownikiem tamtejszej CzeKa. Ani jednej wolnej chwili nie miał ów strażnik rewolucji w tym pogranicznym mieście. Nie zdążył się nawet ożenić. Mówił, że „nie starcza mu czasu”.

Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce w roku dwudziestym szóstym. Uczyłem się wtedy w Odessie. Nagle otrzymuję telegram: „Natychmiast przyjeżdżaj”.

Wieczorem, już w Mikołajewie, Jasza zaprowadził mnie do teatru na występ objazdowego zespołu. Wskazał mi na jednego z głównych aktorów: „Przyjrzyj mu się dobrze. No?”. Nie odrywałem od niego oczu przez cały pierwszy akt. „Doskonały aktor. Gra pierwszej klasy. Czegoś mnie tu ciągnął? Nie możesz sam

iść do teatru?” — Mnie się zdaje, że ten aktor, to Lipoman, naczelnik kontrwywiadu Słuszczewa. Ten, który zgładził członków rewolucyjnego komitetu i Tamarę”. — „Musisz wiedzieć lepiej. Razem z nim służyłeś”.

Węch wywiadowcy nie zawiódł Jaszy. Wkrótce w Mikołajewie odbył się głośny w owych latach proces białogwardyjskiego oprawcy.

Przeszło wiele lat od tego spotkania. I — oto spotkaliśmy się znów — nad brzegiem Wisły, daleko za słupem granicznym. Nie mówiliśmy do siebie tradycyjnie: „Czy pamiętasz?”. W owych liczonych minutach chciało się tylko dowiedzieć o starych gwardzistach-komsomolcach.

— Gdzie Miszka?

— Był ze mną w mikołajewskim podziemiu. Rozstrzelali z całą rodziną.

— A jakeś się tutaj dostał?

— Z woli Führera — gorzka ironia w głosie Jaszy. — Zagarnęli w łapance i do Reichu na roboty. Uciekłem w Polsce. Obecnie jestem naczelnikiem sztabu oddziału i równocześnie jak gdyby komisarzem. A o moich wiesz coś, Kolia? O matce, o siostrze?

Pokręciłem przecząco głową — nie bywałem w tamtych stronach.

— A teraz — rzekł Jasza — proszę jak przyjaciela, daj zadanie.

Co było robić? Ciągle jeszcze nie mieliśmy żadnych wskazówek i instrukcji z góry o stosunku do oddziałów polskich. Ale przede mną stał człowiek, któremu wierzyłem, jak sobie. Nie do mnie należy osąd, czym postąpił dobrze czy źle, ale przydzieliłem ten oddział partyzancki do oddziału Podgorbuńskiego. Ten obecnie z partyzancką kawalerią miał zupełnie realne możliwości sforsowania Wisły w pierwszej kolejności i opanowania punktu wypadowego.

Następnie autor opisuje pracę na organizację przeprawy przez Wisłę. Mówi o tym, że nigdy dotąd nie zdarzyło mu się zetknąć z tak trudnymi warunkami forsowania rzeki. Lasów dla osłonięcia oddziałów, wychodzących do rzeki, nie było. Zalewiska i błotniste wysepki zwiększały dwukrotnie szerokość przeprawy. A najgorsze — dziesiątkami kilometrów ciągnęły się wały ochronne, trzymające w szachu nurt rzeki. Rozbicie takiej tamy pociągałoby nieuchronnie konieczność budowy mostu pontonowego czy innego o długości przeszło kilometra. Autor dziwi się, że cofający się niemiecki generał Model pozostawił te tamy i wały ochronne w całości. Prawdopodobnie obawiał się o swoje wojska, będące jeszcze po tej stronie w trakcie przeprawiania się. Z jednej strony przeprawiają się Rosjanie a z drugiej to samo robią Niemcy. Obie przeprawy odbywają się równolegle, na rzece toczy się nieustanny bój.

Masa jest zabitych i rannych; tych, którzy jeszcze pływają żołnierze usiłują ratować, rzucając się z brzegu na pomoc. Tak też rzucił się w nurty rzeki oddział Podgorbuńskiego.

...Wrócił po pół godziny. Na plecach żołnierzy rzeźbili ranni bohaterowie przeprawy. Położono ich w schronach, dokąd i my udaliśmy się. Medyk gwardii, felczer Arsentij, zaczął opatrywać i nieść pierwszą pomoc. Obok stojącego Katukowa leżał ranny Polak: „Dziękuję, bracia, dziękuję, szeptał, dotykając palcami rękawa sowieckiego komandarma².

— Ktoś ty? — nachylił się do niego Michał Jefimowicz.

— Jan Sakowiczisz... ro-bo-tnik... Poznań...

— Czy chcesz może, bratku, zapalić? Może wódeczki? Albo papierosika? Bierz przyjacielu... Natychmiast zawieźcie rannych do batalionu medycznego — rozkazał Katukow, widząc, że Jan znów stracił przytomność. — Wziąć mój pancerny samochód transportowy.

Bombardowanie na chwilę przycichło. Katukow siadł wygodnie w kącie, szeroko rozstawił nogi, zapalił, podparł ręką głowę.

— Bratem nazywają. Polak, dowódca oddziału wypełnił twój rozkaz, poszedł na forsowanie rzeki z Podgorbuńskim. Doskonale się sprawia. Jak myślisz, Kiryłowicz, dostaniemy za to?

— Nie sądzę. W oddziale są przecież i nasi. Komisarzem u Polaka jest nasz — Rosjanin.

Do schronu wszedł szybko zmożony duchotą starszy wiekiem oficer — najstarszy człowiek w armii, Paweł Ławrowicz Pawłowcew, sekretarz partyjnej organizacji dowództwa polowego.

— Powólcie zameldować, że operacyjna grupa sztabu umieściła się w miasteczku wojskowym Dembe. Chciałbym specjalnie podkreślić, że ludność miejscowa zaproponowała, że gotowa jest własnymi siłami zorganizować szpital polowy. Duża grupa robotników zaofiarowała pomoc przy budowie mostów, przygotowano czterdzieści łódek i liny dla promu.

— Natychmiast to wszystko tutaj — rozkazał Katukow — tego nam właśnie teraz potrzeba!



Popiel pisze następnie jak bardzo przydały się owe liny, dostarczone przez Polaków, w związku z użyciem przez Niemców do walki na rzece pływających min, które rozbijały budowane mosty i promy.

Artyleria nie mogła dać sobie z nimi rady, bowiem trudno je było dostrzec. Nad wodą sterczał tylko zapalnik wielkości ołówka. Dopiero przeciągnięcie tych lin niziutko nad rzeką, nad poziomem wody powodowało

2. Komandarm — generał, dowódca armii.

zaczepianie się zapalnika o linę i detonowało minę. „Tak został znaleziony — powiada Popiel — jedyny skuteczny środek do walki z minami”.

— Są przewodnicy — raportuje dalej Pawłowcew, którzy mogą pokazać przejścia przez pola minowe. Zabrałem ich ze sobą.

Zorientowawszy się, że tego ostatniego słuchamy ze szczególnym zainteresowaniem, Pawłowcew wyjaśnia dodatkowo:

— Wśród nich jest ksiądz! Na Boga — nigdy bym nie uwierzył, że takie cuda zdarzają się w tej Polsce! Pouczał swoich parafian, aby śledzili, gdzie Niemcy zakładają miny — przyda się.

— Ciekawe. Gdzież ten osobliwy ksiądz?

— Zaraz będzie, towarzyszu, członku Rady Wojennej. — I zrobiwszy gwałtowny ale bardzo regulaminowy zwrot w lewo, nasz junacki „staruch” pobiegł w kierunku zarośli.

Po upływie dwóch minut stanął przed nami mężczyzna w średnim wieku o przyjemnym, inteligentnym obliczu. Zamiast długiej sutanny i czarnej czapeczki miał na sobie dobrze dopasowane cywilne ubranie i wysokie buty. Tylko katolicki krzyż na jego piersiach zdradzał niezwykle zawód nocnego gościa.

— Wy naprawdę ksiądz? — spytałem za pośrednictwem Pawłowcewa.

— Powołania się nie wypieram.

— Czemu nam pomagacie?

— Was to dziwi?

— Prawdę mówiąc, tak.

— Ratujecie świat od szatana i apokaliptycznych okropności.

A prócz tego jestem Polakiem i kocham Polskę.

— Naprawdę znacie zaminowane pola po tamtej stronie Wisły?

— Ja oraz moja parafianka, Katarzyna Stefanówna i jej syn, Mikołaj, gotowiśmy pokazać wam przejścia.

— A więc, Michale Jefimowiczu, poruczymy tę sprawę Pawłowcowowi. Pawle Ławrowiczu, zorganizujcie ich przeprawę na drugi brzeg i dajcie pomoc Podgorbuńskiemu.

Po odejściu Polaków poszliśmy brzegiem do Machówki, gdzie mieliśmy nocować.

Po ostatecznym opanowaniu przepraw przez Wisłę i zdobyciu dostatecznie dużego terenu, dla dalszych operacji w kierunku Sandomierza, Popiel udaje się na posiedzenie Rady Wojennej Frontu.

Na posiedzeniu Rady Wojennej Frontu podano nam do wiadomości dokumenty, dotyczące zachowania się naszych wojsk w Polsce. Naprzód odczytano nam oświadczenie Komisariatu Ludowego Spraw Zagranicznych o stosunku ZSRR do Polski. W ós-

wiadczeniu tym, na przestrzeni jakichś dwudziestu wierszy, znaleźliśmy odpowiedzi na pytania, które nurtowały Front: 1) Wojska sowieckie zdecydowane są do końca rozgromić wrogie niemieckie armie, 2) Polska będzie przywrócona do życia jako niezależne, silne, demokratyczne państwo, 3) rząd sowiecki odnosi się do Polski jako do suwerennego, zaprzyjaźnionego państwa i nie zamierza wprowadzać na jej terytorium własnej administracji.

Następnie marszałek Koniew udzielił głosu Wandzie Wasilewskiej. Znana polska pisarka była w owym czasie zastępcą przewodniczącego Narodowego Komitetu Wyzwolenia, to znaczy zastępcą premiera tymczasowego rządu Republiki Polskiej. Jacenko już zdążył mnie poinformować, że imię Wandy Wasilewskiej dodało wiele autorytetu Komitetowi Wyzwolenia. „Bardzo dobrze ją znany” — mówili Polacy. Po jej wystąpieniach w Jarosławiu aktywność ludności miejscowej w dziele organizowania miejscowych władz, wydatnie wzrosła. Podobne informacje otrzymywaliśmy i od innych oficerów. W walce klasowej, jaka rozwijała się wtedy w Polsce, autorytet Wandy Wasilewskiej, jako pisarki, która całe życie walczyła piórem z hitleryzmem, był poważną siłą polityczną. Nie bez powodu wrogie nam elementy rozpoczęły już prowokacyjne napaści na nią.

Wasilewska odczytała manifest, wydany przez Polski Komitet Wyzwolenia. Czuliśmy wszyscy, że następuje zwrot w historii świata. Przez chwilę zarysowała się przed nami przyszłość Europy.

„Zerwicie się do walki o wielkość Polski, o zwrot matce-ojczyźnie, dawniej polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o polskie słupy graniczne na Odrze! — grzmiał głos Wandy.

Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczne dążenia polskiego chłopca do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia przystąpi natychmiast na terenach wyzwolonych do przeprowadzenia najszerzej reformy rolnej — czytała dalej Wasilewska.

Czołgi nasze, idące na zachód, niosły ze sobą nie tylko uwolnienie od niewoli faszystowskiej: na gruzach trzeciego Reichu narody zaczęły urzeczywistniać swoje marzenia o ziemi i sprawiedliwości”.

Ukończywszy czytanie manifestu Wanda przystąpiła do udzielania nam informacji o położeniu w kraju. W terenie wrzała walka o władzę między partiami. Było ich kilkadziesiąt. Agenci londyńskiego rządu organizowali masowy sabotaż urzędników Komitetu. W kraju srożyła się drożyzna, brakło żywności. Elementy kryminalne dokonywały masowych grabieży, zabójstw. „Szczególną ak-

tywnością w tym względzie odznacza się ataman 'Złota Rączka' — uśmiechnęła się Wanda. Wśród zebranych przeleciał śmiech: wszyscy pamiętali naszą 'królową Odessy, Sonię' ”.

Wanda prosiła, aby wzmóc czujność i szczególnie troskliwie strzec banków i magazynów przed napastnikami. Drugą prośbę przedstawiciela rządu polskiego trudniej było wypełnić: chodziło o to, aby w miarę możliwości uchronić od zniszczenia na wyzwalanym terenie domy, fabryki, zakłady przemysłowe — a więc majątek nowego państwa. Trzecia prośba sprowadzała się do zorganizowania pomocy w robocie propagandowej. Chłopa polskiego otumaniał nie tylko Goebbels, ale i Piłsudski z Mikołajczykiem. Dla ludzi ciemnych terminy „kolektywizacja”, „sowietyzacja” — były postrachem, a niektórzy uważali ludzi sowieckich za pierwotnych barbarzyńców, niemal że z rogami na głowach i z kindzłami w zębach.

— Pomóżcie nam rozwiązać te przesady, organizujcie pokazy filmów dla ludności, koncerty waszych zespołów. Przecież nasz naród jest cudowny, wolny, śmiały! Zasługuje na waszą przyjaźń!

Wanda przemawiała dumnie, oczy jej błyszczały, głos był nie po kobiecemu twardy.

— Na zebraniach mężczyźni gromadnie proszą o przyjęcie wojska, a kobiety jeszcze ich popędzają! W województwie Kieleckim, do którego teraz wchodzi czerwona armia, zobaczycie naszych partyzantów. Walczą wspaniale! Na nieszczęście wśród polskich polityków zawsze byli miernego kalibru awanturnicy i afezyści. Obecnie ci — pozał się Boże — politycy rozpoczęli powstanie w Warszawie, nie uzgodniwszy swoich działań z dowództwem sowieckim. Wykorzystali zaufanie patriotycznej ludności, która chwyciła za broń, rozpoczynając to nieprzygotowane powstanie. Tym niemniej Warszawa toczy w tej chwili bój z faszyzmem i patriotom polskim trzeba pomóc. To jest ostatnia nasza prośba.

Marszałek Koniew wstał i w imieniu dowództwa sowieckiego obiecał dołożyć wszelkich starań, aby wypełnić prośby Polskiego Komitetu Wyzwolenia.

Po sforsowaniu w kilku miejscach Wisły i po bardzo ciężkich walkach z wojskami niemieckimi pod dowództwem generała Balka, Popiel dostaje przez radio wiadomość, że Sandomierz jest zdobyty. Popiel udaje się do Sandomierza. Po drodze Dowódca czołowych wojsk atakujących Sandomierz raportuje Popielowi: Od siódmego kręcimy się koło tego przeklętego Sandomierza. Nawet już w samym mieście walki uliczne trwały trzy dni. Bronią Niemcy tego miasta zupełnie jakby jakiejś stolicy. Walczą jak wściekłe diabły; mamy już na za sobą dwadzieścia dob nieprzerwanych bojów, dniem i nocą, dniem i nocą.

Tak rozmawiając, nie zauważyliśmy kiedy dojechaliśmy do Sandomierza.

Starożytne miasto w zasadzie ocalało. Taktyka manewru otoczenia czołgami uratowała je. Garnizon rozbity na kilka części nie zdołał zamienić owego węzła sześciu dróg na „tradycyjną pustynną strefę”. Auto nasze minęło w pędzie jakby olbrzymi jar, otaczający miasto od południa.

— Zupełnie jak wielka fosa twierdzy — rzekł mój towarzysz.

Sandomierz istotnie sprawiał wrażenie twierdzy z czasów feudalnych. Baszty kościołów, dzwonice, ostre, kryte dachówką dachy domów idące w niebo, szary kolos antycznego zamku — zewsząd wiało prastarym rycerskim średniowieczem. Nasz opancerzony pojazd zwiadowczy wolno krążył ulicami Sandomierza; były one poprzecinane rowami strzeleckimi, rowami komunikacyjnymi, umocnionymi gniazdami ogniowymi. Czasami drogę zagradzała kamienna albo żelazna barykada. Nasz kierowca, z trudem hamując klątwy, manewrował między drutami kolczastymi. Wokół stały martwe już działa i karabiny maszynowe; wszędzie leżały trupy Niemców. Czasami trzeba było zjechać aż na chodnik, aby ominąć dopalający się, dymiący jeszcze czołg. Na szerokiej Wiśle czerniał pomieć, rozbity na kawałki most kolejowy. Nieopodal zawałiły się do rzeki przęsła mostu dla ruchu kołowego.

Przejeżdżaliśmy obok kościoła; na jego dachu nadal widać było sterczącą lufę niemieckiego karabinu maszynowego. Za kościołem stał w zieleni maleńki sadek, pełen jabłoni. Topole i dęby, lipy i sosny miejskiego parku poczerniały od ognia; leżał tu miękki cień cichutko szeleszczących liści. „Ulica Mickiewicza” — głośliła bardzo porządna tabliczka. W sadzie znalazł przytułek wózek dziecienny.

Maszyna przeszła jeszcze kilka metrów i zatrzymaliśmy się obok martwego ciała obnażonej kobiety. Piersi jej były rozcięte jakimś ostrym narzędziem, a całe ciało pokryte sińcami od uderzeń. Obok kilku żołnierzy zdejmowało ciało jakiegoś młodego człowieka: było przebite na wylot ostrym suchym konarem. Przypomniał mi się Wołodia Podgorbuński z dwoma dziewczynkami w Jarosławiu: dzicz, barbarzyńskie okrucieństwo, a więc to, co zazwyczaj nazywamy „bestialskim wyszczerzeniem zębów faszyzmu”.

Na północnym skraju Sandomierza znajdowały się budynki garnizonu. Domy przypominały tutaj zamki. Wrażenie to wzmacniał widok przystawionych do okien drabin pożarowych; po tych drabinach szturmujące oddziały wdzierały się do wrażeń schronów. Przy wyjeździe z miasta, obok studni, zebrała się grupa

żołnierzy. Komenderował nimi oficer, Pawłowcew. Przyhamowaliśmy.

— Nie wolno, panie! Nie wolno! — straszny krzyk przebiegł nagle ciszę ulicy.

Jakaś polska staruszka machała do nas z okna rękami. Po sekundzie wybiegła z na wpół spalonego domu na drogę i zaczęła coś długo i niejasno tłumaczyć Pawłowcewowi. A kiedy skończyła podała mu niewielki dzbanek z mlekiem.

— O co chodzi? — spytałem.

— Ona opowiada, że nie można pić wody ze studni. Przed pięciu dniami Niemcy potopili w tej studni kilku ludzi. Chciałem wziąć wody dla rannych i oto...

Obok nas przechodziły wojska sowieckie. Ludzie wyłazili z ocalałych domów, z rozwalin — i uroczyście witali te wojska: „Niech żyje czerwone wojsko! — grzmiało po ulicach. „Niech żyje Rosja”. — Ktoś zaczął śpiewać hymn polski. Wszyscy mieli na rękawach biało-czerwone opaski. Skąd ci ludzie nabrali tyle kwiatów?! Zewsząd leciały na czołgistów bukiety. Czołgiści chwytali je w locie. Z początku na ich obliczach malowało się pełne niedowierzania zdumienie: w kapitalistycznym kraju i tak ich witają! Poniektórzy ostrożnie obmacywali bukiety — czy nie ma tam bomby lub miny. Banderowcy nauczyli ich ostrożności. Ale radość wyzwolonego narodu była tak spontaniczna, tak szczerze szalała nad miastem wbrew wszelkim bombardowaniom, że powoli i na twarzach męźnych czołgistów ukazały się uśmiechy.

Dnia tego otaczało nas zewsząd cudowne ciepło miłości bratniego narodu. W szpitalu dokąd następnie udaliśmy się, dało się to odczuwać na każdym kroku.

Wielkim słowem „szpital” określało się kilka piwnic, szop i mieszkalnych izb. Już kiedy podchodziliśmy do jednego z „oddziałów” uderzyła nas głęboka cisza, jaka tam panowała. Nie było słychać przygnębiających jęków, rozdzierających krzyków.

Pawłowcew po drodze raportował:

— Zorganizowałem trochę polskich dziewcząt do opieki nad rannymi. Poprosiły mnie, aby je zapoznać z naszymi dziewczętami. Proszę mi darować śmiałość: w naszym imieniu zażądałem, aby przysłano z naszego szpitala kilka kobiet: lekarzy, siostr, sanitariuszek. Jakże zdziwiły się Polki, kiedy zobaczyły nasze kobiety-lekarzy i w dodatku jako oficerów. W każdej wolnej chwili wypytują nasze przyjaciółki o życie u nas. Będziecie mi wymyślać?

— Nie mogę nic innego powiedzieć, prócz pochwał.

Po ciemnych, skrzypiących schodach schodzimy do piwnicy. Polskie dziewczęta właśnie karmiły chorych. Cóż to były za ślicznotki. Zdawało się, że wszystkie jedna w drugą — to piękności!

Ciemne łuki brwi otaczały szare oczy, biała chustka na głowie nie ukrywała pysznych, ciemnych włosów, delikatne rysy twarzy mogły zdobić oblicze każdej Madonny. Wśród nich było kilka zakonnicy. Ale nawet habit i biała pelerynka pustelnicy nie mogły pozbawić je cudownego kobiecego czaru.

Łóżek tutaj nie było; ludzie leżeli wprost na podłodze, na podściółce ze słomy. Ale w każdym drobiazgu odczuwało się polską wdzięczność dla oswobodzicieli: pod głowami żołnierzy leżały domowe poduszki, niektórzy mieli prześcieradła z monogramami z łańskich liter, inni okryci byli kratkowanymi kołdrami sandomierzan.

Wbiła mi się w pamięć pielęgniarka, która jedną ręką łyżeczką karmiła żołnierza, drugą zaś delikatnie, pieśczośliwie gładziła go po włosach. Ranny bardzo cierpiał — wiele trudu kosztowało ją, aby go skłonić do rozwierania zębów i przełknięcia odrobiny kaszy. Raz o mało co nie poddał się bólowi, cichutko jęknął. Czułe, wąskie palce siostry chwyciły mocno czarną od smarów i metalu rękę żołnierza. Żołnierz zamilkł, tylko silnie zacisnięte wargi i skamieniałe oblicze zdradzały, ile męki kosztowało to milczenie.

Na „oddziale” panowała cisza i spokój, które lepiej niż lekarstwa przywracały do życia bohaterów wojny.

Autor bardzo szczegółowo opowiada o ciężkich bojach, które doprowadziły do rozbitcia sandomierskiej grupy przeciwnika, przy czym dyskutuje z b. naczelnikiem sztabu niemieckiej 4-ej armii czołgów, generałem-majorem wojsk czołgowych, von Mallentinem. Ten ostatni napisał książkę pod tytułem: „Walki czołgów w latach 1939-1945”, poświęconą głównie, jak mówi Popiel, działaniom wojennym grupy generała Balka. W książce tej von Mallentin twierdzi, że chociaż wojska sowieckie utrzymały pole w bitwie pod Sandomierzem, to jednak pełna poświęcenia walka grupy wojsk niemieckich pod dowództwem gen. Balka, doprowadziła do tego, że armia sowiecka musiała przerwać dalsze posuwanie się naprzód na pięć miesięcy. Popiel wykpiwa te oceny, mówi o olbrzymich stratach Niemców a więc o całkowitym zniszczeniu 42 korpusu czołgów i o kompletnym wykrwawieniu 48 korpusu czołgów. Popiel twierdzi, że dowództwo sowieckie po zajęciu punktów wypadowych po sforsowaniu Wisły pod Baranowem i Tarnobrzegiem a następnie rozszerzeniu terenu wypadowego do dalszej ofensywy do 120 kilometrów długości i 50 kilometrów szerokości — nie miało zamiaru prowadzić od razu dalszej ofensywy, a tylko zatrzymać swe wojska dla zreorganizowania oddziałów, wyczerpanych długimi pochodami i uciążliwymi walkami — stąd pięćmiesięczna przerwa przed rozpoczęciem następnego natarcia.

Dla armii przyszła przerwa między walkami. Załogi i mechanicy doprowadzali w tym czasie zespoły czołgowe do nowej gotowości bojowej. Dowódcy studiowali doświadczenia tylko co przebytych walk, a my, polit-robotnicy podsumowywaliśmy rezultat partyjno-politycznej roboty, ostrzyliśmy broń ideową, uczyli-

my się sami i uczyliśmy innych. Należało dalej rozpalać w ludziach nienawiść do faszystów, oddanie dla wysokich ideałów i naszej walki dla dobra ludzkości.

Wybrawszy z każdej brygady szeregowych, oficerów i politrobotników, zorganizowaliśmy dla nich wycieczkę do Majdanka.

Ten obóz śmierci położony był zaledwie o kilka kilometrów na południe od Lublina. Z drogi, która przechodziła obok obozu, trudno go było dostrzec, gdyż między drogą i drutami kolczastymi, otaczającymi obóz, ciągnęły się ogromne zielone ogrody warzywne. Pysznie tu rozwijały się i rosły warzywa, nawożone popiołami z krematoriów. Prochy setek tysięcy ludzi wysypywano tu na grządki a ochrona złożona z SS-ów korzystała zawsze z dużej ilości witamin.

Poprowadzono nas wzdłuż kilku rzędów drutów kolczastych po których jeszcze niedawno biegł prąd wysokiego napięcia.

Na lewo od wrót stały składy przemysłowe. Panował w nich wzorowy porządek, idealna niemiecka drobiazgowość. Pierwszy skład był składem obuwia. Obuwie to rozłożone było na stojakach według rozmiarów. Nad każdym stojakiem była etykieta z oznaczeniem numerów: 44,40,39. Każda para tych bucików była zdjeta z nieboszczyka, oczyszczona z błota i krwi i przygotowana do wysyłki: nic nie mogło przepaść *Vaterland*'owi, wszystko należało wykorzystać.

Ta parada butów kończyła się malusieńkimi dziecinnymi pantofelkami. Bezsilne, wygniecione, z naderwanymi guziczkami, zdawały się jeszcze tchnąć ciepłem maleńkich nóżek. W oddzielnym rzędzie stało obuwie ortopedyczne. Porządek — główna rzecz — porządek, rozrachunek, kontrola. W następnym składzie przechowywana była odzież. Bardzo akuratanie pozawieszano na wieszakach ubrania, palta, kurtki dziecinne. Obok — całe rzędy pasiaków z umieszczonymi na rękawach trójkątami, stosownie do narodowości więźnia. Każdy chałat na wieszaku z numerem i znakiem obozu koncentracyjnego. Przecież nieboszczykowi nie potrzeba żadnej odzieży. A więc przed straceniem każdy musiał zdjąć chałat i starannie powiesić go na wieszaku. Tego samego dnia chałat zarzucano na ramiona nowoprzybyłego śmiertelnika. „Jak najmniej wydatków” — było dewizą administracji obozu.

Jeszcze jeden skład zapełniały włosy. Tutaj także zdumiewający porządek: włosy brunetów — oddzielnie, szatynów — oddzielnie, blondynów — oddzielnie. Oddzielnie też wisały długie damskie włosy, oddzielnie dyndały ogonki włosków dziecinnych. Potem szedł skład zębów: oddzielnie w wielkim porządku uszeregowane protezy, złote koronki.

Ale gestapowcy byliby złymi gospodarzami, gdyby zadowolili

się zębami, włosami i odzieżą. Istota ludzka była wykorzystywana w tej gigantycznej rzeźni do najostateczniejszych granic. Pokazano nam czystą salę z prysznicem. Tutaj myli się więźniowie. Zaprowadzono nas do drugiej czystszej sali, gdzie stały stoły z marmurowego tłucznia. Obok nich błyszcząca i lśniła się skomplikowana medyczna aparatura dla wypompowywania krwi z żywych ludzi. W następnym pomieszczeniu wyciągano z trupów specjalnymi urządzeniami ostatki tłuszczu. Jeszcze dalej — zdzierano skórę. Powiedziano nam, że torebki i abażury z ludzkiej skóry, szczególnie z tatuowanej, były bardzo cenione. Resztki więźnia — kości z wnętrznościami i mięśniami, spalano w piecach na popiół, który szedł — jak już wspomniałem — na użyźnianie ogrodów.

Ale tych nieboszczyków i kandydatów na nieboszczyków było zbyt wielu: fabryka nie dawała sobie rady. SS-owcy pomagali temu przemysłowi: rozwalali czerepy żelaznymi pałkami, które obecnie stały obok pieców. W ten znów sposób osiągnęto „oszczędność” w zużyciu ołowiu. W księgach szpitalnych widzieliśmy zapisy, dotyczące wagi więźniów: dorosły mężczyzna — 32 kilogramy. Z takiego niewiele tłuszczu da się wytopić. Jego żółtka skóra nie nadaje się na torebkę dla Freiliny, a i krwi nie wiele można wyciągnąć. Takich prowadzono na piąte pole.

Byliśmy tam i my, podczas gdy aresztowani faszystowcy oprawcy odkopywali trupy swoich ofiar. Z bryty rozgrzebanej gliny wyrzała na świat nożyna dziecka. „Degeneraci! Oprawcy! Mordercy! Sadyści!” — pałali wściekłym gniewem Polacy. Tutaj spędzano całe kolumny więźniów. Układano ich w ciasne rzędy i następnie zasypywano ołowiem z automatów. W godzinach tej rzezi grzmiały głośniki, zagłuszając przedśmiertne krzyki i rżenia. Wszyscy wiedzieli, że gdy fox-trott zmieniał rumbę — rozstrzeliwują.

Widzieliśmy balony ze strasznym gazem, „cyklonem”. Gaz był specjalnie przygotowywany „tylko dla Wschodu”. Okazało się, że „cyklonu” jest za mało. Zaczęto truć ludzi chlorem. Poprzez niebieski wziernik prowadzono bardzo regularne obserwacje. Opowiadano nam, że i krematoria nie nadążały. Niszczono tutaj po osiemnaście tysięcy ludzi dziennie, a były dni gdy cyfra ta sięgała trzydziestu tysięcy. Esesowiec Mundfeld podnosił temperaturę pieców do 150° stopni, proces spalania przyśpieszał się. Początkowo trupy niszczone w ciągu czterdziestu pięciu minut, potem w ciągu czterdziestu, trzydziestu, dwudziestu pięciu. Nadto ciężo trupy na części: wtedy zamiast sześciu — wchodziło do pieca siedem. Prawie dwie normy dziennie wypełniał Führer. Zajrzeliśmy do pieców; cegła uległa zdeformowaniu pod wpływem

niezwykłego żaru, żeliwne szyby uległy stopieniu. Przyznaję, że nawet nam, czołgistom, robiło się strasznie w tym łągrze...

Ginęeli tutaj Rosjanie, Polacy, Żydzi, Włosi, Czesi, Ukraińcy, Grecy, Serbowie, Litwini, Albańczycy, Łotysze, Białorusini — półtora miliona ludzi.

Później dowiedzieliśmy się jakie były plany hitlerowców w stosunku do Polski i innych wschodnich narodów.

Odtąd — pisał Frank, generał-gubernator Polski w r. 1939 — polityczna rola narodu polskiego jest skończona na zawsze. Obwieszcza się, że jest on tylko siłą roboczą, niczym więcej... Osiągniemy to, że na wieki będzie starte samo pojęcie Polski.

Ludność nie niemiecka wschodnich prowincji nie powinna mieć szkół wyższych — pisał w r. 1942 wódz SS i Gestapo, Himmler. Wystarczą czteroklasowe szkoły ludowe. Celem nauczania w takiej szkole powinny być: zwykły rachunek, najwyżej do pięciuset, i umiejętność podpisania się. Nadto wpajanie, że nauka boska polega na tym, aby słuchać się Niemców, być uczciwym, starannym i posłusznym. Umiejętność czytania uważam za zbędną.

U tych aryjczyków naród polski czekał los bydła roboczego. Wszystko co żywe a niepokorne, myślące, powinno zapełnić piece Majdanków.



Obecnie w Majdanku odbywały się codzienne mitingi. Tłumy wierzących śpiewały „Bogurodnicę” — komuniści — znamienitą polską „Rotę”. Zdawało się, że składają przysięgę pomszczenia Majdanka. Na mitingach występowali ludzie, cudem ocaleni od zagłady.

— „Widziałem — mówił przy nas woźnica Władysław Skowronek — widziałem na własne oczy, jak kobieta z SS przypro-wadziła do krematorium sześcioro dzieci. Kruszyny te miały od czterech do sześciu lat. Naczelnik krematorium, Mundfeld, własno-ręcznie je rozstrzeliwał i odsyłał do pieca”.

— „Widziałam, jak SS-ówka zabijała moje przyjaciółki. Rozebrała do naga i tłukła biczem. Zasiękała je na śmierć, starając się cały czas trafiać biczem w piersi, w organy płciowe” — opowiadała inna więźniarka Majdanka.

Nie dowiedzieliśmy się wtedy nazwiska tej SS-owskiej sadydystki. Obecnie wiemy, że była nią Elza Koch, otrzymująca teraz emeryturę od rządu NFR.

Ze szczególną zgrozą więźniowie wspominają „kapo”. Objaśniono mnie, co to było i co to znaczyło. Otóż do jednego i tego samego obozu sadzano prócz więźniów politycznych, także prze-

stępców kryminalnych. Z tego beznadziejnie zdemoralizowanego elementu stwarzano coś w rodzaju pomocniczej policji. Dawnym zabójcom pozwalano w obozie robić to, za co w gruncie rzeczy byli skazani: mordować i grabić ludzi. Każdy „kapo” miał swój ulubiony sposób zadawania mąk: jeden walił butem w tętnicę na szyi, drugi tańczył na brzuchu ofiary, trzeci druzgotał dębczakiem kręgi szyi, czwarty zmuszał więźniów do nurkowania i bił pałką wynurzające się z wody głowy.

W obozie lubiono silne wrażenia.

Przypomniał mi się napis, jaki poeta umieścił nad wrotami piekieł: „Wszyscy, którzy tu wchodzić, zostawcie za sobą wszelką nadzieję”.

Przyszły nowe rozkazy, przydzielające Pierwszą Gwardyjską Armię Czołgów do Pierwszego Białoruskiego Frontu — z poleceniem zgrupowania Armii na północ od Lublina. Białoruskim Frontem dowodził wtedy Żukow, który przyszedł na miejsce poprzedniego dowódcy, Rokossowskiego, przeniesionego na dowódcę Drugiego Białoruskiego Frontu. Autor wraz z Katukowem jadą, aby spotkać się z nowym dowódcą.

Po krótkiej wstępnej rozmowie Żukow proponuje zjedzenie z nim śniadania.

Żukow był bardzo prosty, bezpośredni, spokojny i szczerzy. W domku, który zajmował, trwa wyteżona praca: mapy, schematy.

— Siedziałem tutaj kilka dni — objaśniał, widząc, że się rozglądamy — obmyślając plan następnej operacji. Chodziło mi głównie o to, jak manewrować armiami czołgowymi. Czy puszczać was oddzielnie, czy razem z Bogdanowem? W zasadzie wszystko już obmyśliłem i dałem dowódcy sztabu do ostatecznego wykończenia. Jutro pojedę do „Naczelnego” z moim planem do zatwierdzenia.

Miał taki zwyczaj mówienia: „Prosiłem Naczelnego, meldowałem Naczelnemu, rozmawiałem z Naczelnym”. Świadomie, bądź podświadomie, stale przypominał rozmówcy, że nie jest zwykłym dowódcą Frontu, a pierwszym zastępcą głównodowodzącego.

— Spotkamy się jeszcze — żegnał się z nami. — Jak tylko wrócę, odwiedzę waszą armię. A teraz zameldujcie się, komu należy i zajmijcie się przygotowaniem bojowej gotowości. Szykujcie się, szykujcie i jeszcze raz szykujcie. Przed nami wielkie zadanie.

Jakoś ulżyło na sercu po tej rozmowie.

— Ach, żeby on zawsze był taki! — marząco odezwał się Katukow. To by była służba!

Następnie odwiedziliśmy członka Rady Wojennej Frontu, generała-porucznika Telegina. Katukow złożył mu sprawozdanie i

odmeldował się, chciał bowiem odwiedzić jeszcze innych dowódców. Ja zostałem. Telegin interesował się wszystkimi szczegółami, dotyczącymi życia armii: kadrami, wartością uzupełnień, jakością i ilością środków transportowych, zaopatrzeniem wszelkiego rodzaju i wielu, innymi rzeczami. Stąd raport mój musiał być długi i szczegółowy.

— No, a jak się czujecie z nowym dowódcą frontu? — pytałem.

— Na razie nieźle. Oczywiście trochę trudniej, niż z Konstantynem Konstantynowiczem Rokossowskim. Styl ich pracy różni się zupełnie. Kiedy Rokossowski planował operację i dowodził nią, wrastał niemal organicznie w sztab — dowodził kolektywem. Ten zaś — całkiem inaczej: siedzi w swoim domku nad mapami, czasami zadzwoni do sztabu albo do któregoś z dowódców, coś tam sobie wyjaśni i potem już daje sztabowi zupełnie gotowe zadanie do przeprowadzenia w planach i rozkazach.

Nie wtrącam się do operacyjnej strony zagadnień — w tym Żukow jest istotnie bardzo mocny. Nabył wiele doświadczenia, gdy jeździł do najrozmaitszych dowództw frontów. Plan operacji nakreślił bardzo dobrze, co prawda, to prawda. Ale — tak po ludzku mówiąc — lepiej było pracować z Rokossowskim

— Słyszałem, żeś zamierzał się do niego przenieść?

— Był taki wariant, ale nie udał się. Mówiąc między nami, kiedy Żukow dowiedział się o tym, zrobiła się awantura! Krzyczał na Rokossowskiego: „Cóż to, ja jestem gorszy od ciebie, że Telegin nie będzie mógł ze mną pracować?”. Zamierzał nawet skarżyć się do Naczelnego na Rokossowskiego. Tak, dwa lata przewożowałem razem z Rokossowskim, doskonale się zgraliśmy — zostały najlepsze wspomnienia.

— Znam Konstantyna Konstantynowicza — czarujący człowiek.

— Co, razem walczyliście?

— Nie, służyłem u niego w kawaleryjskim korpusie.

— W jakich latach?

— Do trzydziestego ósmego. A potem byłem obecny na pewnej naradzie w Leningradzie... Ówczesny naczelnik PUR'u³, Smirnow, przyjechał specjalnie, aby kierować tą naradą.

— A-aa! — ze zrozumieniem rozciągnął swój wykrzyknik Telegin.

— Zebrano wtedy wszystkich komisarzy wszystkich skupień wojskowych i poinformowano nas, że Primakow, zastępca dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojennego, powsadzał wszędzie swoich

3. PUR — Zarząd Polityczny Armii Czerwonej.

przyjaciół-zdrajców i jako pierwszego wymieniono naszego dowódcę korpusu. Smirnow tak zakończył swoje przemówienie: „Wróg ludu, Primakow, wszędzie powsadzał zdrajców spośród „czerwonych kozaków”. Wielu z nich już aresztowano. Natychmiast macie przeprowadzić zebrania aktywistów i rozwinąć walkę z zamaskowanymi wrogami”.

— No i jak przeszły owe zebrania aktywistów?

— Z narady udałem się do Ostrowa. Stała tam jedna dywizja naszego kawaleryjskiego korpusu. Komisarzem w niej był mój wielki przyjaciel, Dymitry Kułakow. Siedzimy w wagonie, naradzamy się. Dymitry mówi: „Nie rozumiem, jak mam przeprowadzić to zebranie aktywistów. Dowódcę korpusu znam bardzo dobrze. Bohater Wołoczajewki, wobec partii kryształowo uczciwy człowiek. I nagle — wróg! Co robić?”. Cóż mogłem mu poradzić? Zdecydowałem się pojechać do niego do Ostrowa i zobaczyć, jak on to zebranie aktywistów przeprowadzi. Rozkaz z Leningradu już był dany telefonicznie, więc wprost z dworca kolejowego udaliśmy się na to zebranie aktywistów: kazano jak najszybciej wyłowić wrogów. Patrząc po ludziach: twarze dobre, otwarte; niektórych znam jeszcze z wojny cywilnej, jako uczciwych i oddanych sprawie żołnierzy. Smirnow zaś powiedział, że pełno tutaj trockistów, ale jak ich odnaleźć? Na czole nikt nie ma wypisane, że jest trockistą. Zaczął Kułakow. Opowiedział swoimi słowami z czym wystąpił Smirnow; kiedy jednak doszedł do dowódcy korpusu, machnął pięścią i oświadczył: „Chociaż on już jest aresztowany — nie wierzę. Znam go — on jest prawdziwym, szczerym komunistą i tyle ma zasług wobec Ojczyzny, że życzę każdemu”.

Ale tutaj od razu ci „ultraczejni” podnieśli szum: „Tyś sam z „czerwonych kozaków”, kryjesz wrogów”. Po zebraniu aktywistów Dymitry od razu dokądś wywieziono.

— Gdzie Kułakow obecnie?

— Przed wojną zwolniono go, służył na morzu Bałtyckim. W czterdziestym pierwszym zginął po bohatersku pod Leningradem.

Konstanty Fiedorowicz rzekł cicho:

— Obecnie sprawdzanie wierności ojczyźnie idzie krwią serdeczną. Weźcie choćby Bogdanowa, waszego przyjaciela. Też przecież były „wróg ludu”. Ciężko ranny pod Lublinem, przelewał krew. Doskonale dowodzi drugą Armią Czołgów. Dostał tytuł Bohatera Związku Sowieckiego.

Znam go jeszcze z Leningradzkiego Okręgu Wojennego — wspominałem. Krew z krwi putiłowiec. Ciągłe coś nowego wprowadzał do bojowego wyszkolenia: nocne strzelanie i wiele, wiele innych rzeczy. Była to najlepsza brygada wojsk czołgowych! A u

nas z korpusu zabrano go jakoś koło pierwszego maja. W czterdziestym roku, kiedy go zwolniono pomagałem mu urządzić się w charakterze nauczyciela historii w średniej szkole w Łudze. Jego rodzinę doprowadzili podlecycy do tego, że się go wyrzekła, jako „wroga ludu”. Na zawsze zniszczyli mu życie rodzinne.

— Tak oto przetrzebili kadry! — podniósł trochę głos Telegin, co u niego było oznaką wielkiego podniecenia i wzburzenia. — Najlepsze kadry wytknęła nam banda Jeżowa. Dobrze, że choć niektórzy zachowali się; kiedy krajowi zrobiło się ciężko, ci ludzie poszli za niego krew oddawać.

— A w jaki sposób ciebie, Konstantynie Fiedorowiczu — ominął ten kielich goryczy? Byliście komisarzem u Blüchera i nie wpadliście do więzienia?

— Widać kolejka do mnie nie doszła — uśmiechnął się smutno Telegin. — Niewątpliwie czysty przypadek. Przecież ze starych kadr komisarzy ostali się tylko nieliczni.

Zastukano do drzwi. Wszedł wysoki, śniady brunet. Był to Semen Jakowlew Ozierański, zastępca naczelnika wydziału wywiadowczego Frontu.

— Proszę mi wybaczyć — zwrócił się do Telegina — są nowości z Warszawy. Sądzę, że Mikołaj Kiryłowicz również z ciekawością posłucha.

Znaliśmy się z Ozierańskim jeszcze z czasów przedwojennych, pracowaliśmy razem.

— Proszę raportować — rzekł Telegin.

Krótko i precyzyjnie Ozierański narysował sytuację w polskiej stolicy. Hitlerowcy już zdusili powstanie. Nie tylko bohaterscy powstańcy, ale także ich żony i dzieci poddani byli represjom i wtrąceni do obozów koncentracyjnych, za druty kolczaste. Dzieci sprzedawano na specjalnym targowisku w miasteczku Sierce: cena za dziecko wahała się około 25 marek. A tymczasem niektórzy kierownicy powstania, którzy liczyli na to, że zdołają wykorzystać wybuch pożaru nienawiści narodu dla pochwylenia kluczowych pozycji, dostali się do niemieckiej niewoli, do warunków nie gorszych — jak się wyraził Ozierański — od „londyńskich”. Odnosiło się to w pierwszym rządzie do głównodowodzącego „Armią Krajową”, generała Bora (onze hrabia Komorowski). Wywiad wojskowy zdołał ustalić jego los: po kapitulacji Bór znalazł się w rękach dowódcy oddziałów karnych, Obergruppenführera von Bach-Zalewskiego, swego dalekiego kuzyna. Ten obszedł się z krewniakiem bardzo łaskawie. Ozierański przypuszczał, że przyczyną „rycerskiej szlachetności” SS-owca były nie tylko związki krwi, ale przede wszystkim przychylny stosunek Bora do idei polsko-niemieckiego sojuszu przeciwko Rosji. Stało się

również wiadome, że dalszą troskę o Bora wziął na siebie jego przyjaciel z czasów rywalizacji sportowej (zdaje się, że chodzi o ping-pong — zauważył wywiadowca), niejaki Fegelein, krewniak Hitlera.

— Bór zrobił swoje — Bór może grać w ping-ponga — rzekł oburzony Telegin. W Warszawie był głód, wielki brak żywności, broni, medykamentów, a Bór — ten angielski utrzymanek — odmówił nawiązania łączności z nami. CK i PUR kazali mi codziennie informować ich o warszawskim powstaniu. A Bór towarzyszy z „Armii Ludowej” nie dopuszczał do stacji radiowych. Nasz wywiad musiał więc wszelkimi siłami, jakoś inaczej, zdobywać wiadomości.

Z innych wiadomości, przyniesionych przez Ozierańskiego, zapamiętałem informację o jakimś ciemnym typie w cywilnym ubraniu w otoczeniu Bora. Wywiadowi udało się ustalić, że był to zastępca emigracyjnego premiera, Mikołajczyka. Przygotowywał lądowanie w Warszawie „londyńskiego” rządu; był on również i równocześnie agentem „Intelligence Service”. Zupełnie wyraźnie kontrolował działalność Bora w interesie Anglii.

— Czy to już wszystko, towarzyszu Ozierański? — spytał wywiadowcę Telegin.

— O nie — i Semen Jakowlewicz położył przed nami wspólnie wydany i bogato ilustrowany periodyk. Na pierwszej stronie było zdjęcie niezwykle pięknej sali, wypełnionej ludźmi.

„Hiszpańska sala” praskiego Kremla — objaśniał Ozierański. Tutaj miały miejsce posiedzenia plenarne i konferencje zdrajców ojczyzny.

Odwrócił stronicę i zobaczyliśmy zdjęcie prezydium, mówców, najbardziej honorowanych gości, grupy delegatów.

— Oto figura numer pierwszy — wywiadowca wskazał na środkową fotografię.

Wysoki mężczyzna z końską mordą; długi frencz i spodnie. Kołnierz i rękawy frencza obramowane złotym lampasem, spodnie również z takimi lampasami. Rogowe okulary, uczesanie na jeża, ręka wsunięta za frencz.

— „Wybitny rosyjski dowódca, generał Andrzej Własow” — z trudnym do oddania humorem odczytał Telegin informację pod fotografią. — Popatrz Mikołaju Kiryłowiczu, zupełnie jak Szaszka Kiereński.

Na konferencji zebrały się szczątki czegoś, co było kompletnie rozbite: „ataman Wielkiego Wojska Dońskiego, Piotr Krasnow z synem, który na emigracji „dosłużył się” stopnia generał-porucznika, ataman „kubańskiego kozactwa” Szkuro — o wystających kościach policzkowych i ordynarnym obliczu chuligana,

w czerkiesce z naszytymi na niej gniazdami na naboje, przedstawiciel „Komitetu Pomocy”, petlurowiec Sergiusz Wojciechowski i wreszcie jacyś oficerowie w mundurach lejbgwardii, podporucznicy i esaulowie...

— O, i baby tu są...

— Zgodnie z tradycją! Pamiętasz żeński batalion Kiereńskiego?

Przewróciliśmy jeszcze jedną stronę. Na kolejnym zdjęciu protektor Czech i Moraw, Hans Frank, witał „nowego sojusznika Trzeciej Rzeszy”. A obok przedstawiony był „uroczysty akt podpisania umowy pokojowej z Niemcami”. W imieniu Rosji umowę podpisywał Prezydent, onże przewodniczący Zjednoczonego Komitetu Wyzwolenia narodów Rosji od bolszewickiego jarzma, onże głównodowodzący Rosyjską Armią Wyzwolenia, Andrzej Własow. Wynikało więc, że Hitler „już nie walczy z Rosją, a tylko pomaga swemu sojusznikowi, Własowowi, w oczyszczeniu jej od bolszewizmu”.

Hitler niczego nie żałował swoim popychłom: dwadzieścia milionów Reichsmarek dał na ROA (Rosyjska Oswobodzicielska Armia), nie licząc umundurowania i uzbrojenia. Zresztą umundurowanie wydano zwykłe, niemieckie, a tylko na rękawie faszystowskiego munduru dodano naszywkę: złożone na krzyż kości i litery „ROA”. Oto i cała różnica.

Telegin przewrócił jeszcze jedną stronicę i zawołał:

— Mikołaju Kiryłowiczu, popatrz, wszystko odbywa się, jak trzeba. Głównodowodzący Własow odbiera nawet przysięgę. Wzywa członków Komitetu do złożenia przysięgi! Patrz, pop błogosławi tych szubrawców. „Zwierchnik rosyjskiego prawosławnego kościoła zagranicą”, metropolita Anastazy, ma kazanie — przeczytał Konstany Fedorowicz. „Wielkie jest znaczenie kościoła prawosławnego! Właśnie w kościele prawosławnym czujemy się szczególnie Rosjanami i nie ma wątpliwości, że olbrzymią będzie rola wychowawcza naszej dawnej i wyzwolonej cerkwi w naszym wyzwolonym państwie”.

— Przez dziewięć dni odbywały się nabożeństwa w soborach na intencję powodzenia — zauważył Ozierański.

Jeszcze wyżej od Anastazego plunął jednak jego kolega, metropolita berliński i całych Niemiec, Serafim; ten po prostu oświadczył, że „bohaterom z ducha, wykonawcom wielkiego dzieła, sążone jest dokonać wyswobodzenia Rosji”. Tak więc nikczemny wyrzutek społeczeństwa, Własow, stał się „bohaterem z ducha”.

Tak się zdarzyło, że znałem byłego generała Własowa. W 1941 roku dowodził korpusem zmechanizowanym we Lwowie, był moim sąsiadem. Przyjaciele moi z jego korpusu opowiadali

mi o cechach jego charakteru. Mówiąc otwarcie, obraz był wcale niepociągający. Własow pochodził z rodziny drobnych gospodarzy niżęgorodzkich. Chodził do seminarium. W r. 1920 zmienił jednak poglądy: rzucił karierę duchownego i wstąpił do armii. Wtedy to skończył sześciomiesięczne kursy czerwonych dowódców i na tym skończyło się kształcenie przyszłego generała-porucznika.

Potem pluton, kompania, batalion, wykładowca taktyki w szkole piechoty, oficer sztabu okręgu. Rok 1938, kiedy to armia traciła wielu najlepszych swoich dowódców, stał się dla Własowa rokiem błyskawicznego pędu wzwyż. Został kolejno pułkownikiem, naczelnikiem wydziału wywiadowczego Kijowskiego specjalnego okręgu wojennego, dowódcą dywizji... „Powodzi się tym niedouczonej popom!” — rzekł kiedyś z goryczą Zujew. „Jakich ludzi wyniszczyli, a ten — cały. Widocznie siedzi za szerokimi plecami”.

Zaledwie kilka miesięcy był Własow dowódcą dywizji, gdy przyjechał Ludowy Komisarz Obrony, Timoszenko, wręczył Własowowi przechodni czerwony sztandar, order i wkrótce mianował go dowódcą korpusu zmechanizowanego.

Do tej chwili wyraźnie pamiętam tę falę oburzenia, kiedy dowódcy lwowskiego korpusu (a wielu z nich, np. dowódcy dywizji Fotczenko i Ogurcow, byli wybitnymi czołgistami) dowiedzieli się, że ich komendant korpusu nie ma ani wojskowego wykształcenia, ani doświadczenia bojowego, że nigdy naprawdę nie dowodził ani pułkiem ani dywizją i że w dodatku ani w ząb nie rozumie się na czołgach.

— „Osobliwość! Nie daj Boże z takim dowódcą korpusu iść na wojnę” — po przyjacielsku wypowiadał do mnie Piotr Fotczenko opinię ogólną.

Za jakież jednak zasługi i zalety pchano w górę tego szczywanego nieuka? Gdzie leżała tajemnica jego zdumiewającej kariery?

Według opinii jego towarzyszy w służbie wojskowej i zgodnie z moim wrażeniem, Andrzej Własow miał rzeczywiście wybitne zdolności w pewnym kierunku: był to na pewno wśród ludzi naszej armii jeden z największych lizusów, osobnik mydlący oczy i kłamliwie upiększający fakty. Na nieszczęście, w latach kiedy gwałtem usuwano z armii wielu naszych najlepszych dowódców dywizji, korpusów, armii i okręgów wojskowych — ludzi o mocnych i pełnych woli charakterach, powstawały pełne możliwości dla rozkwitu karier nędzników w rodzaju Własowa, bez zasad, ale za to posłusznych. Tacy umieli przedstawiać wszystko z najlepszej strony, bezwstydnie podawać za swoje owoce cudzej żmudnej pracy w armii, zgadzać się z każdym zdaniem zwierzchników,

choć i niesłusznym... Tak więc Własow żył w pełni pomyślności dopóki nie przyszła wielka wojna. Tu już nie było miejsca na to, aby zełgać lub czymś dogodzić — tu trzeba było walczyć...

Dowódca dywizji, która osłaniała odwrót Drugiej Armii Szturmowej wiosną 1942 r., opowiadał mi, że był ostatnim, który widział Własowa; znalazł go w izbie wiejskiej z kochanką. Zareportował mu, że dywizja musi odejść. Własow odpowiedział: „wypełnij swoje zadanie, ja wiem, co mam robić”.

W tej właśnie izbie, jak potem pisano w prasie niemieckiej, znalazł go faszystowski pułkownik Rychter. Własow siedział w kącie pod ikonami. Odstawiono go samolotem do Berlina...

— Konstanty Fiedorowicz, czytaliście artykuł w „Czerwonej Gwiazdzie”? Czy słusznie piszą, że Własow to stary trockista?

— Być może, że nawet trockista — diabli go wiedzą. — Po spokojnej twarzy Telegina przemknął cień niezadowolenia. — A artykuł sła biutki.

— Bo mnie się zdaje, że on zawsze był „rzodkiewką”...

Rzodkiewką w naszych czasach młodzieńczych nazywano maskujących się wrogów władzy sowieckiej: z wierzchu czerwony, w środku biały.

— A pamiętasz, jak nas bito za dobór kadr?

— Pamiętam!

— A przecież za taki dobór trzeba było nie tylko bić, ale i karać.

— Przede wszystkim jednak — mówił zamyślony Telegin — nie można zapominać, że z lizusa, amatora łatwo zdobywanych nagród, karierowicza mydlącego oczy w trudnych chwilach wyrósł złośliwy zdrajca. Trzeba pamiętać, że moralnie nikczemny typ, na ostrym zakręcie zawsze może się zmienić w element socjalnie niebezpieczny. Trzeba stale zachowywać nieprzejednaną postawę wobec oszustów!...

Następnie rozmowa przechodzi na szereg szczegółów przy przegrupowywaniu armii i składów zaopatrzenia w związku z zamierzoną operacją — nową, dalszą ofensywą... Telegin informuje autora, że Rada Wojenna zdecydowała że na stacje Leopoldów i Okszęę będzie przychodzić zaopatrzenie, a stacja Sobolew będzie stacją wylądowyczą zaopatrzenia. Autor z niepokojem mówi o tym, że w tych okolicach za mało jest roślinności, aby móc ukryć olbrzymie ilości broni, amunicji, benzyny, czołgów itp.

Na północnym przedmieściu niewielkiego polskiego miasta Siedlce, zebrał się na naradę kierownicy skład Pierwszego Białoruskiego Frontu: dowódcy armii, członkowie Rad Wojennych, dowódcy poszczególnych rodzajów broni i inni. Tutaj po raz pierwszy w czasie wojny mieli wziąć udział w grze wojennej na ma-

pach, oczywiście ściśle trzymając się ówczesnej sytuacji z punktu widzenia czekającego ich zadania.

Rada Wojenna każdej armii siedziała za oddzielnym stołem, na którym leżała teczka z mapami i dokumentami. Na teczce długi napis: „Warszawsko-Łódzko-Poznańska operacja”. W następstwie historycy nazwą to krócej i mocniej: „Wisła — Odra”.

Naprzód naczelnik Sztabu Frontu, generał-pułkownik Malinin, scharakteryzował położenie ogólne, jakie powstało w końcu 1944 roku. Prawie wszędzie przeciwnik został wyparty z terytorium Związku Sowieckiego; blok państw faszystowskich rozpadł się, Niemcy walczą już w pojedynkę. Przeciwko nam Hitler trzyma około 75% swoich najlepszych wojsk lądowych z zamiarem nie dopuszczenia Armii Sowieckiej do wschodnich prowincji Niemiec.

Być może, że swoje nadzieje bazuje na rozłamie w bloku antyfaszystowskim. Na głównym — berlińskim — kierunku strategicznym według posiadanych danych stworzono wielki system obronny, składający się jak gdyby z siedmiu granic. Ogólna głębokość tego systemu 400-500 kilometrów — od Wisły do Odry.

Następnie generał-pułkownik zrobił wykład o położeniu na Zachodnim Froncie. Opowiedziawszy o pomyślnym wyjściu Sojuszników na linię Zachodniego Wału niemieckiego, zakomunikował nam, że dnia 16 grudnia hitlerowcy przeszli do kontruderzenia w rejonie Ardenów i przerwali nieumocniony odcinek frontu na szerokości do stu kilometrów. Zagrożone są zniszczeniem cztery armie Sojuszników.

— Ani jednego oddziału, ani jednego karabinu — mówił Malinin — Hitler nie ściągnął ze wschodniego frontu. Na zachodzie ma on wszystkiego 73 dywizje, głównie *Volksturm*, tj. pospolite ruszenie, złożone ze starców, wyrostków i inwalidów. Wsadzili tych przygłuchawych i chorych na żołądki do umocnień, uzbrojono ich niemal jednostrzałowymi berdankami i nawet rewolwery dla nich zabrano służbie ochrony lotnisk. I oto ci trzymają w szachu armie sojusznicze już więcej niż cztery miesiące⁴. Z tych zaś odcinków frontu, które są nieczynne, zebrał Hitler ostatki swojej armii polowej i mocno stuknął Sojuszników. Wojska angielskie i dwie armie amerykańskie cofają się w kierunku Dunkierki.

— Droga znajoma. — Przyzwyczajeni uciekać w tamtą stronę — rzucił Wasyl Iwanowicz Czujkow.

— W operacji, która nas czeka — zaczął podsumowywać Ma-

4. Ten pogardliwy i lekceważący ton wobec Sojuszników znajdzie wielokrotnie swoje odbicie na kartach dzieła Popiela.

linin — naszemu a także Pierwszemu Ukraińskiemu i Drugiemu Białoruskiemu Frontowi przypadł honor stania się taranem, który ma rozbić główne siły przeciwnika, zbliżyć się do głównego celu, którym jest Berlin — i zatknąć sztandar zwycięstwa na samym legowisku faszystowskiej bestii. Tyle miałem do powiedzenia, towarzyszu marszałku — zwrócił się do Żukowa.

Szeleszczą mapy, na które już wczoraj z Michałem Aleksiejewiczem nanieśliśmy sytuację — i za siebie i za przeciwnika.

Stopniowo, godzina za godziną, zaczynamy rozpoznawać ideę ofensywy. Rozszerza się zakres pytań, wyrastają przed nami zadania, wypracowuje się metoda przerywania frontu niemieckiego. Ciekawe jest śledzić, jak w czasie gry wojennej ujawniają się organizacyjne i operacyjne talenty naszej generalicji. Od razu wychodziło na jaw przygotowanie każdego z obecnych, tu bowiem każdy mógł wypowiedzieć otwarcie, co myśli, ujawnić swoją opinię, każdy mógł proponować nowe warianty i rozwiązania skomplikowanych zadań... W końcu gry wojennej, sztab i dowódca Frontu, biorąc pod uwagę wszystkie wypowiedzi, dali ostateczne dyrektywy w sprawie zamierzonej operacji.

Wtedy zabrał głos Żukow; nakazał, aby plan operacji został rozpracowany z dowódcami wszystkich stopni, a następnie obwieścić:

— Rozmawiałem z Naczelnym. Naczelnny nas pogania: Sojusznicy gubią spodnie. Churchill przez radio domagał się pomocy, krzycząc o rozpaczliwym położeniu. Obiecaliśmy im ofensywę. Terminy podam później, ale czasu zostało niewiele. Pomoc ze strony lotnictwa będzie niewielka: prognozy pogody na styczeń kiepskie. Dlatego planowaliśmy operację na luty, ale nakazano nam pośpiech.

Rozjeździliśmy się do domów — do armii, przestudiowawszy każdą drogę, każde miasto, każdą rzeczkę, którą napotkamy na drodze pochodu armii. Zdawało się, że tak przepracowaliśmy marszrutę do Poznania, że z zamkniętymi oczyma mogłem sobie wyobrazić Łódź, Łowicz czy Kutno. Gra wojenna była znakomitym zakończeniem ogromnej przygotowawczej pracy w przeddzień tej największej i najszybszej operacji drugiej wojny światowej. Po powrocie ze sztabu operacja została z taką samą skrupulatnością rozegrana na mapach z dowódcami i sztabami korpusów, dywizji i brygad.

Autor twierdzi, że operacje przegrupowania Frontu do uderzenia odbyły się w sposób tak zakamuflowany, że z powietrza nie było nic widać; to zaś co było widać — według zeznań jeńców — upewniało raczej przeciwnika, że „Rosjanie okopują się, a więc przygotowują się do długiej obrony”, jak powiedział autorowi Pronin kierujący robotami maskowania i krycia zapasów.

Na ogół jednak nalotów nie boimy się — dodał — zenitówek mamy nadmiar. W minutę możemy oddać trzydzieści cztery tysiące strzałów tak, że nie istnieje możliwość aby bomby samolotowe trafiły wprost w cel.

— Bogato sobie żyjecie! Moskwy broniło mniej baterii przeciwlotniczych.

Jeżeli dzisiaj, po siedemnastu latach, szukam porównania dla tego odcinka frontu na zachód od polskiego miasteczka Magnuszewo, przychodzi mi na myśl sad. Tak jak doświadczony i pełen wyobraźni właściciel sadu zakłada klomby i kopie doły pod krzewy i drzewa, wykorzystując każdy skrawek ziemi, prócz specjalnie wytyczonych ścieżek i drózek, tak i tutaj: zainstalowane kwadratami tysiące czołgów, dział, samochodów, setki tysięcy żołnierzy, wypełniało, zdawało się, każdy metr ziemi, z wyjątkiem dróg. Później, gdyśmy się szczegółowo w tym rozejrzeli, ogarnął nas po prostu strach. Pod każdym drzewkiem schowane było działo, albo czołg, albo amunicja. Kiedy więc górą, pokwakując, jak kaczką, przelatywał pocisk, mimo woli myślało się: trafi — tu nie podobna chybić. To zbrojne pole przypominało perski dywan: tak jak tam nie ma miejsca bez wzoru i pasków — tak i tutaj nie podobna było znaleźć kawałeczka ziemi, nieprzekopanego ziemiankami, rowami okopów i różnymi dołami. Kiedy podzieliłem się tymi myślami z Proninem — powiedział mi co myślą o tym żołnierze: „Gdyby tak wyciągnąć nasze rowy w jedną prostą linię, doszłoby się nimi do Berlina i z powrotem. I to wcale nie była przesada.

Ofensywa rozpoczęta potężnym przygotowaniem artyleryjskim (na innym miejscu autor mówi, że wypadało dwieście łuf artyleryjskich na jeden kilometr frontu, nie licząc zenitówek i dział przeciwczołgowych. Na każdy kilometr frontu przypadało po trzydzieści pięć czołgów, niezależnie od dwóch rezerwowych armii pancernych. Do pierwszego uderzenia ruszyło 700 czołgów) rozwija się bardzo pomyślnie. Czołgi kruszą niemieckie linie obronne i niszczą próbujące stawiać opór oddziały Niemców. Miasta padają jedno za drugim. Wreszcie pada Łódź.

Promieniejący pułkownik Woronczenko przywitał mnie radosną wieścią: Łódź uwolniona! Jedno z największych miast Polski, bodaj największe centrum przemysłowe, sławne swoimi rewolucyjnymi tradycjami — w naszych rękach.

— Oddali prawie bez walki! — informuje mnie naczelnik sztabu. — A jaką obronę przygotowali! Dziesiątki bunkrów; z żelazobetonu, wokół wykopano dwa rowy przeciwczołgowe, a na każdej drodze „zamek ogniowy”.

— Cóż to takiego?

— Niemiecka nowość obronna — potrójne punkty ognio-

we. Dwa po obu stronach szosy: uzbrojone w działa i karabiny maszynowe, trzeci cofnięty o jakieś sto metrów do tyłu z działem na szczycie. Wszystko porzucili, gdy dowiedzieli, że nasze czołgi są już w Aleksandrowie. Miasto nietknięte: woda, gaz, elektryczność, nawet telefony pracują. Zabudowania fabryczne ciągną się na dwa kilometry — i ani jednej maszyny nie wywieźli — można od razu puścić zakłady w ruch. Uradujemy rząd polski... A składów!... rozłożył szeroko ręce.

Popiel, jadąc w kierunku Aleksandrowa, spotyka dowódcę brygady, Ruzina, który opowiada mu o zdobyciu tego miasta. W międzyczasie, jak mówi Ruzin — natknął się na polskie dzieci, które musiał jakoś urządzać.

— Jakie dzieci?

— Z domu poprawczego. Takie zwyczajne więzienie tylko że dla dzieci: dziewięćset dzieciaków Niemcy posadzili za politykę!

Twarz Ruzina rozjaśniła się wyrazem wewnętrznej dobroci.

— Jaka tam polityka — po prostu za sabotaż. Wszystkie dzieci — chłopców od lat dziesięciu, a dziewczynki od lat dwunastu — faszyci zmobilizowali do fabryk. Dzieciarnia szkodziła Niemcom, jak mogła: psuła maszyny, surowce oblewała kwasami. Tacy młodzi dywersanci!

Zamyślił się o czymś przez chwilę.

— Byli tam całkiem małutcy więźniowie, po siedem-osiem lat. Jednego takiego smarkacza gestapowcy rozstrzelali. Opowiedano mi rzecz następującą: faszyci wysadzili pomnik Kościuszki i, zdaje się, zaczęli się fotografować na jego gruzach. Postawił taki nogę na głowie z brązu, zadrze łeb jak najwyżej — pstryk — i gotowe „na pamiątkę dla swojej Freiliny od zwycięzcy Europy”. Dorosli płakali po kątach, a nagle wybiegł z tłumu mały chłopczek i położył kwiaty na gruzach pomnika. Gestapowcy złapali go i pod ścianę! Wielu malców posadzili za „propagandę” — za to, że Adolf Hitlerstrasse nazywali dawną nazwą — a Łódź — Łodzią.

— A jakże inaczej nazywać Łódź?

Z rozporządzenia Führera Łódź była przemianowana na Litzmanstadt. Kto to był ten Litzman, nikt dotychczas nie wie, a nie będziesz tak nazywał, proszę do więzienia, bez względu na lata. Dzieciaki te nakarmiłem, postawiłem przy nich straż i zacząłem już oddawać rodzicom. Być może kiedyś Polacy wspomną, jak sowieccy czołgiści uwolnili dziewięćset polskich dzieci. A dzieci jak wyrosną — również wspomną nas dobrym słowem.

Sołodachin nie wytrzymał:

— W rozbitym sztabie znaleźliśmy bardzo ciekawe doku-

menty. Proszę popatrzeć. — Nawet już przetłumaczyliśmy: „Rawa-Mazowiecka: kościół — pięćset kilogramów materiałów wybuchowych, szpital — tysiąc kilogramów. Co jeszcze interesującego? A oto proszę: Tomaszów — pięćdziesiąt ton materiałów wybuchowych, na całe miasto. I tak każde miasto i niemal każdy dom skazany był na wysadzenie — a my je Polakom oddamy całe.

Polski naród podziękuje — przypomniałem sobie posiedzenie w sztabie Pierwszego Ukraińskiego Frontu i prośbę Wandy Wasilewskiej pod adresem żołnierzy sowieckich.

— Zasłużyliśmy na podziękowanie. Jeżeli Hitlerowi nie udało się dokonać w całej Polsce tego, co zrobił w Warszawie, to dlatego, że myśmy mu przeszkodzili — Armia Sowiecka.

Tak rozmawiając podjechaliśmy do miasteczka Poddębice nad rzeką Ner, gdzie rozłożył się sztab brygady Temnika.



Gniezno, dokąd przyjechałem w kilka godzin po zajęciu tego miasta, okazało się miastem starym z niewielkimi kamiennymi domami, latem zapewne gęsto spowitymi w zieleń. Pożary wojenne wyżarły tu całe kwartały. Sztab brygady znaleźliśmy obok zwęglonych ruin elektrowni. Sądząc z ilości rozbitych samochodów i powywracanych dział, walka musiała być krótka ale straszna.

Jednakże wyciągnięcie z dowódcy brygady opisu działań wojskowych nie było łatwe. Umiał walczyć, a nie umiał opowiadać o wojnie.

— Podeszliśmy do miasta pod wieczór, wysłaliśmy wywiadowców. Ci na skraju miasta natknęli się na wielką fabrykę makaronu. Weszli tam i okazało się, że połowa robotników to Ukraińcy — reszta — zmobilizowani przez Niemców Polacy. Klasa robotnicza. A w dodatku żołnierze spotkali swoich rodaków. Wycałowali się, a następnie Polacy poprowadzili naszych wywiadowców po ulicach, pokazywali koszary, węzły obrony, punkty ogniowe. A kiedy już się zna siłę przeciwnika i jego dyslokację, tedy wojować... no cóż... łatwo. W ogóle Polacy przez cały czas okazują wielką pomoc: na Pilicy pomogli znaleźć bród, w Łowiczu i tutaj dawali informacje o dyslokacji niemieckich oddziałów i garnizonów. Żałować trzeba, że niezadługo wszystko to się skończy: właściwie Niemcy już tuż, tuż... ileż zostało do granicy? — Ot, ręką podać...

Tu należy dodać, że o ile Popiel nie wspomina prawie zupełnie o jakimkolwiek współdziałaniu czy współpracy z ludowymi władzami wyzwalonej Polski, o tyle obawy jego, wypowiedziane na początku, przy wkraczaniu na tereny polskie o tyły posuwającej się naprzód armii sowieckiej, okazały

się płonne. Ludność wszędzie z własnej inicjatywy wydatnie pomaga wojskom sowieckim. Przytoczymy tutaj jeszcze kilka przykładów, których nie podajemy w dosłownie tłumaczonych tekstach:

— Opowiem ci — mówi jeden, z dowódców podwładnych Popielowi, jak braliśmy Łowicz. Polacy oczywiście poinformowali nas, gdzie znajdują się Niemcy, wskazali koszary.

Inny mówi w swoim sprawozdaniu o zajmowaniu Łowicza: „Niemcy na każdym kroku przygotowali zasadzki. Gdybyśmy tak poleżli od czoła, na przebiecie, kto wie, czy nie zostawilibyśmy wszystkich czołgów w mieście. Dzięki Polakom, którzy nas uprzedzili o tych zasadzkach, uniknęliśmy ogromnych strat. Gdyby nie ich pomoc, ofiar byłoby bardzo dużo”.

Przy wywiadzie dotyczącym Poznania znów wydatnie pomagają Polacy. Wskazują na rozmieszczenie oddziałów niemieckich, a także na mieszkania zdrajców, jak np. komendanta policji Orlinowskiego. Takich przykładów z opisów Popiela można by przytoczyć wiele. Nic więc dziwnego, że jeden z sowieckich dowódców, a przypuszczać można, że nie tylko ten jeden, wyraża żal, że niezadługo, po wkroczeniu na teren Niemiec — napotkają na zupełnie inne nastroje ludności.

— A Polacy wprost bombardowali nas kwiatami, mimo że to zima. Nie wiem skąd oni tyle kwiatów nabrali... Z oranżerii chyba.

W składach gnieźnieńskiej fabryki makaronu jest tego tyle, że starczy dla naszej całej armii a może coś zostanie i dla frontu. Trzeba dodać, że historia owej gnieźnieńskiej fabryki makaronu miała swój zabawny dalszy ciąg. Po upływie kilku dni od zajęcia Gniezna, zobaczyłem na ogromnej skrzyni z makaronem, dziwną firmową etykietę „Fabryka Dołgowa”. — Co to za Dołgow — pytam. Okazało się, że to nazwisko dowódcy zaopatrzenia. Polscy majstrzy przyszli do przekonania, że po usunięciu starej, niemieckiej nazwy firmy, fabryka nie może zostać bez firmy, że to sprawia niesolidne wrażenie. Ponieważ pieniądze dla fabryki i robotników wypłacał właśnie Dołgow, więc jeden z majstrów Polaków, zamówił w drukarni specjalne etykiety z nazwiskiem Dołgowa; wyglądało na to, że on był właścicielem fabryki. Długo jeszcze prześladowano go złośliwym przydomkiem: „fabrykant”.

W sztabie Gusakowskiego oczekiwał mnie Pawłowcew, któremu kilka dni temu poleciłem przeprowadzenie głębokiego wywiadu sytuacyjnego i politycznego Poznania.

Wywiad wraz ze swoimi podwładnymi przeprowadził tak, że w tej chwili zna Poznań chyba nie gorzej, niż sam gauleiter „Wartelandu” — Greiser.

— Trzy wielkie fabryki amunicji i karabinów — zaczął wyciszać. Dziewięćdziesiąt procent robotników to Polacy i jeńcy wojenni. Stanowiska kierownicze obsadzone są przez Niemców. W dwóch fabrykach pracuje po dwanaście tysięcy ludzi. Ile w trzeciej — nie zdołaliśmy ustalić.

W odległości pięciu kilometrów na południowy wschód od Poznania znajduje się kompletnie nowa fabryka samolotów. Pracuje osiem tysięcy ludzi. Produkuje dziesięć kadłubów do Fokke-Wulf'ów dziennie. Mamy ponadto jeszcze cztery fabryki samolotów.

— Ocho!

— Tak, prawie czwarta część całego przemysłu lotniczego Niemiec umieszczona jest w Poznaniu. Prócz tego znajdują się tutaj olbrzymie warsztaty kolejowe — minimum osiem tysięcy robotników. Jest fabryka akumulatorów — dwa tysiące ludzi; dwa duże zakłady remontu samochodów i dziesiątki innych przedsiębiorstw. Oto tutaj mam szczegółowy spis. Informacje otrzymane głównie od robotników, którzy uciekli na naszą stronę.

— Polaków w mieście dużo. Jednakże gauleiter Greiser oficjalnie obwieścił, że „Polak wskutek swej rasowej niższości stoi zaraz na drugim miejscu po Żydach. Poniżej Polaków wszelkimi sposobami. Przy spotkaniu z każdym Niemcem Polak musiał odkrywać głowę. Są jednak i wśród Polaków własni maleńcy quislingowie, elementy przekupne. Mają nawet legitymacje. Pawłowcew pokazał małą książeczkę z dwiema dużymi literami: „L.P.” — na okładce.

— Odznacza to „Leistung Polen” — pożyteczny Polak. Takich Niemcy awansują w służbie u siebie i aprowidują ich o wiele lepiej, niż pozostałych.

Racja żywnościowa normalnego Polaka wynosi dwa kilogramy chleba na tydzień, a więc nie wiele więcej, niż dwieście pięćdziesiąt gramów dziennie. Ale tym „L.P.” dawano o wiele więcej, aby tym chętniej sprzedawali swoich.

— Czyjeż to zaświadczenie?

— Naczelnika policji obwodu, pana Orlinowskiego. Nasi wywiadowcy, wywieźli go z Poznania razem z rodziną.

— Jak to oni byli w samym Poznaniu?

— Alboż nie wiecie?

— W samym Poznaniu straszny bałagan. Ludność niemiecka częściowo uciekła na zachód, a częściowo zmobilizowana jest do Volkssturmu tj. do pospolitego ruszenia. Ze wschodu podchodzą do miasta cofające się oddziały niemieckie. Góra partyjna ucieka do Reichu. Jednym słowem nie tylko komendant, ale sam diabeł się nie wyzna, co się tam w mieście dzieje.

Z zeznań wziętego do niewoli niemieckiego pułkownika Flakke, dowódcy pięćdziesiątego czwartego rejonu obronnego „Warta”, wynikało, że Poznań był bardzo silnie umocniony i przygotowany do obrony:

Są trzy obwody obronne. Zewnętrzny biegnie po fortach sta-

rej twierdzy, jest bardzo unowocześniony i przygotowany do obrony według ostatnich doświadczeń. Drugi obwód — trochę słabszy — idzie tędy — niemiecki pułkownik pokazywał na mapie. A trzeci — najsilniejszy, opiera się o cytadelę twierdzy. Wszystkie domy miasta przygotowane są do obrony tak, że mogą walczyć na wszystkie strony — naokoło. Wszystkie piwnice danej dzielnicy połączone są podziemnymi przejściami. Praktycznie garnizon będzie niewidoczny dla atakujących. Liczy on ponad trzydzieści pięć tysięcy ludzi i dowodzony jest przez sztab dwudziestego pierwszego korpusu. Według obliczeń niemieckiego dowództwa tak obwarowany Poznań powinien zatrzymać na sobie co najmniej dwie atakujące armie.

W innym wypadku wzięto do niewoli zastępcę ministra lotnictwa Rzeszy, generała Manke. Wpadł on do niewoli przypadkowo:

— Zostałem wyznaczony na pełnomocnika rządu Rzeszy do ewakuacji przemysłu łódzkiego. Wczoraj w ciągu dnia rozmawiałem telefonicznie z naszym zarządem przemysłu w Łodzi — wszystko jeszcze było całkiem spokojne, miasto przygotowywało się do obrony. Pośpiesznie tedy wyjechałem z Poznania, i oto w pół drogi... smutnie rozłożył ręce...

— Nic nie szkodzi, Herr General, my będziemy wkrótce również i w Poznaniu.

— Poznania tak łatwo nie dostaniecie — uprzedzał Manke. — Cała ludność okręgu poznańskiego — od szesnastu lat do sześćdziesięciu — została uzbrojona i wstąpiła do Volkssturmu.

— Tym to już straszcie naszych sojuszników. Mówi się, że Eisenhower boi się Volkssturmu — zjadliwie, choć niedyplomatycznie — zadrwił Goriełow.

W związku z tak potężnym umocnieniem Poznania i właściwie niemożnością zdobycia go samą armią czołgów — sztab Pierwszej Armii Czołgów występuje do Sztabu Głównego z prośbą o zezwolenie ominięcia Poznania i prowadzenia dalszego pościgu za zdemoralizowanymi, rozbitymi siłami niemieckimi. Naczelne dowództwo sowieckie zgadza się na to i powierza zdobycie Poznania drugiej linii wojsk, pod dowództwem Wasilija Iwanowicza Czujkowa.

— Oni są przecież specjalistami od walk w mieście — rzekł Kartukow. — Na tym zdobyli sławę. Staną się obecnie „poznańskimi”. Dajemy im miasto, jak na talerzu.

Wszyscy rozumiemy, że na tym daniu można będzie sobie wyłamać nie jeden nawet mocny ząb. Czukow potem jeszcze przez cały miesiąc męczył się z Poznaniem zanim ostatecznie zdobył to miasto. Sytuacja jednak wymagała od nas posuwania się naprzód. Nowym celem — jak go określa Popiel — był Mezertycki rejon umocnień niemieckich. Sam Popiel zaś zawraca spod Poznania do Warszawy, aby zobaczyć, jak wygląda to miasto po wycofaniu się Niemców.

Cała trzystokilometrowa droga z Poznania do Warszawy leżała w rejonie wczorajszych walk. Przeszło siedem dni od chwili naszego wejścia w wyłom, i operacja frontu została wykonana z nadwyżką. Każdy, kto popatrzył na szosę, rozumiał, jak się to stało: setkami kilometrów ciągnął się posuwający się naprzód potok wojsk sowieckich. Naprzeciw nas szły odremontowane czołgi, wyglądające jak osobliwe kwiaty: płatkami kwiecica byli żołnierze z oddziałów desantowych i piechurzy, gęsto, jeden przy drugim, przylegający do stalowej baszty czołgu i trzymający się jej. Ciągniki sapały pod ciężarem dział; szły dywizje i korpusy przełomu. Działa, które tydzień temu dokonały śmiertelnej pracy obecnie chcą się co prędzej rozprawić z kolejnymi węzłami oporu Niemców. Na lufach stalowych weteranów „boga wojny” narysowane były białe gwiazdeczki i inne znaki umowne, jakimi rejestrowano rozbite czołgi, punkty ogniowe, baterie.

— Och, jaka piękniejsia — nie wytrzymał Miszka Bałykow: lufa spotkanego działa była ozdobiona od początku do końca białymi znaczkami.

Za nimi szła „królowa broni” — „matka-piechota”, „bracia Słowianie” — jak to już rozmaicie i miłośnicie nazywano naszych piechurów. Zresztą słowo „piechurzy” było już zupełnie nie na miejscu: przecież pochodzi ono od słowa „pieszy”, a któż dzisiaj prowadzi ofensywę na piechotę? Gdyby tak było czołgi doszłyby już do Berlina, a piechota nie zobaczyłaby przeciwnika. Dlatego też żołnierze wykorzystują każdy środek lokomocji; wszystko, cokolwiek mogło pomóc do szybszego poruszania się, było zmobilizowane dla armii.

Przelatywały więc obok nas zdobyczne samochody i podwozy, przedpotopowe bryczki, dorożki i rowery. Zwłaszcza duży efekt, niemal sensację, sprawiały hrabiowskie i baronowskie karety ze złożonymi koronami i herbami na drzwiczkach. Można było napotkać także i jeźdźców bez siodeł.

— Trzysta kilometrów tak jechać! — Kuczyn aż skrzył się ocierając się o szoferskie siedzenie, jak gdyby czuł na własnej skórze natarcia od podskakiwania na koniu.

Zresztą szoferowi było nie o wiele lżej, niż tym jeźdźcom. Potok wojska szedł naprzeciw nam, w kierunku frontu, a brzegi drogi zapchane były popalonymi resztkami czołgów, samochodów zwykłych i pancernych oraz najrozmaitszych rozbitych pojazdów kołowych. Prawie całe trzysta kilometrów nasz pancerny wóz zwiadowczy podskakiwał, jakby jechał po drodze, wyłożonej okrągłakami. Od Konina do Koła trzęsło nas na resztkach technicznego uzbrojenia dywizji „Brandenburg”, od Koła do Kutna — 25-ej dywizji czołgów. Szczególnie ciężko było na „kor-

kach”, a te przecież powstawały regularnie przy każdym z dziesiątków rozbitych mostów i mostków. Na poszczególnych odcinkach drogi ruch odbywał się tylko po trasach prowizorycznych, a więc tylko w jedną stronę i to z wielkim trudem.

Uważnie wpatrywałem się w twarze piechurów, opalone prochem i lodowatym wiatrem — w ich oczy, podeszłe krwią od bezsenności. Widać było, że żołnierze opanowani są tylko jednym pragnieniem: *prędzej, prędzej!*

— Pamiętacie, jak jedna staruszka pytała nas, gdzie tyle wojska pomieści się. Tydzień już idą żołnierze dniem i nocą i końca nie widać. Pewno — rozmyślał w głos Bałukow — gdyby tylko o Niemcy chodziło, być może nie pomieścilibyśmy się, ale przecież mamy wyswobadzać całą Europę.

— Och nie zdołam jeszcze za dnia dojechać do Warszawy. Trzeba się śpieszyć.

Bliskość legendarnego miasta dała się odczuwać na drodze: tłumy ludzi ciągnęły z zachodu do wyzwolonych popiołów Warszawy. Inwalida energicznie pracował rękami, posuwając swój wózek w kierunku rodzinnego domu; rowerzysta przyczepił do bagażnika wózek, na którym trzęsła się po szosie cała jego rodzina. Wielu po prostu niosło dzieci na rękach. Czasami trafiały się wozy, na których uciekinierzy wieźli swój ubogi dobytek; ale jakież tam skarb mógł być u uciekiniera.

— Czym dla człowieka jest ojczyzna! — zamyślił się Bałukow.

Dręczyła mnie żądza, aby jak najrychlej zobaczyć piękną Warszawę.

Tak się złożyło przed wojną, że dużo czytałem o wspaniałych pałacach, cudownych warszawskich parkach, sławnych tradycjach tego niepokornego miasta, gdzie zrodziła się ulubiona pieśń naszej młodości „Warszawianka”. Obecne jednak uczucie dla Warszawy miało szczególny wydźwięk. Miasta, wyzwalone przez naszą armię, stawały się bardzo kochane i bliskie naszym sercom. A stolicę Polski wyzwalała nasza armia pancerna wchodząca w skład Pierwszego Białoruskiego Frontu. Kiedy stalowy kułak Gusakowskiego i Babadżiana przerwał hitlerowskie hordy pod Skiernewicami, i Łowiczem, garnizon Warszawy, poczuwszy nasze czołgi za swoimi plecami, uciekł w panice na północ. Do Warszawy wkroczyli więc razem rosyjscy i polscy żołnierze, zbratani na wieczność krwią na jej opustoszałych ulicach.

Przed samym miastem zatrzymano nas. Do naszego pojazdu podeszło dwóch ludzi: młody, po służbowemu wyprężony sowiecki porucznik i starszy wiekiem Polak.

Kontrolny punkt przejściowy — ręka oficera precyzyjnie po-
biegła do daszka. — Sprawdzanie.

Bardzo uważnie przejrzał nasze dokumenty.

— Proszę, możecie jechać, szczęśliwej drogi!

— Jak dojechać do mostu na Pradze?

— Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, dam wam miejsco-
wego przewodnika, pracującego chętnie. Uniknięcie wielu trudno-
ści w mieście. Kilku takich mamy, którzy kursują między Pragę
i tutejszym punktem.

— Panie Stanisławie, proszę poprowadzić generała.

Wiele widziałem miast, które ucierpiały podczas wojny, ale
takiego zniszczenia i takiego rozgromu nie widziałem nigdzie —
ani przedtem ani później. Niekończącymi się szeregami ciągnęły
się nieprzerwane ruiny ulic. Dławiła nerwy absolutna smutna ci-
sza miasta, w którym normalnie pracowało i hałasowało milion
ludzi. Tylko rozgłośne huki wybuchów naruszały tę ciszę — to
saperzy unieszkodliwiali miny, pozostawione przez Niemców w
martwej Warszawie. Po obu stronach drogi ciągnęły się napisy:
zaminowane, niebezpieczne. Żelazna żebra konstrukcji wyłaziły
z mas rozbitej cegły. Po drodze spotykaliśmy olbrzymie leje, nad-
palone wozy tramwajowe na rozbitych torach, pod kołami samo-
chodu płątały się przewody telefoniczne i elektryczne. Pustynia!
Ściany naokoło czarne do tego stopnia, jakby setki lat znajdowały
się pod ziemią i teraz dopiero zostały odkopane. Stanisław uważa
za konieczne zaznajomienie nas z otaczającym widokiem.

— Tu była szkoła... tu oto muzeum... tutaj bank... Główna
Poczta... Szesnastopiętrowy dom, najwyższy w Warszawie... Teatr
Polski... Uniwersytet... Kościół Zbawiciela...

Wszystko to spalone, zrujnowane, wysadzone, rozbite, powy-
łamywane, pogięte przez barbarzyńców z zachodu. Przewodnik
wskazał nam ręką na zamazaną częściowo sadzą marmurową tablicę,
cudem jakimś ocalałą na szczątkach niewielkiego domu.

— W tym domu żył i tworzył Fryderyk Szopen — głos
przewodnika był pełen gorczy. — Bali się, że zmartwychwstanie
i zagra im „Marsza pogrzebowego”.

Z rzadka wśród gruzów pokazywały się sylwetki pojedyn-
czych ludzi. Oto pozołkła, wychudła, oberwana kobieta w letnich
sandalkach i słomianym kapeluszu, wywiodła na powietrze kilkoro
zamorowanych jasnowłosych dzieciaków. Zdawało się, że każda
kosteczka przeświecała przez skórę maleńkich distrofików. Nie
miały sił się ruszać, bezsilnie oparły główki o wózek i widać drze-
miały. Rozbite rodzinne miasto i nieuprzątnięte jeszcze trupy wro-
gów — takie były pierwsze wrażenia „złotego okresu” dzieciń-
stwa tych maleńkich obywateli Polski.

Spytałem przewodnika o los warszawskich znakomitych pałaców i parków.

Jeżeli chcecie, możemy podjechać i zobaczyć. Niewiele skręcimy z drogi.

Skręciliśmy w Stare Miasto. Obok olbrzymiej góry cegieł, kamieni i resztek żelaznych konstrukcji przewodnik zatrzymał auto.

— Sławny Zamek królewski... A te fundamenty — pozostałość Kościoła Św. Jana — naszej narodowej świątyni. Sześćset lat leżały w nim w spokoju zwłoki pierwszych naszych książąt.

Oto jaką ujrzałem nareszcie Warszawę, jej pałace i parki. Na drodze wstawał przed nami okaleczony Pałac Wilanowski, jezdnię zagradzała strącona z piedestału kolumna Zygmunta Trzeciego. Tylko obok, opalonego ogniem łazienkowskiego parku zobaczyłem pierwszą, cudem ocalałą rzecz: pomnik Jana Sobieskiego. Stanisław poprosił abyśmy na chwilę się zatrzymali. Kuchyn zahamował.

Polak podszedł do podnóża pomnika tego króla, który kiedyś ocalił naród niemiecki od tureckich najeźdźców, zdjął stary filcowy kapelusz i przeżegnał się.

— Zapewne Warszawa jest taka jak Stalingrad — nie wytrzymał Bałykow.

— Oni Warszawę wysadzali — świszczącym, łamiącym się głosem krzychał Polak — metodycznie dom za domem! Hitler chciał zabić naszą Warszawę! Nienawidził jej ducha, ducha Kościuszki, Waryńskiego, Róży Luksemburg. Zawsze byliśmy nieulegli i ten Gefreiter postanowił nas zabić. Pół miliona ludzi zabił, ale Warszawy nie zmógł. Was, bracia, interesują pomniki Warszawy? Oto największy pomnik, najważniejszy — pokazał na otwory kanalizacyjne. — Całe doby dyżurowały tutaj faszystowskie warty z granatami w rękach. Ale myśmy wychodzili z kanałów i zabijali wrogów, jak psy wściekłe.

— Byłeś wśród powstańców?

— Tak.

— Jaki ich los obecnie?

— Część naszego oddziału przebiła się do piotrzkowskich lasów i tam połączyła się z partyzantami, niektórzy szczęśliwcy przedostali się przez Wisłę na Pragę, ale większość zginęła w obozie w Pruszkowie.

Kiedy dojechalśmy do mostu, prowadzącego na Pragę i dziękowaliśmy przewodnikowi, ten rzekł:

— Spotkacie na froncie naszych żołnierzy z dywizji Kościuszkowskiej przekażcie im, niech jak najprędzej wracają, jako zwycięzcy. Warszawa czeka odrodzenia!

Za mostem znowu zobaczyliśmy, jak wracają do swego ro-

dzinnego miasta mieszkańcy Warszawy. Wielu siadło na sowieckich czołgach i ciągnikach. Nasi najlepsi żołnierze z wojsk desantowych, ścisnęli się trochę, aby im dać miejsce. Jak nie pomóc ludziom w nieszczęściu! Przed samym miastem jakaś Polka z wdzięczności wyczuła zakłopotanego czołgistę. Żołnierze wtykali polskim starcom, dzieciom i kobietom części swego suchego prowiantu, dzielili się racjami wojskowymi. Zaraz za czołgami ciągnął ogromny korowód wozów, który zatrzymał nas na drodze.

— Co wiesz? — zaciekał się po szofersku Kuczyn.

— Zboże dla Warszawy — odpowiedział umorusany kierowca napotkanej ciężarówki. — Cztery nasze republiki urządziły zbiórkę: zebrano sześćdziesiąt tysięcy ton pszenicy.

— No tak — rozważał w chwilę potem Kuczyn. — Sami zjeść nie mamy co, na kartoflu i lebidzie trzyma się u nas wieś. No, ale jak nie pomóc ludziom w tak strasznym nieszczęściu?

Po ominięciu Poznania Pierwsza Armia Pancerna dostała zadanie przebięcia tzw. Wschodniego Wału, który Popiel nazywa umocnionym rejonem Mereckim. Niezwykle śmiałymi, często nocnymi atakami, zgrupowanych czołgów udaje się zrobić wyłom w Wale i następnie pobić broniące go armie niemieckie. Ślano na pomoc oddziały SS nie zdążyły na czas i potem zostały rozbite już za Wschodnim Wałem. Dnia 28 stycznia czołowe oddziały armii sowieckiej doszły do Odry i przystąpiły do forsowania jej w różnych miejscach. Następnie po rozbiciu północnej grupy armii niemieckiej, zagrażającej prawemu skrzydłu sowieckiemu, przygotowującemu ofensywę na Berlin, po zajęciu Frankfurtu nad Odrą i przepraw przez tę rzekę — odbywa się narada wojenna w miasteczku Birnbaum.

Wszedł marszałek Żukow a z nim Telegin, członek Rady Wojennej i Malinin, naczelnik sztabu Frontu. Na zebraniu są dowódcy Armii, członkowie Rad wojennych armii, wchodzących w skład Pierwszego Białoruskiego Frontu, dowódcy wydzielonych korpusów kawaleryjskich i czołgowych.

Przemawia Żukow:

— Byłem u Naczelnego, towarzysze. Sytuacja jest taka, że musiałem was tutaj zebrać. Początkowo przypuszczaliśmy, że operacja berlińska zacznie się... trochę później. Marszałek głucho zakaszłał i następnie ciągnął dalej.

— Terminy jednak uległy zmianie. Sojusznicy nas popędzają swoim nie całkiem sojuszniczym zachowaniem się. Eisenhower zamierza w kwietniu otoczyć i rozbić Ruhrskie ugrupowania niemieckie, a następnie, wyszedłszy na kierunek Lipsk-Drezno zająć „po drodze” Berlin. Wszystko to niby pod pozorem niesienia pomocy armii sowieckiej. Ale Naczelnemu Dowództwu doskonale wiadomo, że właśnie głównym celem Eisenhamera jest zajęcie Berlina, zanim to zdołają zrobić wojska sowieckie. Dowództwo

Naczelne wie również, że przygotowują dwie dywizje desantowe celem zrzućenia ich w Berlinie. Hitlerowcy zaś tak idą na rękę sojusznikom, że nam stawiają wszędzie możliwie największy opór, a na Zachodnim Froncie poddają się telefonicznie duże miasta. Wszystko to skłania Naczelne Dowództwo do pośpiechu⁵. Marszałek Rokossowski wykańcza w tej chwili niemiecką grupę wschodnio-pomorską. W najbliższym tygodniu oddamy mu odcinek naszego prawego skrzydła. Konstantyn Konstantynowicz ma za zadanie przesunąć Drugi Białoruski Front o czterysta kilometrów na zachód. Czas nie czeka, pogania i jego i nas. Odległość do Berlina nie przekracza siedemdziesięciu kilometrów. W poprzedniej operacji robiliśmy dziennie więcej. Opierając się na tym, możemy zaplanować osiągnięcie Berlina już w pierwszym dniu ofensywy. Tylko, że te siedemdziesiąt kilometrów będą drogą bardzo ciernistą. Dlatego zawczasu przestudujcie miejscowość a następnie i miasto, w których będziecie działać. Proszę wyjść z tego założenia, że oddziały pancerne zamierzamy wprowadzić do walki dopiero drugiego dnia i że pod koniec trzeciego dnia Katukow i Bogdanow powinni już być na przedmieściach Berlina. Co się tyczy dokładnych terminów ofensywy, powiem o tym później. Ale weźcie pod uwagę, że natarcie zaczniemy bardzo szybko.

Przy tych słowach marszałka nastąpiło ogólne ożywienie.

— Oto robótka! — z zadowoleniem mówił swoim basem Bogdanow.

— Klucze od Berlina dostaną się czołgistom — westchnął Czujkow. Jak się czujecie, czołgiści?

— A nam co? Myśmy zawsze gotowi! — odpowiedział Katukow.

— Główna rzecz, aby piechota zabezpieczyła przełom, który my zrobimy.

— Nie bójcie się! Nam to nie pierwszozna! Już taki nasz los.

— A więc, przystąpmy do rozpracowania zadania — zaproponował Żukow.

Odsunięto jedną zasłonę i ukazała się nam mapa, cała pokryta pstrokacizną jezior. Naniesiono na nią również najdrobniejsze nawet rozgałęzienia konstrukcji irygacyjnych.

Bardzo dokładnie oznaczone są trzy strefy obrony: pierwsza na szerokości od Odry do Zeel'e, dwie następne w odległości od siebie od 10 do 20 kilometrów.

5. Z tego bardzo dobrze widać, jak *politycznie* prowadziły wojnę Sowiety i jak bardzo nie doceniali tego Sojusznicy.

Odsunięto drugą zasłonę. I oto ukazała się szczegółowa olbrzymia makieta Berlina. Bardzo starannie odtworzono ulice, budynki, umocnienia, rowy, pancerne punkty ogniowe, nawet kwartały zburzone od bombardowań. Miasto — jak na dłoni. Na płaskorzeźbach ważniejszych budynków rządowych przyklejono etykiety z numerami obiektów. Wszyscy obecni poruszyli się, zdumieni. Po raz pierwszy dane im było widzieć takie dzieło sztuki kartograficznej.

— Proszę zwrócić uwagę na obiekt numer 105. — Pałeczka marszałka dotyka dużego kwadratu na północno-wschodnim skraju obszernego zielonego masywu. — To właśnie Reichstag. Kto pierwszy tutaj wkroczy? Katukow czy Czujkow? A może Bogdanow lub Berzin? Kto pierwszy zatknie tu sztandar zwycięstwa?...

— Numer 106 — kancelaria Rzeszy — pokazywał dalej dowódca Frontu.

— Jefimowicz — oto gdzie główna zdobycz — cichutko poinformowałem towarzysza. Reichstag — to po prostu pusta galdalnia, która tylko w związku ze sprawą Dymitrowa zdobyła wielką sławę, a w piwnicach Kancelarii Rzeszy siedzi Hitler i cała jego banda. Tam są główne centra faszyzmu. Oto czego i kogo nie wolno wypuścić...

— Numery 107 i 108 — ministerstwa spraw wewnętrznych i zagranicznych.

Katukowowi zapłonęły oczy.

— Czyżbyśmy mieli pochwyć żywcem Himmlera i Ribbentropa?

Na makiecie widać było olbrzymie rejony fabryczne, otaczające stolicę zwartym kołem: Berlin był nie tylko politycznym ale i przemysłowym głównym centrum Niemiec.

— Tutaj znajduje się ponad dziesięć procent wszystkich wojennych zakładów Niemiec — objaśniał generał Malinin. — Co siódmy berlińczyk pracuje przy produkcji broni.

Z tego, co mówił Malinin, wyrastał przed nami bardzo sugestywny obraz zamierzonej obrony miasta. Na zasadzie rozkazów niemieckiego sztabu stworzone zostały trzy potężne linie obronne. Miasto zostało wewnętrznie rozbite na dziewięć obronnych sektorów: osiem promieniście i jeden centralny — a więc wokół Reichstagu, Kancelarii Rzeszy i ministerstwa spraw wewnętrznych. W tym właśnie centralnym sektorze znajdował się główny ośrodek partii nazistowskiej i całego faszystowskiego państwa.

— W mieście zbudowano ponad czterysta żelazobetonowych punktów ogniowych i oporu — metodycznie wykladał Ma-

linin. Najpotężniejsze z nich to bunkry, z których każdy może pomieścić od trzystu do tysiąca ludzi.

— Ocho! — wyrwało się Berzinowi.

Grubość górnych umocnień każdego bunkra sięga półtora do trzech i pół metra pancerza i cementu. Grubość ścian do dwu i pół metra żelazobetonu.

Nawet Czujkow, który tylko co zdołał rozgryźć taki „orzesek” obronny, jak Poznań, był oszołomiony potęgą berlińskich umocnień.

— Ale to jeszcze nie wszystko — mówił dalej Malinin — wysokość bunkrów sięga trzydziestu metrów, to znaczy równa się wysokości sześciopiętrowego domu. Od ataku z powietrza każdy bunkier chroniły dwie lub trzy baterie przeciwlotnicze, ustawione na dachu. Na ważniejszych odcinkach działa przeciwlotnicze są ukryte w wieżach pancernych. Każda taka twierdza zaopatrzona jest w filtry, instalacje wentylacyjne i specjalne elewatory dla podawania amunicji wprost do dział.

— Oto co stoi na naszej drodze — rzekł do mnie cicho Katukow.

— Zagadnienie polega nie tylko na umocnieniach, ale i na żołnierzach. Na odcinku berlińskim Hitler zgromadził pięćdziesiąt siedem wyborowych dywizji, w tym trzy pancerne i zmotoryzowane. Do pomocy im przydzielono dwieście nowych batalionów przeciwczołgowych, złożonych z ochotników z „Hitlerjugend”, a także oddziały bezpieczeństwa i policji berlińskiego okręgu. W ogóle Berlina będzie bronić milion żołnierzy. Hitler nakazał walczyć do ostatniego naboju i do ostatniego człowieka. Tak, bądźcie przygotowani, obrona będzie silna, nawet bardzo silna...

Na innym miejscu autor mówi o siłach, które mają atakować Berlin.

— W operacji berlińskiej wezmą udział trzy nasze Fronty, to znaczy mniej więcej półtora miliona ludzi, czterdzieści tysięcy dział i miotaczy min, sześć tysięcy czołgów, siedem tysięcy samolotów. Ustalono, że datą rozpoczęcia ofensywy na Berlin będzie 16 kwietnia.

Po naradzie wojennej, zgłasza się do autora Pawłowcew, który — jak mówi autor — był ostatnio zajęty niesieniem pomocy ludziom, wyzwolonym przez czołgistów z niemieckich obozów koncentracyjnych. Razem z generałem Końkowiec wydzielali żywność, organizowali pomoc lekarską. Oczywiście armia pancerna w okresie działań wojennych, zbyt wiele zrobić nie mogła, robiła jednak, co mogła.

— Towarzyszu, członku Rady Wojennej — zwrócił się do mnie Pawłowcew. Więżniowie z obozu Stuthof zwrócili się z

pismem do swoich wyzwolicieli, do gwardyjskiej armii czołgów. List podpisali przedstawiciele czterdziestu tysięcy uwolnionych więźniów. Reszta — to jest dziewięćdziesiąt tysięcy, została wymordowana przez hitlerowców. List był bardzo obszerny: sześć stron maszynopisu. Na końcu znajdują się długie rzędy podpisów. Podpisali między innymi: prof. Kwiatkowski z Warszawy, Nadia Jegorowa, uczenica z Kerczu, Staniewicz Witoutas zastępca przewodniczącego Litewskiego Czerwonego Krzyża, 17-letni Józef Karniecki (przy nazwisku zamieszczona była uwaga: ucięta prawa ręka i złamana lewa noga) i dziesiątki innych przedstawicieli różnych narodowości, różnego wieku i pozycji społecznej.

„Ukarzcie sprawiedliwym sądem naczelnika obozu, Majera i komentanda obozu, Hoppe” — przeczytałem w końcu listu.

Przeszło od tej pory wiele lat. I oto niedawno, w r. 1961, zadzwoniono do mnie.

— Hallo! Mówi Pawłowcew. Mikołaju Kiryłowiczu, czy pamiętacie jak to w roku 1945 w kwietniu doręczyłem wam list więźniów obozu spod Gdyni?

— Przypominam sobie.

— Oni wtedy prosili, aby oddać pod sąd komendanta obozu, Hoppe. Dzisiaj znów odnalazł się jego ślad. Gazety podają, że Hoppe został przedterminowo zwolniony z więzienia w Zachodnich Niemczech wskutek doskonałego sprawowania. Myślę, że być może niezadługo, zostanie ministrem w Bonn. Jego przeszłość stanowi doskonałą podstawę.

Tak, nie wszystkich udało się osądzić sprawiedliwym sądem, nie ze wszystkimi złoczyńcami zdołaliśmy się policzyć. Faszystowscy oprawcy dobrze wiedzieli jak i dokąd należy uciekać od zasłużonej kary.

Gen.-porucznik N. POPIEL

Streścił i przetłumaczył Zdzisław MIŁOSZEWSKI.

Listy i Polemiki

ZAMKNIĘCIE DYSKUSJI

W czwartym zeszytcie *Zeszytów Historycznych* p. Tadeusz Wasilewski wystąpił z namiętną filipiką przeciwko mojemu studium o Aleksandrze Lednickim głównie w związku z tym, co tam piszę o jego ojcu, Zymuncie Wasilewskim. Nawet ta okoliczność nie usprawiedliwia niepohamowanej złości i niewybrednych wyzwisk, które przynoszą ujmę tylko ich autorowi. Wywołują uczucie pogardy.

1. Szkic mój o Aleksandrze Lednickim nie jest jego apologią, a jedynie przedstawieniem jego działalności i oblicza politycznego w świetle faktów i jego własnych wypowiedzi publicznych.

2. Szkic nie miał być i nie jest pełną biografią. Zająłem się dwoma okresami: latami 1904-1906 oraz od wybuchu pierwszej wojny światowej jako najcharakterystyczniejszymi dla działalności Lednickiego i najważniejszymi historycznie. Pomiąłem okres 1907-1914 dlatego przede wszystkim że w Nowym Jorku nie rozporządzam niezbędnymi materiałami a z powietrza nie mam zwyczaju pisać. Zresztą, ten okres, jakkolwiek ważny, nie jest dla charakterystyki Lednickiego najistotniejszy.

3. W procesie oświadczyłem publicznie przed Sądem i w obecności Zygmunta Wasilewskiego — i powtarzam to dzisiaj po upływie prawie czterdziestu lat, że rzucając na Lednickiego w swym piśmie oskarżenie o „popętnienie czynów zdrady głównej” i zamiar ucieczki z kraju, działał w pełnej świadomości, że to była nieprawda. Był zbyt dokładnie poinformowany i zbyt inteligentny, by mogła być co do tego wątpliwość.

4. Sprawa listu Tereszczunki była na długo przed procesem dokładnie wyjaśniona i Zygmunt Wasilewski dobrze o tym wiedział.

5. Z dziwnym uporem powtarza p. Tadeusz Wasilewski, jakoby Aleksander Lednicki „działał na rzecz niemieckiej koncepcji rozwiązania sprawy polskiej”. Było to wówczas, jest tym bardziej dzisiaj, krzyżącą nieprawdą. Szkic mój zawiera niezbite na to dowody w postaci ówczesnych oświadczeń Lednickiego. Przypomnę niektóre z nich:

a) 16-go maja 1916: „Cała ziemia polska musi stać się Polską... Z gruzów powalonej potęgi gwałtu (Prus) Polska powstać musi znowu”.

b) Po deklaracji państw centralnych:

„Żaden Polak nie jest w stanie wyobrazić sobie Polski bez Krakowa i Poznania. Żadnego Polaka nie zadowoli państwo polskie, do którego nie

należy Galicja, ani Poznańskie, ani Śląsk jeden i drugi, państwo bez ujścia Wisły, bez wyjścia na morze”.

c) Na Zjeździe Demokratycznym w Piotrogradzie, tym rzekomym siedlisku germanofilstwa, 8-go października 1917 mówił, że skoro Rosja rewolucyjna stanęła na gruncie niepodległości Polski, „jedynym kamieniem na na drodze jest twierdza reakcji pruskiej”.

d) to samo mówił przedstawicielom W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych w Piotrogradzie.

Nie obala tego ani nawet nie osłabia, fakt, że Lednicki objął przedstawicielstwo Rady Regencyjnej. Uczynił to w celu roztoczenia w imieniu odbudowywanej Polski niepodległej opieki politycznej i gospodarczej nad licznymi skupiskami Polaków w Rosji, wyodrębnienia ich z masy rosyjskiej jako obywateli odrębnego niepodległego państwa. Działał z ramienia Rządu, któremu przewodniczył Jan Kucharzewski, w którym był Stanisław Bukowiecki. Działał w tym samym charakterze aż do 19 kwietnia 1919 r. już z ramienia rządów Jędrzeja Moraczewskiego i Ignacego Paderewskiego, obu powołanych przez Józefa Piłsudskiego.

Utworzona w Kijowie Rada Naczelną Polskich Sił Zbrojnych w miejsce Polskiego Naczelnego Komitetu Wojskowego uchwaliła 4-go marca 1918 r. oddać się wraz z wojskiem do dyspozycji Rady Regencyjnej, która akces ten przyjęła wysoce patriotycznym aktem specjalnym z 6 marca 1918 r. W imieniu Rady kijowskiej działali: jej Prezes Władysław Raczkiewicz oraz członkowie Stanisław Jakowicki (narodowy demokrat) i Maciej Jamontt. Oni również nie działali na rzecz niemieckiego rozwiązania.

Zygmunt Wasilewski stworzył specjalną teorię, która miała stanowić „głębszą” podstawę dla zarzutu germanofilstwa Lednickiego. Pisał np. (Na wschodnim posterunku, str. VII):

„...można sobie wyobrazić, ile starania włożyli Niemcy i Żydzi w urabianie postawy Polaków, będących już od dawna na emigracji w Rosji. Na nich oparto rachuby, że potrafią wpływami swymi poplątać dążenia Polski do wolności i zjednoczenia i skłonić kraj do dobrowolnego poddania się państwu centralnym. Bezpośrednie zaś zadanie, które wzięli na siebie kierownicy starej emigracji polskiej w porozumieniu z socjalistami i podejrzanej proveniencji klubami demokratycznymi było wywołać na Zachodzie taki efekt, że oni są rzecznikami kraju, obecnie okupowanego a więc tajemniczego, i że kraj cały niczego nie pragnie jeno wcielenia do państw centralnych”.

Wywody tego pokroju wywoływały wówczas wśród starej i wojennej emigracji polskiej w Rosji wzruszenie ramion i wyrozumiałą uwagę: „do czego zaciętrzewienie partyjne doprowadzić może inteligentnego człowieka”.

5. Tak jest: nie było przytomnego wojskowego Polaka, który by chciał ówczesny front rosyjski ratować przez utworzenie narodowej armii polskiej. Już bowiem na kilka dobrych miesięcy przed rewolucją bolszewicką armia rosyjska walczyć nie chciała, a rozpaczliwe krasomówcze wysiłki Kiereńskiego, by ją do tego skłonić, były daremne. Rzucenie na jej miejsce czy dla jej rzekomego poparcia sporych nawet sił polskich (a takich nie było i być szybko nie mogło) byłoby skazaniem ich na prędką i całkowitą zagładę.

Rzecznikiem Piłsudskiego wśród wojskowych Polaków był Ignacy Ma-

tuszewski. Widziałem go w Mińsku Litewskim prowadzącego walkę z bolszewikami czyli z ówczesną Rosją — nie słyszałem, by proponował użycie Korpusu Dowbora przeciwko Niemcom *na froncie rosyjskim*.

Gen Dowbór-Muśnicki, wzywając w swoim rozkazie nr 2 z dnia 7-go sierpnia 1917 r. do wstępowania do Korpusu, określił jasno jego cel: niepodległość i zjednoczenie wszystkich ujarzmionych zaborów Polski, stwierdzając, że „wolna Polska może istnieć tylko obok wolnej Rosji i w łączności z jej walecznymi sprzymierzeńcami”. Nie było jednak momentu, kiedy by nawet planował skierowanie swych oddziałów na front rosyjsko-niemiecki. Przeciwnie: rozwój wypadków i anty-polskie posunięcia bolszewików zmusiły go do zażądania od Krylenki 24 stycznia 1918 r. cofnięcia rozkazów o rozbijaniu żołnierzy polskich i postawienia mu ultimatum do dnia następnego z ostrzeżeniem, że po bezskutecznym upływie tego terminu będzie uważał, iż Krylenko rozpoczął wrogie działania.

Tak się rozpoczęła walka rosyjsko-polska. Walka *na tym froncie* z Niemcami nie była do pomyslenia.

6. P. Wasilewski nie chce pogodzić się z faktem, że Aleksander Lednicki nie był masonem: powinien był nim być, bo tego wymagała teoria Zygmunta Wasilewskiego. „Wielu wskazówek związek z masonerią potwierdzających” dopatruje się p. Wasilewski w „charakterystycznych cechach ideologii Lednickiego, w środowisku, w którym się chował itp.”.

Dowody istotnie rozbijające.

7. Nie powoływałem się na Paderewskiego dla stwierdzenia, jaka była postawa polityczna Lednickiego i nie potrzebowałem tego robić. Przytoczyłem tylko na dokumentach oparty fakt, że w drugiej połowie września 1917 r. Paderewski zwrócił się do Lednickiego w imieniu własnym i Polonii amerykańskiej o utworzenie na terenie Rosji Polskiej Komisji Wykonawczej, jako przedstawicielstwa wszystkich Polaków. Na tym fakcie oparłem swoje przypuszczenie, że widocznie, czyniąc to, Paderewski nie wiedział o politycznych manewrach, skierowanych przeciwko Lednickiemu na Zachodzie. Przytoczony przez p. Wasilewskiego list Paderewskiego z 2 listopada 1917 r. faktu powyższego nie zmienia w niczym.

P. Wasilewski usiłuje bronić pozycji zmurszałych, pozycji dawno straconych; sprawy doszczętnie przegranej — przegranej osobiście, przegranej historycznie, przegranej ideologicznie.

Zygmunt NAGÓRSKI, Sen.



JESZCZE O MASONERII

Paryż, dnia 6 stycznia 1964 r.

Drogi Redaktorze!

Bardzo dziękuję za przesłanie mi „TYGODNIKA DEMOKRATYCZNEGO” z „Tajemnicami Masonerii” i za propozycję skomentowania ich dla „Kultury”, zgadzam się jednak z Panem, że lepiej będzie zaczekać na

ukazanie się całej pracy p. Leona Chajna, wydrukowane bowiem w „Tygodniku” „Tajemnice”. są tylko fragmentem przedmowy do zapowiadanej książki.

Na razie, po przeczytaniu tego fragmentu mogę Panu podać parę tylko wstępnych uwag.

W artykule p. Chajna są trzy momenty. Po pierwsze: — wiadomości o pierwszych lożach polskich od roku 1906 oraz dość obszerna lista loż z okresu dwudziestolecia; — po drugie — obfita lista imienna polskich wolnomularzy z tego okresu; i — po trzecie zarys roli masonerii w tymże okresie. Dwa pierwsze momenty mogłyby stać się interesującym i cennym przyczynkiem do dziejów masonerii polskiej, gdyby autor — były minister sprawiedliwości w Polskiej Republice Ludowej — podał źródła swoich informacji. Dane o pierwszej loży z roku 1906, „Wyzwolenie”, i wykaz loż z ich nazwami z okresu dwudziestolecia nasuwają przypuszczenie, że autor miał dostęp do jakichś nieznanych jeszcze tu na emigracji materiałów archiwalnych.

Natomiast przy cytowaniu nazwisk działaczy masonerii p. Chajn powołuje się na źródła tych informacji w dziwnym doprawdy zestawieniu. Obok bowiem wydawnictw poważnych, jak „Internationales Freimeurer Lexicon” czy „New Age” cytuje on paryskiego autora propagandowych broszurek antymasońskich Henri Costona, albo Tadeusza Katelbacha, który znowu ze swej strony powołuje się w swych opracowaniach nawet na dość słabą literaczkę powieści Rogera Peyrefitte’a uganiającego się często za sensacją.

Dlatego też tylko te nazwiska, przy których p. Chajn wymienia źródła poważne można uznać za autentyczne. Dotyczy to także nazwisk Erazma Samotyhy, Zygmunta Dworczyńczyka (a nie Dworczyńskiego), płk. Adama Koca i zmarłego niedawno w Warszawie księgarza-idealisty M. Bartoszkiewicza, które to nazwiska p. Chajn cytuje „na podstawie oficjalnych danych” — nie podając jednak jakich. Reszta nazwisk podana jest w zupełnie chaotycznym układzie, częściowo z powołaniem się tylko na to, że „wymieniano je w kołach dziennikarskich”. A to chyba nie jest żadnym dowodem. W tej grupie nazwisk wymienia p. Chajn jednym tchem zarówno Szymona Askenazego, co do którego Emil Kipa — sam wolnomularz i historyk masonerii — stwierdzał, że masonem nie był, i Stanisława Thugutta, o którym ja wiem na pewno na podstawie informacji o wolnomularza o wysokim stopniu wtajemniczenia, że był ni mniej ni więcej tylko wtajemniczonym trzydziestego stopnia, czyli „Wielkim Wybranym Kawalerem Kadosz”.

Pozytywną zatem w artykule p. Chajna jest jedynie lista loż dwudziestolecia. Zauważyłem w niej tylko błąd w nazwie loży krakowskiej. Nazywała się ona nie „Zwalczony Przesąd”, a „Przesąd Zwyciężony”. Mam w swoim zbiorze pisma z pieczęcią tej loży, do której należał jeden z kolejnych rektorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a która miała ciekawą tradycję, że przez szereg lat z rządu na Mistrza Katedry obierano w niej towarzysza sztuki drukarskiej, zecera.

Jeżeli zaś chodzi o całą listę działaczy masonskich, to według posiadanych przeze mnie informacji mniej więcej połowa z nich należała do loż na pewno. W drugiej połowie listy, obok bardzo wielu nazwisk prawdopodobnych, znajdujemy — jak już wskazywałem — Askenazego, który masonem nie był i jednego z członków „ZETU”. O ile zaś mi wiadomo żaden z członków „ZETU” do masonerii należeć nie mógł.

Lista wolnomularzy polskich p. Chajna nie zasługuje zatem na porównanie jej z benedyktyńskimi pracami źródłowymi Stanisława Małachowskiego-Łempickiego, czy Emila Kipy.

Najgorzej jest jednak z całą stroną polityczną opracowania p. Chajna. Przytacza on np. za panem Katelbachem i Peyrefitte'm, że August Zaleski przestał być ministrem spraw zagranicznych, ponieważ nie zgodził się „pokryć swego warsztatu”, to znaczy zaprzestać swej działalności w loży. Jako ten, który wówczas był na stanowisku dość odpowiedzialnym w Prezydium Rady Ministrów przy dziewięciu z kolei szefach rządu, mogę zapewnić p. Chajna, że owa zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych nie miała wówczas absolutnie nic wspólnego z „warsztatem” ministra Zaleskiego.

Zupełną też fantazją są wszystkie wywody przypisujące masonerii polskiej „bardzo poważną rolę w przygotowaniu i przeprowadzeniu zamachu majowego w roku 1926”. Oficerowie-piśsudczycy bowiem, którzy w latach 1922-24 rzeczywiście należeli dość licznie do łóż takich, jak „Łukasiński”, już na półtora roku przed majem 1926 dostali rozkaz wycofania się z wolnomularstwa i niemal wszyscy — według terminologii masoniejskiej — „uśpili się”. Było to zresztą w okresie kiedy Stanisław Thugutt, a więc „Kawaler Kadosz” zaczął coraz ostrzej występować przeciwko działalności Marszałka Piśsudskiego. Masoneria polska nie brała żadnego udziału ani w „przygotowaniu”, ani w „przeprowadzeniu zamachu majowego”. Natomiast wybitni masoni odegrali rzeczywście poważną rolę w uporządkowaniu i znormalizowaniu sytuacji prawnej po rezygnacji prezydenta Wojciechowskiego. „Brat” Maciej Rataj jako marszałek sejmu musiał wtedy objąć przejściowo funkcje prezydenta Rzeczypospolitej, a w pierwszym rządzie pomajowym premierem został „brat” Kazimierz Bartel, ministrem przemysłu i handlu „brat” Hipolit Gliwic, a w kilka dni później po nominacji tego pierwszego rządu pomajowego tekę spraw zagranicznych objął w nim po komisarzu Romanie Knollu (który prawdopodobnie także był „bratem”), „brat” August Zaleski. Nigdy jednak nie słyszałem aby ktoś posadzał imiennie „brata” Macieja Rataja o „odegranie poważnej roli w przygotowaniu i przeprowadzeniu zamachu majowego 1926 r.”.

Rewelacje o tym, że sztab przewrotu majowego urzędował w mieszkaniu „brata” Stanisława Patka są zwykłą fantazją.

Ciekawą dla mnie rzeczą jest, że p. Chajn nie zdaje się nie wiedzieć o istnieniu w Polsce tzw. „Wolnomularstwa Zjednoczonego”, przyjmującego do łóż kobiety, a zwanego w Anglii „CO FREE MASONRY”. W archiwum śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego znalazłem dokument świadczący o tym, że w Polsce istniała loża tego wolnomularstwa pod nazwą „Orzeł Biały”, utworzona pod egidą loży londyńskiej. (Możliwą jest rzeczą, że to o tej loży właśnie, do której należeli zarówno mężczyźni jak i kobiety, pisze p. Chajn wspominając lożę pod nazwą „Orzeł Polski”, która — według niego — miała grupować wyłącznie wojskowych). Loża „Orła Białego” Wolnomularstwa Zjednoczonego miała pewne powiązania z Polskim Towarzystwem Teozoficznym. Powiązania te były jednak tylko personalne, to znaczy, że niektórzy jedynie członkowie należeli jednocześnie do obu organizacji. „Wolnomularstwo Zjednoczone” zawiesiło swą działalność w roku 1938, po okólniku rządu zakazującym należenia do tajnych organizacji. „Polskie Towarzystwo Teozoficzne” zaś rozwiązało się w Polsce formalnie dopiero po wybuchu wojny w roku 1939, stosując się do jednego z ostatnich rozkazów Prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego.

Streszczając te pobieżne uwagi o „Tajemnicach Masonerii” ogłoszonych przez p. Chajna, mogę Panu, Drogi Redaktorze, powiedzieć tylko jedno: autor znalazł widocznie dostęp do jakichś nieznanych tu jeszcze na emigracji materiałów archiwalnych, o czym świadczyłaby lista łóż dwudziestolecia. Obfita nazwisk wygląda raczej na ogół prawdopodobnie, choć nie-

poważnie wygląda podanie nazwiska Stanisława Thugutta jako tylko „wymienianego w kołach dziennikarskich”. Cała zaś strona polityczna opiera się raczej na fantazjach i plotkach, nie tylko dziennikarskich. Jeżeli p. Chajna był sam „bratem” i w ten sposób zebrał część tych informacji, to widocznie nie doszedł on do żadnego wyższego stopnia wtajemniczenia i nie czerpał swych informacji od wolnomularzy najwyższych stopni. O sprawach politycznych bowiem rozmawiano w wolnomularstwie dopiero od trzydziestego stopnia wzwyż. Na niższych stopniach nie wolno było o tych sprawach dyskutować.

Ściskam dłoń Pańską, Drogi Redaktorze.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

Monachium, 18.10.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przypuszczałem, że fragment mojej książki o pierwszym przesileniu rządowym na emigracji w lipcu 1940 roku pt. „Loże”, który ukazał się w III-cim tomie „Zeszytów Historycznych” wywoła polemiki i sprostowania. Temat to bowiem dla niewtajemniczonego zawsze śliski. W mateczniku tajemnic, jakimi do niedawna otaczali się polscy wolnomularze łatwo zbłądzić. I pewno nieraz jeszcze poruszając ten temat popełniać będą błędy. Jeśli mimo to zdecydowałem się włączyć rozdział o „Łozach” do mej pracy, powodowałem się dwoma względami.

Pisząc książkę o pierwszym przesileniu nie mogłem w niej pominąć zakulisowej gry masonskich łóż polskich. O tej grze ogół Polaków nie miał pojęcia. Tymczasem stanowiła ona ważny element sporów i walk politycznych, toczonych na naszej emigracyjnej scenie. Nie tylko przed 18 lipca 1940 roku, ale i po likwidacji pierwszego przesilenia, w czasie całej wojny i po wojnie. Wystarczy tylko wspomnieć akcję zjednoczeniową podjętą przed z górą 10 laty przez gen. K. Sosnkowskiego. Nie dała wyników, jakich pragnął i jakich domagał się ogół uchodźstwa polskiego. Był to m.in. skutek kontrakcji pewnych kół wolnomularskich. Słowem nic się bez nich na emigracji nie działo i nie dzieje.

To był wzgląd pierwszy, zasadniczy. Wzgląd drugi, był natury taktycznej. Pisząc o łozach na emigracji chciałem wywołać polemiki w nadziei, że przyczynią się do choćby częściowego wyjaśnienia spraw nie wiadomo dłaczego tak wstydliwie ukrywanych. „Loże” nie były oczywiście pomyslane jako studium o współczesnym wolnomularstwie polskim. Podzieliłem się jednie garścią dostępnych mi wiadomości, by poinformować czytelników książki o tym, że loże masonskie działały na emigracji i — wyjaśnić pokrótce ich genezę.

Przyjmuję sprostowanie p. Tadeusza Święcickiego o Andrzejku Strugu. Struga poznałem w czasach studenckich. Aż do przewrotu majowego 1926 r. uchodził za przedstawiciela obrządku szkockiego i za takiego go uważałem. Później, po zerwaniu PPS z Piłsudskim, wydawało mi się, że byłem w błędzie. Tego samego zdania byli również dawni wtajemniczeni, z którymi rozmawiałem o Strugu. Czytam sporo prasy krajowej. „Świat” tylko przełotnie. Już po ukazaniu się „Łoż” w „Zeszytach Historycznych” dostałem numer „Świata” z 2 września z przekonywującym artykułem Januarego

Grzędzińskiego. Wynika z niego, że wybitny powieściopisarz był do końca wierny obrządkowi szkockiemu.

Nie przekonał mnie natomiast profesor Kukiel, dowodząc, że „Strażnica” — konspiracja wojskowa powstała w pierwszych latach odrodzonego państwa, nie miała nigdy nic wspólnego z „Wielkim Wschodem”, bliskim — zdaniem moim — gen. W. Sikorskiemu. Muszę p. Profesora zapewnić, że znam historię tej konspiracji i jej pełną nazwę. Użyłem nazwy „Strażnica”, gdyż tak ową konspirację powszechnie nazywano i dziś byli jej członkowie inaczej o niej nie mówią. Prof. Kukiel twierdzi, (w „Dzienniku” z 13 lipca br. w art. „Strażnik Rzeczypospolitej”), że latem 1923 „przyszło ujawnić” — „Strażnicę” i rozwiązać. Ale dodaje, że niektóre komórki tego tajnego związku „nie rozwiązały się pono i poszły drogą od dotychczasowej odmienną”. Otóż nie rozwiązały się na pewno. Znam ludzi, których po 1924 r. i w latach późniejszych kaptowano do tych komórek konspiracyjnych. Dziwnym zrządzeniem losu kaptującymi byli sami zwolennicy Sikorskiego, a przeciwnicy Piłsudskiego.

Prof. Kukiel nie przekonał mnie również, że w czasie gdy doszło do pierwszego przesilenia rządowego na emigracji — działał tylko jeden ośrodek wolnomularski, skupiający samych przeciwników Sikorskiego, a że innego ośrodka masonskiego, bliskiego Sikorskiemu nie było. Cenię prof. Kukielą jako dziejopisa przeszłości, ale nigdy nie uważałem go za wyrocznie w sprawach najnowszej historii (między innymi emigracyjnej) w której sam odgrywał czynną, choć raczej zakulisową rolę polityczną. Nie potrafi być bezstronny, czego mu — rzecz prosta — za złe brać nie mogę.

Łączę wyrazy prawdziwego czasunku.

Tadeusz KATELBACH



Szanowny Panie Redaktorze!

Interesujące uwagi ppłk. dypl. K. Florka „na marginesie” moich „Dziejów porozbiorowych” (*Zeszyty Historyczne*, IV) wymagają kilku słów odpowiedzi. Autor owych uwag jest zdania że „każdy wychowawca musi mieć zastrzeżenia” co do ustępów mojej książki o stosunku Franciszka Józefa do sprawy polskiej i roli Bobrzyńskiego. „Zestawienie niezależnego polityka i żołnierza z namiestnikiem cesarskim... razi wychowawcę”... Otóż każdy myślący czytelnik „Dziejów” — wychowawca czy nie — może stwierdzić z ich tekstu, że inni to byli ludzie, inne ich dążenia, a że schodziły się w tym, że jednocześnie obaj działali w Galicji i dla obu była „Piemontem”; że jeden z nich na jej terenie przygotowywał walkę zbrojną z Rosją na wypadek wojny; drugi miał zadanie przygotowania tego kraju do tejszej wojny, zmierzał zaś do przywrócenia państwa polskiego w związku z Austrią, a patrzył na nasz ruch życzliwszym okiem niż sądziliśmy wówczas. Żałował po tym, że z naszej strony szukano raczej porozumienia ze sztabowcami austriackimi niż z polskim namiestnikiem. A namiestnik ten był nie tylko, jak píše Autor „choćby najbardziej życzliwym dla Polaków”, ale patriotą

polskim, uczonym dużej miary i mężem stanu. Była analogia Garibaldi — wódz narodowy i Cavour, mąż stanu, ostrożny, wytrwały w dążeniu do wyzwolenia i zjednoczenia swej ojczyzny. Grali na dwa fortepiany. I nie koniecznie o bezpośrednią współpracę tu szło. Ale — jak pisałem — nawiązanie kontaktu (nawet cichego, orientacyjnego) nie było łatwe. Bo między ówczesnym obozem niepodległościowym w Galicji a konserwatystami zbliżonymi do Bobrzyńskiego były dziesięciolecia walki ze „stańczykostwem”, w której nie oszczędzano i tego najbardziej demokratycznego ze „Stańczyków”. I najbardziej wrogiego „moskalofilom” ruskim i polskiej orientacji na Rosję. Upominała się za to o niego Komisja Skonfederowanych Stronniectw Niepodległościowych w przede dniu wojny.

Ubawiła mnie uwaga Autora, że nie poczyniłem „właściwych kroków by do tej współpracy doprowadzić”, skoro byłem rzekomo w r. 1906-1908 członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego Frakcji Rewolucyjnej PPS. Ależ ja wtedy miałem 21-23 lat, byłem w partii szeregowym, nie członkiem władzy naczelnej. I później, za czasów ZWC, nie odgrywałem przypisywanej mi politycznej roli. I nie wiedziałem tego wszystkiego co jako historyk wiem dzisiaj.

Natomiast stwierdzić mogę z całą pewnością, że błędnym jest przypisywanie obcemu machiawelizmowi owej różnicy statutowej między naszą organizacją strzelecką, stanowiącą jawną formę działania Z.W.C., a organizacją sokolą. Tamci byli formalnie organizacją gimnastyczną. Myśmy mieli być organizacją paramilitarną (pierwszą w Galicji) i to złożoną w lwiej części z zakordonowców, tym bardziej więc wystawioną na interwencje Rosji. Stąd przez ostrożność przyjęto z naszej strony pozornie luźną formę, niezależnych „Związków Strzeleckich” i „Strzelców” z osobnymi statutami (gdyby jeden rozwiążali pozostaną inne). Natomiast Drużyny Strzeleckie, powstałe w rok później, miały już statut jeden na cały kraj i statutową Komendę Naczelną, choć były nie mniej od nas wojskowe i niepodległościowe. Ale miały skład mniej kompromitujący wobec Rosji. Uważano też u nas za wskazaną dyskrecję co do składu Komendy Głównej a wysuwanie fikcyjnej za kłopotliwą komplikację.

O przewidywaniach Piłsudskiego co do przebiegu nadchodzącej wojny jest mowa w „Dziejach” i o tej koncepcji, którą Autor przytacza za Miedzińskim wraz z relacją Czernowa. Słyszałem te przewidywania z ust Komendanta Głównego w poufnych rozmowach jako możliwe optimum, ale nie jako jedyną ewentualność, na której można by wyłącznie polegać. Liczył się i z tym, że zrealizuje się ona w pełni dopiero „tą drugą wojną”. Wobec swoich i obcych skłaniających się ku orientacji koalicyjnej koncepcja ta bywała jedyną odpowiedzią na zarzut, że znajdziemy się po stronie niemieckiej, a przeciw demokracjom zachodnim. Ważne byłoby tutaj świadectwo najbardziej miarodajnego świadka, ówczesnego „Szefa” gen. Sosnkowskiego.

Informacje co do zaskoczenia wybuchem wojny gdy Komendant przestał w nią już wierzyć, są literalnym powtórzeniem współczesnych świadectw gryzących się tym Jodki i Sławka (w ich zapiskach znajdujących się dziś w Warszawie w Archiwum Akt Nowych a cytowanych przez Jabłońskiego, Migdała i Arskiego). Są one zbieżne ze świadectwem Sokolnickiego („Rok 1914”), zwrot zaś o urlopach i przejściu organizacji w stan częściowego uśpienia jest dosłownie powtórzony za relacją Juliana Stachie-

wicza w „Niepodległości” przedwojennej. To samo pisał mi wtedy Stanisław Krynicki, należący, jak Stachiewicz i ja, do „Rady Przybocznej Komendanta”. Ja sam, po ciężkiej chorobie, bez kontaktu z komendantem, skręcałem się z desperacji. I tutaj pożądane byłoby świadectwo gen. Sosnkowskiego. Fakt że Komendant Główny zdołał mimo takiego opóźnienia stworzyć zawiązek wojska, świadczy nie tylko o jego ogromnej energii i wspaniałym darze improwizacji, lecz także o żywiłowym odzwieciu we wszystkich ośrodkach strzeleckich. Wyniki mobilizacji przekroczyły znacznie przewidywania.

Nie z jednym Piłsudskim tak było, że długo oczekiwał wojny i uważał ją za nieuniknioną, a przestał wierzyć w nią tuż przed jej nadejściem. Powtórzyło się to z Sikorskim w r. 1941. Zaskoczyła go wojna niemiecko-sowiecka, której oczekiwał od roku.

Dalsze uwagi Autora dorzucają szczegółów, rozszerzają tematykę mej książki, a zasługują na uwagę w razie opracowywania początków Drugiej Rzeczypospolitej.

Ale sprostować muszę jeszcze jedno sprostowanie. Co do najść na Belweder w nocy na 5 stycznia 1919. Pierwszym była owa „delegacja”, którą w dziedzińcu belwederskim rozbroił nadbiegający właśnie pluton czołowy kompanii Rowcekiego, prowadzony przez ppor. Rzepeckiego (jest jego relacja). Ale była (choć Autor temu przeczy) druga próba: nad ranem nadciągnął oddział Straży Narodowej, bodajże ulicą Belwederską i został rozbrojony przez kompanię Sadowskiego (klasa G) przesuniętą w nocy do Belwederu na żądanie przyniesione przez ppłk. Fabrycego. Szczegóły pamięta płk. dypl. Zygmunt Czarnecki, który tam był.

Ale to są szczegóły. Różnica zaś poglądów moich i Autora polega na różnym pojęciu historii. Zdaniem jego ma ona wychowywać na budujących przykładach, a według mnie ma dochodzić prawdy (czy miła czy nie miła) i wskrzeszać przeszłość jaką była — jasną czy posępną. Zatem wolałem zakończyć zanim zaczął się grać dramat Drugiej Rzeczypospolitej.

M. KUKIEL

◆
Paryż, wrzesień, 1963 r.

Drogi Panie Redaktorze!

W interesującym artykule p.n. *Z dwu ostatnich lat Boya*, p. Wanda Ładniewska-Blankenheimowa przytoczyła m.in. opisany już przeze mnie ładny gest pisarza ukraińskiego A. Hawryluka, w czasie przyjmowania Boya do „prof-spiłki”. Ze zdziwieniem przeczytałem jednak jej „sprostowanie”, jakoby odnośnemu zebraniu przewodniczył nie Hawryluk, lecz Tudor. Na rzeczonym zebraniu byłem osobiście obecny i pisałem o nim jako naoczny świadek. Po co zatem „prostować” wersję niewątpliwie prawdziwą na niewątpliwie mylną? Pomijam przy tym już szczegół, że i ja, i inni koledzy, wracaliśmy później żartobliwie do tego incydentu w rozmowach i z Boyem i z Hawrylukiem. Ważniejsze, że owo wystąpienie Hawryluka było dość szeroko komentowane również pod innym i to bardzo praktycznym — by tak rzec — kątem widzenia.

Stanowiło ono *potwierdzenie* przyjaznej i chlubnej (zważywszy tamte warunki!) tolerancji Hawryluka w stosunku do nie-komunistów. Tę to jego przyjazną tolerancję podkreśliłem w moich wspomnieniach o *Inżynierach dusz*. (Cytowałem przy tym również inne jej przykłady; mógłbym zacytować ich dużo więcej).

Na domiar: pisząc swój bardzo ciekawy przyczynek, autorka знаła już nie tylko moje wspomnienia, ale (jak to wynika z jej tekstu) również wspomnienia pisarza ukraińskiego J. Gałana (o którym ja, pisząc *Inżynierów dusz* w ogóle nie jeszcze nie wiedziałem). Otóż: Gałan, który — podobnie jak ja — był osobiście obecny na odnośnym zebraniu, pisze tak jak było: że przewodniczył Hawryluk. (Dodajmy tu, że Gałan był nie tylko jednym z najbliższych przyjaciół Hawryluka, ale że dany artykuł poświęcony jest specjalnie pamięci Hawryluka).

To prawda, że nazwisko przewodniczącego danego zebrania nie zmienia niczego w odniesieniu do Boya. Jest ono za to ważne z innych przyczyn. Zarówno Tudor jak i Hawryluk byli przecież sami pisarzami i — po tragicznej ich śmierci — każdy z nich ma prawo do własnej (we wspomnieniach o nich) sylwetki. Obaj odgrywali dość dużą rolę w ówczesnym Związku Literatów i obaj — jako Ukraińcy — zachowali godną uznania, przyjazną postawę, zwłaszcza w stosunku do kolegów-Polaków. Tym niemniej, jako ludzie, różnili się od siebie i temperamentem, i sposobem zachowania się, i umysłowością. W mojej pamięci widzę dotąd bardzo dokładnie Hawryluka, jak, trzymając w ręku życiorys Boya i bibliografię jego pism, jak kołysząc się nieco z właściwym mu, przyjemnym zakłopotaniem, kieruje do Boya zdania, które cytowałem. Trudno mi natomiast wyobrazić sobie podobny ton u uczciwego i rozsądnego, ale raczej *ciężkawego* Tudora.

Pisząc moje wspomnienia *tematami* a nie *osobami*, nie zatrzymałem się nad dalszym ciągiem odnośnego zebrania. Cenny przyczynek pióra p. Wiktora Turka (*Zesz. Hist.* nr. 4) oraz bardzo słuszne wezwanie p. Władysława Żeleńskiego (*Kultura* nr 185) nakazują mi, bodaj bardzo po krótko, uzupełnić ten wstęp: chodzi o wypowiedź Boya (a nie o jego życiorys, bo ten składano na piśmie, przed zebraniem, i odczytywał go przewodniczący a nie „kandydat”). Otóż: w wypowiedzi Boya (choć w istocie wspomniał on — między danymi — o swoich przekonaniach liberalnych) akcent położony był na innym momencie. — Należę — powiedział Boy — do starszego pokolenia, które wzrosło i wychowało się jeszcze pod zaborami, i które tęskniło do niepodległości Polski. Toteż do tej niepodległości, której doczekałem, byłem głęboko przywiązany. Teraz, gdy wojna...

Przytaczam tylko sens a nie dosłowne brzmienie. Za wierność tego sensu jednak ręczę. I za to, że Boy przerwał swoją wypowiedź w połowie zdania. Szczegół ten utkwił mi głęboko w pamięci nie tylko ze względu na dużą uwagę, z jaką słuchałem jego wypowiedzi (wyczekiwanej ze zrozumiałym zainteresowaniem i napięciem), ale również ze względu na jej dalszy ciąg. W przeciwieństwie do losu innych „kandydatów”, którym — w czasie przyjmowania ich — wywlekano byle antysowieckie zdanie, Boyowi nikt żadnego zarzutu nie stawiał (mimo, że w jego pismach ustępów takich było przecież sporo, a pisma Boya były powszechnie znane: nie trzeba byłoby dopiero szperać!). Mileżąca zмова niezakłócenia uroczystego nastroju (zaakcentowanego na domiar od samego wstępu wzmiankowaną już postawą Hawryluka!) powstrzymała tym razem od ataków nawet najbardziej notorycznych cenzorów i *zawistników*. Powstrzymała od ataków, ale jednego z nich nie powstrzymała od wyrwania się z gorliwością, wyrażoną inaczej. Gdy (nie pamiętam: przewodniczący zebrania Hawryluk, czy kto inny; ale chyba Hawry-

luk!) powtórzył — tytułem podsumowania czy prostej refleksji — że w istocie ta wojna ukazuje w innym świetle liberalizm (stąd może to wysunięcie liberalizmu na pierwsze miejsce w jakiejś wtórnej relacji ustnej) wstał siedzący w pierwszym rzędzie Charszewski, by sprzeciwić się podobnej interpretacji niedopowiedzenia, którym Boy zakończył swoją wypowiedź. Według Charszewskiego, Boy pragnął tym niedopowiedzeniem wyrazić dużo więcej.

Zabawność sytuacji polegała na tym, że Boy był przecież na miejscu i mógł sam rozstrzygnąć „ciężką wątpliwość”. Może o to by go „przyprzeć do muru” Charszewskiemu zresztą chodziło. Boy niczego jednak nie dodał. Co dziwniejsze: przewodniczący Hawryluk wcale tego nie żądał. Zważywszy prawdziwy sens wypowiedzi Boya (podkreślony na domiar tym jego milczeniem!) nie ulega wątpliwości, że — nad interwencją Charszewskiego — Hawryluk przeszedł do porządku *świadomie, celowo* i to wbrew praktykowanym na tych zebraniach obyczajom. Otóż: trudno mi wyobrazić sobie podobnie celową dyskrekcję u Tudora, komunisty uczciwego i ludziom życzliwego, ale *pryncypialnego* (i nie bez pedanterii).

Napisałem (nie bez kozery) w *Inżynierach dusz*, że w omawianym okresie Boy „przedrukowywał swoje studia i wygłaszał odczyty o społecznych aspektach twórczości Balzaka”. Teraz, w interesującej artykule p. Ładniewskiej czytam szereg ustępów o dowcipie, wdzięku i *odkrywczości* odczytów (więc: pism) Boya z tamtych lat. Boy czarował swoimi odczytami? Owszem. Którymi jednak? Tym o Mickiewiczu, w którym — by zacytować słowa autorki artykułu — dał „fascynujący... obraz Mickiewicza nowego — nie tego znanego ze szkoły i nawet nie tego z Uniwersytetu, ale...” itd. A niby jaki to obraz Mickiewicza kreślił Boy w jego przedwojennych „ludziach żywych” i „Brazownikach”? A może: o Balzaku na Ukrainie, w którym to odczycie „pokazał czego dotąd nikt nie widział — Balzaka-giganta u schyłku życia jako młodzieńczo zakochanego”... itd. To dziwne, że „nikt” tego dotąd nie widział czy nie wiedział, ponieważ ten świetny odczyt był *wyłącznie* montażem (aż do anegdot i do efektownych sformułowań włącznie) z jakże licznych studiów (w tym również całej, oddzielnej monografii!) Boya o Balzaku. Stwierdzam to nie by poddawać w wątpliwość sformułowania autorki (słuszne, jeśli nie brać w *oderwaniu od całej przedwojennej twórczości Boya*), ale by uwypuklić *dążenie Boya do zostania w ramach jego dawnych tematów a nawet... tekstów*.

„Popularność Boya — czytam w tym samym artykule — wzrasta we Lwowie z dnia na dzień, mnożą się prośby o odczyty...” itd. A ja jakoś dalej sędzę, że „dialektyka” i tej sprawy była odwrotna. Popularność Boya w latach przedwojennych była tak szeroka, że dosyć trudno mówić o jej „wzrastaniu” akurat we Lwowie tamtego okresu. Natomiast: właśnie dlatego, że nazwisko Boya było już tak bardzo znane i tak szeroko popularne, naga-bywano go zewsząd. To właśnie mając na myśli pisałem, że jeśli — mimo chęci unikania wypowiedzi o aktualnym wydzwieku — Boy „z tej czy innej okazji wystąpił również na nieliterackiej imprezie, trzeba pamiętać, że — choćby wskutek popularności jego nazwiska — akurat jemu było trudniej od innych się od tego uchylić”.

Jakież były te jego (mówione czy drukowane) wystąpienia, związane z tamtejszą aktualnością, czyli jedyne *points de repère*, na podstawie których można wnioskować o *publicznie* zachowywanej przez niego postawie? Bardzo ich niewiele. W króciutkiej *allocution* przed „wyborami” do rady miejskiej, wykręcił się bardzo wyraźnie sianem, podejmując swój (już przysłowiowy przed wojną!) motyw o radcach w C.K. austriackiej monarchii. Żartobliwa aluzja do młodości (a nie do poglądów!) Szemplińskiej i niemniej żartobliwa

wzmianka o obecności na liście kandydatów — „tyłu wybitnych lekarzy (...) Cóż za potężny zastrzyk zdrowia (...)! Za to *ani jednego* nie tylko zdania ale nawet zwrotu o charakterze bieżąco-politycznym (mimo, że żargon tych formułek wręcz *obowiązywał*). (Por. *Pisma*. W-wa. P.I.W. Tom 18, str. 353-354).

Drugi tekst Boya na „aktualny” temat z tamtego okresu (dziennikarskie sprawozdanie z wycieczki do Moskwy) jest na poziomie... wymęczonego, szkolnego wypracowania. Wymijające frazesy o „niezwykłej różnaitości” tego miasta, budynków i placów nowych „i tuż za nimi labiryntu ulic, zaułków, domków wyraźnie czekających na zburzenie”... ..W zamian *ani jednego* w tym całym artykule — zdania o charakterze politycznym. I, równocześnie, kilkakrotnie — w różnych wariantach — podkreślenie: „Zgodnie z charakterem naszej profesorskiej wycieczki, poznajemy zwłaszcza gmachy poświęcone nauce” (*Ibid.* str. 349 i nast.). Nie mam możliwości sprawdzenia tekstu recenzji Boya z sztuki Wasilewskiej o Bartoszu Głowackim. O ile pamiętam, również tam wykrywał się jednak porównywaniem tej sztuki z widowiskiem Anzczyca. Niech mu inni ten brak polotu i to kluczenie biorą za złe. Ja mu je pocytuje za zastugę.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, słowa szczerego poważania i najlepsze pozdrowienia.

Michał BORWICZ

P.S.: — Pozwalam sobie, przy okazji, do-prostować pomyłkę w moim artykule o *Inżynierach Dusz*. (Mówię do-prostować, ponieważ — dostrzeżona przed ogłoszeniem — została poprawiona w tekście, lecz — przez niedopatrzenie — ostała się w stanie szczątkowym). „Wybory”, o których pisałem, były „wyborami” do „Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy” (a nie od „Wierchownej Rady”; „wybory” do tej ostatniej odbyły się krótko po tym).

SPIS TRESCI

DOKUMENTY

<i>Adam Ciołkosz</i> (podał do druku):	
DRUGA PODRÓŻ MIKOŁAJCZYKA DO MOSKWY	9
<i>Jerzy Mond</i> (opracował):	
NIEKTÓRE MATERIAŁY Z NARADY AKTYWU CENTRALNEGO W SPRAWIE SYTUACJI NA FRONCIE KULTURALNYM W DN. 23.XII.1955	28
KOMUNISTYCZNA BROSZURA Z LISTĄ PROWO- KATORÓW	58

RELACJE I WSPOMNIENIA

(Okres Niepodległości)

<i>Stanisław Lubodziecki:</i>	
WYPADKI LISTOPADOWE 1923 R. W SĄDZIE WOJSKOWYM (Sprawa gen. dyw. J. Czikiela i in- nych oficerów)	65
<i>Leon Litwiński:</i>	
POLACY W ŻYCIU BELGIJSKIM	83

RELACJE I WSPOMNIENIA

(Okres wojny)

<i>Dr Henryk Speedby:</i>	
CHOROBY ŁAGIERNE	99

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 31 JANVIER 1964
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1964

Dar Księży Marianów
Londyn

**KSIĄZKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: **Kontra** (7 F)
- Paweł Zaremba: **Historia Stanów Zjednoczonych**
(18 F.)
- Tadeusz Kotelbach: **Rok złych wróżb** (8 F)
- Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz** (7 F)
- Paweł Zaremba: **Historia Polski, Tom I** (20 F)
- Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi** (Wydanie drugie)
(15 F)
- Bernard Singer: **Od Witosza do Sławka** (18 F)
- Milovan Djilas: **Rozmowy ze Stalinem** (9 F)
- Jerzy Mond: **6 lat temu...** (Kulisy polskiego
Października) (10 F)
- Maria Czapska: **Polacy w ZSSR (1939-1942)**
Antologia (16,50 F)
- Witold Jedlicki: **Klub Krzywego Koła** (10 F)

15 F (dol. 3,-; 22/-)